



MICHAEL CORDY  
KOD  
LUCYFERA

Najjaśniejsze światło rzuca najgłębszy cień...



**MICHAEL CORDY**

**Kod Lucyfera**

**LUCYFER: z łaciny *lucifer* -- niosący światło (*lux* -- światło, *ferro* -- nieść)**

## **PROLOG**

asna, okrągła lampa nad głową ośmioletniego dziecka przygasa, kiedy | środek znieczulający zaczyna działać. Dziewczynka wyciąga rękę ku dłoni na stole operacyjnym. Czuje uścisk i odwzajemnia go, z całej siły, w obawie, że nadciągający mrok zerwie więź na zawsze. Jak wiele dzieci instynktownie boi się ciemności, głęboka podświadomość podpowiada jej, że światło dzieli wszechświat na dwie części: dzień i noc, widzialne i niewidzialne, dobro i zło, życie i śmierć.

Ale ta ciemność daje ukojenie. Niesie ze sobą nicłość, w którą dziewczynka zapada, zanim piła chirurgiczna zacznie wrzynać się w jej czaszkę. Nie słyszy przenikliwego wizgu metalu przecinającego kość, nie widzi mącającej światło lamp czerwonej mgielki kropelek krwi i kawałków tkanki, nie czuje zapachu krwi i środka odkażającego. Nie jest świadoma niczego prócz siebie samej -- swojego umysłu unoszącego się w ciemności tak głębokiej, że ma własny zapach, kolor i smak. Ta aksamitna otchłań jest bezpieczna jak matczyne łono.

Neurochirurg odkłada piłę i laserowym skalpelem rozcina miękkie tkanki. Ruchy jego wprawnych dłoni są pewne, ale wie, że to jedyny w swoim rodzaju zabieg; nikt przed nim jeszcze tego nie próbował. Żaden podręcznik nie powie mu, gdzie ciąć.

Po trzynastu godzinach i dwudziestu siedmiu minutach pozwala sobie na westchnienie, a pielęgniarka ociera mu pot z czoła. Najgorsze ma za sobą. A przynajmniej tak mu się wydaje.

Kilka sekund później monitory czynności życiowych przy stole operacyjnym wybuchają szaleńczą kakofonią sygnałów alarmowych.

W tej samej chwili otulającą dziecko aksamitną ciemność przebija świetlisty punkt. Dziewczynka nie unosi się już, mknie przez czarny wir w jego stronę. Początkowo widzi tylko plamkę, ale kiedy zbliża się ku niej w oszalamiającym pędzie, światło rośnie jej w oczach, przybiera kształt stożka, jakby płynęło z latarki. I nagle dziewczynka jest w środku, staje się jego częścią. Leci z tak zawrotną prędkością, że jasność wokół wydaje się nieruchoma, nie jest już jednolitym strumieniem, tylko zbiorem przemykających obok, ginących w ciemności cząsteczek, jasnych śnieżynek światła. Dziewczynka czuje przy sobie obecność kogoś bliskiego, kto ciągnie ją za sobą, prowadzi przez srebrzystą zamieć ku szczytowi stożka, do źródła. Więż jest mocna, krzepiąca. Teraz kiedy znowu są razem, dziewczynka już się nie boi.

I wtedy przeszywa ją ból, nie fizyczny -- emocjonalny, duchowy. Potężna siła wciąga ją z powrotem w wir, oddala od światła, przecina więź. Dziewczynka chce krzyczeć, kurczowo trzyma się ukochanej istoty, odrywanej od niej ściętno po ściętnie, komórka po komórce, podczas gdy uciekające światło na nowo zlewa się w jednolitą, odległą całość.

Nagle widzi z góry samą siebie -- leży na stole i przygląda się, jak chirurg i pielęgniarki gorączkowo przywracają ją do życia. Salę operacyjną zalewa mocne białe światło. Wszystko wydaje się jasne, czyste. Dziewczynka wpatruje się w siebie porażona widokiem błyszczącej, otwartej rany w lewej skroni i kształtu rysującego się pod zieloną płachtą u jej boku. Widzi, jak pielęgniarka rozplata małą dłoń, której silny uścisk przez cały czas czuła. Zdaje sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu jest sama.

## I

### W GŁĘBI DUSZY

#### 1

Fundacja VenTec, Alaska Dwadzieścia dziewięć lat później  
ajgorsze było to, że nie mogła mrugać. To i przejmujący strach wywołany świadomością rychłej śmierci.

Matka Giovanna Bellini wiedziała, co ją czeka, od chwili kiedy obudziła się i stwierdziła, że leży unieruchomiona na stole laboratoryjnym, z ogoloną głową i szeroko otwartymi oczami, w których tkwiły rozwieracze. Była świadkiem setki podobnych eksperymentów, a nawet w nich uczestniczyła, udzielając ostatniego namaszczenia. Ale wszyscy ci ludzie, w odróżnieniu od niej, byli śmiertelnie chorzy. Bliscy agonii i dlatego bezcenni dla projektu.

To niemożliwe, by odpowiadali za to naukowcy. Pracowała z nimi przez ostatnich dziewięć miesięcy, pomagała im w, jak sądziła, dziele Bożym. Sam Czerwony Papież wyznaczył ją do udzielania ostatniego namaszczenia, tłumaczył jej, że weźmie udział w wielkiej świętej misji. „Nie kwestionuj słów naukowców, matko Giovanno, oni bowiem, jak ty, noszą na piersi szkarłatny krzyż Kościoła Prawdy Duchowej”.

Nie mogła jednak dłużej milczeć. Pozostawała wierna Ojcu Świętemu, kiedy jeszcze był ważnym watykańskim kardynałem, i zdecydowała się podążyć za nim, gdy odszedł, by założyć własny Kościół. A teraz powierzono jej tę przenajświętszą odpowiedzialność, jak mogła zawieść jego zaufanie i milczeć?

Do oczu wpuszczono jej jakiś palący płyn, ale nie mogła odwrócić głowy.

**Dobry Boże! Pomóż!**

Usiłowała wydobyć z siebie te słowa, ale usta odmawiały jej posłuszeństwa. Nawet jej krzyk był niemy. Środek paraliżujący, wstrzyknięty przez blondynkę w białym kombinezonie i okularach ochronnych, unieruchomił jej ciało.

Na samym początku ustalono, że matka Giovanna będzie opuszczać laboratorium zaraz po oddaniu ostatniej posługi, od jakiegoś czasu jednak, kiedy już wyszła, przystawała za przyciemnianymi oszklonymi drzwiami; była ciekawa, jak udaje się naukowcom uchwycić ten najważniejszy moment, moment śmierci. Po obejrzeniu końcowych etapów ostatnich trzech eksperymentów uznała, że musi zwrócić się do siostry Konstancji, jej najstarszej, najbardziej zaufanej przyjaciółki, z prośbą o radę. Siostra Konstancja obiecała, że zachowa rozmowę w tajemnicy, i namówiła ją, by powiedziała bezpośrednio Ojcu Świętemu, że naukowcy nie czekają na śmierć pacjentów, tylko ich zabijają.

Skąd wiedzieli, że ich zdradziła? I jak śmieli zrobić to jej, protegowanej samego Czerwonego Papieża?

Nawet kiedy unieśli jej głowę i włożyli na nią pustą, przezroczystą kulę, wciąż wypatrywała kątem oka błysku czerwieni -- charakterystycznych szkarłatnych szat monsignore Diageo czy samego Czerwonego Papieża. Ale kiedy zamykali szklaną kulę wokół jej szyi, ratunek wciąż nie nadchodził.

Kula składała się z warstw o różnej strukturze; załamujące się w nich światło było zimne i piękne jak blask księżyca w ciemnym jeziorze gdzieś na uboczu, i nie dawało ukojenia. Blondwłosa laborantka uniosła przednią część kuli jak szybkę w kasku astronauty. Odsłonięte gałki oczne matki Giovanny zakryły soczewki kontaktowe boleśnie drapiące rogówki. Do jej prawej skroni przylepiono żelazny mały kawałek folii -- i wtedy zaczęła ją swędzieć ogolona skóra.

Gorsza od niewygód była jednak świadomość, że ona sama w swojej niewiedzy stała z boku, kiedy innych spotykał ten sam los. Powiedziano jej, że wszyscy ci ludzie są ochotnikami, że do samego końca nie czują nic. Teraz jednak przekonała się, że to nieprawda. To przerażało ją nade wszystko; zgrzeszyła i potrzebowała rozgrzeszenia, zanim umrze.

Strach przeszedł w rozpacz, chciało jej się płakać, ale oczy pozostały suche.

Gdzie jesteś, Ojcze Święty?! -- krzyczała w duchu. Dlaczego mnie nieocalisz?  
--Zaraz zaczniesz się odliczanie -- oznajmiła spokojnie blondynka.

Serce matki Giovanny, jeden z nielicznych mięśni, które oparły się działaniu środka paraliżującego, łomotało w jej piersi. Ogarnął ją paniczny strach, nie dlatego że miała zaraz umrzeć, lecz dlatego że nie otrzymała rozgrzeszenia.

Przebacz mi, Panie, i miej litość nad moją duszą. Przezroczysta osłona opadła z powrotem. Do wnętrza kuli wpłynął bezwonny gaz i skapał odchodzący świat w zielonej poświacie. Matka Giovanna usłyszała początek odliczania i wiedziała, że śmierć nadchodzi.

## 2

Tate Modern, Bankside, Londyn Trzydzieści osiem minut wcześniej  
ieplego październikowego popołudnia łagodne światło słoneczne zmieniło Tamizę w rzekę roztopionego złota. Czarna limuzyna, która przejeżdżała obok mostu Millennium, była standardowym mercedesem, tyle że wyposażonym w mocno przyciemniane szyby i wykonane na zamówienie osłony przed promieniowaniem ultrafioletowym. Siedzący z tyłu Bradley Soames zerknął w lewo, na katedrę Świętego Pawła ze wspaniałą kopułą zaprojektowaną na wzór tej, która wieńczyła Bazylikę Świętego Piotra w Rzymie. Po prawej stronie, na drugim brzegu rzeki, rysował się kształt bardziej nowoczesnej świątyni, wzniesionej ku czci technologii. Ten kanciasty gmach z cegły, z wysokim kwadratowym kominem zastępującym dzwonnice, dawniej był elektrownią. Teraz mieściło się w nim największe muzeum sztuki nowoczesnej na świecie.

Soames zobaczył swoje odbicie w przydymionym szkłe. Nie podobał się sobie: niebieskie oczy i falujące włosy o barwie i fakturze złotego drutu były jeszcze do przyjęcia, ale na skórę, tę bladą, usianą piegami mozaikę blizn, nie mógł patrzeć. Odwrócił się.

--Walt, wiem, że większość dziennikarzy jest już na prezentacji, mimo to chciałbym wejść bocznymi drzwiami -- powiedział.

--Jak pan sobie życzy, doktorze Soames -- odparł jego asystent siedzący obok kierowcy. Walter Tripp, wytworny, łysiejący Murzyn w okrągłych okularach bez oprawek, miał na sobie elegancki ciemny garnitur, białą koszulę i krwistoczerwony jedwabny krawat. -- Dyrektor galerii urządził pokój obserwacyjny na górze, tak jak pan sobie życzył, ale nad żadnym z wejść nie ma osłon przed promieniowaniem ultrafioletowym.

--Żaden kłopot, okryję się. -- Soames spojrział na zegarek. Amber powinna właśnie zaczynać prezentację w hali turbin. Do jego wystąpienia została więcej niż godzina, chciał jednak śledzić przemówienie Amber i potwierdzić swoje podejrzenia.

Kiedy wóz skręcił w prawo nad mostem Southwark, Soames odwinął mankiety ocieplanej czarnej marynarki -- powstały z nich rękawice, do których wcisnął dłonie. Skrzywił się, kiedy materiał zaczepił o świeżą bliznę na lewej dłoni, ślad po ostatnim usuniętym czerniaku. Rękawice zapiął na rzepy, żeby nie wystawał spod nich najmniejszy skrawek skóry, i postawił kaptur. Nałożył duże przyciemniane okulary i przyczepił do kaptura płachtę, która spłynęła mu na pierś, okrywając usta i brodę jak czarczaf. Kiedy samochód zatrzymał się, skóra Soamesa była zabezpieczona przed jesiennym słońcem.

Wysiadł z wozu, spojrział w górę na pozbawione okien urwisko z czerwonej cegły, tworzące południową ścianę budynku, i ruszył za Trippem do bocznych drzwi. Po lewej stronie, przy głównym wejściu, zobaczył zwisające z masztów transparenty z tytułem wystawy: KSZTAŁT ŚWIATŁA. Dzięki jej sponsorowaniu i przekazaniu galerii wielomilionowej darowizny Optrix dostał zgodę na zorganizowanie w hali turbin pierwszego w Europie prasowego pokazu monitora soft-screen Lucyfer.

Dwaj pracownicy galerii rozpoznali Soamesa po ochronnym stroju i poprowadzili go w głąb przestronnego holu, obok pękającej w szwach restauracji ze szklanymi ścianami i równie zatłoczonego sklepu z pamiątkami, przez tłum czekający w kolejce do galerii na wyższych piętrach. Winda zawiozła ich na piątą z ośmiu kondygnacji. Znajdowało się tam prowizoryczne pomieszczenie wydzielone z jednej z większych galerii i wychodzące na ogromną halę turbin w dole. Wszystko było przygotowane zgodnie z życzeniem Soamesa; mógł obserwować przebieg uroczystości, miał optyczny komputer z dostępem do optycznego Internetu i małą lodówkę z coca-colą.

Kiedy pracownicy wyszli z galerii, Tripp wyjął z marynarki kieszonkowy wykrywacz promieniowania ultrafioletowego i gdy upewnił się, że

pomieszczenie jest bezpieczne, skinął głową Soamesowi, a wtedy on zdjął wierzchnie okrycie i skupił uwagę na tym, co działo się w dole.

A widok zapierał dech w piersiach. Hala miała prawie pięćdziesiąt metrów wysokości i sześćdziesiąt długości. Filary zastąpione zostały szkieletem z żelaznych dźwigarów odcinającym się na tle szarych ścian; wysoki płaski dach wspierał się na sklepieniu z żelaznych belek. Biegące środkiem dachu świetliki zasłonięte były poprzecznymi żaluzjami, podobnie jak inne źródła światła naturalnego. Na końcu hali rozpościerał się biały transparent z logo Oprix Optoelectronics i mottem firmy: NIECH STANIE SIĘ ŚWIATŁOŚĆ. Podium pod nim umieszczono naprzeciw dwustuosobowej publiczności złożonej z dziennikarzy, klientów i ekspertów -- siedzieli w równych rzędach przedzielonych pięcioma wysokimi świetlnymi rzeźbami. Dzieła te, wykonane na zlecenie Opriksu przez znaną artystkę Jenny Knowles, jarzyły się w słabym świetle, jakby tętniło w nich życie. Przedstawiające rozmaite abstrakcyjne formy, w tym podwójną helisę, olśniewająco piękny obraz Drogi Mlecznej i sześciometrowej wielkości cząsteczkę wody, wyglądały, jakby można było ich dotknąć, choć miały strukturę nie bardziej zwartą niż światło. Soames znalazł prawdę, którą wyrażały: światło było jednocześnie zbiorem subatomowych cząstek, fotonów i abstrakcyjną falą.

Dualizm ten znalazł odbicie w szóstym ekspozycie, ogromnej instalacji, która zajmowała niemal resztę hali. Składały się na nią dwie równoległe płaskie ścianki jakby wiszące w powietrzu. Każda z nich miała co najmniej trzy metry wysokości i sześć metrów szerokości. Pierwsza była biała, przecięta dwiema pionowymi szczelinami, druga zaś, wykonana z czarnego szkła, wyglądała jak ekran telewizora. Naprzeciwko białej ścianki umieszczone zostało działko laserowe wypuszczające wiązkę, która przechodziła przez szczeliny i trafiała w czarny ekran. Na nim jednak, zamiast dwóch pionowych świetlnych linii, pojawiał się obraz złożony z umieszczonych w równych odstępach prążków, podobny do kodu kreskowego.

Co kilka minut, wydawałoby się bez przyczyny, prążkowany obraz na czarnym ekranie zanikał, a wiązka laserowa rozdzielała się na pojedyncze impulsy, świetlne pociski. Każdy z nich zdawał się przechodzić przez obie szczeliny naraz i pozostawiał jasny ślad na szklanym detektorze. Zamiast jednak tworzyć kręgi światła na wprost otworów, kolejne ślady stopniowo układały się w taki sam prążkowany wzór, jak poprzednio, jakby każdy świetlny impuls został doskonale zakodowany.

Ekspozycja ten bawił Soamesa. Nigdy nie znudziło mu się badanie anomalii świata kwantowego, gdzie cząstki mniejsze od atomu nie

Podporządkowywały się prawom ustanowionym przez Newtona dla tak zwanego świata rzeczywistego.

Kiedy przygasły światła i rzeźby zniknęły, przez widownię przebiegł szmer przyciszonych głosów. Pozostał tylko szósty ekspozycja, pojedyncze impulsy światła wciąż malowały magiczny wzór na czarnym ekranie. W przestronnej hali rozbrzmiała nastrojowa muzyka i rzeźby jedna po drugiej pojawiły się na nowo.

~ Witajcie w erze światła -- rozległ się głos doktor Amber Grant stojącej na mównicy na końcu hali i światła znów rozbłysły pełnym blaskiem. -- Dziś my, przedstawiciele firmy Oprix, pragniemy wraz z państwem uczcić tajemnicę światła i pokazać, jak je ujarzmiłmy. -- Wskazała działko laserowe. -- Najpierw tajemnica. Proszę wyobrazić sobie dwie ściany



ustawione równolegle, jedna przed drugą. W pierwszej robimy pionową szczelinę i kierujemy na nią nieprzerwany strumień światła. Co wówczas widzimy na drugiej? -- Uśmiechnęła się. -- To proste. Jedną białą pionową linię, powstałą w wyniku przejścia światła przez szczelinę. Teraz wycinamy w pierwszej ścianie dwie szczeliny i ją oświetlamy. Co się dzieje? -- Amber wskazała na instalację. -- Na drugiej ścianie nie powstają dwie pionowe linie, jak można by się spodziewać, tylko prążkowany wzór, w którym światło przeplata się z cieniem. Efekt ten spowodowany jest interferencją fal świetlnych, które rozchodzą się z obu szczelin jak zmarszczki na powierzchni stawu. Ten słynny eksperyment, przeprowadzony po raz pierwszy przeszło dwieście lat temu, dowodzi ponad wszelką wątpliwość, że światło pokonuje przestrzeń w postaci fali. -- Amber znacząco zawiesiła głos. -- Później jednak, w roku 1906, Einstein odkrył, że światło jest nie tylko falą, ale i zbiorem subatomowych cząstek kwantowych, dziś znamy je jako fotony. Podany przez niego opis stał się punktem odniesienia dla późniejszych sposobów przedstawiania dziwnego subatomowego świata, w którym wszystko od atomu w dół istnieć może zarówno jako abstrakcyjna fala, jak i konkretna cząstka. Nawet jednak ten dualizm nie stanowi właściwej tajemnicy świata kwantowego. -- Wskazała na działko laserowe, które znów zaczęło wysyłać impulsy światła. -- Instalacja znajdująca się za państwa plecami to współczesna wersja eksperymentu z dwiema szczelinami. W tym przypadku źródło emituje serię pojedynczych fotonów. Zamiast jednak przejść przez jedną z dwu szczelin i utworzyć krąg światła, każdy z fotonów jakimś cudem przenika przez oba otwory naraz, a następnie ulega interferencji z samym sobą. Na ekranie detektora stopniowo tworzy się obraz interferencyjny, jakby foton wiedział, co ma robić, i był nauczony zachowywać

się jak fala. Kiedy jednak bezpośrednio za szczelinami umieścimy detektory cząstek, przekonamy się, że każdy z fotonów zachowuje się jak pojedyncza cząsteczka. Niczym rzucony kamień podąża określonym torem przez jedną szczelinę i trafia tylko w jeden detektor cząstek. Te eksperymenty wskazują, że fotony posiadają świadomość. Zachowują się różnie w zależności od techniki obserwacji. Co jednak jest jeszcze dziwniejsze, zdają się też być telepatami i jasnowidzami. Przed przejściem przez szczeliny wiedzą, czy zachować się jak cząstka, czy jak fala. Każdy z nich jakby zna założenia eksperymentu i potrafi na tej podstawie przewidzieć, jaki stan jest od niego oczekiwany. -- Zawiesiła głos. -- Tyle o tajemnicy. Co z panowaniem nad światłem? My w Optriksie nie kryjemy dumy z faktu, że praktycznie nikt nie zna się na fizyce kwantowej lepiej od nas. Wykorzystując opisany przez nią dualizm, udało nam się okiełznać moc światła, które, jak wszyscy wiemy, idealnie nadaje się do prowadzenia obliczeń czy utrzymywania łączności. Jego przepustowość jest kolosalna: pojedyncza wiązka światła laserowego może w jedną sekundę przesłać zawartość wszystkich bibliotek na świecie. Światło można także rozdzielić na fale o tylu różnych długościach, ile jest kolorów tęczy, dzięki czemu doskonale nadaje się ono do zastosowania w przetwarzaniu równoległym. No i, rzecz oczywista, jest szybkie; pod tym względem nic mu nie dorównuje. Minęło osiem lat od chwili, kiedy Optrix wprowadził na rynek pierwszy komputer optyczny, zmieniając świat. Proszę wrócić pamięcią do początków lat tego tysiąclecia. Krzem stawał się przeżytkiem, dochodziliśmy do fizycznych granic mocy obliczeniowej. Nawet Intel musiał przyznać, że słynne prawo Moore'a, według którego szybkość pracy procesorów miała podwajać się co półtora roku, było niemożliwe do utrzymania. Dlatego z chwilą powstania pierwszego komputera optycznego, Lucyfera Jeden, złamane zostały wszelkie reguły. Procesory bazujące na krzemie stały się zbędne, podobnie jak pamięć RAM i twarde dyski, ponieważ Lucyfer, wykorzystując suba-tomowe fotony światła, mógł wykonywać wszystkie niezbędne funkcje: przetwarzać, zapamiętywać i przechowywać dane. Kwarцова płyta główna zbudowana z obwodów optycznych, połączona z kulą zawierającą ogniwa procesora powstałe z przechwyconych fotonów światła, utworzyła komputer, który szybkością pracy dorównuje temu, co we wszechświecie najszybsze. Światłu. Za sprawą Optrixu prawo Moore'a z dnia na dzień stało się anachronizmem.

Amber przerwała i przeszła na drugą stronę mównicy. Ze swojego punktu obserwacyjnego Soames nie widział jej wyraźnie, ale słyszał w głośnikach

jej głos; kiedy w hali zapadła cisza, uznał, że zdołała skupić na sobie uwagę wszystkich. To właśnie charyzma i umysł Amber sprawiły, że się nią zainteresował. Jej niezwykła uroda nie miała większego znaczenia. Jednak jej zdolności zupełnie przestaną się liczyć, jeśli jego podejrzenia co do niej potwierdzą się tego wieczoru.

Spojrzał na Waltera Trippa, który włączył komputer optyczny i wprowadził kod zabezpieczonej bazy danych Data Security Provider, uzyskując dostęp do transmisji eksperymentu prowadzonego siedem tysięcy kilometrów od Londynu. Na ekranie fotonowym, pozwalającym oglądać obraz w trzech wymiarach, ukazała się kobieta z głową w szklanej kuli. Soames przeniósł wzrok na Amber Grant. Wkrótce wszystko stanie się jasne.

--Jako dyrektor generalny Optrix Industries -- usłyszał jej głos -- pragnę przypomnieć, jak wielki krok naprzód zrobiliśmy w ciągu tych ośmiu lat i z jak dużym impetem weszliśmy w

epokę światła. Często mam wrażenie, że choć nasze hasło brzmi: „Niech stanie się światłość”, zastąpić je winniśmy mottem: „Dać odpór ciemności”, bo tym się właśnie zajmujemy. Gdybyście państwo nie pamiętali, jak ogromnego technologicznego skoku dokonaliśmy, przypominam, że Lucyfer potrafi pracować dziesięć do potęgi trzydziestej ósmej razy szybciej niż stare komputery z procesorem Pentium IV. Innymi słowy, w niecałą sekundę może wykonać obliczenia, które starymu IBM ThinkPadowi zajęłyby czas równy wiekowi wszechświata. Model Lucyfera to już klasyka. Przezroczysty sześcian, który zawiera szklaną kulę z fotonami światła reagującymi z komórkami pamięci i procesora i spoczywa na płycie głównej z włókna światłowodowego, zobaczyć można w domach i biurach na całym świecie. Przeszło dziewięćdziesiąt procent komputerów, domowych i służbowych, stanowią komputery optyczne produkowane przez Opatrix bądź naszych koncesjonariuszy. Internet zaś jest całkowicie optyczny, sygnały radiowe i światłowody jednoczą świat z prędkością światła. Co więcej, wiele osób nazywa Internet Optinetem. -- W tej chwili ton głosu Amber zmienił się z triumfalnego w pełen pokory. -- Choć dla wielu jestem twarzą Opatriksu i przypisuje mi się współudział w wynalezieniu komputera optycznego, aż nazbyt dobrze zdaję sobie sprawę, że większość prawdziwie przełomowych odkryć, które pozwoliły zgłębić tajniki anomalii kwantowych Lucyfera, była dziełem mojego mentora i prezesa Opatrix Optoelectronics. To Bradley Soames jest geniuszem, któremu zawdzięczamy Lucyfera, i pragnę państwa z radością powiadomić, że, choć rzadko zgadza się na wystąpienia publiczne, dziś postanowił zrobić dla was wyjątek.

Nie zważając na szmer podekscytowanych głosów, Soames zerknął na komputer obok Trippa. Elektroda była już na skroni kobiety. Zostało niewiele czasu i zakładając, że jego podejrzenia miały solidne podstawy, Amber znajdzie się na oczach dziennikarzy i gości, kiedy to się stanie. Dzięki temu łatwiej ją będzie przekonać, by zrobiła to, co konieczne.

--A teraz porozmawiajmy o przyszłości -- powiedziała Amber i hałą wypełnił cichy, rytmiczny motyw, światła znów przygasły. Wielkie świetlne rzeźby pulsowały w takt muzyki. -- Od czasu powstania Lucyfera Optrix rozwinął wykorzystaną w nim technologię. Dzisiejsza premiera nie jest wyjątkiem. Soft-screen Lucyfer umożliwia zdecydowanie nowy sposób prezentacji danych. Państwo pozwolą, że zademonstruję.

Tempo słyszalnej w tle muzyki wzrosło i Soames zobaczył, jak Amber podchodzi do stolika w głębi podium i stuka palcem w konsolę dotykową przy półprzezroczystym, świecącym sześcianie. Za jej plecami pojawił się niebieski, prostokątny ekran z logo Lucyfera. Początkowo zaledwie kilkucentymetrowej wielkości powiększał się dotąd, aż osiągnął przeszło trzy metry wysokości i cztery szerokości. Podobnie jak rzeźby wyglądał, jakby był jednolity i matowy, gdy tak naprawdę tworzyły go cząstki światła.

Obraz na ekranie zmienił się i miejsce logo Lucyfera zajęła postać Amber filmowana w czasie rzeczywistym. Wyglądało to tak, jakby wyrosła za nią jej potężna, dwupółmetrowa bliźniacza siostra naśladująca każdy jej ruch. Rozdzielczość była wprost niewiarygodna. Oliwkowa cera i gęste czarne włosy Amber lśniły na ekranie, blask bił z jej zielonych oczu. W uśmiechu odsłoniła równe białe zęby, i jej wielki sobowtór przeszedł po scenie w skrzącym się kostiumie od Chanel.

--Technologia soft-screen dosłownie daje odpór ciemności i może być stosowana w dowolnej skali, w granicach rozsądku -- powiedziała. -- Za pewniającą równie dobrą widoczność w świetle bezpośrednim jak konwencjonalne monitory ciekłokrystaliczne i elektroluminescencyjne jest kompatybilna ze wszystkimi starszymi modelami Lucyfera. Ekran może być powiększany tak, jak zrobiłam to ja, do celów prezentacji, bądź mini malizowany, do użycia w laptopach czy komputerach osobistych. -- Obraz zmniejszył się do rozmiarów znaczka pocztowego, po czym znów zaprezentował się w całej okazałości. -- No i, rzecz jasna, jest przenośny -- do kończyła Amber i jej ogromna świetlista postać uśmiechnęła się do publiczności. Roześmiała się. -- Można by powiedzieć, że to nasz najbardziej świetły wynalazek.

Publiczność śmiała się razem z nią i biła brawo, niektórzy nawet na stojąco. Soames dał się ponieść fali entuzjazmu, ale zaraz usłyszał, jak Tripp odchrząknął i powiedział:

--Już prawie czas.

Nie tracąc Amber z oczu, Soames zerknął na mały monitor obok Trippa. Pod zamkniętą osłonę na oczy wpłynęły zielony cez i flawion. Kobieta w białym kombinezonie i okularach ochronnych trzymała panel sterowania. Na ekranie pojawiło się zbliżenie twarzy schowanej wewnątrz szklanej kuli.

I wtedy to się stało.

Z elektrody na skroni strzeliła iskra. Zaraz po niej druga, jeszcze jaśniejsza -- która, jak się zdawało, wyszła z oczu -- rozświetliła wypełnioną gazem kulę jak mocna żarówka i trafiła w ciemny szklany prostokąt, tworząc obraz interferencyjny podobny do tego z instalacji w hali turbin. Iskra zniknęła w pustce, widoczna jeszcze przez moment w zewnętrznej warstwie włókna optycznego, gdzie rozbłysła jak aureola.

Sam w sobie eksperyment nie był ciekawy: Soames widział setki identycznych w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy i niezbyt interesował go wynik dzisiejszego. Badana, matka Giovanna Bellini, umarła i wyglądało na to, że test zakończył się fiaskiem. Istotniejszy był jego możliwy związek z tym, co działo się na dole, w hali turbin, gdzie widoczna na wielkim ekranie Amber Grant trzymała się za głowę i słała na nogach.

Dokładnie w tej chwili, kiedy w kuli na głowie matki Giovanny błysnęła iskra, Amber zachwiała się z bólu i podniosła dłoń do lewej skroni. Teraz osunęła się już na kolana i niektórzy widzowie zerwali się z miejsc, by jej pomóc.

Nie odrywając od niej oczu, Soames sięgnął po komórkę i wybrał numer w Cambridge. Ktoś odebrał po trzecim sygnale. Soames nie tracił ani chwili.

--Proszę połączyć mnie z kierowniczką.

--Doktor Knight ma zebranie...

--Proszę jej powiedzieć, że dzwoni Bradley Soames. Już. Podeszła do telefonu po kilku sekundach.

--Virginio -- powiedział -- to pilne. Ten naukowiec z twojej kliniki, które muprzydzieliłem fundusze...

--Miles Fleming?

--Tak, musi zbadać Amber Grant, natychmiast.

--Ale to może być nie...

--Nie czas na dyskusje. Ona pilnie potrzebuje pomocy. Podwoję fundusze na Flemingowego NeuroTranslatora, o których rozmawialiśmy. Amber będzie u was za dwie godziny.

Trzy minuty później, wraz z Trippem i pracownikami Optriaksu, Soames był już w hali i stał nad Amber skuloną w pozycji embrionalnej.

--Proszę, by wszyscy przeszli do holu -- powiedział przez mikrofon do publiczności. -- Po państwa powrocie będę osobiście kontynuował prezentację.

Kiedy upewnił się, że pracownicy Optriaksu i galerii wyprowadzają widzów, nachylił się nad zeszywniałą Amber. Uniósł jej głowę, wcisnął dwa środki przeciwbólowe do ust i podał wodę.

--Amber, to ja. Umówiłem cię z kimś, kto znajdzie przyczynę tych migren. Nie możesz ich dłużej bagatelizować.

Czekał, aż coś odpowie, ona jednak milczała.

Nie mógł wytrzymać. Musiał spytać. Musiał wiedzieć.

--Boli cię w tym samym miejscu co poprzednio?

--Tak -- szepnęła i jej pobladłą twarz wykrzywił ból.

--Gdzie dokładnie? -- spytał. -- Pokaż.

Uniosła drżącą rękę. Nie dotknęła jednak głowy -- jej palec zawisł w powietrzu, wskazując punkt oddalony kilka centymetrów od jej lewej skroni.

### 3

Klinika Badawcza Barley Hall, Cambridge, Anglia

chwilach takich jak ta Miles Fleming odzyskiwał wiarę, że wszystko jest możliwe, poddana ciężkiej próbie w ciągu ostatnich jedenastu miesięcy. Odwrócił się do siedzącego obok młodego człowieka.

--Ręka w porządku, Paul?

Paul poprawił niebieską Czapkę Mądrości na głowie i wbił wzrok w anatomicznie wiernie odwzorowaną ludzką postać na górnej połowie podzielnego ekranu komputera.

--Tak, doktorze. Nic nie boli.

--Nawet nie kłuje?

Paul wyszczerzył zęby w uśmiechu.

--Nic a nic.

--No dobra, porusz nią raz jeszcze. Spróbuj podnieść ją nad głowę.

Kiedy postać na monitorze uniosła prawą rękę, Fleming zerknął na poziome linie wypiętrzające się gwałtownie w dolnej części ekranu.

--Doskonale, Paul. Mocne fale mózgowo. Alfy masz już pod kontrolą.

Opuść rękę. Świetnie. -- Odwrócił się do pacjenta, który ze zmarszczonym w skupieniu czołem usiłował za pomocą myśli sterować ręką widoczną na ekranie. Dwudziestosześcioletek miał na sobie bluzę Nike i wytarte dżinsy.

Prawy rękaw bluzy zwisał bezwładnie.

Przed czterema laty Paul stracił rękę w wypadku w fabryce i zanim trafił do Barley Hall, skarżył się na silny ból w amputowanej kończynie. Fleming wiedział z doświadczenia, że ból fantomowy jest częstym zjawiskiem po amputacji. Jego źródłem był mózg, który w swojej sieci neuronowej przechowywał wirtualny, trójwymiarowy plan organizmu i często zdarzało się, że przesyłał sygnały do kończyny długo jeszcze po tym, jak została odjęta. W przypadku Paula NeuroTranslator namierzył fale mózgowo przenoszące sygnały o bólu amputowanej ręki, co pozwoliło Flemingowi je stłumić. Kuracja przebiegała tak pomyślnie, że przed miesiącem postanowił poszerzyć ją o wzmocnienie sygnałów kontrolujących.

--No dobrze, na ekranie wygląda to nieźle. -- Fleming odwrócił się do lateksowego manekina w kącie. -- A z Brianem sobie poradzisz?

Paul znów wyszczerzył zęby w uśmiechu. -- Jasne.

--Takiś pewny, co? No to zobaczymy, jak ci pójdzie z jajkiem.

--Z czym?

Fleming wstał i podszedł do zastępczego ciała. Brian nie miał płci, ale poza tym wszystkie sztuczne mięśnie i stawy pod jego lateksową skórą były wiernymi replikami tych w ludzkim organizmie. Fleming wyjął z kieszeni zmiętego kitla pudełko, otworzył je i wyjął jajko zawinięte w watę. Przysunął się do stolika obok manekina, na jednym końcu wypolerowanego drewnianego blatu położył jajko, a na drugim -- pudełko, tak by Brian miał jedno i drugie w zasięgu prawej ręki.

Przeszedł na drugi koniec wysokiego pokoju w stylu wiktoriańskim i stanął przy oknie oddzielającym Laboratorium Myśli od sali obserwacyjnej. Nachylił się nad terminalem i wprowadził kilka poprawek z klawiatury obok półprzezroczystego sześcianu.

' -- No dobra, jesteś połączony z Brianem. Nie zważaj na resztę jego ciała. Skup się na prawej ręce. Podnieś jajko i włóż je z powrotem do pudełka. i- Stąd? -- zapytał Paul oddalony o trzy metry od jajka.

--Myśl tylko o ruchach brakującej ręki. Tak, jak to robiłeś z postacią na ekranie.

Na twarzy Paula pojawił się grymas, kiedy się koncentrował.

--Nie wysilaj się aż tak. Wyobraź sobie, że ręka Briana jest twoją ręką.

Prawa ręka manekina zgięła się w łokciu i dłoń wystrzeliła do przodu, omal nie strącając jajka.

--Ostrożnie. Nie spiesz się.

Dłoń powoli rozwarła się, przysunęła do jajka i chwyciła je. Paul uśmiechnął się do Fleminga.

--Nieźle, całkiem nieźle -- pochwalił lekarz. -- Ale to akurat było najłatwiejsze. Teraz musisz podnieść jajko i włożyć je do pudełka. Zwracaj uwagę na czujniki dotyku w czubkach palców.

Dłoń manekina uniosła się i przesunęła w stronę pudełka. Nagle zacisnęła się i zmiażdżyła skorupkę. Białko i żółtko wyciekły na wypolerowane drewno.

Fleming roześmiał się i klepnął Paula w ramię.

--Trudniej niż na monitorze, co? Ale i tak nieźle jak na pierwszy raz.

Ktoś zapukał i do pokoju zajrzała siostra Frankie Pinner, atrakcyjna, ciemnowłosa trzydziestolatka o szerokim uśmiechu, przełożona pielęgniarek z zespołu Fleminga złożonego z lekarzy, naukowców i pielęgniarek uczestniczących w pracach prowadzonych na oddziale badawczym we wschodnim skrzydle Barley Hall.

--Doktorze Fleming, już czwarta. Chciał pan zrobić obchód oddziału.

Fleming zerknął na zegarek.

--Dzięki, Frankie. Mogłabyś tu zostać i pomóc Paulowi w reszcie ćwiczeń? -- Odwrócił się do pacjenta. -- Ćwicz dalej -- powiedział. -- Jak poradzisz sobie z Brianem, będziesz mógł zacząć próby z własną ręką.

Wyszedł z Laboratorium Myśli, skręcił w prawo na korytarz biegnący wschodnim skrzydłem i otworzył pierwsze wahadłowe drzwi po lewej stronie.

Oddział badawczy Barley Hall zajmował wielką wyłożoną dębowymi panelami salę z wysokimi oknami lancetowymi wychodzącymi na malowniczy staw i starannie przystrzyżony trawnik na tyłach kliniki. Była to zaadaptowana sala gimnastyczna z czasów, kiedy w tej wiktoriańskiej posiadłości mieściła się szkoła z internatem dla chłopców. Oddział składał



się z sześciu przestronnych boksów otaczających otwartą środkową część, w której stały krzesła i telewizor. Boksy przeznaczone były dla pacjentów uczestniczących w próbach klinicznych. Większość zostawała na kilka dni, by następnie wrócić do domu bądź jednego z większych, specjalistycznych szpitali, jak ten dla chorych z urazami kręgosłupa w Stoke Mandeville w Buckinghamshire.

Przez uchylone drzwi pierwszego zajętego boksu widać było śpiącą dziewczynę. Przy łóżku stała pielęgniarka.

--Jak się czuje? -- spytał Fleming.

Rok wcześniej, dwa miesiące po jej szesnastych urodzinach, chłopak zabrał ją na przejażdżkę motocyklem. On wyszedł z wypadku posiniaczony, a ona ze złamanym u podstawy kręgosłupem, sparaliżowana od pasa w dół. Poprzedniego dnia zespół Fleminga wprowadził elektryczne implanty do jej nóg i dolnej części kręgosłupa. Liczyli na to, że z pomocą NeuroTrans-latora jej mózg będzie mógł obejść uszkodzony rdzeń kręgowy i przejąć bezpośrednią kontrolę nad nogami.

Pielęgniarka podniosła głowę.

--Dobrze, doktorze Fleming. Za kilka dni powinna być gotowa do pierwszej wizyty w Laboratorium Myśli.

Sąsiedni boks zajmował Paul, drzwi dwu następnych były zamknięte. Fleming uchylił je, by rzucić okiem na podopiecznych. Obaj spali. Sprawdził wskazania monitorów, wyszedł, nie budząc chorych, i skierował się do piątego boksu. Tu opuściła go zawodowa bezstronność.

Miał zaledwie trzydzieści sześć lat, ale uodpornił się na widok cierpienia, bo tak często się z nim stykał. Wiedział lepiej niż inni, że wygodne życie może zostać zniszczone w mgnieniu oka. Praca nauczyła go jednego: cierpienie jest dziełem przypadku i wiara, że jacyś bogowie mogą człowieka przed nim uchronić, nie ma sensu.

A jednak, przy całym jego fatalizmie, ciężko mu było pogodzić się z tym, co przed jedenastoma miesiącami spotkało pacjenta z piątego boksu. Utwierdziło go to tylko w przekonaniu, że nic nie trwa wiecznie. Jego rodzina i znajomi, zwłaszcza były dziewczyny, często zarzucali mu, że ciągle coś zmienia po to tylko, żeby zmieniać, ale nie była to prawda.

Raz się zakochał, na studiach w Cambridge, i gotów był poświęcić tej jednej jedynej całej życie. Cóż, kiedy wyszła za starszego o dwadzieścia lat wykładowcę. Serce Fleminga pękło, ale przeżył. Od tamtej pory spotykał się z wieloma kobietami, lecz żadna nie rozpałała w nim na nowo prawdziwej namiętności. Kilka odeszło, bo nie chciał się żenić. Kiedy zwią-

zek stawał się zbyt poważny, wycofywał się. Zmiana to przygoda. Zmiana -- nawet na gorsze -- dawała nowe możliwości, a dążenie do osiągnięcia tego, co możliwe, bez względu na prawdopodobieństwo sukcesu, było jego symbolicznym antidotum na cierpienie.

Większość pacjentów na tym oddziale, a także inni, których widział przez ostatnich kilka lat, usłyszeli od lekarzy, że ich stan jest beznadziejny, że nie ma nawet cienia szansy na wyleczenie czy choćby poprawę. A to Fleminga wkurzało. Zwłaszcza w przypadku chorego z piątego boks.

--Miles!

W drzwiach oddziału stała Virginia Knight. Amerykańska kierowniczka Barley Hall była po pięćdziesiątce, ale wyglądała młodziej. Wysoka i szczupła, prezentowała się elegancko w klasycznym granatowym kostiumie i krótko obciętych, nastroszonych jasnych włosach, które łagodziły ostre rysy pociągłej, inteligentnej twarzy. Zdjęła okulary i się uśmiechnęła.

--Mogę cię prosić na chwilę? To dość pilne.

Fleming zerknął na piąty boks. Nie było pośpiechu. Ten pacjent nigdzie się nie wybierał.

## 4

### Gabinet kierownika

Gabinet w środkowej części wiktoriańskiej posiadłości był tak naprawdę wielką salą z misternymi karniszami, szerokimi listwami przypodłogowymi i okazałym oknem wykuszowym z widokiem na podjazd i starannie przystrzyżone trawniki.

Miles Fleming skrzyżował ręce na piersi i odchylił się na oparcie dużej kanapy, na której cierpiąca na bezsenność kierowniczka często odpoczywała w nocy.

--Virginio, ty chyba żartujesz! Od kiedy to migrena jest poważną sprawą?

Virginia Knight wstała od biurka i podeszła do włoskiego ekspresu do kawy. Zrobiła dwie espresso i jedną podała Flemingowi.

--To ważne, Miles -- powiedziała. -- Uwierz mi.

Fleming pokręcił głową.

--Ale Laboratorium Myśli i NeuroTranslator są mi potrzebne dziś wieczorem. Jest tam teraz Paul, trzeba też przygotować Roba do jutrzejszej próby komunikacji. I bez tego mam przeladowany grafik. Po udanych próbach z Jakim o NeuroTranslatorze zrobiło się głośno. Mamy już kilometrową kolejkę pacjentów, nie mogę przyjąć kogoś spoza niej, to zahamowałoby prace nad programem. Tym bardziej że chodzi o ból głowy, na litość boską. Virginia Knight westchnęła.

--Miles, zapominasz, że Jake'a i Roba przyjąłeś poza kolejnością.

--To co innego. Nie można porównywać tych przypadków.

--To było co innego wyłącznie z twojego punktu widzenia i dlatego nie zmieniłam decyzji mojego poprzednika, który przymknął oko na dokonane przez ciebie przetasowania... ale według regulaminu przyjętego przez zarząd Barley Hall nagiąłeś przepisy. Chcę tylko powiedzieć, że jako kierownik Barley Hall mam obowiązek dbać o dobro kliniki i dlatego musisz znaleźć czas dla tej pacjentki. Jeszcze dziś.

Miles Fleming napił się kawy. Nie miał nic przeciwko Virginii Knight, lecz to nie przez wzgląd na nią przyjechał do Barley Hall przed ośmioma laty, po ukończeniu studiów medycznych na Cambridge i obronie doktoratu z neurologii na Harvardzie. W odróżnieniu od niej -- byłej lekarki, która wybrała pracę za biurkiem -jej poprzednik był rasowym badaczem, prawdziwym naukowcem. Wspaniały i niestety nieżyjący już profesor Henry Trier był jednym z wykładowców Fleminga na Cambridge. Kiedy objął kierownictwo Fundacji Neurologicznej -- rady naukowej ustanowionej przez przedstawicieli prywatnego biznesu, uniwersytet w Cambridge i szpital dla chorych z urazami kręgosłupa w Stoke Mandeville -- Fleming skwapliwie skorzystał z okazji, by do niego dołączyć.

Przed ośmioma miesiącami Trier dostał zawału serca i zmarł; Knight, która wcześniej zajmowała już wiele innych kierowniczych i doradczych stanowisk, została jego następczynią. Fleming rozumiał, dlaczego wybrano właśnie ją: świetnie znała się na zarządzaniu, promocji i zbiorce funduszy, czasem jednak obawiał się, że finanse były dla niej ważniejsze od pacjentów i badań.

--Zostawmy kwestię, kto wchodzi bez kolejki, a kto nie. -- Sięgnęła po czasopismo leżące na biurku. -- Pozwól, że w zamian za to przedstawię ci korzyści płynące z tego, że zbadasz dziś doktor Amber Grant. -- Podala mu pismo. -- Po pierwsze, wiesz, kim ona jest?

--Jasne, słyszałem o niej.

I to właśnie go niepokoiło. Amber Grant była bogata i sławna, co w oczach Knight czyniło ją szczególnie pożądaną pacjentką. Czasopismem był „Time” i na okładce widniało wyretuszowane zdjęcie Bradleya Soame-sa -- to samo, co we wszystkich publikacjach -- a obok niego uderzająco piękna twarz jego współpracownicy Amber Grant. Podpis głosił: *Czarodzieje światła w blasku reflektorów*.

Fleming przewertował pismo. Na szóstej stronie znalazł wywiad z Amber Grant, którego publikacja bez wątpienia miała zbiegać się z datą szeroko rozreklamowanej premiery nowego soft-screenu Lucyfer. Skonstruowany przez niego NeuroTranslator w swej pracy wykorzystywał komputer optyczny Lucyfer i opierał się na technologii autorstwa Grant i Soamesa. Mimo irytacji Fleming był zaintrygowany, zwłaszcza kiedy natrafił na artykuł przedstawiający sylwetkę tego enigmatycznego odludka, Bradleya Soamesa, przez wielu uważanego za geniusza kontrolującego Optrix.

--Proszę bardzo -- powiedziała Knight. Przeczytaj to.

Fleming przejrzał artykuł. Przytoczono w nim głównie odgrzewane fakty składające się na legendę Soamesa, ale niektóre fragmenty były fascynujące -- zwłaszcza ten, który opowiadał o jego młodości.

Bradley Soames cierpi na xeroderma pigmentosum, przypadłość potocznie znaną jako XP; syndrom wywołany przez zmutowany gen, który sprawia, że nawet najkrótsza ekspozycja na choćby najslabsze światło słoneczne powoduje raka skóry. Potomek rodu Soamesów, potentatów naftowych, rzekomo przyszedł na świat w dniu pełnego zaćmienia Słońca. Wielu psychologów zastanawia się, jak potoczyłyby się jego losy, gdyby nie ciążyła na nim klątwa.

Z pewnością nie byłby aż takim ekscentrykiem, ale jednocześnie można wątpić, czy osiągnąłby tak fenomenalne sukcesy. Na nadzwyczajną ironię losu zakrawa fakt, że to właśnie ten genialny mfody człowiek, przez całe życie zdany na łaskę i niełaskę światła, ujarzmił jego moc i spożytkował jego szybkość.

Od wczesnego dzieciństwa zamknięty w czterech ścianach, chroniących go przed promieniowaniem ultrafioletowym, Soames fascynował się fotonami światła, subatomowymi kwantowymi cząstkami promieniowania elektromagnetycznego, tego samego promieniowania, z którego powodu był więźniem we własnym domu. Koncentrując swój wybitny intelekt na rozważaniach o naturze światła, w wieku trzynastu lat nabrał przekonania, że fotony można wykorzystać do przetwarzania, przechowywania i transmisji danych.

Gdy skończył szesnaście lat, przerósł nawet najbardziej uzdolnionych korepetytorów, których zatrudniali jego rodzice, i zaczął uczęszczać na Cal Tech w Pasadenie, jedną z czołowych uczelni technicznych na świecie. Ukończył ją z wyróżnieniem dwa dni przed osiemnastymi urodzinami -- był wówczas młodszy niż większość kandydatów *na* studia. Nie studiował jednak dla tytułów naukowych; szukał współnika obdarzonego wystarczająco rzutkim intelektem, by zrozumieć jego pomysły, i który miałby niezbędny zapał, ogładę i charakter, by dokonać tego, co dla niego pozostawało nieosiągalne -- wyjść na światło dnia i pomóc urzeczywistnić jego marzenia. Osobą tą okazała się doktorantka na wydziale fizyki cząstek elementarnych Amber Grant.

Wiele osób, w tym także Amber Grant, już wcześniej wpadło na pomysł skonstruowania komputera optycznego, projektowane przez nich urządzenia opierały się jednak wyłącznie na światłowodach, dlatego też, nawet gdyby działały, wymagałyby użycia ogromnej liczby kabli. Soames miał inne podejście: zaproponował wykorzystanie dźwięku do wytworzenia silnego pola elektrycznego, w którym pary elektron-dziura pozostawałyby rozdzielone dość długo, by pochwyć w nie światło i zawarte w nim dane, a następnie wysłać je dalej.

Wizjonerstwo Soamesa i oddanie Amber Grant, wraz z niezliczonymi drobnymi modyfikacjami, z których każda z osobna warta byłaby stopnia doktorskiego, doprowadziły przed ośmiu laty do wynalezienia pierwszego praktycznego komputera optycznego. Dzięki temu Opatrix Industries, firma z siedzibą w San Francisco, stała się jednym z najszybciej rozwijających się przedsiębiorstw w dziejach.

Oprócz tego, że pełni ważną funkcję w Opatriksie, Bradley Soames spędza coraz więcej czasu w swoim prywatnym ośrodku badawczym na Alasce -- Fundacji VenTec...

--Chodzi o to -- powiedziała Knight, kiedy Fleming podniósł głowę

--że Soames chce przekazać wielomilionową dotację na twoje badania.

--Uśmiechnęła się. -- Zwróciłeś uwagę, że często powołuję się na efekt Christophera Reeve'a? Nie zaprzeczysz, że wykorzystanie komórek macierzystych do regeneracji uszkodzonego rdzenia kręgowego to święty Graal neurologii, dzięki czemu Bobby Chan i jego spece od inżynierii genetycznej z zachodniego skrzydła nie mają kłopotów finansowych.

Fleming pozwolił sobie na kwaśny uśmiech.

--Podczas gdy moje prace we wschodnim skrzydle ciągle uchodzą za mechaniczną prowizorkę i rozwiązanie tymczasowe, choć realistycznie

rzecz biorąc, miną dziesiątki lat, zanim zespół Bobby'ego odkryje coś godnego uwagi.

Knigh parsknęła śmiechem.

--Cóż, ten pogląd szybko się zmienia. Głośno jest o tym, co zrobiłeś dla Jake'a. Musimy to wykorzystać. Bradley Soames jest zainteresowany

NeuroTranslatorem i chce włożyć w prace nad nim duże pieniądze.

Fleming wiedział o tym: pół roku wcześniej Soames przez pośrednika zaproponował mu przejście do VenTec.

--A w zamian za te duże pieniądze mam zbadać NeuroTranslatorem jego bezcenną współpracownicę? Co jej jest oprócz tego, że dostała ataku migreny?

Knigh postukała palcem w teczkę na biurku.

--To kolejny powód, dla którego powinieneś się z nią zobaczyć. Jest marzeniem każdego badacza. Jej dokumentacja medyczna jest fascynująca i jako neurolog mógłbyś wiele się od niej dowiedzieć. Nie kręć nosem, Miles, trafił ci się prawdziwy skarb. Twoje prace opóźnią się o dzień, może dwa, to drobiazg w porównaniu z wszystkimi korzyściami, jakich możemy się spodziewać.

Mimo swoich zastrzeżeń Fleming był zadowolony.

--Korzyściami?

--Ta kobieta jest wyjątkowa -- odparła Knigh. -- Prześlę ci jej pełną dokumentację medyczną w mailu, ale te notatki z grubsza pozwolą ci się zorientować, o czym mówię.

Fleming z ociąganiem wziął teczkę. Virginia Knight była wytrawną manipulatką, nie ufał jej. Jeszcze raz zerknął na piękną kobietę na okładce „Time'a”.

--Nadal nie rozumiem, dlaczego mam dać jej pierwszeństwo przed innymi pacjentami. Chyba niczego jej nie amputowano?

Virginia Knight odchyliła się na oparcie krzesła i szeroki uśmiech przeciął jej twarz.

--Nie całkiem -- powiedziała, kiedy Fleming otworzył teczkę i wstrzymał oddech na widok leżącego na wierzchu rentgena. -- Nie całkiem.

**Barley Hall, 17.00**

**iedy karetka przywiozła Amber Grant do Barley Hall, było już ciemno. Paraliżująca migrena nieco zelżała, ale Amber, jak zwykle, czuła się osłabiona. Bóle pojawiały się bez ostrzeżenia, z tym już zdążyła się pogodzić. Ten ostatni atak jednak ją rozzłościł. Zasłabła w czasie ważnej prezentacji i nie mogła tego sobie darować. Praca odgrywała praktycznie najważniejszą rolę w jej życiu, a ona zawiodła siebie i wszystkich -- i to na oczach cholernych dziennikarzy. W dodatku będzie musiała opuścić dzisiejszą ważną kolację i spotkania zaplanowane na jutrzejszy ranek, przed wylotem do San Francisco. Mimo bólu chciała wrócić do hali turbin i kontynuować prezentację, ale Bradley Soames uparł się, by przyjechała tutaj. Bez względu na to, co powiedzą specjaliści, była zdecydowana złapać jutro samolot, by zobaczyć się z chorą matką, Gillian.**

**Kiedy przejechali przez imponującą bramę Barley Hall, Amber spojrzała na zieleniące się trawniki. Nawet mimo zapadającego zmroku i nadciągającej zimy wszystko wokół wyglądało piękniej niż w Kalifornii i trudno było nie dostrzec różnic między tą wiktoriańską posiadłością a bezpłciowymi amerykańskimi szpitalami i klinikami, w których przebywała w dzieciństwie.**

**Jeszcze dziewięć miesięcy temu tamte czasy były tylko złym wspomnieniem. Ostatnio jednak, nękana coraz cięższymi migrenami, odnowiła znajomość ze światem medycyny. W ciągu pół roku przeszła wszystkie możliwe badania, w tym tomografię pozytonową emisyjną i komputerową, a także obrazowanie metodą rezonansu magnetycznego, i nic. Kiedy Soames osobiście odprowadził ją z hali turbin do karetki, powątpiewała w sens wizyty u jeszcze jednego „specjalisty”. On jednak nalegał, by spotkała się z doktorem Milesem Flemingiem.**

**--Amber, bez przerwy pieklisz się, że moja skóra została tak zniszczona, zanim wykryto u mnie XP. Co dwa miesiące powstrzymujesz mnie przed zwolnieniem dermatolożki i suszysz mi głowę, żebym poszedł za jej radą i dał sobie wyciąć następnego cholernego czerniaka czy dwa, zanim któryś mnie zabije. I wiesz co? Jesteś prawdopodobnie jedyną osobą na świecie, której słucham. Dlatego teraz chcę, żebyś ty posłuchała mnie. Zbadaj się, jak należy. Ten Miles Fleming ma łeb. Jego NeuroTranslator to najlepsze**

urządzenie stworzone na bazie komputera optycznego, lepsze nawet niż sekwencery genów nowej generacji. -- Soames uważał większość ludzi za idiotów, a resztę za miernoty, więc tak pozytywna ocena tego trzydziesto-sześćoletniego Anglika w jego ustach była nie lada komplementem.

Sanitariusze podsunęli jej wózek, ale weszła do stylowej recepcji o własnych siłach. Nie znosiła, żeby traktowano ją jak inwalidkę. Choć większą część życia spędziła w laboratoriach, szczyciła się dobrą formą, którą zawdzięczała temu, że co rano pływała w basenie Optriaksu. W budynku przywitała ją pielęgniarka z podkładką do pisania.

--Dobry wieczór, doktor Grant. Nazywam się Frankie Pinner. Może pani chodzić? Podać pani jakiś środek przeciwbólowy?

--Na razie nie trzeba, dzięki.

--Skoro tak, to może usiądzie pani w poczekalni, a ja pójdę po doktora Fleminga? Gdyby pani czegokolwiek potrzebowała, proszę dać znać w recepcji.

W kącie dużej sali stał szereg sof odwróconych oparciami do siebie. Amber usiadła i z kieszeni żakietu wyjęła przenośny komunikator. Urządzenie to, nie większe od telefonu komórkowego, rozkładało się na dwie części -- dotykowy panel sterowania i zestaw klawiszy numerycznych. Amber wcisnęła guzik na panelu i ze środkowego zawiasu wyrósł ekran. Kiedy już miała sprawdzić mail i pocztę głosową, usłyszała, jak ktoś za jej plecami wciąga powietrze ustami i mówi cicho:

--O rany.

Odwróciła się i zobaczyła chłopca; zaglądał jej przez ramię przechylony przez oparcie sofy. Miał nastroszone jasne włosy, szczerą, wyrazistą twarz i wielkie szare oczy, które wpatrywały się w nowoczesny soft-screen komunikatora. Obok niego, z nosem w jakimś czasopiśmie, siedziała kobieta, za stara, by być jego matką.

--To twoje? -- spytał.

Położył małą dłoń na ramieniu Amber i wgramolił się na oparcie, by lepiej przyjrzeć się komunikatorowi. Uśmiechnęła się do niego. -- Uhm.

--Takiego to jeszcze nie widziałem.

--Bo jest nowy...

--Gdzie go kupiłaś?

--Sama go zrobiłam. -- Po namyśle sprostowała: -- To znaczy, moja firma.



Chłopiec przyjrzał jej się uważnie i spytał z poważną miną:

--Jesteś geniuszką?

Znów się uśmiechnęła.

--Nie.

--A mój wujek jest -- stwierdził rzeczowo.

--O kurczę, to jestem pod wrażeniem. Jak ci na imię?

--Jake.

--Cześć, Jake, jestem Amber. Uśmiechnął się do niej szeroko.

--Co można tym robić?

--Dużo rzeczy. Dzwonić, wysyłać maile, liczyć, sprawdzać prognozę pogody, wyniki sportowe...

--A grać w gry można? -- No pewnie.

--A sprawdzać wyniki meczów?

--Jasne -- odpowiedziała, myśląc gorączkowo. Sport był dla niej czarną dziurą. W kraju kibicowała Forty Ninersom, ale tylko dlatego, że sponsorował ich Optrix. -- A ty czym jesteś fanem?

--Man United, oczywiście -- odparł, jakby tylko idiota mógł kibicować innej drużynie. -- Uwielbiam futbol.

--Założę się, że sam nieźle grasz.

--Teraz już nie, ale jest coraz lepiej.

Jego słowa zabrzmiały jakoś dziwnie.

--Doktor Grant. -- Amber podniosła głowę i zobaczyła pielęgniarkę; wróciła z podkładką do pisania. -- Proszę za mną zabiorę panią prosto do Laboratorium Myśli. Jeśli będzie pani chciała skorzystać z łazienki czy napić się wody, proszę dać znać. Formularze wypełnimy później.

--Muszę lecieć, Jake. -- Podniosła się, by pójść za pielęgniarką.

Zanim odeszła, odwróciła się i spojrzała na chłopca. Wtedy zrozumiała, dlaczego nie gra już nieźle w piłkę. Poczula ukłucie w sercu -- wiedziała, jak to jest być dzieckiem, które wygląda inaczej od innych. Nie okazując współczucia, pochyliła się i uściśnęła mu dłoń.

--Miło mi było cię poznać, Jake. Oby Man U się powodziło.

--Pa, pa, Amber -- powiedział z uśmiechem.

Pielęgniarka zaprowadziła ją do wschodniego skrzydła, gdzie na końcu długiego korytarza znajdowało się Laboratorium Myśli, i wpuściła ją do sąsiadującej z nim salki, w której stały biurko, komputer optyczny Lucyfer, dwa krzesła i rząd monitorów. Sądząc po tym, że przez szybę widać

było Laboratorium Myśli, musiał to być pokój obserwacyjny. Pielęgniarka nalala jej wody i wyszła.

Amber usiadła na miękkim krześle odwróconym od biurka i rozejrzała się po pomieszczeniu. Na jednej ze ścian wisiała tablica z korka. Poprzy-pinano do niej kartki z podziękowaniami, zdjęcia pacjentów i personelu. Jedno zwróciło jej uwagę: przedstawiało dwóch opalonych mężczyzn w pełnym ekwipunku do wspinaczki, którzy stali na ośnieżonym górskim szczycie na tle krystalicznie czystego błękitnego nieba. Podobni do siebie jak bracia, trzymali wzniesione ręce w geście triumfu.

Nagle zauważyła swoje odbicie w szybie. Była blada i wymizerowana. Bezwiednie odgarnęła włosy do tyłu, odsłaniając lewą stronę twarzy i cienką srebrną bliznę od skroni po linię włosów. Teraz widać było, że nie ma lewego ucha, co rzucało się w oczy, tym bardziej że w prawym nosiła piękny kolczyk z jadeitu i złota. Uparcie nie zgadzała się na operację plastyczną: usunięcie śladu po przebytej w dzieciństwie operacji byłoby według niej zdradą.

--Doktor Grant? Jestem Miles Fleming.

Kiedy wszedł, przyłapała się na tym, że wygląda spódnicę i poprawia włosy. Od razu rozpoznała w nim jednego z mężczyzn z fotografii. Nie wyglądał tak, jak go sobie wyobrażała. Nie licząc rozpiętego kitla, w niczym nie przypominał naukowca, przynajmniej żadnego z tych, których знаła. Nie spodziewała się kogoś o takiej posturze. Był wysoki, miał co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu, i poruszał się ze swobodnym wdziękiem -- dowodem doskonałej koordynacji ruchowej. Jego ciemne włosy były tak niesforne jak jego wymięte ubranie, a cera zarumieniała się od długiego przebywania na powietrzu. Kiedy wyciągnął rękę i uśmiechnął się, wokół jego szarych oczu pojawiły się małe kurze łapki. Jego duża dłoń była ciepła i mocna.

--Przepraszam, że kazałem pani czekać, ale mamy tu lekkie urwanie głowy.

--Żaden kłopot. Dziękuję, że zgodził się pan tak szybko mnie zobaczyć.

--Jak migrena? Ból minął?

--Jest do zniesienia.

--To dobrze. Może wyjaśnię w paru słowach, czym się tu zajmujemy, a potem omówimy pani problem?

--Proszę bardzo.

--Ogólnie rzecz biorąc, w Barley Hall prowadzone są prace w dwóch dziedzinach. W zachodnim skrzydle trwają czysto naukowe badania,

głównie nad stosowaniem komórek macierzystych do celów regeneracyjnych, rekonstrukcji rdzenia kręgowego i tak dalej. Tu, w skrzydle wschodnim, zajęтым przez mój zespół, prowadzimy prace bardziej praktyczne. Próbuje my wykorzystać sygnały wysyłane przez mózg, by pomóc osobom po amputacji i paraplegikom odzyskać kontrolę nad sparaliżowanymi kończynami lub sterować protezami. -- Fleming uśmiechnął się do niej. -- Staramy się też łagodzić ból.

Amber podobał się jego uśmiech, ale nie była jeszcze gotowa mu zaufać.

--Ach tak? Nawet ból części ciała, która nie istnieje?

--Tak się składa, że to jedna z naszych specjalności.

o przeczytaniu akt Amber Grant Miles Fleming stwierdził, że słyszał o co najmniej dwu podobnych przypadkach, jednym w Stanach Zjednoczonych, drugim we Francji, ale w żadnym z nich nie doszło do operacji. Przez lata badań nie spotkał jeszcze nikogo, kto przeszedłby taki zabieg i przeżył. A biorąc pod uwagę jej wspólne z Bradleyem Soamesem dokonania w Optriaksie, Amber Grant nie tylko przeżyła, ale i wyszła z tej ciężkiej próby bez najmniejszego uszczerbku dla jej genialnego umysłu.

Fleming podszedł do stojącego na biurku komputera optycznego Lucyfer. Był to półprzezroczysty sześcian, w którym znajdowała się pulsująca świetlna kula na cewce z włókna optycznego. Z tyłu stał plazmowy fotonowy monitor KREE8 przystosowany do pokazywania trójwymiarowych obrazów. Fleming odwrócił go do siebie, sięgnął po bezprzewodową konsolę sterowniczą i ściągnął dokumentację medyczną Amber Grant z Data Security Pro-videra, zabezpieczonej bazy danych Barley Hall. Informacje pojawiły się natychmiast po ich przywołaniu -- sływały z prędkością światła.

Spojrzał na zdjęcia rentgenowskie na ekranie, a potem na nią. Ślady po operacji były niewidoczne, jego uwagę jednak przykuły jej włosy i oczy. Włosy, które nosiła zaczesane na lewą część twarzy, były gęste jak zwierzęce futro, kruczoczarne i lśniące, a duże oczy, o kształcie kocich ślepi, miały niezwykle kolor: ciemnozielone tęczęwki usiane były złocistymi

## 34

plamkami. Uwagę przyciągały też mały zgrabny nos i oliwkowa cera. Z odsłoniętego prawego ucha zwisał piękny kolczyk z jadeitu i złota, pełne usta miały barwę jasnego koralu. Była jedną z najbardziej egzotycznych kobiet, jakie Fleming poznał.

--Mogę zobaczyć ślad po operacji?

--Proszę. -- Amber odgarnęła włosy z lewego policzka.

Fleming wstał i podszedł do niej. Kiedy nachylił się nad nią, poczuł zapach jej perfum: delikatny, ale upajający, przywodził na myśl rzadki tropikalny kwiat. Obejrzał równą srebrzystą bliznę, która zaczynała się na linii włosów, przecinała skroń i ginęła we włosach opadających na kark. Ślad po brakującym uchu był tak słabo widoczny, że wydawał się raczej przeoczeniem niż skazą.

Wrócił do monitora i jeszcze raz spojrział na obraz.

--Pomówmy o pani migrenach -- powiedział. -- Z dokumentacji wynika, że zaczęły się osiem, dziewięć miesięcy temu i że nigdy wcześniej ich pani nie miała. Nawet w dzieciństwie.

--Zgadza się.

--Występują mniej więcej dziesięć razy w miesiącu.

--Średnio.

--Jak długo trwa atak?

To zależy. Jeśli nie wezmę od razu środka przeciwbólowego, bywa że mija dopiero po godzinie. Potem zaczyna się najgorsze. Jestem tak wyczerpana, że przez wiele godzin nie mogę normalnie funkcjonować.

--Co pani bierze?

Tylenol Blue. Nie uśmierza bólu, ale go łagodzi.

Skinął głową.

**Może pani opisać ten ból?**

**Wzruszyła ramionami.**

**--To tak, jakby ktoś wbijał mi w mózg rozżarzoną do czerwoności igłę wstrzykiwał małe ładunki wybuchowe. Zaczynam widzieć gwiazdy, błyski i robi mi się niedobrze. Czasem, jak dziś, tracę przytomność.**

**Fleming się skrzywił.**

**--No to nieźle -- mruknął i spojrział na zdjęcie na monitorze. -- Za każdym razem czuje pani ból w tym samym miejscu?**

**--Uhm.**

**--Gdzie dokładnie? Mogłaby pani pokazać?**

**--Do tej pory jeszcze mnie trochę lupie -- wskazała lewą ręką bolące miejsce. -- O, dokładnie tu.**

Fleming skinął głową i jeszcze raz spojrzal na monitor. Wskazywała punkt oddalony o kilka centymetrów od lewej skroni.

--Dziwne, co? -- powiedziała ze speszoną miną. Wzięła szklankę wody. Wzruszył ramionami.

--Niezwykłe, owszem, ale nie niewytłumaczalne.

Zdjęcie na monitorze pochodzące z akt Amber Grant było rentgenem dwojga dzieci odwróconych twarzami w przeciwne strony. Ich czaszki były zrośnięte lewymi skroniami. Najbardziej niesamowite było jednak to, że oprócz czaszek połączone były także ich mózgi. Płaty skroniowe w dużym stopniu nakładały się na siebie. Mimo to z akt wynikało, że dziewczęta różniły się osobowością, miały odmienne cechy charakteru.

Amber Grant odstawiła szklankę na biurko i Fleming zauważył, jak ostrożne, przemyślane są jej ruchy. Siedząc, lekko przechylała głowę w lewo, jakby słuchała, co ktoś mówi jej za uchem.

Akta zawierały jej szczegółowy życiorys: Amber i jej bliźniacza siostra, Ariel, przyszły na świat przed trzydziestoma siedmioma laty. Ich matki, ubogiej brazylijskiej dziewczyny, nie stać było na utrzymanie normalnych bliźniąt, a co dopiero syjamskich. Podrzucone do obskurnego szpitala w Sao Paulo, dzięki interwencji pewnego jezuita, zostały adoptowane przez bezdzielne katolickie małżeństwo ze Stanów.

Przez osiem lat żyły szczęśliwie z przybranymi rodzicami w Kalifornii. Nazywano je tańczącymi siostrami, bo poruszały się i chodziły razem jak w rytmie walca. Ariel zawsze była tą silną, grała pierwsze skrzypce, Amber była spokojniejsza. Nagle zaczęła mieć kłopoty z nerkami. Krwiobieg siostr były połączone i dzięki temu przez jakiś czas nerki Ariel służyły obu organizmom. Wkrótce okazało się, że także jej serce wspomaga serce Amber i może nie wytrzymać dodatkowego obciążenia. Gdyby ich nie rozdzielono, a Amber nie została poddana kuracji, nie tylko umarłaby sama, ale i zabiłaby siostrę. Pojawił się jeszcze jeden problem: choć były dwiema różnymi osobami, miały wspólną istotną część tkanki mózgowej. Istniał cień szansy, że obie wyjdą z operacji bez uszkodzeń mózgu, ale nadzieje na to były niewielkie. Mimo to rodzice nie mieli innego wyjścia, jak tylko zgodzić się na zabieg. Dwa miesiące po nim serce i nerki Amber funkcjonowały już normalnie i uznana została za wyleczoną; Ariel jednak umarła na stole operacyjnym.

Fleming nie musiał zaglądać do dokumentów, by wiedzieć, że Amber zawsze będzie obwiniać się o śmierć siostry -- nie zostałyby rozdzielone, gdyby nie była dla niej tak wielkim obciążeniem. Pewnie dlatego nigdy

nie poddała się operacji plastycznej w celu rekonstrukcji ucha i dalszej redukcji blizn. Z dokumentacji wynikało, że kiedyś spytał ją o to psycholog. Amber Grant odparła wówczas: „Po co mi operacja plastyczna? Siostra była tym, co we mnie najlepsze”. Fleming spojrzal na nią i napotkał jej hardy przenikliwy wzrok.

--No i co pan na to? -- spytała.

Odwrócił monitor do niej, by mogła zobaczyć znajome zdjęcie rentgenowskie jej czaszki zrośniętej z czaszką siostry. Wskazał okolice płata skroniowego Ariel.

--Czuje pani ból w tym miejscu, dokładnie tam, gdzie mózg pani siostry łączył się ze wspólną wam obu częścią. Na pierwszy rzut oka sprawa jest prosta i jestem pewien, że inni

specjaliści, którzy panią badali, powiedzieli, w czym rzecz. Cierpi pani na klasyczny ból fantomowy. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Na naszym oddziale leży młody człowiek, Paul, który przez ostatnie cztery lata uskarżał się na ból odciętej ręki. Z pomocą NeuroTranslatora zdołaliśmy mu ulżyć, co nie zmienia faktu, że dla niego ból ten był jak najbardziej rzeczywisty. Zjawisko to występuje u wielu ludzi, którzy tracą w wypadku część ciała. Co ciekawe, ból ten często jest ściśle powiązany z urazem, w którego wyniku doszło do uszkodzenia kończyny, jakby mózg pamiętał ostatni wysłany przez nią sygnał alarmowy.

Amber skinęła głową.

--Ale ja nie straciłam kończyny.

--Nie, i dlatego pani przypadek jest tak niezwykle. Straciła pani człowieka. -- Zawiesił głos, jakby szukał właściwych słów, by oddać swoje myśli -- Amber, tym, co czyni cię kimś wyjątkowym, jest fakt, że nosisz w sobie fragment żywego mózgu nieżyjącej osoby.

Zmarszczyła brwi, nie mogąc oderwać oczu od wyświetlonego na monitorze zdjęcia bliźniaczej siostry.

--To wiem. Ale co to znaczy? -- Zbladła. -- Że niby czuję ból, który czuje

Ariel? Czy to możliwe, żeby jakoś nadal...

Miała tak przerażoną minę, że Fleming uspokajająco położył dłoń na jej ramieniu.

--Nie. Zapewniam cię, że ból jest twój własny. Tak, jak to jest w przypadku ręki Paula, twój mózg po prostu wysyła sygnał do tkanki, której już nie ma, a której braku z takiego czy innego powodu nie zauważył. Ariel już nie cierpi. Odeszła. -- Próbował obrócić to w żart. -- No, Amber, przecież jesteś naukowcem...

--Zajmuję się fizyką cząstek elementarnych, Miles, i badając świat kwantów, nauczyłam się, że niczego nie można być pewnym. -- Jej oczy zwęziły się w szparki i Fleming domyślił się, że miała już dość traktujących ją protekcyjnie „ekspertów”. -- Całe życie próbuję jakoś dojść do ładu z tym, co spotkało moją siostrę. Studiowałam filozofię, fizykę, a nawet teologię, i jak dotąd wiem tylko, że niewiele wiemy. -- Uśmiechnęła się zaciśniętymi ustami i odchyliła na oparcie krzesła. -- Chcę przez to powiedzieć, Miles, że nie zamierzam pozwolić, by ktokolwiek zapewniał mnie o czymkolwiek.

Fleming uniósł dłonie w geście kapitulacji. On też nie znał mechanizmów rządzących ludzkim życiem. Jednego był pewien: trwało tyle, ile trwało, i ani chwili dłużej. Nie było sensu zaprzętać sobie umysłu rozważaniami o życiu pozagrobowym, bo takowe nie istniało. I dobrze.

--Amber, nie jestem na tyle głupi, by wdawać się z tobą w dyskusję o osobliwościach fizyki kwantowej, ale na ludzkim mózgu akurat się znam. Wiem, że potrafi robić wiele dziwnych rzeczy i sprawić, że uwierzysz we wszystko, czy chodzi o ból w brakującej części ciała, czy o istnienie boskiej istoty. Poświęciłem badaniom nad tym całą karierę naukową i jestem przekonany, że wszystko, czego doświadczamy na tym świecie, można wyjaśnić elektrycznymi i chemicznymi procesami zachodzącymi w tym organie w kształcie orzecha, który nosimy w czaszce. Miłość, wiara, poczucie własnego ja, wszystko to wywodzi się z naszego realnie, pod kreślam, realnie istniejącego mózgu. Świadomość, umysł to nie jakaś tam abstrakcja, tylko efekt skoordynowanej pr inie

on, razem z nim także umysł. Ty wciąż tu jesteś, Amber, ale Ariel odeszła w nicość. Ty czujesz ból, bo twój mózg wciąż wysyła sygnały do twojego organizmu, ale twoja siostra już nie cierpi. Nie może, bo nie istnieje. To nie fizyka kwantowa. To fakt.

Amber uśmiechnęła się i odparła łagodniejszym tonem, bardziej przekornym niż napastliwym:

--Skoro już wspomniałeś o pośmiertnej nicości, muszę cię uprzedzić, że jestem katoliczką.

Fleming parsknął śmiechem.

--Niewielu już was zostało. Myślałem, że większość zdezerterowała do Kościoła Prawdy Duchowej.

Uśmiechnęła się szerzej.

--Nie jestem szczególnie pobożna, ale wiesz, jak to jest. Kiedy twój ojciec chrestny jest jezuitą, który uratował ci życie, a twoi przybrani rodzice katolikami, rodzi to w tobie pewne poczucie lojalności.

--Nie da się ukryć -- przytaknął Fleming. -- W każdym razie wiesz już, że jestem ateistą trzymającym się przebrzmiałych newtonowskich dogmatów, a ja wiem, że ty jesteś katoliczką z zamiłowaniem do kwantów. Nie wiemy jeszcze, co powoduje te twoje ataki migreny i jak im zaradzić. Musi nam to powiedzieć twój mózg. -- Wstał, podszedł do drzwi i zaprosił ją gestem do Laboratorium Myśli. -- To dobry moment, by zapoznać cię z Neuro-Translatorem.

## 7

o pokój badań -- powiedział Fleming -- ale wszyscy tu nazywają go Laboratorium Myśli. Wysoki sufit i listwy na obrazy kontrastowały z nowoczesnym sprzętem, zestawem butli tlenowych, monitorami i inną aparaturą medyczną. Na stole po drugiej stronie pokoju na grubej czarnej podstawie stał kolejny półprzezroczysty sześcian; pulsowała w nim świetlna kula wielkości futbolówki. Obok leżały niebieski czepek z elektrodami i bezprzewodowa klawiatura, a w górze na ścianie wisiał wielki monitor plazmowy.

--Tu będziesz spać.

--Bez łóżka? Luksusów nie zapewniacie, co?

--Łóżko przewieziemy z jednego z boksów oddziałowych. Wielu naszych pacjentów jest sparaliżowanych, więc tak łatwiej nam ich przenosić. Zamontowana przy łóżku aparatura do reanimacji przydaje się w nagłych wypadkach. Niektórzy z naszych pacjentów są poważnie chorzy, więc wolimy nie ryzykować. W każdym razie Brian będzie miał na ciebie oko.

--Brian?

Fleming wzruszył ramionami.

--To głupie imię, które się przyjęło. Stare dzieje. Jeden z asystentów napisał kiedyś notatkę, w której nazwał NeuroTranslatora mechanicznym mózgiem. Tyle że machnął się i zamiast „brain”, czyli „mózg”, wyszło mu „Brian”. I tak już zostało. To głupie, ale pomaga rozładować atmosferę. -- Podszedł do manekina i poklepał go. -- Jego też nazywamy Brianem. Osoby po amputacji i paraplegicy uczą się na nim kontrolować ruchy za pomocą myśli. -- Przerwał. -- Co wiesz o NeuroTranslatorze? Powstał na



bazie Lucyfera, więc pewnie zastosowana w nim technologia jest ci dobrze znana.

Podeszła do półprzezroczystego sześcianu i dotknęła go wpatrzona w pulsującą w środku świecącą kulę.

--Domyślam się, że procesor optyczny zapewnia moc i szybkość niezbędną do translacji sygnałów nerwowych.

--Otóż to. W podstawie jest też wzmacniacz sygnałów nerwowych i konwerter optyczno-analogowy, co umożliwiła falam mózgowym bezpośrednią łączność z komputerem. -- Podniósł niebieski czepek. -- Nazywamy to Czapką Mądrości. W każdym węźle sieci jest elektroda monitorująca przez czaszkę elektryczną czynność mózgu. Wszelka komunikacja między czepkiem a komputerem odbywa się bezprzewodowo. NeuroTranslator to w gruncie rzeczy udoskonalone urządzenie wywołujące biologiczne sprzężenie zwrotne podobne do wczesnych systemów Biomuse opracowanych na początku lat pięćdziesiątych przez Lusteda i Knappa dla paraplegików i osób po amputacji.

Amber skinęła głową. Czytała o urządzeniach Biomuse. Miały one wychwytywać i wzmacniać impulsy elektryczne wysyłane ze szczątkowej tkanki mięśniowej, a także te powstające w wyniku ruchu gałek ocznych.

--Ale NeuroTranslator jest pewnie dużo bardziej nowoczesny. Choćby dlatego, że nie wykorzystuje sygnałów elektromiograficznych i elektro-okulograficznych.

--To prawda. Tylko elektroencefalograficzne. Jakies sześć lat temu doszedłem do wniosku, że można by o wiele skuteczniej kontrolować komputery za pomocą dużo bardziej złożonych sygnałów elektrycznych w ludzkim mózgu. Cel był prosty: ujarzmić myśl.

Amber uśmiechnęła się na słowo „prosty”. Czynność ludzkiego mózgu -- myśl -- na elementarnym poziomie powstaje w wyniku przepływu elektryczności między splotami nerwowymi w mózgu. Już w 1929 roku niemiecki psychiatra Hans Berger ukuł termin elektroencefalogram, czyli EEG, na określenie nagrań wahań napięcia w mózgu wykrywanych za pomocą przyczepionych do głowy elektrod.

Przez następne dziesięciolecia zidentyfikowano wiele ciągłych sygnałów EEG: fale alfa powstawały w wyniku czynności tak prostych jak zamknięcie oczu, fale beta kojarzone były ze stanem czuwania, theta towarzyszyły stresowi emocjonalnemu, delta wytwarzały się w czasie głębokiego snu, a fale mu powiązane były z ośrodkiem ruchowym -- ruch bądź sam zamiar jego wykonania powodował ich zanikanie.

Fleming poklepał kulę.

--Dzięki waszemu Lucyferowi udało nam się zidentyfikować i poddać analizie wszystkie typowe fale mózgowo, i odkryć kilka nowych, co pozwoliło sporządzić szczegółową mapę pracującego mózgu. Wzmacniając i odcyfrowując fale o określonej długości, a zwłaszcza schematy ich współdziałania, nauczyliśmy się interpretować impulsy elektryczne.

Amber zaczynała rozumieć, dlaczego Bradley Soames był pod wrażeniem wynalazku Fleminga.

--Zgaduję, że to urządzenie potrafi się uczyć.

--Oczywiście. Na tej samej zasadzie, co przy dostrajaniu odbiornika do odpowiedniej długości fal radiowych, sieć neuronowa NeuroTranslatora wyszukuje złożone schematy

czynności mózgu i dopasowuje je do określonych poleceń i zamiarów. Jeszcze nikt nie był tak bliski zrozumienia i wyrażenia ludzkich myśli, i sporządzenia mapy ludzkiego umysłu jak Brian.

--Czy on ma świadomość?

Fleming parsknął śmiechem.

--Nie. Brian stosuje logikę zbiorów rozmytych i świetnie sobie radzi z badaniem mózgu i analizą naszego sposobu myślenia, ale nie ma wolnej woli i nie potrafi myśleć samodzielnie, w świadomy sposób. Jeśli wyobrazić sobie samodzielne myślenie jako mecz piłkarski, to Brian jest genialnym kibicem, analitykiem, komentatorem i statystykiem, grać w piłkę jednak nie potrafi. NeuroTranslator przede wszystkim analizuje i interpretuje fale mózgowe, co pozwala nam wzmocnić te, które są użyteczne, na przykład sygnały ruchowe niezbędne dla sterowania implantem w sparaliżowanej czy sztucznej kończynie, i stłumić te, które tylko przeszkadzają, jak sygnały o bólu amputowanej części ciała.

Fleming nałożył na głowę Czapkę Mądrości i wcisnął klawisz na klawiaturze przy sześcianie. Monitor plazmowy włączył się z trzaskiem i kula wewnątrz sześcianu rozbłysła oszalamiającą feerią barw wytworzoną przez fotony światła o różnej częstotliwości wykonujące niezliczone równoległe obliczenia.

--Patrz na linie na monitorze -- powiedział. -- Pokazują moje fale mózgo we. A teraz spójrz na ciało zastępcze.

Poziome linie gwałtownie się spiętrzyły i manekin wystawił lewą nogę do przodu. Amber aż podskoczyła.

--Zrobiłeś to myślą?

--Ściśle, poprzez kontrolę myśli. To wymaga treningu, ale jak już człowiek załapie, o co chodzi, jest to dość proste. Brian to narzędzie szkoleniowe.

Pacjenci, którzy nauczą się nim sterować, dostają bardziej nowoczesne protezy, a w przypadku paraplegików implanty. To dopiero początek badań, ale wyniki na razie mamy nadzwyczajne.

Mimo swojego wcześniejszego sceptycyzmu Amber Grant poczuła się różniej.

--Czyli liczysz na to, że poprzez analizę moich fal mózgowych zidentyfikujesz sygnały odpowiedzialne za te bóle głowy i je stłumisz?

--Jak dobrze pójdzie, nie tylko je stłumimy, ale i zrozumiemy.

--I zrobisz to wszystko dzisiaj? Jutro muszę wracać do domu.

Fleming zmarszczył brwi.

--W jedną noc będziemy mogli tylko zacząć dostrajać maszynę do twojej bazowej sygnatury długości fali. Trzeba będzie jeszcze co najmniej paru sesji, nim zakończymy analizę wstępną i ustalimy, jaki jest „normalny” stan twojego mózgu w stanie spoczynku. Dopiero wtedy będzie można zbadać go w czasie fantomowej migreny i zastanowić się nad możliwą kuracją. Twój przypadek jest niezwykle i powinnaś przeznaczyć nawet miesiąc na diagnozę i leczenie. A i to może nie wystarczyć.

--Rób wszystko, jak należy, albo nie rób nic, co?

--No właśnie. Moment jest dogodny, bo akurat w ciągu najbliższych kilku dni mamy trochę wolnych terminów, ale potem mogą być kłopoty ze znalezieniem miejsca.

Po chwili namysłu podjęła decyzję.

--No dobra, muszę załatwić parę spraw, ale za kilka dni wrócę. Co teraz?

--Frankie, siostra oddziałowa, przygotowuje cię do pierwszej sesji w Laboratorium Myśli.

--Czy NeuroTranslator potrafi wyjaśnić, dlaczego te fantomowe migreny zaczęły się akurat przed kilkoma miesiącami? -- spytała Amber.

--Szczерze mówiąc, nie wiem. Ból fantomowy zwykle występuje wkrótce po odniesieniu urazu, jeśli w ogóle, ale twój mózg jest wyjątkowy. Poczekajmy, zobaczymy, co powie Brian.

--Kiedy możemy zacząć?

Fleming spojrział na zegarek.

--Cóż, jak mawiał mój profesor z Cambridge, najlepszą chwilą na to, by wziąć się do ważnej roboty, jest chwila obecna.

## Kapsztad, Afryka Południowa

Przez pięćdziesiąt pięć lat życia siostra Konstancja rzadko doświadczała autentycznego strachu. Takiego, jaki czuła teraz, kiedy stała w środku nocy na pokładzie dziesięciometrowego słupa rybackiego, podczas gdy załoga wrzucała do morza krwistą mieszaninę mięsa i wnętrzności. W świetle księżyca powierzchnia oceanu roiała się od pletw przecinających ciemną wodę. Siostra do tej pory myślała, że połów rekinów jest zakazany, ale nie miała dość odwagi, by spytać o to kogoś z załogi. Ciaśniej opatulila ramiona szkarłatnym habitem, zadrżała, choć powietrze było ciepłe, i poczuła na wargach sól z fal rozbijających się o zakotwiczoną łódź.

Pulchny księżyc w pełni rozsiadł się nad majaczącym w oddali kształtem Góry Stołowej i siostra Konstancja zaczęła się zastanawiać, kiedy przyjdzie monsignore. Ilekroć pytała o to nieogolonego kapitana, odpowiadał: „Niedługo”.

Potrafiła zrozumieć, dlaczego monsignore Diageo nalegał, by spotkali się poza Czerwoną Arką. Ale czemu akurat tutaj? Ścisnęła w dłoni emaliowany czerwony krucyfiks, który nosiła na szyi, spojrzała w ciemne bezchmurne niebo i się przeżegnała.

Monsignore musi mieć swoje powody -- usłyszała własny drżący głos.

Siostra Konstancja żyła w Kościele jak pod kloszem, wolna od pytań i wątpliwości. Podjęła już najtrudniejszą decyzję: śladem swojej upartej przyjaciółki, matki Giovanni Bellini, przeszła z Kościoła katolickiego do nowo powstałego Kościoła Prawdy Duchowej. Nawet to jednak odbyło się niemal bezboleśnie: ot, zastąpiła jeden zbiór krzepiących reguł innym. Często żartowała, że jedyną widoczną różnicą był kolor habitu.

Kiedy jednak matka Giovanna przed dwoma dniami zadzwoniła do niej i opowiedziała o eksperymentach, siostra Konstancja zaczęła podejrzewać, że różnica ta jest większa, niż jej się wydawało. Gdy poprzedniego dnia nie udało jej się skontaktować z przyjaciółką, zaniepokoiła się. Po długich bojach z własnym sumieniem złamała daną matce Giovannie obietnicę, że zachowa wszystko, co od niej usłyszała, w tajemnicy, poszła do monsignore Diageo na górny pokład Czerwonej Arki i spytała go, czy Czerwony Papież wie o odkryciu dokonanym przez Giovannę. Wyraźnie wstrząśnięty monsignore podziękował jej, że zwróciła się z tym do niego, ale nie chciał

rozmawiać o tym „zagrożeniu dla wszystkiego, co Ojciec Święty uważa za święte” na pokładzie Czerwonej Arki.

Jego instrukcje były jasne: miała wejść w porcie na pokład „Marie Louise” i zaczekać na niego. Małomówni rybacy pomogli jej wsiąść do łodzi, a potem, nie zwracając na nią uwagi, popłynęli wzdłuż wybrzeża zajęci własnymi sprawami.

Dwaj członkowie załogi przeszli obok niej, wlokąc za sobą coś, co wyglądało jak tylna noga krowy. Stękając, przerzucili ją przez burtę i nie minęło kilka sekund, a morze zakotłowało się i rozszalałe rekiny rzuciły się na łup. Inny marynarz, z bosakiem w rękach, zaczął dźgać nim kołyszący się na wodzie ochlap i głośno się śmiejąc, patrzył, jak rekiny rozrywają go na strzępy. Ten obraz zbulwersował i przeraził Konstancję; odetchnęła głęboko, kiedy usłyszała warkot silnika. Czym prędzej przeszła na rufę i ulga przerodziła się w radość, kiedy okrwawiony bosak przyciągnął łódź, na której pokładzie stał człowiek o dobrze jej znanej, charakterystycznej twarzy.

--Monsignore Diageo, chwała Bogu -- powiedziała. -- Cemu musieliśmy spotkać się tutaj?

--To delikatna sprawa, siostró Konstancjo. Czy rozmawiała siostra z kimś jeszcze o tym, co usłyszała od matki Giovanni?

--Nie, oczywiście, że nie. Przyjrzał jej się uważnie.

--Jest siostra pewna?

--Tak.

Zadowolony skinął głową. Nachyliła się ku niemu, by pomógł jej przejść na pokład jego łodzi.

--Czy Ojciec Święty wie, co robią naukowcy? -- spytała. -- Czy matka Giovanna powiedziała mu, że zabijają pacjentów?

Diageo wyglądał na znużonego.

--Wie -- powiedział zmęczonym głosem. Odwrócił głowę, ale siostra Konstancja zdążyła zobaczyć w jego oczach coś, co na nowo rozbudziło w niej strach. -- Wiedział od początku -- dodał. Po chwili szepnął: -- Przykro mi.

Oszołomiona, niezdolna pojąć znaczenia jego słów, patrzyła, jak monsignore kieruje wzrok ku rybakom, którzy wciąż karmili miotające się w morzu rekiny.

--Jak ustaliliśmy, nie może być żadnych śladów -- powiedział, jakby jej tu nie było. -- Niczego, co można by powiązać z Kościołem.

--Nie rozumiem -- wyjąkała, ale Diageo już się odwrócił i warkot silnika jego łodzi rozbrzmiał na nowo.

Rybacy, o zakrwawionych dłoniach czerwiejszych od jej szat, otoczyli ją i zepchnęli na rufę słupa. Zanim zdążyła zaprotestować, mężczyzna z bosakiem dźgnął ją mocno w pierś i runęła do morza.

Kiedy od zimnej wody zaparło jej dech i pierwszy oszalały rekin wgrzył się w jej lewą stopę, nadal nie rozumiała, czemu spotkał ją taki los. Nawet wtedy, gdy ostre jak brzytwa zęby żarłacza wbiły się w jej miednicę i rozszarpały ją na strzępy, wzywała monsignore Diageo, przekonana, że nastąpiło jakieś straszne nieporozumienie.

## 9

**BarleyHall**

Ieming zostawił Amber Grant z pielęgniarką w Laboratorium Myśli, gdzie miała spędzić noc, i zajął się dwoma innymi pacjentami. Szczycił się tym, że wszystkim podopiecznym okazywał tyle samo serca i każdemu zapewniał równie fachową opiekę, ale Rob i Jake byli wyjątkowi.

Poszedł do warsztatu zadowolony, że nie protestował zbyt gwałtownie, kiedy kierowniczka podesłała mu Amber. Był nią zaintrygowany i szczerze wierzył, że może jej pomóc. Poza tym dzięki temu, że przelożył próbę z Robem na następny dzień, mógł sprawić mu niespodziankę, która podniesie go na duchu.

Warsztat Barley Hall był jedyną częścią zakładu badawczego Fleminga, która nie mieściła się we wschodnim skrzydle. Z powodów, jakich nikt nie mógł sobie przypomnieć, znajdował się na samym końcu skrzydła zachodniego zajmowanego przez zespół Bobby'ego Chana. W tej rozbudowanej szopie nauka łączyła się ze sztuką; przy wykorzystaniu elektroniki, metalu, lateksu i nowoczesnych materiałów powstawały tu protezy, które pełniły funkcję ludzkich kończyn i wyglądały jak one.

Kiedy Fleming wszedł do środka, jeden z techników właśnie odrywał niepokojąco realistycznie wyglądającą rękę od szkieletu z metalu i drutów. Pod ścianą, od najmniejszej do największej, leżały formy stóp i dłoni.

Pod stołem warsztatowym piętrzył się stos baryłek z pigmentami skóry, a w przeciwnym kierunku pomieszczenia Bill, naczelný technik, szlifował zgrabną lewą nogę. Na prawo od Fleminga, oparte o ścianę, stały gotowe kończyny. Wszystkie były zawinięte w plastik i opatrzone etykietami, jak ubrania do odbioru w pralni. Głównie były to ręce i nogi, różnych kształtów i rozmiarów. W pewnym oddaleniu od nich stała para małych nóg. Wyglądały tak naturalnie, że Fleming patrzył na nie z ciężkim sercem. Bill uniósł osłonę twarzy, wyłączył tokarkę i je wskazał.

--Nalóżylem ostatnią warstwę lateksu. Stopy uformowałem na wzór stóp mojego syna.

Fleming podniósł protezy. Jak zwykle zaskoczył go ich ciężar, choć ważyły nie więcej niż prawdziwe kończyny. Był pod wrażeniem tego, jak wiernie oddane zostały wszystkie szczegóły, zwłaszcza stóp i palców.

--Wyglądają fantastycznie, Bill, wielkie dzięki. Bill uniósł prawy kciuk.

--Powodzenia.

Z uwagi na specyficzny charakter kliniki nikt się nie zainteresował, po co Flemingowi dwie małe protezy. Kiedy przemierzył cały budynek, zatrzymał się pod podwójnymi drzwiami bloku fizjoterapii i zajrzał przez okrągłe okna do dużej sali ze sprzętem do ćwiczeń, podpórkami do chodzenia i basenem do terapii. W środku były tylko dwie osoby.

Jego bratanek, Jake, siedział na wypolerowanej drewnianej posadzce, odwrócony plecami do drzwi, i bawił się plastikowymi klockami pod okiem babci Pam Fleming. Chłopiec od czasu wypadku mieszkał u dziadków ze strony ojca i Fleming poprosił swoją matkę, by przywiozła go tu o szóstej. Choć była drobna jak ptaszyna, a jej krótkie jasne włosy przyprószyła już siwizna, troskliwie pilnowała wnuka, który po tragedii znalazł w niej i ojcu Fleminga wielkie oparcie.

Fleming przyglądał się, jak Jake układa klocki jeden na drugim dotąd, aż powstała wieża niemal tak wysoka jak on sam. Potem zbudował jeszcze dwie identyczne. Podziwiał je przez chwilę, po czym wszystkie radośnie zburzył.

Fleming schował protezy za plecami, pchnął drzwi i wszedł do sali. Jake odwrócił się do niego, ukazując skutki wypadku samochodowego sprzed jedenastu miesięcy; obie nogi urywały się nad kolanami, prawa była nieco dłuższa od lewej. Choć Fleming z podobnymi, a nawet gorszymi okaleczeniami miał do czynienia na co dzień, widok obrażeń bratanka wciąż go szokował.

Jedyne pocieszenie było takie, że przynajmniej mógł mu pomóc. Wujek z niego był kiepski -- nic, tylko pracował, z przerwami na wypadki w góry, i nie mógł służyć za wzór do naśladowania w kwestii stabilnych związków: Jake chyba jeszcze nigdy nie spotkał w jego domu nad rzeką dwa razy tej samej dziewczyny. Ale pod jednym względem mógł pomóc bratankowi tak jak nikt inny; dzięki niemu Jake będzie znów chodził.

--Cześć, mamó -- przywitał się, uściskał ją i pocałował w policzek.

--Wszystko w porządku, Milo?

Wydawała się niespokojna, podekscytowana. Tak bardzo wierzyła w syna, że aż go to przerażało. Na pogrzebie matki Jake'a podsłuchał, jak mówiła znajomej: „Rob i Miles zawsze byli sobie bliscy, nawet w dzieciństwie. Jakie to szczęście, że teraz Miles może pomóc bratu”. Fleming miał wrażenie, że jego rodzicom udało się pogodzić z tym, co się stało, tylko dzięki temu, że ulokowali w nim całą swoją kruchą nadzieję. I bał się, że ich zawiedzie.

Ścisnął jej dłoń.

--Tak, mamó. Zobaczysz. -- Schylił się nad bratankiem. -- Cześć, Jake. Chłopiec uśmiechnął się chytrze.

--Cześć, wujku Milo.

Fleming pokazał mu protezy i oczy Jake'a rozbłysły.

--O rany.

--To te same, na których ćwiczyłeś, Jake, ale nałożyliśmy na nie powłokę, żeby wyglądały jak prawdziwe nogi... twoje nogi.

Jake wziął je od niego tak, jakby był to najwspanialszy prezent gwiazdkowy na świecie.

--Dzięki, wujku Milo. -- Wsunął klapki protez na kikuty nóg, z wyćwiczoną wprawą przyczepił implanty i wstał, jakby już się z nimi zrósl.

Sztucznymi mięśniami sterowały myśli chłopca wzmacniane i tłumaczone przez komputer. Pół roku wcześniej, pięć miesięcy po wypadku, Fleming ściągnął z NeuroTranslatora osobistą sygnaturę myśli Jake'a. Pod skórę jego głowy wprowadził elektrody i teraz, z pomocą implantów i komputera optycznego wielkości zegarka, Jake mógł samodzielnie chodzić i wieść niemal normalne życie. On był pierwszy, a z tej samej technologii mieli skorzystać też inni.

--Dobrze, Jake -- powiedział Fleming. -- Zaczekaj tu, pójdę po twojego tatę. Chcę, żeby to zobaczył.



Laboratorium Myśli Później tego samego wieczora

okazywali cię w CNN. Widziałem przed chwilą, kiedy się obudziłem. Martwię się o ciebie,

Amber. Jak się czujesz?

--Nie najgorzej, papo Pete. Dopiero się obudziłem? Skąd dzwonisz?

--Z San Francisco.

--Myślałam, że jesteś w Watykanie.

--Bo jestem, ale mam tu kryzysowe spotkanie. -- Nowojorski akcent jej ojca chrzestnego nagle nabral surowego brzmienia. -- Kiedy jezuici, oddziały szturmowe katolicyzmu, dezercerujana stronę Czerwonego Papieża, wiesz, że masz problem.

--Dziękuję, że zadzwoniłeś, papo Pete -- powiedziała. Nie chciała dać się wciągnąć w dyskusję o Czerwonym Papieżu. -- Dawno nie rozmawialiśmy.

I знаła tego powód. Odkąd jej przybrana matka zachorowała przed dwoma laty i Amber umieściła ją w najlepszym hospicjum nad Zatoką Kalifornijską, ojciec Peter Riga, człowiek, któremu zawdzięczała życie, czuł się zdradzony: hospicjum prowadzone było nie przez katolików, lecz, o zgrozo, przez „wroga”, czyli Kościół Prawdy Duchowej Czerwonego Papieża. Amber wyjaśniła mu, że pragnie dać matce wszystko, czego sobie zażyczy, a jeśli znajdzie to w hospicjum prowadzonym przez konkurencyjny Kościół, mówi się trudno.

--Widziałem się wczoraj z twoją matką -- powiedział Riga.

--W hospicjum?

--Jasne. Wyglądała dobrze.

--To miłe z twojej strony, papo Pete. Było jej przykro, że nie pochwalaleś...

--Nie przejmuj się. Udzieliłem jej błogosławieństwa. Ładne to hospicjum. Było mi tylko wstyd, że Kościół katolicki nie potrafi zatroszczyć się o swoje owieczki.

--Wszystko się zmienia.

--To prawda. Będę tu jeszcze parę dni, więc jeśli wrócisz zgodnie z planem, będziemy mogli się spotkać.

--Chętnie -- odparła. -- Zadzwonię jutro.

--Dobrze, dziecko, uważaj na siebie.

Amber wyłączyła komunikator i położyła go na stoliku obok łóżka w Laboratorium Myśli. Wcześniej, kiedy go włączyła, pamięć zapchana była wiadomościami od zaniepokojonych znajomych. Wieści poszły w świat. Zadzwoiła jedna z towarzyszek porannego pływania, a zarazem jej najlepsza przyjaciółka Karen. Nawet Soames zostawił krótką wiadomość, w której poinformował ją, że prezentacja była udana, i poprosił, by zadzwoniła w razie, gdyby coś się działo.

Ona sama zadzwoniła tylko do hospicjum, by potwierdzić, że przyjedzie zgodnie z planem. Jej matka była nieuleczalnie chora na raka, który wszedł już w końcowe stadium, i Amber nie chciała zostawiać jej samej. Na myśl o zalecanym przez Fleminga powrocie do Barley Hall zaniepokoiła się jeszcze bardziej. Starła się nie zważać na obserwującą z góry kamerę video. Miała na głowie Czapkę Mądrości i skóra mrowiła ją w miejscach posmarowanych żelem przewodzącym, na którym trzymały się elektrody.

NeuroTranslator buczał cicho pod łóżkiem i odczytywał elektryczne impulsy generowane przez jej mózg; dolną część podzielonego na pół monitora plazmowego zajmowała siatka przecięta pulsującymi liniami w różnych kolorach przedstawiającymi fale mózgowo. Niektóre linie piętrzyły się gwałtownie, inne pozostawały właściwie płaskie. W regularnych odstępach czasu obraz na monitorze przewijał się w dół, ukazując pozostałe długości fal; wszystkie razem rejestrowały schemat myślenia Amber. Na górnej części ekranu ukazywały się bodźce mające pobudzać jej procesy myślowe. W tej chwili widniała tam przestrzena lamigłówa. Na zbiór koncentrycznych kwadratów, które zdawały się ginać w oddali, nałożone były trzy linie, ona zaś miała stwierdzić, która z nich jest najkrótsza. Choć podejrzewała, że to tylko złudzenie optyczne i dwie wyraźnie krótsze linie są tak naprawdę jednakowej długości, wybrała tę po prawej stronie.

Rozwiązywała lamigłówa i zadania już przeszło godzinę. Były inteligentne i pomysłowe, pobudzały większość funkcji poznawczych jej mózgu, poczynając od rozumowania werbalnego, sprawności logicznej i zdolności arytmetycznych, po intuicję. Wcześniej dostała zastrzyk mający wzmocnić jej nieświadomą czynność nerwową w czasie snu i tym samym umożliwić NeuroTranslatorowi wyraźniejszy odczyt w czasie, jak to określiła siostra Pinner, „łatwych ćwiczeń umysłowych”.

Polega to na tym, że zamyka pani oczy i zasypia, a Brian robi swoje.

Zmęczenie wywołane zmianą stref czasowych nie dawało jej się zbytnio we znaki, lamigłówa ją wciągnęły, mimo to miała kłopoty z koncentracją. Jej myśli co chwilę biegły do matki i siostry. Zwłaszcza siostry.

Rozmowa o niej z Milesem Flemingiem i widok zdjęć rentgenowskich z czasów, kiedy były ze sobą zrosnięte, na nowo rozbudziły powracające od lat wyrzuty sumienia, żal i poczucie straty. Amber wzięła ze stolika sfatygowaną fotografię, z którą nigdy się nie rozstawała: ona i Ariel obejmowały się przed dużym lustrem. Zdjęcie zostało zrobione pod takim kątem, że widać było ich uśmiechnięte twarze, i wydawało się, że nie łączy ich nic oprócz miłości.

Odkąd została sama, nie mogła poradzić sobie z poczuciem winy i gniewem wywołanym śmiercią siostry. Najpierw szukała odpowiedzi w katolicyzmie, ale choć ojciec chrestny cierpliwie wprowadził ją w tajniki katolickiego światopoglądu, stwierdziła, że surowe dogmaty Kościoła to nie dla niej. Potem zwróciła się ku filozofii i fizyce w nadziei, że dzięki nim

zrozumie, dlaczego świat jest taki, jaki jest. W końcu skoncentrowała się na tajemnicach fizyki kwantowej i badaniu niemal telepatycznych związków łączących niezliczone elementarne cząstki pyłu gwiazdnego, z których zbudowany jest wszechświat. Jak dotąd nie uzyskiwała jednoznacznych odpowiedzi, lecz ta dziedzina otwierała przed nią nieograniczone możliwości. I pozwalała zająć czymś myśli. Może nie znalazła sensu w kapryśkach świata kwantowego, jednak jego poszukiwanie przyniosło jej ukojenie.

Czysto intelektualna dyscyplina i ciężka praca wymagana przy badaniu sprzeczności i dualizmów fizyki cząstek elementarnych nie pozwalały jej myśleć o poczuciu winy i straty, które zawsze mąciło jej spokój, kiedy za długo pozostawała bezczynna. Tego wieczoru jednak, bez względu na to, jak bardzo starała się zdusić uczucia do Ariel, z którymi nigdy sobie nie radziła, one ciągle powracały.

Kiedy lamigłówkę na monitorze zastąpiła krzyżówka, zza drzwi wychyliła się Frankie.

--Idę do domu -- powiedziała. -- Mamy jutro ważną próbę kliniczną, ale w pokoju obserwacyjnym przez całą noc będzie pielęgniarka. Wszystko w porządku?

Amber się uśmiechnęła.

--Nie mogę się skupić i jestem zmęczona. To coś znaczy?

Pielęgniarka pokręciła głową.

--Skądże. Bodźce mają tylko umożliwić ogólny odczyt aktywności umysłowej i przy okazji dostarczyć rozrywki. Brian jest elastyczny. Jeśli pani chce, może w każdej chwili położyć się spać. Szczerze mówiąc, do badań podstawowych i tak najbardziej przydają się dane uzyskane, kiedy mózg śpi. Dobranoc i miłych snów, doktor Grant.

--Dobranoc. Dzięki.

Odwróciła się z powrotem do ekranu i dokończyła krzyżówkę. Powieki zaczęły jej ciążyć i następnej lamigłówki już nie zauważyła. Zapadła w stan hiperjasności umysłu między czuwaniem a snem i wróciła myślami do siostry.

Przez ostatnie trzydzieści lat co jakiś czas, ku jej zaniepokojeniu, ogarniało ją wrażenie, że nie ma pełnej kontroli nad swoim życiem. Ilekroć próbowała bliżej się z kimś związać, słyszała zarzuty, że duchem jest „daleko stąd” albo „z kimś innym”. Wydawało się, że tak we śnie, jak i na jawie, Ariel zawsze tkwi głęboko w jej myślach, jakby Amber nie mogła pozwolić siostrze odejść, jakby nie umiała żyć własnym życiem, bo musiała dzielić je z kimś innym. Tylko wtedy, gdy rzucała się w wir pracy i badań, znajdowała spokój, wytchnienie od tej drugiej osoby w jej głowie.

Ośmioletniej dziewczynki, którą w dzieciństwie kochała bardziej niż siebie.

Ośmioletniej dziewczynki, która kiedyś była jej częścią.

Ośmioletniej dziewczynki, która za nią umarła.

## 11

Oddział, Barley Hall

Kiedy Fleming wszedł do piątego boksu na oddziale badawczym, jego spojrzenie powędrowało najpierw do monitora EKG.

--Jak on się ma, Emmo? -- spytał pielęgniarkę siedzącą przy urządzeniu.

--Serce bije równo?

Pielęgniarka się uśmiechnęła.

--Stan jest stabilny. Powinien być gotowy na jutro.

--Dzięki. Zrób sobie przerwę. Teraz ja się nim zajmę.

Fleming odwrócił się w stronę łóżka i zauważył, że pielęgniarka ubrała brata w jego ulubioną wypłowiałą czarną koszulkę polo od Ralphi Laurena i dżinsy. Włosy miał obcięte krótko, tak jak wtedy, kiedy służył w wojsku. Siedział prosto na wyposażonym w silnik łóżku. Wyglądał dobrze, choć koszulka i dżinsy wisiały luźno na jego niegdyś muskularnej sylwetce.

Fleming okrążył łóżko, by znaleźć się dokładnie na wprost jego zdrowego oka.

--Cześć, Rob, ćwiczenia procesów poznawczych poszły świetnie, a twoje serce zachowuje się, jak należy, więc wygląda na to, że jesteś gotów do jutrzejszej próby. Już teraz jednak mam dla ciebie wielką niespodziankę.

Chcesz zobaczyć? -- Spojrzał w dół, na monitor komputerowy umieszczony bezpośrednio pod twarzą Roba. W tabelce o rozmiarach cztery na cztery widniało szesnaście słów. Do nich ograniczało się słownictwo Roba od czasu, kiedy doznał udaru pnia mózgu, którego wynikiem był paraliż całego ciała, z wyjątkiem lewego oka. Ruchami gałki ocznej sterował widocznym na monitorze kursorem. Po wybraniu słowa mrugał okiem, a wygenerowany komputerowo głos wypowiadał je za niego.

--Nie -- powiedział głos. Fleming parsknął śmiechem.

--No to ci jej nie pokażę, niewdzięczny bydlaku.

Widział, że jego starszy brat próbuje się uśmiechnąć -- i że to uśmiech tak wymuszony jak jego własne żarty. Rob zawsze był jego bohaterem, człowiekiem czynu, sprawniejszym, silniejszym i szybszym od niego. Teraz jednak, kiedy na niego patrzył, Fleming czuł przygniatający smutek i myślał o Billym Frenchu.

Przyjaźnili się z nim, kiedy nie skończyli jeszcze dwudziestu lat. Połączyło ich zamiłowanie do wspinaczki; każdego lata włóczyli się po Europie i próbowali szczęścia na wysokich alpejskich szczytach. Rob już wtedy był znakomitym alpinistą, a Billy i Miles tylko pełnymi zapału amatorami. Mimo to pod kierunkiem Roba poradzili sobie z większością tras wspinaczkowych o różnym stopniu trudności, od najłatwiejszych po ED, *extremement difficile* [wyjątkowo trudne], i zaliczyli nawet kilka ścian kategorii ABO, *abominable* [ekstremalne]. I wtedy, na osławionej Nordwand góry Eiger, to się stało.

Było to pod koniec lata. Dziewiętnastoletni wówczas Fleming miał wkrótce rozpocząć studia medyczne w Cambridge. Rob zastanawiał się nad wstąpieniem do piechoty morskiej. Billy nie zdecydował jeszcze, co będzie robił w przyszłości, która stała przed nimi otworem opromieniona niezliczonymi możliwościami.

Tamten sierpień był jednym z najbardziej deszczowych i ścianę okrywały szron i ciężki niestabilny śnieg. Przejechali jednak szmat drogi i nic nie mogło ich odwieść od zamiaru zdobycia Eigera. W dolnej partii góry, nieopodal występu znanego jako Pierwszy Filar, Billy popełnił błąd. Czekały

i raki oderwały się od brudnego lodu i runął w przepaść. Liny asekuracyjne powinny go były utrzymać, ale mocujące je śruby puściły.

Rob i Miles mocno przywarli do skały, dzięki czemu Billy nie pociągnął ich za sobą, on sam jednak spadał dotąd, aż lina naprężyła się, rozbijała jak wahadło i rzuciła nim o występ skalny, łamiąc mu kark. W ciągu kilku sekund zdrowy, młody człowiek myślący o przyszłości zmienił się w para-plegika, który jej nie miał.

W czasie niekończącego się, żmudnego zejścia Rob i Miles troskliwie doglądali obwiązanego liną Billa i starali się nie dopuścić, by stracił przytomność w nadziei, że spotkają kogoś, kto sprowadzi pomoc. Tak się jednak nie stało aż do chwili, kiedy dotarli niemal do samej bazy. Gdy spuszczała Billy'ego z ostatniego urwiska, Rob odwrócił się do Milesa.

--Jeśli spotka mnie coś takiego, Milo -- szepnął i ogorzała twarz zrobiła mu się biała jak śnieg- przetrnij linę i zostaw mnie. W obliczu śmierci człowiek jest pełen życia, jak nigdy. Ale kiedy zmusza się go, by żył wbrew sobie, to gorsze niż śmierć. Dlatego w razie czego pozwól mi odejść. Tego właśnie chciałbym. Chwila bólu to nic takiego, trochę strachu, a potem pustka. Dwa dni później Billy umarł w szpitalu. Bracia Fleming nadal wspinali się razem, nawet po tym, jak przed siedmioma laty Rob ożenił się z Susan. Podróżowali po całym świecie, szukali nowych szczytów do zdobycia i często czuli przy sobie obecność Billy'ego, zwłaszcza w ciężkich chwilach. Fleming nigdy nie zapomniał słów brata, ale zawsze myślał, że jeśli Robowi miałoby stać się coś złego, to nastąpiłoby to w górach albo na polu walki. Do głowy by mu nie przyszło, że dozna udaru, jadąc fordem mondeo autostradą M1 do Leeds.

Kiedy wypchnął łóżko brata z oddziału na korytarz, powiedział sobie raz jeszcze, że jutro mu pomoże. Przypominał sobie, ile razy Rob wyciągał go ze szczelin lodowych czy pomagał wchodzić na trudne szczyty. Teraz to on miał pomóc bratu w najtrudniejszej wspinaczce.

Jake dzięki niemu znów będzie chodził. Rob dzięki niemu przemówi.

Miał nadzieję, że Rob tego chce. Na pewno chcieli tego ich rodzice, zwłaszcza matka. Była anglikanką; po wypadku stała się jeszcze bardziej pobożna i wierzyła ze ślepą niemal żarliwością, że z czasem, dzięki Bożemu miłosierdziu i umiejętnościom Milesa jej starszy syn wróci do zdrowia.

Tyle że w czasie sesji z psychologami Fleming przekonał się, że Rob pragnie śmierci. Udar doprowadził do wypadku samochodowego, który

skończył się jego paralizem, śmiercią żony i zmiążdżeniem nóg syna. A rodzice nie przyjmowali do wiadomości sugestii, że Rob może być w depresji.

--To minie -- mówili. -- Poczuj się lepiej, kiedy zaczniesz dochodzić do siebie.

A kiedy Fleming próbował tłumaczyć, że nie ma gwarancji, iż Rob kiedykolwiek dojdzie do siebie, matka odparła pogodnie, że ani Bóg, ani ona jeszcze nie położyli na nim kreski.

--Bóg go poprowadzi.

Jak wtedy, kiedy miał wypadek, pomyślał Miles, ale nie powiedział tego głośno.

Matce nawet przez myśl nie przeszło, że Rob może winić Boga za to, co go spotkało.

Przez chwilę zazdrościł Amber, choć wiedział, że to niestosowne. Ona przynajmniej mogła znaleźć ukojenie w świadomości, że jej siostra nie zazna już cierpienia. Los brata umocnił tylko Milesa w przekonaniu, że nie istnieje ani Bóg, ani życie pozagrobowe. Stało się dla niego jasne jak nigdy dotąd, że jedyne, co człowiekowi pozostaje, to jak najlepiej przeżyć to pełne

**cierpienia życie, nim zastąpi je wieczna nicość -- a wieczność to mnóstwo czasu. Fleming miał wobec brata jeden prosty cel: pomóc mu tu i teraz. Musiał pokazać mu, co zrobił dla Jake'a, i przekonać go, że on też pewnego dnia może być zdrowy i szczęśliwy.**

**--Jesteśmy prawie na miejscu, Rob -- powiedział i pchnął łóżko w głąb korytarza, ku sali fizjoterapii.**

**Kiedy byli przy wahadłowych drzwiach, wyskoczyła z nich niespodzianka. Jake hasał tak zwinnie i radośnie, jakby nigdy nie uległ żadnemu wypadkowi.**

**--Tato! Tato! Spójrz na moje nogi! -- Podbiegł do łóżka i pocałował ojca w policzek.**

**Pam Fleming wyszła za wnukiem na korytarz.**

**--Był zbyt przejęty -- powiedziała z radosnym uśmiechem. -- Nie mógł się doczekać, by je pokazać.**

**Fleming odwrócił się do brata i zobaczył, że nawet zdrowe oko odmówiło mu posłuszeństwa. Ciekły z niego łzy i nie mógł wybrać nim słów na ekranie.**

**--Zachowaj słowa na jutro, Rob -- poradził. -- Wtedy będziesz mógł powiedzieć, co chcesz,**

**Laboratorium Myśli**

Kiedy Amber Grant zamknęła oczy, czuwały nad nią kamera wideo i Brian. NeuroTranslator nie spał nigdy. Odczytywał fale mózgowe Amber i zestawiał je z zarejestrowanymi podczas ćwiczeń, porównywał jej schematy myślowe z zapisanymi w bazie danych, szukał nowych prawidłowości, które mogłyby wskazywać na wystąpienie istotnych zaburzeń. Przez cały czas uczył się jej mózgu, rozrysowywał elektryczną instalację jej umysłu. Dzięki procesorowi optycznemu Lucyfer, zasilającemu jego własny mózg, NeuroTranslator wykonywał wszystkie analizy z prędkością światła. W czasie, kiedy Amber Grant była przytomna, NeuroTranslator nie wykrył niczego niezwykłego. Nie odnotował też nic ciekawego, kiedy szybko przechodziła przez dwie pierwsze fazy snu. Gdy osiągnęła fazę trzecią i jej ciałem zaczęły wstrząsać lekkie drgawki, Brian nadal nie zarejestrował właściwie niczego, co wykraczałoby poza normę. Nawet kiedy weszła w czwartą fazę snu i pot zrosił jej czoło, buczący mechaniczny jasnowidz pozostał nieporuszony.

Dopiero gdy osiągnęła stan charakteryzujący się szybkim ruchem gałek ocznych, REM, Brian wychwycił coś niezwykłego we wciąż niezbadanej podświadomości rządzonej przez sny.

Pociła się. Pot oblewał jej czoło i przesiąkał przez koszulę nocną. Jej wargi drgnęły i zaczęła belkotać, słowa stopniowo stawały się coraz wyraźniejsze, aż wreszcie płaczącym głosem dziecka zawołała:

--Amber, Amber, gdzie jesteś, Amber?!

Kiedy zaczynała śnić, gałki oczne poruszały się bezładnie pod jej powiekami. Drżała na całym ciele, jakby cierpiała wewnętrzne katusze. Nagle znieruchomiała i jej oczy się otworzyły.

Wspomnienia przemykały jej przez głowę jak w kalejdoskopie z pomieszanych odłamków rozbitego lustra: ojciec Peter Riga w jezuickiej sutannie porywa w ramiona ją i Ariel; dumny uśmiech ojca, kiedy skończyła z wyróżnieniem studia na Uniwersytecie Stanforda; Bradley Soames na kampusie Cal Tech, w przyciemnianej masce i stroju ochronnym; matka gładzi jej włosy i całuje ją przed snem w policzek; siostra ściska jej dłoń i żegna się z nią szeptem przed tym, jak chirurg uśpi je obie.



Poczuła, jak ostrze wrzyna się w jej głowę. Przez przeszywający ból usłyszała swój krzyk, jej głos zlewał się z głosem Ariel, gdy trzymały się kurczowo, by ich nie rozdzielono. Nawet teraz, kiedy umysł opuścił jej ciało, Amber czuła, że pozostaje związana z siostrą, że wciąż jest od niej odrywana. Był to ból psychiczny, nie fizyczny, łączyły się w nim strach, poczucie straty, żal i wściekłość. Chciała krzyknąć raz jeszcze, ale straciła głos. Próbowwała się szamotać, ale nie miała ciała. Była bezkształtną istotą, która okryta ciemnością pędziła ku niepoznawalnej próżni.

Przed nią pojawił się świetlny tunel -- migotał w ciemności i wciągał ją w swoje pole magnetyczne. Mknęła tak szybko, że wkrótce się w nim znalazła, stała się jego częścią. Światło wydawało się nieruchome, promień rozpadał się na cząstki, gdy zlewała się z nim w jedno. Stała się niczym więcej jak tylko zbiorem świetlistych impulsów. Ten blask przywołał wspomnienie; już nie mogła się doczekać, kiedy Ariel znów do niej dołączy i poprowadzi ją do źródła.

I wtedy, gdy już myślała, że Ariel jest przy niej, ból stał się nie do zniesienia i ostatnia niezerwana nić szarpnęła ją do tyłu. Tak bardzo chciałaby ją przeciąć i spokojnie odpłynąć w dal.

Ale nie mogła uwolnić się z elastycznej smyczy, która wyciągnęła ją ze światła z powrotem do ciemności, do ciała...

Jej wytrzeszczone oczy zamknęły się, by po chwili znów się otworzyć, i Amber zerwała się ze snu. Przez cały ten czas pozostawała pod obserwacją NeuroTranslatora. A teraz pielęgniarka dyżurna uspokajała ją, ocierała jej czoło.

Była tak skupiona na pacjentce, że nie zwróciła uwagi na pulsujące długości fal tańczące w górnej części ekranu NeuroTranslatora -- to neuronowa sieć Briana zaznajamiała się z niezwykleymi właściwościami mózgu Amber. Pielęgniarka poprawiła rozrzuconą pościel z ulgą, że podopieczna się uspokoiła, i nie zauważyła trwającej dwadzieścia sześć sekund zmiany dźwięku urządzenia.

Kiedy Amber Grant ponownie zasnęła, a zadowolona pielęgniarka poszła po kawę, NeuroTranslator znów buczał jednostajnie, spokojnie.

Czerwona Arka, Kapsztad, 33° 55'S, 18° 22'E

ziesięć tysięcy kilometrów od Barley Hall, Xavier Accosta, Czerwony Papież, siedział samotnie w swoim gabinecie na górnym pokładzie Czerwonej Arki. Oprawna w skórę książka, którą trzymał w dłoniach, pochodziła sprzed stu lat, ale wyglądała na starszą; jej grzbiet popękał od zbyt częstego otwierania na wciąż tej samej stronie. Pozwolił, by otworzyła się na tym samym fragmencie co zwykle. Odetchnął głęboko, poprawił szkarłatną szatę i wyprostował chorą lewą nogę, czekając, aż ból przejdzie. Zaczął czytać. Powoli przesuwiał oczami po stronie i delektował się każdym słowem znajomego tekstu:

Wyjątek z *Archives d'Anthropologie Criminelle*, Montpellier, Francja, 1905

Zapiski z eksperymentu przeprowadzonego przez dr. Baurieux na przestępcy Languille -- próba nawiązania kontaktu z odciętą głową skazańca chwilę po egzekucji.

Natychmiast po wykonaniu wyroku powieki i usta skazańca skurczyły się na pięć-sześć sekund... Odczekałem chwilę i skurcze ustały, twarz rozluźniła się, powieki opadły do połowy gałek ocznych tak, że widać było tylko białka, jak u umierających bądź właśnie zmarłych osób.

W tym momencie krzyknąłem „Languille!” na cały głos i zobaczyłem, że jego oczy otwierają się powoli, bez skurczów; ich ruchy były wyraźnie widoczne, pewne, spojrzenie ani tępe, ani puste -- oczy, które na mnie patrzyły, były bez wątpienia żywe. Po kilku sekundach powieki opadły, powoli i jednostajnie.

Zawolałem go ponownie. Także tym razem powieki uniosły się bez skurczów i dwoje bezsprzecznie żywych oczu spojrzało na mnie z uwagą, jeszcze bardziej przenikliwie niż poprzednio. Potem zamknęły się znowu. Trzecia próba nawiązania kontaktu nie dała efektu. Całe zdarzenie trwało dwadzieścia pięć-trzydzieści sekund.

Dr Baurieux, Montpellier, Francja, 1905

Ilekroć Accosta czytał te słowa, był jednocześnie wstrząśnięty i podekscytowany, wyobrażał sobie, co widziały oczy Languille'a, gdy opuszczała go dusza.

Podniósł wzrok na cztery holograficzne monitory plazmowe o wysokiej rozdzielczości wiszące na wyłożonej dębina ścianie. Dwa były ciemne. Trzeci pokazywał nagranie ostatniej mszy, ze ściszym dźwiękiem, a czwarty -- transmisję BBC z wypłynięcia osiemdziesięcotonowej Czerwonej Arki z portu w Kapsztadzie na kolejny etap pielgrzymki dookoła świata. Krwistoczerwony kadłub i biała nadbudówka lśniły w afrykańskim słońcu. Omiatające molo kamery uchwyciły tłumy pragnące choć przez chwilę zobaczyć ucieleśnienie ich Kościoła, Kościoła Prawdy Duchowej, płynące miasto, w którym mieściła się wirtualna katedra Czerwonego Papieża i biura pracowników administracyjnych i technicznych, dzięki którym powstać mógł pierwszy e-Kościół na świecie.

Kiedy Czerwona Arka wychodziła w morze, kardynał Xavier Accosta nie patrzył jednak w ekrany telewizorów ani na spektakularny widok Kapsztadu za panoramicznym oknem po lewej stronie. Czekał niecierpliwie na raport doktora w sprawie projektu „Dusza”. Czas uciekał i jeśli naukowcy nie zdołają osiągnąć celu, wszystko, czego Accosta dokonał od zerwania z Rzymem przed dziesięcioma laty, pójdzie na marne. A mimo to, choć był spragniony wieści od doktora, niepokoił się z powodu matki Giovanny Bellini. Spojrzał w dół, na starą książkę, by zająć czymś myśli; im usilniej jednak starał się zapomnieć o tej kobiecie, tym bardziej zaprzętała jego uwagę.

Pukanie do drzwi wyrwało go z zamyślenia.

Accosta zeszywniał.

--Wejść.

Monsignore Paulo Diageo otworzył drzwi i jego zwalista sylwetka wypełniła framugę. Diageo także chodził w szkarłacie, ale jego szaty zdobił tylko jeden złoty galon, podczas gdy komżę Accosty -- dwa. W odróżnieniu od Czerwonego Papieża, którego rysy były delikatne, fotogeniczne, Diageo miał grubo ciosaną, zwierzęcą twarz, z niskim czołem przeciętym ciemnymi brwiami, przymrużonymi, głęboko osadzonymi oczami i szeroką, wystającą szczęką. Jego pełne, kobiece wręcz usta nie pasowały do reszty twarzy i nadawały beznamiętnym rysom okrutny, nadąsany wyraz.

Accosta zebrał się w sobie.

--Co z matką Giovanną? Jakież wieści? Monsignore wżraszył ramionami.

--Sprawa załatwiona, Ojczyce Święty.

Jak monsignore Diageo, matka Giovanna Bellini pozostawała mu wierna od samego początku. Kiedy przed dwudziestoma laty Accosta został przeniesiony do Watykanu, była skromną zakonnica. Służyła mu z takim

oddaniem, że gdy dziesięć lat później został obłożony ekskomuniką i powołał własny Kościół, poszła za nim. W nagrodę uczynił ją jedną ze swoich pierwszych kapłanek.

Dziewięć miesięcy wcześniej, po wieloletnich badaniach w ramach projektu „Dusza”, podjęto decyzję, by opracowaną technologię wypróbować na umierających. Z prowadzonych przez Kościół hospicjów na całym świecie wybierano śmiertelnie chorych pacjentów bez rodzin, orzekano ich zgon, a następnie wysyłano do fundacji, gdzie mieli umrzeć naprawdę. Ponieważ ktoś musiał udzielić im ostatniego namaszczenia, a matka Gio-vanna była bez reszty oddana Accoście, zadanie to przypadło jej, z zastrzeżeniem, że o nic nie będzie pytać.

Ona jednak, rzecz jasna, nie mogła powściągnąć ciekawości. A kiedy zadzwoniła do Accosty, by powiedzieć mu, że doktor i inni członkowie Rady Prawdy mordują pacjentów, on wiedział już, że nieuleczalnie chorzy są powoli uśmierceni dla celów eksperymentu. Nie chciał mieszać w to Diageo, lecz przez jej pytania wszystko się skomplikowało, a stawka była zbyt wysoka. Diageo w lot zrozumiał, na czym polega problem, i Accosta miał nadzieję, że matka Giovanna też to zrozumie, kiedy tylko pozna pełne znaczenie świętej misji.

--Czyli wszystko w porządku?

--Tak sędzę.

--Nie mam powodu do niepokoju?

Lekki, przeczący ruch głowy.

--Żadnego, Wasza Świątobliwość.

Accosta starał się nie pokazać po sobie, że mu ulżyło.

--Dobrze zatem.

--Frank Carvelli czeka na rozmowę.

--Połącz go.

Jeden z ekranów holograficznych na wprost włączył się z trzaskiem i Accosta zobaczył Franka Carvellego strzepującego pyłek z czarnej kaszmirowej marynarki. Carvelli był drugim członkiem trzyosobowej Rady Prawdy kierującej projektem „Dusza”. Ten mężczyzna o łagodnych rysach, gładkiej oliwkowej skórze i podejrzenie kruczoczarnych włosach związanych w kucyk miał skłonność do ubierania się na czarno. Choć Accosta uważał go za próżnego i płytkiego, był genialnym specjalistą od komunikacji niezbędnym dla Kościoła i projektu „Dusza”.

Carvelli szefował KREE8 Industries, firmie celującej we wszystkim od łączności i oprogramowania do prezentacji, po produkcję filmową i public relations. To za sprawą KREE8 powstały holograficzne ekrany plazmowe takie jak ten, na którym w tej chwili widniał obraz Carvellego. Firma odpowiadała też za przeszło sześćdziesiąt procent wygenerowanych komputerowo efektów specjalnych w filmach hollywoodzkich i specjalizowała się w tworzeniu wirtualnych i wskrzeszaniu martwych gwiazd.

Jednak to w Internecie Optycznym, czyli Optinecie, KREE8 grał rolę najważniejszą: dawał światu rzeczywistość wirtualną w czasie rzeczywistym. KREE8, i w szczególności Carvelli, wykorzystał niezwykle możliwości komputerów optycznych Optriaksu do stworzenia unikalnego elektronicznego Kościoła Accosty. Produkowane przez firmę kaski wirtualnej rzeczywistości WebCrawler pozwalały milionom ludzi uczestniczyć we mszach Accosty na żywo tak, jakby byli na miejscu osobiście.

Poza tym Carvelli rozumiał media. To dzięki jego znajomościom i naciskom Czerwony Papież stał się tak wielkim fenomenem. Accosta zdawał sobie z tego sprawę, choć miał wrażenie, że Carvelli wspiera go głównie przez wzgląd na wpływy i rozgłos, jakie zyskiwał dzięki związkom z największym Kościołem świata, a nie z uwagi na głęboko zakorzoną wiarę.

--Wasza Świątobliwość -- powiedział Carvelli -- nowy sprzęt jest praktycznie gotowy. Trzeba tylko, żeby Wasza Świątobliwość znalazł dla nas jeden dzień, byśmy mogli zeskanować obraz i ruchy mięśni, zarejestrować charakterystykę głosu i wykonać odlew ciała. Proszę podać miejsce i czas, ja się wszystkim zajmę.

--O moich planach powinieneś porozmawiać z monsignore Diageo, ale czy to nie trochę przedwcześnie, skoro pierwszy etap projektu nie zakończył się jeszcze sukcesem?

Carvelli pokiwał głową.

--Wydarzyło się coś, co według Doktora doprowadzi do przełomu. Kazał wszystko przygotować, żebyśmy we właściwym czasie mogli szybkoprzystąpić do działania.

Accosta pohamował irytację. Projekt „Dusza” był dla niego święty: to było jego dzieło, a mimo to przewodniczący Rady Prawdy, człowiek, który kazał zwracać się do siebie anonimowym przydomkiem Doktor, w coraz większym stopniu sprawował nad nim kontrolę.

--Co takiego się wydarzyło?

--Jak Waszej Świątobliwości wiadomo, Doktor jest ostrożny. Nie powie mi nic, dopóki nie nabierze większej pewności, ale jest przekonany, że się nie myli. A kiedy jest co do czegoś przekonany, zwykle przynosi to dobre skutki.

Nie mam wątpliwości, że w następnym raporcie poda więcej szczegółów. Ustalę z monsignore Diageo najdogodniejszy termin wprowadzenia danych.

--Dziękuję, Frank.

Kiedy Carvelli się rozłączył, znów zapukał Diageo.

--Wasza Świątobliwość prosił, bym go uprzedził piętnaście minut przedtransmisją.

Accosta wstał. Wyprostował obolale, mierzące przeszło metr osiemdziesiąt ciało, przeciągnął się i odchylił szerokie ramiona do tyłu. Mimo swoich sześćdziesięciu ośmiu lat wciąż był szczupły i w szkarłatnej komży wyglądał imponująco. Poczul przyływ adrenaliny i przygotował się, by przemówić do wiernych z całego świata: milionów wyznawców, którzy już teraz logowali się, by wziąć udział w jego wirtualnej mszy.:

BarleyHall Następnego ranka

ówię ci, Miles, tej nocy znów umarłam -- powiedziała Amber z bladą, ściągniętą twarzą. Fleming zmarszczył brwi.

--Pielęgniarka mówiła, że przyśnił ci się koszmar.

--To nie był koszmar. Ja nie śnię. Ariel miała sny, ja nigdy. Między innymi tym się różniłyśmy. To, co stało się w nocy, było tak rzeczywiste. To była powtórka tego, co przeżyłam, o krok od śmierci na stole operacyjnym. Wtedy, kiedy umarła Ariel.

Ale ty nie umarłaś, Amber. Jestem lekarzem. Znam się na tym.

Siedział za biurkiem w gabinecie i starał się nie zerkać na zegarek. Próba z Robem miała rozpocząć się za niecałe dwie godziny, przed kliniką czekała taksówka, by zawieźć Amber na lotnisko. Tego ranka obudził się wcześniej i, po przebieżce nad rzeką i lekkim śniadaniu, koło siódmej wyszedł z domu. Jego matka i Jake zatrzymali się u niego i umówił się z nimi, że później przyjdą do kliniki, by, jeśli próba wypadnie pomyślnie, Rob mógł z nimi porozmawiać. Był wyjątkowo słoneczny dzień jak na październik,

więc Fleming nie opuścił dachu starego jaguara, nim pomknął przecinającymi mokradła płaskimi drogami do Barley Hall. Pogoda była dobrą wróżbą przed testem Roba, dlatego dotarł na miejsce pełen nadziei. Zamierzał poświęcić kilka pierwszych godzin pracy na przygotowania, Amber jednak pokrzyżowała jego plany.

--Amber, daj spokój, wiem, że ten sen wytrącił cię z równowagi, ale posłuchaj tylko, co mówisz.

--To nie był sen -- upierała się, pocierając płatek ucha.

--No dobrze, opowiedz o tym śnie czy przeżyciu, cokolwiek to było.

--Już ci mówiłam. Opuszczam własne ciało i lecę przez ciemność w stronę jasnego światła. Pędzę tak szybko, że je doganiam. Potem staję się jego częścią. I nagle, jakbym była na elastycznej gumce, zostaję ściągnięta z powrotem, do ciała i życia. To tak, jakby moja dusza skakała na bungee. Inaczej nie potrafię tego opisać.

--I Ariel w tym uczestniczyła?

--To właśnie jest dziwne. Nie widziałam jej, ale czułam więź... trudno to wyjaśnić. Jak magnesy o identycznej polaryzacji, im bardziej usiłowałyśmy się do siebie zbliżyć, tym większa była siła, która nam w tym przeszkadzała. To tak jak z atomami, które przyciągają się, kiedy są blisko siebie, ale odpychają, kiedy próbuje się je połączyć. Byłyśmy jak dwoje ludzi, którzy utknęli w obrotowych drzwiach... ja pchałam w jedną, ona w drugą stronę, a i tak nie było szans, byśmy się spotkały.

Fleming uśmiechnął się ze zrozumieniem: dzięki temu, że dostrzegła związek między migrenami a nieżyjącą siostrą, Amber uruchomiła lawinę tłumionych dotąd wspomnień i uczuć.

--Wygląda mi to na sen, Amber, albo rozbudzone wspomnienie. Od czasu do czasu nachodzą cię myśli o Ariel, zgadza się?

--Tak.

--A wczoraj, kiedy rozmawialiśmy o twoich bólach głowy, skupiałaś się przede wszystkim na niej. Dlatego zrozumiałe jest, że twoja podświadomość...

--To było coś więcej -- przerwała z naciskiem. -- Jakaś jej cząstka szukała mnie, próbowała skontaktować się ze mną, przestrzec przed czymś... -- Zawiesiła głos i zmarszczyła

brwi, jakby dotarło do niej, jak dziwnie zabrzmiały jej słowa. -- Nie miałam wrażenia, że to sen.

--Tak to jest ze snami, Amber. Wczoraj wieczorem Frankie podała ci środek pobudzający, miał pomóc NeuroTranslatorowi w odczycie impulsów nerwowych, a to często rozluźnia podświadomość na tyle, by wywołać sny, nawet te tłumione. Dobrze się stało. Dzięki temu Brian dostanie więcej

materiału do analizy i będzie mógł lepiej zrozumieć, co dzieje się w twojej głowie. Amber, sny mają wielką moc i często wydają się bardziej rzeczywiste niż jawa. Zgodnie z tym, o czym wcześniej mówiliśmy, sugeruję, żebyś wróciła tu za trzy, cztery dni, wtedy dokończymy analizę. Możesz oderwać się na miesiąc od innych obowiązków? Po chwili wahania Amber skinęła głową.

--Tak. Chcę rozwiązać ten problem. Muszę.

--Rozwiążemy go -- obiecał. -- Zaczekamy, aż wrócisz z Kalifornii, i wtedy NeuroTranslator dokończy wstępną analizę. Zrobimy też niezbędne badania pomocnicze, a potem obejrzymy twój mózg podczas fantomowego bólu głowy. Sprawdzę wyniki pierwszego badania, jak tylko będę mógł. Jeśli wykryję coś niezwykłego, od razu cię o tym poinformuję. Zgoda?

--Przemyślisz choć to, co ci powiedziałam?

--Oczywiście. Wnikliwie rozważę wszystkie możliwości. Przyszłaś do mnie, żebym wyleczył twoje fantomowe migreny. Sprawdzę wszystko, co się z tym wiąże. Już teraz jednak mogę cię zapewnić, że istnieje racjonalne medyczne wytłumaczenie. Tak jest zawsze.

Amber /marszczyła czoło wyraźnie nieprzekonana.

--Na pewno?

Tak -- powiedział bez wahania. -- Zawsze..

## Laboratorium Myśli

jedenastej Fleming był już przy łóżku Roba w Laboratorium Myśli. Zebrał się cały zespół. Obok NeuroTranslatora stał Greg Brown, błądy Australijczyk w okularach, który studiował elektronikę komputerową w Sydney i Kalifornii, zanim przyjechał do Cambridge, by objąć stanowisko technicznego asystenta Fleminga i specjalisty od komputerów. Frankie Pinner sprawdzała objawy czynności życiowych Roba na monitorach.

Fleming nachylił się do brata. Sterowany wzrokiem monitor ze słowami został usunięty i Rob mógł tylko mrugać: raz na nie, dwa razy na tak.

--Rob, czy rozumiesz, co zaraz się stanie?

## 63

Mrugnął dwa razy.

Fleming z Brownem od wielu miesięcy kalibrowali Briana tak, by nie tylko wzmacniał i „tłumaczył” fale mózgowe, ale i przetwarzał je na słowa. Przez ostatni miesiąc Rob w ciszy studiował wybrane fragmenty tekstu, a Brian w tym czasie analizował jego procesy myślowe, dopasowywał określone schematy do odczytywanych słów i wychwytywał proste zależności. Fleming liczył na to, że jeśli podłączy urządzenie do syntezy mowy, zdoła przełożyć myśli Roba na żywą mowę. I miało to się stać dziś.

Postanowił nie owijać w bawełnę.

--Jest pewne ryzyko, Rob. Chcę, byś zrozumiał, że choć ta próba nie stanowi dla ciebie bezpośredniego zagrożenia, masz osłabiony organizm, zwłaszcza serce, i wszelki wysiłek może być dla niego zbyt dużym obciążeniem. Możemy przełożyć to na później. Chcę i muszę to jasno powieścić. Nadal chcesz to zrobić?

Oko Roba mrugnęło dwukrotnie.

--Rob, wiesz już, jak to się odbywa -- ciągnął Fleming. -- Przez ekran stymulacyjny przewiną się słowa, wszystkie te, które komputer nauczył się rozpoznawać przez miesiąc ćwiczeń. Powoli, spokojnie pomyśl o każdym słowie, które chciałbyś wypowiedzieć. Skup się tylko i wyłącznie na nim. Wszystko upraszczaj i nie przejmuj się gramatyką. Rozumiesz?

Dwa mrugnięcia.

--Doskonale. -- Fleming zerknął na pozostałych. Frankie sprawdzała monitory czynności życiowych; regularny elektrokardiogram pokazywał równe bicie serca, zapas tlenu był gotowy, przy drzwiach czekała pielęgniarka pomocnicza. Greg stał przy NeuroTranslatorze i obserwował podzielony na dwie części ekran plazmowy.

Górną połowę, ukazującą czynność fal mózgowych Roba, zajmowała siatka pokryta cienkimi poziomymi liniami, drgającymi i wypiętrzającymi się niezależnie od siebie. Przez część dolną, jak napisy końcowe filmu, przewijały się słowa zaczerpnięte z tekstu, który Rob wprowadził do sieci neuronowej Briana w ciągu ostatnich czterech tygodni. Były proste: pomóc, kochać, iść, chcieć, grać, piłka, składały się na słownictwo dziecka trochę młodszego od Jake'a. Każde z nich jednak służyło odbudowaniu zerwanej więzi między Robem a światem.



**Kiedy słowa pojawiały się u dołu ekranu, Fleming widział, jak linie przecinające część górną wypiętrzają się, ukazując kombinację fal mózgowych stanowiącą unikalną sygnaturę myślową danego wyrazu. Nie oderwał wzroku od monitora, dopóki lista nie dobiegła końca.**

U dołu pojawił się komunikat: Programowanie zakończone. Fleming zerknął na Grega i Frankie.

--Wszyscy gotowi?

Skinęli głowami.

Odwrócił się do Roba.

Gotowy? -- Utkwił wzrok w lewym oku brata i czekał na dwa mrugnięcia.

Nie doczekał się.

Zamiast tego usłyszał trzask w dwu głośnikach nad łóżkiem i zauważył kątem oka, że coś mignęło na górnej części ekranu plazmowego. Odwrócił się i w tym samym momencie u dołu monitora wyskoczyło: Tak. Jednak tym, co sprawiło, że włosy zjeżyły mu się na karku, był dobywający się z głośników głos, który wypowiedział to samo słowo: Tak.

Fleming nie ważył się spojrzeć na pozostałych. Nie odrywał wzroku od Roba. Postanowił zadać jeszcze jedno pytanie zamknięte.

--Rob, zgodzisz się, że z nas dwóch to ja jestem przystojniejszy?

Znów nastąpiła przerwa, tym razem dłuższa, i Fleming przez chwilę myślał, że poprzednie „Tak” było tylko dziełem przypadku. Wtedy monitor Briana rozbłysł. Linie na górnej części zadrgały i u dołu pojawiło się słowo. A za nim trzy następne.

--Nie -- powiedział głos z głośników. -- Nie. Nie. Brzydki. W pokoju gruchnęła salwa śmiechu, w którym pobrzmiwała ulga. Czas na otwarte pytanie.

--Możesz mi powiedzieć, jak się czujesz, Rob?

Kolejna przerwa i na dole ekranu pojawiły się trzy słowa. Niemal natychmiast z głośników znów dobył się bezcielesny głos.

--Dobrze. Jest. Rozmawiać.-Łzy pociekły po twarzy Roba i Frankie podeszła bliżej, by je otrzeć. -- Jak. W. Górach. Wolność.

Fleming wyposażył urządzenie w „naturalny” głos, dlatego starannie, słowo po słowie formułowane odpowiedzi Roba nie brzmiały tak mechanicznie jak w syntezatorach mowy starego typu.

--Udało się -- syknął Greg stojący obok Fleminga. -- Udało się, do cholery.

I znów rozległ się trzask, a po nim nastąpiła chwila ciszy.

--Tak. Dobrze. Mówić. Dziękuję. Wam. Dziękuję. Ci. Milo.

--To wspaniale, że mogę cię słyszeć, Rob -- powiedział Fleming. -- Mama i Jake czekają za drzwiami. Czy jest coś, co chciałbyś im powiedzieć, kiedy cię odwiedzą?

Trzask.

--Kocham. Jake'a. Kocham. Mamę. Kocham. Tatę..Kocham. Cię. Milo.

--My ciebie też kochamy. Rob.

--Mówić. Tyle chcę powiedzieć. Ale nie mogę.

--Spokojnie, Rob, bez pośpiechu. Na razie jesteśmy tu tylko we dwóch i możesz mówić, co chcesz. Wiesz o tym. Możesz mówić wszystko. W porządku?

--Przykro z powodu Susan. I Jake'a. Czuję, że zabiłem Susan. Czuję, że skrzywdziłem Jake'a. Miles spojrział w oko brata.

--Rob, to, co się stało, było straszne, ale nie było w tym twojej winy.

Doznałeś udaru pnia mózgu. Nie mogłeś nic zrobić.:

--Nie. Nie. Nie. ••• '.'

--Rob, w żaden sposób nie mogłeś...

Kiedy regularne pikanie elektrokardiogramu zgubiło rytm i przeszło w przeciągły sygnał alarmu, Miles uprzytomnił sobie, że Rob nie zaprzecza, tylko krzyczy z bólu.

--Co się dzieje, Rob? -- spytał z sercem łomoczącym w piersi. -- Mów do mnie, Rob!

W głośnikach rozległy się trzaski i sparaliżowanym ciałem Roba zaczęły wstrząsać drgawki.

--Co się stało, Rob? -- nie ustępował Fleming. -- Powiedz nam!

Cisza, nie licząc niemiłkających sygnałów alarmowych.

Frankie nachyliła się nad Robem i przytrzymała jego rzucające się ciało. W jej spokojnym głosie brzmiała nagła nuta.

--Ciśnienie siedemdziesiąt na trzydzieści. Ciężki oddech. Dostał często skurczu i potrzeba mu tlenu. -- Sięgnęła po maskę i nałożyła mu ją na twarz.

Linia elektrokardiogramu się splaszczyla.

--Naładować elektrody defibrylatora -- poleciła Frankie. Druga pielęgniarka pobiegła po defibrylator. Aparatura podtrzymująca życie migiała i pikala jak szalona.

Frankie wzięła elektrody do rąk.

--Cofnijcie się.

Fleming wbił wzrok w elektrokardiogram, kiedy ładunek prądu przepłynął przez sparaliżowane ciało brata, lnic.

Frankie próbowała znowu. Linia pozostała płaska.

I jeszcze raz.

Linia spiętrzyła się gwałtownie, by zaraz znów się splaszczyc.'

Pielęgniarka podjęła czwartą próbę.

Wtedy Fleming usłyszał trzask z głośników, a potem trzy wyraźnie wypowiedziane słowa, na których dźwięk serce zamarło mu w piersi

--Tnij. Linę. Milo.

W tej chwili znów był z bratem na Eiger i patrzyli na Billy'ego Frencha. „W obliczu śmierci człowiek jest pełen życia, jak nigdy. Ale kiedy zmusza się go, by żył wbrew sobie, to gorsze niż śmierć. Dlatego w razie czego pozwól mi odejść. Tego właśnie chciałbym. Chwila bólu to nic takiego, trochę strachu, a potem pustka”.

Fleming wpatrywał się w elektrokardiogram, który po czterech próbach przywrócenia bicia serca uporczywie pozostawał płaski.

--Rob, powiedz coś.

--Tnij. Linę. Milo-powtórzył brat. •',":.-;:!!

--Adrenalina! -- warknęła Frankie na młodą pielęgniarkę nieporadnie zdejmującą folijkę z hermetycznie zamkniętego opakowania. Wyszarpnęła je z jej rąk i sama zerwała folijkę. Wzniosła strzykawkę ze środkiem pobudzającym jak sztylet i przygotowała się, by wbić igłę przez klatkę piersiową prosto w serce Roba.

Zanim zdążyła opuścić rękę, Fleming złapał ją za nadgarstek.

--Co ty robisz?!

--Daj mu odejść -- powiedział łagodnym tonem. Oczy piekły go od łez. -- Daj mu odejść.

--Ależ, Miles -- zaprotestowała Frankie -- on...

--Daj mu odejść -- powtórzył wpatrzony w elektrokardiogram i wsłuchany w monotony dźwięk alarmu.

Nawet nie wiedział, jak długo tak stali, zanim wreszcie puścił rękę Frankie; powiedziała cicho:

--Odszedł.

Pielęgniarki i Greg patrzyli na Fleminga, a on czuł, jak coś w nim gaśnie. Kilka minut temu był świadkiem niezwykłego przełomu, a teraz wszystko diabli wzięli. Nie tak miało być. Miał pomóc Robowi przemówić, a potem, z czasem, przywrócić go do pełnej sprawności. Miał ochronić i uratować brata, tak jak brat po wielokroć ratował go w górach. Nie powinien stanąć z boku i pomóc mu umrzeć.

Wbił wzrok w Roba leżącego na łóżku. Wyglądał, jakby spał, ale kiedy Fleming przyjrzał mu się uważniej, stwierdził, że brat stał mu się zupełnie

obcy. Zwłoki wyglądały jak Rob, ale jednocześnie inaczej, tak jakby istota Roba je opuściła. Spojrzał na zegarek i przełknął ślinę.

--Czas zgonu jedenasta pięćdziesiąt osiem. -- Przez następnych kilka minut zespół w milczeniu porządkował sprzęt, a Fleming zbierał siły, by przekazać matce i Jake'owi złą wiadomość, wiadomość, z którą sam się jeszcze nie pogodził. Przez cały czas powtarzał sobie w duchu, że Rob przynajmniej uwolnił się od bólu. Tam, dokąd odszedł, cierpienie nie będzie miało do niego przystępu.

Odwracał się już do wyjścia, gdy nagle znieruchomiał. Z głośników NeuroTranslatora dobiegły trzaski. Szum był głośniejszy niż wcześniej, a głos brzmiał inaczej, niewyraźnie, jakby występowały zakłócenia.

--Milo. Pomóż braciszku. Długo nie wytrzymam. Spadam. Wyciągnij mnie.

Flemingowi zaschło w ustach, ale siłą woli zachował spokój. Jak to się mogło stać? Co on zrobił?

--Rob, co się dzieje? -- Spojrzał na Frankie, szukając w niej oparcia, ale ona sprawdzała wskazania monitorów.

Trzask stał się jeszcze głośniejszy.

--Spadam. Nie utrzymam się. Obiecuj że zaopiekujesz się Jakiem -- powiedział głos.

--Obiecuję -- wydyszał Fleming. -- Ale trzymaj się, jeszcze cię nie straciliśmy.

Głos był coraz gorzej słyszalny, za to mówił bardziej płynnie. Fleming zerknął na górną połowę ekranu NeuroTranslatora i zauważył, że wszystkie fale mózgowe zniknęły bez śladu. Zastąpił Grega przy pulpicie sterowniczym i gorączkowo przesunął obraz w dół, ale wszędzie widział tylko płaskie linie wskazujące na brak aktywności mózgu. Dopiero gdy przewinął obraz do góry, zobaczył sygnał fali mózgowej na najwyższym krańcu widma częstotliwości.

--Boże braciszku. Pomóż mi. Nie jest dobrze. Jest tu coś złego. Muszę powiedzieć...

--Co chcesz mi powiedzieć, Rob? -- spytał Fleming z rozpaczą. -- Jak mogę ci pomóc?

Przerywany trzaskami, coraz bardziej przejęty głos zaczął zanikać. -- Nie... Pomóż... Musisz... Ważne... Niebezpieczne... Opiekuj się Jakiem... Mrożące krew w żyłach słowa przeszły w szum, a potem zapadła cisza.

--No, Rob -- wychrypiał Fleming ustami zaschniętymi na wiór. -- Mów do mnie.

Odwrócił się do Frankie i zobaczył, że wpatruje się w zegarek. Kiedy podniosła głowę, jej zwykle rumiane policzki były trupio blade, a oczy okrągłe jak talerze.

--On już dawno nie żyje, Miles -- szepnęła. -- Straciliśmy go po pierwszym ataku, nie odzyskał przytomności nawet na chwilę.

--To niemożliwe! Skąd wzięły się jego ostatnie wołania o pomoc?

--Jeden Bóg wie -- powiedziała Frankie. -- Ale twój brat od sześciu minut jest w stanie śmierci klinicznej.

**Okręg Marin, Kalifornia Następnego dnia**

amolot wylądował późną nocą i Amber wróciła do swojego domu w Pacific Heights. Kiedy obudziła się następnego ranka, był typowy dla Kalifornii pogodny dzień. Jasno świecące słońce i ciepła bryza znad zatoki przegnały chłód, jaki przenikał ją na wspomnienie snu o własnej śmierci. Wsiadła do mercedesa i pojechała przez most Golden Gate do okręgu Marin, gdzie znajdowało się hospicjum Kościoła Prawdy Duchowej.

Dyżurująca w zalanej słońcem recepcji zakonnica w szkarłatnym habicie była energiczna i rzeczowa.

--Pani mama bierze teraz kąpiel, doktor Grant -- powiedziała. -- Proszę poczekać w pokoju dla gości, zawołam panią, kiedy będzie gotowa.

Amber zauważyła z zadowoleniem, że podłoga hospicjum wyłożona jest nowym linoleum, a ściany zostały niedawno pomalowane; zawdzięczała Gillian Grant więcej niż rodzonej matce i ilekroć miała wyrzuty sumienia, że płaci za opiekę nad nią innemu Kościołowi, przypominała sobie, że to hospicjum przejęte przez Kościół Prawdy Duchowej od Kościoła katolickiego jest najlepsze w okolicy.

Jak wiele innych instytucji katolickich na całym świecie także i ono zaczęło podupadać, kiedy rozłamowy Kościół Prawdy Duchowej błyskawicznie

## 69

zyskał na popularności. Dawniej tymi korytarzami chodziły zakonnice w czarnych habitach, teraz wszystkie siostry nosiły szkarłaty. Hospicjum zapewniało najlepszą opiekę, na jaką można było liczyć, i znajdowało się w pięknym otoczeniu. Każdy z mieszkańców miał własny pokój i dostęp do wspólnego basenu, restauracji i wspaniałego ogrodu, który zachwyił jej matkę.

Przed pięcioma laty, po śmierci ojca Amber chciała, by Gillian zamieszkała z nią, matka jednak nie chciała być dla niej ciężarem i wyrzec się niezależności. Kiedy zachorowała, poprosiła, by umieścić ją tutaj, w miejscu, gdzie mogła mieć wszystko, co jej potrzebne: całodobową, profesjonalną opiekę i własny kąpiel.

Zdjęcie Czerwonego Papieża patrzyło na Amber ze ściany. Nawet na fotografii był pełen charyzmy. Miał kształtny, orli nos, subtelnie rzeźbione kości policzkowe i gładką, oliwkową cerę, dzięki której nie wyglądał na swoje sześćdziesiąt osiem lat. Na głowie nosił szkarłatną piuskę pasującą do pięknych szat i wiszącego na piersi krucyfiksu na złotym łańcuchu. W pokoju wisiało też zdjęcie wspaniałego czerwonego statku z lśniąca białą nadbudówką zaprojektowaną na wzór gotyckiej katedry; była to słynna Czerwona Arka, tak zwany Pływający Watykan, który bez bandery okrążył świat w niekończącej się pielgrzymce. To z pokładu Czerwonej Arki Czerwony Papież głosił Słowo Boże w pierwszym w dziejach elektronicznym kościele. Stojący w kącie pokoju telewizor ze ściszonej dźwiękiem pokazywał Czerwonego Papieża odprawiającego internetową mszę. U dołu ekranu przewijał się migający komunikat: Weź udział we mszy on-line: [www.RedArk/Church\\_Soul\\_Truth.com](http://www.RedArk/Church_Soul_Truth.com).

Za krzesłem po lewej stronie znajdowała się półka z trzema nieużywanymi WebCruiserami KREE8. Były to standardowe bezprzewodowe kaski z trójwymiarowym ekranem, słuchawką, mikrofonem i płytką zapachową. Napis na półce zachęcał Amber: Wejdz

**na pokład Czerwonej Arki i weź na żywo udział we mszy z Czerwonym Papieżem. Nałożyła kask, wsunęła do uszu otulone pianką słuchawki i przechyliła ku sobie płytkę zapachową.**

**Najpierw zobaczyła stronę tytułową i zmontowany w stylu MTV film o Czerwonym Papieżu.**

**--Uznając cudowne ocalenie za znak, by skupić całą swoją energię i pasję na sprawach duchowych -- mówił głos lektora- kardynał Xavier Accosta został księdzem katolickim i szybko pisał się w hierarchii, aż wezwano go do Rzymu, do Stolicy Apostolskiej. W wieku pięćdziesięciu czterech lat Jego Świątobliwość należał już do najbardziej wpływowych**

postaci Kościoła katolickiego, jako jeden z tak zwanych Trzech Papieży Rzymu.

Urzędujący papież zwany jest Białym Papieżem, general zakonu jezuitów Czarnym Papieżem, a Wielki Inkwizytor, którą to funkcję w owym czasie pełnił kardynał Accosta, to Czerwony Papież. Kościół katolicki pogrążony był w głębokim kryzysie, zmuszony walczyć o przetrwanie w obliczu korupcji, mizoginizmu i skandali trawiących kurię i liczne diecezje na całym świecie.

Jego Świątobliwość był orędownikiem wielu szeroko zakrojonych reform; opowiedział się między innymi za przyznaniem kobietom większego prawa głosu w Kościele, zniesieniem celibatu i zmianą celu działalności Instytutu Cudów, który jego zdaniem zamiast uwiarygadniać rzekome cuda, winien skupić się na szukaniu dowodów Bożej interwencji przy wykorzystaniu dostępnej technologii. Jednak reakcyjna prawica i jej marionetkowy papież uporczywie blokowali wszystkie propozycje.

Po śmierci schorowanego papieża kardynał Accosta nie mógł dłużej milczeć. Jako jeden z nielicznych członków Kolegium Kardynalskiego, którzy nie skończyli siedemdziesięciu lat, był papabile i cieszył się dużym poparciem. Gdyby został papieżem, mógłby uczynić Kościół wielką duchową siłą. Wiedział, że tego właśnie chce Bóg.

Los jednak chciał inaczej. Inni kardynałowie bali się jego ambicji i dążenia do radykalnych reform. Wybrali swojego popiecznika, by zachować status quo. Jego Świątobliwość nie mógł dłużej milczeć i został zmuszony do tego, by zaatakować własny Kościół i domagać się drastycznych zmian niezbędnych dla jego przetrwania. Był zbudowany poparciem, jakie uzyskał w Kościele i poza nim, między innymi od wpływowej świeckiej organizacji Opus Dei. Ostatecznie nowy papież wezwał go do siebie i obłożył ekskomuniką.

Amber wysłuchała opowieści o tym, jak w ciągu następnych sześciu miesięcy zebrano się przy nim szerokie grono wpływowych, majątnych zwolenników, którzy pomogli mu powołać do życia pierwszy w dziejach elektroniczny Kościół -- Kościół Prawdy Duchowej -- i jak Accosta zachował wiele elementów tradycyjnego ceremoniału, kiedy obwołał się Czerwonym Papieżem.



Material kończył się triumfalnymi scenami ze światowej pielgrzymki Czerwonej Arki zilustrowanymi wyjaśnieniem lektora, jak doszło do tego, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat elektroniczny Kościół Accosty stał się tym, czym był dziś: ważną, integralną częścią świata współczesnego korzystającą z nowoczesnej technologii i otwartą na nowe idee.

U dołu wirtualnej strony tytułowej widniała instrukcja: Wciśnij guzik w kasku, by wziąć udział w mszy.

Zrobiła to i została natychmiast przeniesiona do alternatywnej rzeczywistości. Nie była już w pokoju dla gości hospicjum ani nie oglądała filmu, tylko siedziała w pierwszym rzędzie surrealistycznego amfiteatru. Kiedy odwracała głowę, mogła zobaczyć innych wiernych tak wyraźnie, jakby była wśród nich. Wręcz czuła dotyk materiału płaszcza kobiety obok. Z przodu dobiegał głęboki głos Czerwonego Papieża, tak dobrze słyszalny, jakby była pół metra od niego.

--Technologia nie musi być sprzeczna z wiarą- mówił jakby w odpowiedzi na czyjeś pytanie. -- To Einstein powiedział, że religia bez nauki jest ślepa, a nauka bez religii chroma. Nauka powinna wspierać wiarę i zmieniać ją w coś o wiele potężniejszego. Nie tylko wiedzę, ale coś o wiele ambitniejszego. Prawdę.

Czerwony Papież siedział na prostym krześle ustawionym na podwyższeniu. Nieformalna oprawa kojarzyła się Amber bardziej z telewizyjnym talk-show niż ze sztywną mszą kościelną, ale to między innymi dlatego Kościół Czerwonego Papieża cieszył się tak dużą popularnością i wśród młodych, i wśród starszych ludzi. Ta mieszanka charyzmatycznego przywództwa, klarownych religijnych wartości i nowoczesnej technologii robiła wrażenie na wszystkich. We mszach często uczestniczyły gwiazdy filmowe, słynni muzycy rockowi i czolowi politycy z całego świata. Wszyscy rwali się do tego, by ogrzać się w ciepłe sławy Kościoła.

Amber usłyszała, jak ludzie wokół niej pociągają nosami i szurają nogami, i poczuła zapach kadzidła. Objęła wzrokiem filary i łuki sięgające bezchmurnego nieba. Miała wrażenie, że jest nie na ziemi, lecz w jakiejś niebiańskiej świątyni. Jak okiem sięgnąć, widać było bezkresne morze wiernych, tych wszystkich, którzy jak ona uczestniczyli we mszy wirtualnie -- w sieci.

Po jej lewej stronie w powietrzu unosił się numer, który przewijał się jak taksometr. Przedstawiał liczbę osób uczestniczących we mszy przez Optinet i oglądających ją w stacjach telewizyjnych, które nabyły prawa do transmisji. Jeśli był zgodny z prawdą, Czerwony Papież przemawiał w tej chwili do przeszło pięciuset milionów ludzi na całym świecie: w czasach swojej świetności Kościół

rzymskokatolicki miał ledwie dwa razy więcej wiernych. Kościół Prawdy Duchowej zdążył już zgromadzić ponad półtora miliarda zwolenników.

Amber zauważyła kątem oka czerwone światełko, powiadamiające o wezwaniu ze świata rzeczywistego, i poczuła, że ktoś położył jej dłoń na ramieniu. Zdjęła kask i odwróciła się do stojącej za nią zakonniczki.

--Doktor Grant, mama może już się z panią zobaczyć.

iedy Amber weszła do pokoju 21 na pierwszym piętrze, jej matka siedziała w wózku inwalidzkim. Miała delikatne siwe włosy, świeżo umyte i uczesane. Drzwi balkonowe wychodzące na otoczony murem taras były otwarte i lekki podmuch poruszał przezroczytymi zasłonami. Po kąpieli, w rozproszonym świetle słonecznym, nie wyglądała na chorą. Choć strasznie chuda, miała zaróżowione policzki i błyszczące oczy. Właściwie nie widać było śladów raka toczącego jej organizm.

Na stoliku przy łóżku stały trzy fotografie w ramkach. Pierwsza przedstawiała uśmiechniętych rodziców Amber na plaży. Na drugiej były Amber i Ariel jako małe dziewczynki ubrane w identyczne niebieskie sukienki. Trzecia pokazywała całą rodzinę przed Bazyliką Świętego Piotra w Rzymie, w towarzystwie ojca chrzestnego Amber, papieża Petera Rigi, stojącego nieco z boku, z rękami założonymi za plecy.

Twarz matki rozjaśniła się, kiedy Amber weszła do pokoju i wzięła ją w objęcia.

--Amber, jak się czujesz? Słyszałam o twoich migrenach w telewizji.

Czemu nic wcześniej nie mówiłaś?

Amber wzruszyła się, że chora matka tak martwi się jej zdrowiem.

--Nie chciałam cię niepokoić, mamo, a poza tym czuję się dobrze. To nic takiego. -- Usiadła obok matki. -- Umówiłam się dziś z papą Pete'em na kolację. Mówił, że niedawno był u ciebie.

Gillian Grant skinęła głową.

--Powspominaliśmy stare czasy i zdjął mi z piersi ogromny ciężar, kiedy pochwalił moją decyzję, by tu zamieszkać. -- Przerwała. -- Ale coś cię gnębi, ja to wiem. O co chodzi?

Amber westchnęła i powiedziała Gillian wszystko -- o bólach głowy, Milesie Flemingu, NeuroTranslatorze, swoim śnie,

--Najdziwniejsze jest to, że mam wrażenie, że Ariel próbuje mi coś powiedzieć. Tak, jakby od śmierci była w mojej głowie.

Jej matka się uśmiechnęła.

--To wcale nie takie dziwne, Amber. Ariel jest też stale obecna w moich myślach. Twoja siostra i twój ojciec żyją we mnie. A kiedy odejdę ja, będę żyła w tobie. Jesteśmy sumą naszych relacji z innymi. W miarę jak zbliża się koniec, nabieram coraz większego przekonania, że to wszystko, czym jesteśmy.

Amber chciała wyjaśnić, że to nie takie proste, ale odpuściła sobie, bo doszukała się w słowach matki głębszego sensu. Świat kwantów opierał się na relacjach i powiązaniach między cząstkami elementarnymi: czemu świat ludzi miałby być inny?

--Musisz wrócić do Anglii, by wyleczyć te migreny? -- spytała matka.

Tak, na jakiś miesiąc. -- Amber zmarszczyła brwi. -- Ale martwię się o...

Gillian zbyła ją machnięciem ręki.

--A czym tu się martwić? Musisz tam pojechać. Nie przejmuj się mną.

Będę tu, kiedy wrócisz. Lekarze dają mi jeszcze rok, więc lepiej, byś to załatwiła jak najszybciej. -- Wzięła Amber za rękę i ścisnęła mocno. -- Jestem strasznie dumna z ciebie i z

twoich osiągnąć, ale może te bóle głowy to szczęście w nieszczęściu. Szansa, byś przestała obwiniać się o to, co spotkało Ariel, i zaczęła żyć swoim życiem. Ariel chciałaby, żebyś była szczęśliwa. Zawsze się tobą opiekowała i czułaby się źle z myślą, że sprawia ci ból. Zostaw sprawy własnemu biegowi. Amber odchyliła się na oparcie krzesła, czerpiąc siłę z miłości i mądrości matki. Ciężko będzie bez niej żyć. Choć trudno było myśleć o śmierci, gdy Gillian tak tryskała energią.

Później wyszła z nią na dwór i pchała jej wózek po ogrodzie, gdzie snuły wspomnienia, robiły plany.

W porze lunchu zawiozła Gillian z powrotem do pokoju i pomogła jej przejść do łóżka. Na pożegnanie pocałowała ją w czoło, tak jak mama całowała ją i Ariel, kiedy były małe. Zanim odwróciła się do wyjścia, znieruchomiała, by zatrzymać w myślach kojący obraz matki śpiącej w słońcu wpadającym przez cienkie zasłony, zza których wylaniał się porośnięty zielenią taras.

Zachowując w pamięci tę pogodną scenę, nie mogła przewidzieć nadciągającej burzy. Ani wiedzieć, że już nigdy nie zobaczy matki w tym cichym, słonecznym pokoju.

Pacific Heights Pięć godzin później

--Chodzi o to, papo Pete, że nie sędzę, by to, co przeżyłam, było snem.

--A to czemu? Skoro pod wpływem rozmowy z doktorem Flemingiem myślałaś tylko o Ariel, no to nie ma cudów, to musiał być sen. -- Lata spędzone w Towarzystwie Jezusowym zładowały nowojorski akcent ojca Petera Rigi, ale nie zatary go w zupełności.

Amber siedziała z ojcem chrzestnym w swojej przestronnej kuchni. Ubrany na czarno, o mocno kręconych siwych włosach i przenikliwych niebieskich oczach, wyglądał na zmęczonego, ale wiecznie młodego człowieka. Amber odesłała gosposię do domu i sama upichciła jego ulubione żeberka i spaghetti. Teraz siedzieli nad pustymi talerzami i pili barolo przywiezione przez niego z Włoch. Amber opowiadała mu swój sen.

--Papo Pete, ja nigdy nie śnię. Pamiętasz? Ariel miała sny, a ja nie, to była jedna z różnic między nami. To, co stało się tamtej nocy, bardziej przypominało mi tamto dziwne przedśmiertne doświadczenie, które miałam podczas operacji. Czułam, że to nie sen.

--A więc co?

--Tego właśnie chcę się dowiedzieć. Pamiętasz, jak mi mówiłeś, jaka była twoja pierwsza myśl, kiedy zobaczyłeś mnie i Ariel w szpitalu w Sao Paulo, po tym, jak porzucili nas rodzice?

Upił łyk wina i skinął głową.

--Jasne. Choć lekarze nazwali was jednym biologicznym organizmem, ja widziałem dwie oddzielne dusze. -- Jego oczy zwężyły się w szparki. -- Do czego zmierzasz, Amber?

Nie wiedziała, jak sformułować swoje na pozór nedorzeczne pytanie.

--Miles Fleming powiedział, że noszę w sobie cząstkę żywego mózgu martwej osoby. Czy to możliwe, bym miała też jej duszę?

Riga spochmurniał i zakręcił kieliszkiem.

--A jeśli dusza Ariel nie mogła umrzeć, bo część jej mózgu wciąż żyje we mnie? A jeśli po tych wszystkich latach wywołuje sny i bóle głowy, by nawiązać ze mną kontakt, skłonić mnie, żebym ją uwolniła?

Bruzdy na jego czole się pogłębiły.

--Papo Pete? Powiedz coś. Zdaję sobie sprawę, że to brzmi absurdalnie, ale muszę wiedzieć, co myślisz.

--Dziecko moje, nie wiem, co powiedzieć. To nie jest pytanie, na które potrafię szybko znaleźć odpowiedź. Przez lata swojej posługi widziałem

zbyt wiele rzeczy, by to zrobić... zwłaszcza biorąc pod uwagę to, jak wyjątkowa więź łączyła ciebie i Ariel. Dawni filozofowie, aż do Karte-zjusza, byli przekonani, że ludzka świadomość, bądź dusza, mieści się w mózgu. -- Riga postukał się w głowę. -- Nawet podali, gdzie dokładnie. W szyszynce. Ale to, co powiedziałaś, jest tak... niezwykle, że nie mogę na gorąco udzielić żadnej religijnej, filozoficznej czy racjonalnej odpowiedzi. Muszę to przemyśleć. -- Odchylił się na oparcie krzesła. -- Naprawdę sądzisz, że Ariel jakimś cudem żyje? Co mówi ten doktor Fleming? Amber wzruszyła ramionami.

--Jest bystry i polubiłam go, lecz to naukowiec i teoria niezbyt go interesuje. Szuka praktycznych rozwiązań, unika rzeczy, których nie potrafi wyjaśnić, a już na pewno nie wierzy w życie pozagrobowe. Obiecał, że wszystko dokładnie sprawdzi, kiedy wrócę, wiem jednak, że uważa, iż po prostu coś mi się przyśniło.

--Czasem dobrze być praktycznym -- stwierdził Riga. -- Słuchaj, Amber, jutro wracam do Rzymu. Jeszcze to wszystko przemyślę. Na razie zobacz, co powie Fleming, i zadzwoń, jak będziesz coś wiedziała. Jestem pewien, że istnieje racjonalne medyczne wytłumaczenie.

--Mam nadzieję -- powiedziała Amber i podsunęła mu butelkę wina. Nakrył kieliszek dłonią.

--Ja już dziękuję. Głowa mnie nagle rozbolała.

**Optrix Industries Następnego dnia**

ankiem Amber już z większym optymizmem jechała przez most Bay do siedziby głównej Optrixu w Berkeley. Rozmowy z matką i papą Pete'em utwierdziły ją w przekonaniu, że Fleming ze swoim NeuroTrans-latorem znajdzie racjonalne wyjaśnienie jej problemu.

Jednak kiedy siedziała w odizolowanym od świata wnętrzu mercedesa, wcale nie wydawało jej się takie nieprawdopodobne, że jakiś ślad Ariel, postać falowa jej metafizycznej świadomości, może wciąż pozostawać

we wspólnej części ich mózgu. Choć nie do końca potrafiła to wyrazić słowami, Amber wciąż sądziła, że jej migreny mogą być objawem głębszej niemocy i że aby ją wyleczyć, Fleming będzie musiał zrobić coś więcej, niż tylko odczynić fantomowy ból przy użyciu NeuroTranslatora. Będzie musiał zrozumieć naturę więzi, która łączyła ją z Ariel.

Kiedy dodała gazu i most Bay zaczął oddalać się w lusterku wstecznym, wyrosła przed nią ciemna szklana wieża Optrix Industries, lśniąca jak kolumna z wypolerowanego hebanu. Podjeżdżając do ogromnej bramy, Amber odwróciła się do czarnej granitowej płyty przy wartowni. Wytrawione w niej srebrne litery układały się w napis:

**Optrix Industries**

## **Centrum badań optoelektronicznych**

**Niech stanie się światłość**

Strażnik wpuścił ją i zatrzymała wóz przy jednej z dwu kolumnad osłoniętych przed promieniowaniem ultrafioletowym, które pozwalały wejść do budynku bez wystawiania się na światło słoneczne. Rozejrzała się po parkingu i wypatrzyła znajomego przerobionego czarnego lexusa z przyciemnianymi szybami.

Weszła do holu głównego, stukając obcasami w wypolerowany marmur, i przywitała się ze strażniczką dyżurującą w recepcji.

--Miło znów panią u nas widzieć, doktor Grant. Mam nadzieję, że czuje się pani lepiej.

--Zdecydowanie tak, dzięki, Irene.

Weszła do pierwszej windy i wcisnęła guzik ostatniego piętra. Kiedy drzwi się rozsunęły, ruszyła lukowatym korytarzem do swojego biura, gdzie czekała już sekretarka, wysoka, energiczna kobieta z krótkimi jasnymi włosami.

--Doktor Grant, jak się pani czuje?

--Dobrze, dziękuję, Diane. Jakieś pilne wiadomości?

--Dzwonił profesor Mortenson z głównego laboratorium, by powiedzieć, że mają kłopoty z pikselami optycznej pamięci Lucyfera. -- Diane zajrzała do trzymanego w dłoni elektronicznego notesu. -- Mówi, że pary elektron-dziura okazały się niestabilne. Nie pozostają rozdzielone tak długo, jak powinny w temperaturze pokojowej.

Amber zmarszczyła brwi. Mortenson był jednym z najstarszych fizyków, ale jak wielu członków jej zespołu, wykazywał zbyt małą inicjatywę. Owszem, jako pracoholiczka, która wtrącała się do prac na każdym ich etapie, po części sama się do tego przyczyniła. Mimo to uznała, że pora nauczyć ludzi większej samodzielności.

--Powiedz mu, żeby jeszcze raz zmierzył proporcje arsenku galu i arsen

ku glinu w półprzewodniku i przy okazji sprawdził poziomy energetyczne fotonów. Jeśli to nic nie da, poproś, by zaproponował inny sposób rozwiązania problemu. -- Podala Dianę cienkajak broszura aktówkę. -- Mogłabyś położyć to na moim biurku? Muszę iść do Bradleya.

Z uwagi na swoją przypadłość Bradley Soames spędzał większość czasu z dala od prażącego słońca Kalifornii, w siedzibie swojej fundacji VenTec na Alasce. Była to firma typu private venture, która opracowywała nowatorskie rozwiązania dla wyspecjalizowanych klientów. Codzienne zarządzanie Optriksem właściwie pozostawił w rękach Amber.

Dokładne położenie siedziby VenTecu, znajdującej się na północ od koła polarnego, było pilnie strzeżoną tajemnicą. Kiedy Amber przebywała tam przed dziesięcioma laty -- kierowała wówczas zespołem specjalnym pracującym nad komputerem optycznym -- nigdy nie poznała dokładnych współrzędnych tego miejsca. Choć często tam bywała, nawet teraz miałaby kłopoty ze wskazaniem go na mapie. Ponieważ niewielu wybitnych naukowców gotowych było przez dłuższy czas pracować na Alasce, nawet dla Soamesa, Opatrix zorganizował główne laboratorium badawcze tu, nad Zatoką San Francisco. VenTec był tylko dodatkiem.

Po wyjściu z biura Amber obeszła wokół ostatnie piętro i minęła gabinety dyrektora finansowego, kierownika działu personalnego i dyrektora handlowego, którzy wraz z nią tworzyli zarząd nadzorujący interesy handlowe Opatriksu na całym świecie. Z jej i ich gabinetów roztaczał się malowniczy widok na okolice zatoki, biuro Soamesa zaś mieściło się pośrodku zaprojektowanego na planie okręgu piętra i nie miało okien. Od świata zewnętrznego dzieliło je dwoje drzwi.

Amber знаła procedurę i zamknęła pierwsze drzwi, nim zapukała do drugich. Otworzyły się i recepcjonistka Bradleya z uśmiechem wpuściła ją do poczekalni.

--Dzień dobry, doktor Grant -- powiedziała. -- On już czeka na panią.

Proszę, niech pani wejdzie.

Amber otworzyła drzwi z ciemnego matowego szkła i wyszła na korytarz opadający spiralnie ku gabinetowi Soamesa. W miarę jak schodziła coraz niżej, światła stopniowo przygasaly, by jej oczy mogły oswoić się z mrokiem panującym w jego kryjówce. Gabinet był okrągły. Na obitych miękkim materiałem ścianach nie wisały żadne obrazy, nie było też okien. W filtrowanym powietrzu wisiał lekki zapach lekarstw. W głębi pomieszczenia stały kanapa i przeszklona szafa chłodnicza z coca-colą.

Soames siedział odchyłony na krześle, z nogami w tenisówkach na półkolistym biurku zajmującym środek gabinetu, otoczony monitorami pozwalającymi mu stale mieć oko na jego światowe imperium. Ubrany był w jasnoszary jednoczęściowy kombinezon z kapturem i rękawicami. Kiedy jak teraz przebywał w pomieszczeniu, bezpieczny od światła słonecznego, zdejmował kaptur i rękawice, ukazując zryte bliznami, piegowate dłonie.

Za jego plecami Amber widziała w mroku dwa duże kształty leżące na podłodze; patrzyły na nią żółtymi ślepiami. Soames przywiózł z Alaski dwa wilki. Przygarnął je, kiedy były jeszcze szczeniakami, by dotrzymywały mu towarzystwa; ich nocny tryb życia sprawił, że dostrzegł w nich bratnie dusze. W Opatriksie wszyscy nazywali je „cieniami”, bo były ciche, szare i nie odstępowały Soamesa na krok. On sam mówił do nich jakimś dziwnym gardłowym językiem, którego Amber nie rozumiała. Traktował je jak zwierzęta domowe i przekonywał ją, by odnosiła się do nich tak samo, ona jednak kiedyś czytała, że nie należy tulić wilka ani zapominać, że jest dzikim stworzeniem. Wystarczyło spojrzeć w ich świecące, szeroko otwarte ślepia, by stwierdzić, że była to dobra rada-

Większy wilk zerknął na nią i się odwrócił. Amber przeniosła wzrok na Soamesa.

Wyglądało na to, że jeszcze jej nie zauważył. Właśnie mówił do mikrofonu, obserwując monitory i czytając „Wall Street Journal”. Bez przerwy mrugał oczami.

--Marty, nic mnie to nie obchodzi, Matrix musi pójść z nami na współpracę, jeśli chce przetrwać. Widziałeś, co stało się z procesorami Intela i Windowsami po wejściu Lucyfera na rynek. Teraz to samo dzieje się z siecią. Cały Internet przechodzi na postać optyczną, kurde, już nazywają go Optinetem. I w większości oparty jest na technologii Opatriksu, Marty. Żyjemy w erze światła. Przesyłanie danych z prędkością światła, o to w tym wszystkim chodzi. Matrix musi współpracować z nami na naszych warunkach albo dalej będzie tkwić w średniowieczu i padnie.

Przez chwilę stała i patrzyła na jego bladą twarz, niepokojące niebieskie oczy i złote włosy. Wielu czuło się nieswojo w obecności Soamesa. Ona nie. Nigdy nie darzyła go wielką sympatią i nie uważała za przyjaciela -- ludzkie uczucia były mu zbyt obce, by mógł wiedzieć, czym jest przyjaźń -- ale jej własne doświadczenia z lat dziecińczych sprawiły, że widziała w nim pokrewną duszę. Poza tym możliwość obcowania z jego intelektem była przywilejem i inspiracją. Współpraca z nim nadała treść jej życiu, pozwoliła znacząco wpływać na losy świata.

--Nie, Marty, bez dyskusji -- rzucił Soames do słuchawki. -- Przemysł to. Na razie. -- Wcisnął guzik w jednym z monitorów, przerywając połączenie, i odwrócił się do Amber z szerokim uśmiechem. -- Jak poszło?  
--Zanim zdążyła odpowiedzieć, dodał: -- Słyszałaś? Komitet Noblowski wreszcie postanowił przyznać mi nagrodę z fizyki, ale powiedziałem, że jej nie chcę. Nie potrzeba mi pieniędzy, a tym bardziej aprobaty tej bandy starych miernot.

Nie czekając na jej reakcję, zmienił temat. Wyciągnął spod biurka coś, co wyglądało jak karta kredytowa.

--Spójrz na ten optyczny prototyp, który skonstruowali w VenTecu.

Faks, EV-mail, wideofon, bezprzewodowe połączenie z Optinetem, moc obliczeniowa standardowego komputera, a wszystko to mieści się w dłoni.

**Super, co?**

**Nie spuszczając wilków z oka, wzięła od niego urządzenie i usiadła.**

**--Świetna rzecz... nie wiedziałam, że pracowałeś nad czymś takim.**

**Soames już na nianie patrzył. Znów zajął się przeglądaniem gazety.**

**--Musimy pogadać o chińskiej inicjatywie. Wiem, że VenTec może skonstruować prosty komputer optyczny, na tyle tani, by było na niego stać wszystkie tamtejsze rodziny...**

**Amber westchnęła ciężko. Czula się, jakby miała do czynienia z dzieckiem -- genialnym, wpływowym, nieobliczalnym, ale mimo to tylko dzieckiem.**

**--Bradley -- ucięła podniesionym głosem -- zejść na chwilę na ziemię i skup się. -- Zaczekała, aż spojrzy na nią. -- Dopiero wróciłam z kliniki.**

**--Wiem -- powiedział. Uśmiechnął się lekko i pod pokrytymi bliznami wargami ukazały się idealnie białe zęby kontrastujące z resztą twarzy. -- Dowiedziałaś się czegoś?**

**--Nie, skąd. Na razie mam za sobą tylko wstępne badanie. W każdym razie, nie myliłeś się co do Milesa Fleminga. Rzeczywiście jest bystry. Jak poszedł dalszy ciąg prezentacji soft-screenu Lucyfer?**

**--Świetnie, to znaczy, jak już wszyscy przestali się o ciebie martwić. Tego samego wieczoru musiałem wracać do VenTecu, ale publiczność była pod wrażeniem. Mniejsza z tym. Ciekaw jestem, jakie są pierwsze wnioski Fleminga.**

**--Na razie nie wiem. Muszę pojechać tam na dłużej. Na miesiąc.**

**Soames wzruszył ramionami.**

**--Żaden problem. Muszę dowiedzieć się, co wywołuje te twoje migreny.**



Parsknęła śmiechem.

--Ty musisz? A wydawało mi się, że to przede wszystkim moje zmartwienie, Bradley.

--Tak, jasne -- powiedział z zakłopotaniem. -- Daj znać, co powie Fleming.

Amber zastanawiała się, czy opowiedzieć Soamesowi swój sen, ale zniechęciło ją jego chłodne naukowe podejście.

--Powinniśmy zachować dyskrecję w sprawie mojej kuracji. Lepiej, żeby inwestorzy nie niepokoiili się moim stanem zdrowia. Można przypisać moje zasłabnięcie na prezentacji stresowi i obawom o matkę i powiedzieć członkom zarządu, że idę na urlop z powodów osobistych. Znam co najmniej dwie osoby wystarczająco kompetentne, by przejąć kierowanie najważniejszymi projektami. Inne sprawy mogą poczekać do mojego powrotu.

Soames skinął głową.

--Wygląda na to, że panujesz nad sytuacją. Proponuję, żebyś załatwiła,co konieczne, i wróciła do swojego lekarza.

Uśmiechnęła się.

--Dzięki za wsparcie, Bradley.

--Nie ma za co - powiedział i jego oszpecona bliznami twarz zmarszczyła się w nienaturalnym uśmiechu. -- Zdaję sobie sprawę, jak ważne jest, by dbać o zdrowie.

Kiedy odwróciła się do wyjścia, usłyszała, jak odchrząknął. Zwykle znaczyło to, że zaraz powie coś, co niby właśnie wpadło mu do głowy.

--Tak tylko głośno myślę -- zaczął -- ale może dobrze by było, żebyś przekonała Fleminga, by stawiając diagnozę, miał otwarty umysł. Na twoim miejscu zachęciłbym go, by nie podchodził do sprawy zbyt schematycznie.

No wiesz, niech weźmie pod uwagę wszystkie ewentualności, jakkolwiek dziwaczne mogłyby się wydawać. -- Wzruszył ramionami. -- Tak tylko myślę.

Amber zmarszczyła brwi. To była trafna sugestia; tak bardzo odzwierciedlała jej własne obawy związane z Ariel, że aż poczuła się nieswojo.

--Dzięki, Bradley. Będę o tym pamiętać...

Ale on już się wyłączył, siedział ze wzrokiem utkwionym w monitorach.

Cały Bradley: kiedy zaczynało się wydawać, że jednak potrafi być ludzki i troskliwy, zaraz pokazywał, że nie myśli w takich kategoriach jak wszyscy.

**Czerwona Arka, 33° 26' S, 16° 12' E Następnego dnia**

**a pokładzie Czerwonej Arki Czerwony Papież niecierpliwie bębnił palcami w biurko, czekając, aż włączy się holograficzny monitor plazmowy KREE8. Kiedy pojawił się na nim Doktor, z wpiętą w fartuch krwistoczerwoną broszką w kształcie krzyża, widać było każdy szczegół jego ukazanej w trzech wymiarach twarzy. Kardynał Xavier Accosta wpatrywał się w nią przez chwilę, starając się ukryć niesmak. Potrzebował pomocy tego błyskotliwego człowieka; niechętnie, bo niechętnie, ale był mu wdzięczny za jego gorliwe i bezinteresowne wsparcie. Doktor nie tylko pomógł sfinansować rozruch elektronicznego Kościoła Acco-sty, lecz dzięki swojej wiedzy sprawił też, że rozrósł się on z szybkością, która zadziwiła świat. Jego geniusz w wielkim stopniu przyczynił się również do urzeczywistnienia marzeń Accosty o wprowadzeniu w życie projektu „Dusza”. Mimo to kardynał nie mógł przekonać się do tego młodego człowieka.**

**Doktor trzymał fakt swojej przynależności do Kościoła Prawdy Duchowej w głębokiej tajemnicy i choć zawsze był lojalny wobec Accosty, w jego oczach i tonie głosu wyczuwało się niemilą kardynałowi bezczelność. Ten człowiek jako jedyny potrafił nazwać go „Waszą Świątobliwością” w taki sposób, by zabrzmiało to pogardliwie.**

**Accosta spojrział na niego i się uśmiechnął.**

**--Ma pan coś dla mnie, Doktorze?**

**Bradley Soames skłonił się z czcią.**

**--Tak, Wasza Świątobliwość. Rozmawiałem z Frankiem Carvellim i trzecim członkiem Rady Prawdy o wszystkich stu ośmiu eksperymentach. -- Przerwał. -- Ten ostatni najlepiej ukazuje poczynione przez nas postępy.**

**Monitor plazmowy ustawiony obok Soamesa się włączył. Ukazała się na nim wyciągnięta na stole laboratoryjnym kobieta z gładko ogoloną głową w szklanej kuli przypominającej kask astronauty. Osadzony w niej był mały wklęsły kwadrat z przydymionego szkła, podobny do ekranu małego telewizora.**

**Pod uniesioną osłoną widać było szeroko otwarte oczy schowane za przyciemnianymi soczewkami kontaktowymi.**

Początkowo Accosta nie poznał tej lysej kobiety, ale kiedy kamera zrobiła zbliżenie, zorientował się, że to matka Giovanna Bellini. Wzburzony, musiał wyteńczyć całą siłę woli, by powstrzymać się od krzyku. Przeszył So-amesa wściekłym wzrokiem, próbując wyczytać cokolwiek z jego twarzy, lecz obojętna mina naukowca nie zdradzała żadnych uczuć.

--Jak śmiałeś zrobić coś takiego? -- rzucił. - Kto cię upoważnił?

Soames wzruszył ramionami w przepaszającym geście.

--Ależ, Wasza Świątobliwość, po tym, jak monsignore Diageo powiadomił mnie, że ta kobieta stwarza zagrożenie dla projektu, nie miałem wyboru...

Accosta zacisnął szczęki. Nie myślał, że Soames się do tego posunie. Monsignore Diageo zawsze zachowywał dyskrecję, kiedy trzeba było poczynić niezbędne kroki, Soames tymczasem lubował się w poddawaniu kardynała różnym próbom.

--Była lojalna. Nie oczekiwałem, że... że zrobicie coś takiego.

--A czego Wasza Świątobliwość oczekiwał? Odpowiedziało mu milczenie. Soames się uśmiechnął.

--Matka Giovanna nie umarła na próżno. Wasza Świątobliwość. Obserwując jej śmierć, zobaczy Wasza Świątobliwość, jak wiele już osiągnęliśmy.

W tej chwili Accosta znienawidził Soamesa. Nie mógł znieść jego młodzieńczej buty i entuzjazmu, z jakim podejmował bezwzględne decyzje, które jego własną duszę wystawiały na tak ciężką próbę. A najgorsze było to, że przez niego nie mógł udawać przed sobą, iż zdradzając matkę Gio-vannę Bellini, jedną ze swoich najbardziej lojalnych służebnic, nie skaże jej na śmierć. W marynarce nauczył się, że wojna nie obywa się bez ofiar, i już dawno pogodził się z tym, że chroniąc Boże dzieło, trzeba być gotowym do najwyższych poświęceń, mimo to miał wyrzuty sumienia.

--Doktorze Soames -- powiedział szorstko -- na przyszłość proszę bez mojego upoważnienia nie podejmować żadnych działań związanych z projektem „Dusza”. A teraz niech pan pokaże ten eksperyment.

Soames skinął głową.

--Jak Wasza Świątobliwość sobie życzy. -- Odchrząknął. -- Na początek garść podstawowych informacji: dzięki fizyce kwantowej wiemy, że ludzka świadomość może występować jako cząstka, czyli mózg, i jako fala, czyli myśl. Fizyka uczy nas też, że energia nie może zniknąć bez śladu, musi w coś przejść. To samo dotyczy energii życiowej. Na podstawie ostatnich eksperymentów stwierdziliśmy, że w momencie śmierci siła witalna, czyli świadomość, opuszcza ciało w postaci jednolitego zbioru subatomowych fotonów. Aby je wykryć, posługujemy się zmodyfikowanym detektorem fotonów. Co ciekawe, w przypadku każdego człowieka uzyskuje się inny obraz interferencyjny. Głowa badanego zostaje ogolona, by uniknąć na-elektryzowania, a w celu uczynienia energii życiowej widoczną dla ludzkiego oka stosujemy soczewki kontaktowe z filtrem polimerowym, fawion i widma z zakresu światła zielonego, co pozwala sztucznie zmodyfikować częstotliwość promieniowania elektromagnetycznego.

Accosta patrzył ponuro w ekran z oczami utkwionymi w oczach kobiety. Zmusił się, by nie odwracać wzroku.

Zielony gaz wpłynął do szklanej kuli, okalając twarz mdlą, aktywną aurą. Po prawej

stronie ekranu widać było elektrodę przyczepioną do lewej skroni kobiety. W tle brzmiało odliczanie.

Cztery... trzy... dwa... jeden.

Z elektrody strzeliła iskra, po czym nastąpił błysk tak silny, że Accosta zmrużył powieki. Schowane za soczewkami oczy matki Giovanni zgasły jak przepalone żarówki.

Accosta, zlany potem, patrzył w te szeroko otwarte oczy z mocno bijącym sercem. Mimo dręczących go wyrzutów sumienia poczuł seksualne wręcz podniecenie. Co zobaczyła w chwili śmierci? Co widziała teraz?

--Jeśli Wasza Świątobliwość pozwoli, wyjaśnię, co się stało. Inne eksperymenty miały podobny przebieg.

Na ekranie pojawiło się nagranie tego samego eksperymentu z kamery ustawionej pod szerszym kątem. Accosta widział całe ciało Giovanni Bellini wyciągnięte na stole laboratoryjnym. Przed nią stały dwa monitory. -- Odtworzę nagranie ponownie, ale tym razem ponad dwieście tysięcy razy wolniej. Światło rozchodzi się z prędkością trzystu tysięcy kilometrów na sekundę. Tylko oglądając film na zwolnionych obrotach, możemy sprawdzić, czy udało nam się namierzyć energię życiową. Zacznę od momentu zaaplikowania ładunku elektrycznego, ta metoda, niestety, jako jedyna umożliwia precyzyjne określanie chwili zgonu.

Tym razem, kiedy pojawił się błysk, Accosta zauważył, że jest to iskra, która wystrzeliła z oczu kobiety. Jakimś cudem przeszła jednocześnie przez obie przyciemniane soczewki, po czym trafiła w ekran w osłonie twarzy i pozostawiła na ciemnym dotychczas monitorze prążkowany wzór z białych linii.

--Proszę zwrócić uwagę na zademonstrowany tu kwantowy dualizm korpuskularno-falowy. Z powodów nie do końca nam znanych siła witalna

opuszcza ciało przez oczy, co umożliwia odtworzenie klasycznego doświadczenia na dwu szczelinach. Energia przechodzi przez oboje oczy matki Bellini i trafia w detektor fotonów w osłonie twarzy. Proszę zobaczyć, na ekranie pojawia się klasyczny obraz interferencyjny; cząstki światła, czyli fotony, opuszczając ciało, interferują same ze sobą. Ten prążkowany wzór jest niepowtarzalny i charakterystyczny dla matki Giovanni Bellini niczym kod kreskowy, sygnatura duszy.

Accosta skinął głową. Chłonec fachowy komentarz, śledził wędrówkę iskry przez ekran do zewnętrznej warstwy szklanej kuli. Tu, choć nagranie odtwarzane było w zwolnionym tempie, iskra w mgnieniu oka przemknęła po każdym milimetrze ciasno skręconego włókna, które rozświetliło się na chwilę jak aureola. A potem zgasło.

--1 na tym właśnie polega problem -- powiedział Soames. -- Potrafimy rozpoznać i ukierunkować kondensat Bosego i Einsteina, ale...

--Ma pan na myśli duszę -- przerwał mu Accosta.

--Tak, Wasza Świątobliwość. Kondensat Bosego i Einsteina to po prostu poprawne z punktu widzenia teorii kwantów określenie tworzącego duszę układu bozonów.

Accosta zmarszczył brwi.

--Czyli mówiąc po ludzku, potraficie odpowiednio ukierunkować opuszczającą ciało duszę, lecz nie jesteście w stanie uwięzić jej dość długo, by ją namierzyć?

--Mówię tylko, że to potrwa, Wasza Świątobliwość. Tak, jak elektryczność zawsze szuka ziemi, energia, o której mówimy, dąży do nieba. Zatrzymanie jej choćby na milisekundę, by

**Janamierzyć, to trudne zadanie. Wasza Świątobliwość musi zrozumieć, że samo udowodnienie kwantowego dualizmu mózgu i umysłu, ciała i duszy jest znaczącym osiągnięciem. Już tylko to, że stwierdziliśmy, iż kwantowa dusza istnieje w postaci bozonowego układu fotonów, to przełom. Jednak próbując namierzyć duszę, wychodzimy poza fizykę kwantową i wkraczamy w domenę metafizyki kwantowej. Śmierć następuje tak błyskawicznie, że wiedza nabyta w jednym eksperymencie praktycznie nie przydaje się w następnym. Każdy umiera inaczej, więc pozostaje nam tylko zdać się na metodę prób i błędów w nadziei, że w końcu przypadkiem zdołamy dostroić się do właściwej częstotliwości. Gdyby ludzie umierali więcej niż raz, moglibyśmy skoncentrować się na jednej osobie i przy każdej jej śmierci powtarzać te same eksperymenty, aż do skutku. Wówczas raz-dwa namierzilibyśmy częstotliwość kondensatu Bosego i Einsteina, to znaczy duszy.**

--Ale ludzie umierają tylko raz. Jak dużo brakuje wam do tego, by poznać częstotliwość duszy?

--Jesteśmy o krok. Próbuje wykorzystywać do naszych celów zasadę stosowaną w optoelektronice. Tak, jak komputer optyczny wychwytuje spójny zbiór przenoszących dane fotonów światła, tak nam powinno udać się wychwycić duszę w postaci spójnego bozonowego systemu fotonów życia i utrzymać ją dość długo, by namierzyć jej częstotliwość. Potrzeba nam tylko czasu.

--A czasu nie mamy. Czy są jakieś plany awaryjne?

--Rada Prawdy dokładnie przeanalizowała pokrewne technologie, by sprawdzić, które mogą okazać się użyteczne. Prace nad najbardziej obiecującymi są monitorowane i wspierane pokaźnymi grantami, byśmy w razie udanego ich zakończenia mogli mieć pełne informacje na ich temat. Na razie jednak najlepiej byłoby kontynuować eksperymenty oparte na technologii, którą przedstawiłem.

Accosta zmarszczył brwi.

--Frank Carvelli mówił, że jest pan przekonany, że wkrótce nastąpi przełom.

--Pojawiła się nowa, nieoczekiwana możliwość. Trzymam rękę na pulsie, chcę jednak jeszcze upewnić się co do kilku szczegółów, zanim powiem o wszystkim Waszej Świątobliwości.

-- Przerwał. -- Jednak może Wasza Świątobliwość chce na jakiś czas wstrzymać prace, dokonać bilansu...

--Nie. Nie. Wykluczone -- powiedział pospiesznie Accosta. -- Wprost przeciwnie, musicie je przyspieszyć. Znaczenie misji, której się podjęliśmy, jest zbyt wielkie, by ją opóźnić, i jeśli pańska ufność wobec tej technologii ma solidne podstawy, to sukces jest na wyciągnięcie ręki. Gra toczy się o zbyt wysoką stawkę.

--Ale sądząc z reakcji Waszej Świątobliwości na śmierć matki Giovanny, wydaje się, że powinniśmy...? -- Soames zawiesił głos.

Accosta wbił wzrok w Doktora zły na siebie, że nie może się bez niego obyć. Nie pierwszy raz zaczął się zastanawiać, jakie są prawdziwe przyczyny, dla których ten naukowiec mu pomaga. Zachowując zimny, beznamiętny ton, powiedział:

--Teraz, kiedy zabił pan matkę Giovannę, doktorze Soames, jest tym bardziej konieczne, by projekt „Dusza” zakończył się powodzeniem. Nie pozwolę, by jej śmierć poszła na marne.

Surrey, Anglia

Następnego dnia

Miles Fleming siedział w pierwszej ławie w starym kościele. Patrzył prosto przed siebie i po raz kolejny powiedział sobie w duchu, że po powrocie do Bariey Hall znajdzie racjonalne wytłumaczenie tego, że jego brat przemówił sześć minut po śmierci. Dręczyło go to tak, że nie mógł tego oddać słowami.

W starym kościółku nieopodal domu jego rodziców w Surrey pachniało kadzidłem, woskiem pszczelim i kurzem stuleci. Ciemne, drewniane ławy były wytarte, kamienne tablice na ścianach upamiętniały parafian poległych na wojnach toczonych przed wiekami.

Ktoś kiedyś powiedział, że pogrzeby służą żywym, nie martwym, i takie Fleming miał tego dnia wrażenie. Choć był ateistą, bez wahania zamówił mszę pogrzebową przez wzgląd na rodziców i Jake'a. Jego matka i ojciec musieli uwierzyć, że ich syn przeniósł się do lepszego świata, Jake'owi zaś ceremonia miała pomóc zrozumieć i zaakceptować to, co się stało.

Kościół był pełny, nie dla wszystkich starczyło miejsc. Oprócz członków rodziny przybyło wielu znajomych Roba: sztywni żołnierze w pełnym umundurowaniu, mężczyźni pod krawatami, a nawet kilku zapalonych alpinistów o ogorzałych twarzach, w wymiętych polarach. Wszyscy zjechali się do małej wioski na południe od Londynu, by pożegnać Roba i oddać cześć jego pamięci.

Kiedy Fleming z pięcioma kolegami Roba z wojska wniósł trumnę do kościoła, poczuł nieodpartą potrzebę wykrzyczenia wszystkim, że pozwolił bratu umrzeć i słyszał jego głos z zaświatów. Opanował się jednak, pomógł złożyć trumnę przed ołtarzem i usiadł na końcu pierwszej ławy obok Jake'a i swoich rodziców. Czuł na nodze ciepły dotyk uda bratanka i słyszał, jak mały oddech, wpatrując się w trumnę. Jak z oddali dobiegał go uroczysty głos anglikańskiego pastora, ale nie rozumiał ani jednego słowa. Całą uwagę skupił na urywanym oddechu bratanka, nasłuchiwał pierwszych oznak załamania.

Przez cztery dni, które minęły od śmierci Roba, Fleming rzucał się w wir spraw praktycznych, by zająć czymś myśli. Powiadomił Virginie Knight, co się stało, wypełnił akt zgonu, a potem dostał urlop z Bariey Hall i pojechał

do rodziców i Jake'a, by poczynić przygotowania do pogrzebu. Profesjonalista wziął w nim górę, lecz w głębi duszy czuł się odrętwiały; szok i żal, tłumione resztkami siły woli, lada chwila mogły znaleźć ujście.

Był o krok od załamania, kiedy w Cambridge przekazał złe wieści matce i Jake'owi. Mama aż się zachwiała, szybko jednak wzięła się w garść i przygarnęła zdezorientowanego Jake'a do piersi. Potem przytuliła Fleminga i jego też próbowała pocieszyć słowami: „Miles, zrobiłeś, co w twojej mocy. Nikt nie mógłby zrobić nic więcej. Rob teraz jest już bezpieczny u Boga”, a on wtedy musiał przygryźć wargę i zamrużyć oczami, by powstrzymać łzy. Wiedział przecież, że wcale nie zrobił wszystkiego, by ocalić brata. Choć środek pobudzający pewnie by nie pomógł, Fleming musiał żyć ze świadomością, że powstrzymał pielęgniarkę i pozwolił Robowi umrzeć. Nie powiedział jeszcze rodzicom, co zrobił, i pewnie nigdy się na to nie zdobędzie, bo nie potrafiliby tego zrozumieć -- dla nich życie było ważniejsze niż cierpienie.

**--O wszechmogący, wszechwiedzący, miłosierny Boże...**

Słowa kapłana wdarły się w myśli Fleminga i wezbrała w nim ponura złość. To, co właśnie usłyszał, było dla niego największą zagadką wiary. Albo Bóg wiedział o istnieniu cierpienia i mógł położyć mu kres, ale nie chciał tego zrobić, co znaczyłoby, że nie jest miłosierny, albo wiedział o cierpieniu i chciał położyć mu kres, lecz za cholere nie potrafił tego zrobić, z czego wynikałoby, że nie jest wszechmogący, albo mógł i chciał położyć kres cierpieniu, nic o nim jednak nie wiedział, co wskazywałoby, że nie jest wszechwiedzący. Bóg po prostu nie mógł być wszechmogący, wszechwiedzący i miłosierny jednocześnie.

Spojrzał w bok, na rodziców. Matka wydawała się drobna i krucha, a ojciec, emerytowany architekt, po raz pierwszy, odkąd Miles pamiętał, wyglądał staro. Wpatrywali się w kapłana z wiarą, podtrzymującą ich na duchu i nadającą sens cierpieniu, które Fleming od dawna uważał za okrutne zrzędzenie ślepego losu. Żałował, że sam nie może szukać pocieszenia w religii. Cóż, to nie takie proste.

Choć jego brat już właściwie nie żył, kiedy prosił, by „przeciąć linę”, a Fleming był przekonany, że postąpił słusznie, uwalniając go od cierpienia, jedno nie dawało mu spokoju: Rob nie tylko przemówił sześć minut po śmierci, ale sprawiał też wrażenie, jakby nie zaznał ukojenia. Fleming walczył z wyrzutami sumienia i usiłował uciszyć sprzeczne myśli kłębiące się w jego głowie. Rob teraz mógł być tylko w nicości, nigdzie indziej. W NeuroTranslatorze musiał wystąpić jakiś poślizg, usterka, która

wywołała wrażenie, że zmarły przemówił z zaświatów, a tym, co Miles słyszał, był nie głos udręczonej duszy, lecz ostatni jęk konającego mózgu świadomego nadciągającej nicości.

Fleming musiał w to uwierzyć, bo jego przekonania nie dopuszczały innej możliwości. Nie mógł znieść myśli, że świadomość ukochanego brata wciąż żyje i cierpi. Tym bardziej że on sam nie próbował go ocalić.

Głos zabrał oficer z pułku Roba. Jego lekki irlandzki akcent i powściągliwie przywoływane wspomnienia zdawały się przywracać zmarłego do życia. Na słowa „był najlepszym z ojców, najlepszym z synów i najlepszym z braci, ale nade wszystko najlepszym z ludzi” oczy Mileśa wypełniły się łzami.

Jednak dopiero, gdy usłyszał szloch Jake'a i wyobraził sobie, jak wielką pustkę musi odczuwać ten mały chłopiec, coś w nim pękło. Kiedy po jego twarzy popłynęły łzy, nie czuł bólu, tylko ulgę towarzyszącą uwolnieniu tłumionych dotąd uczuć. Wziął Jake'a w ramiona i płakali razem w niepohamowanej rozpacz.

Trzy godziny później

Kiedy ostatni z żalobników wyszedł ze stypy urządzonej w dużym domu rodziców, Fleming powędrował do ogrodu. Miło było zobaczyć znajomych Roba, ale czuł się zgnębiony i obolały. Wśród zapadającego zmierzchu usiadł na ławce pod jaworem, na który wdrapywali się z bratem, kiedy rodzice przenieśli się tutaj z Peak District.

To miejsce i związane z nim wspomnienia działały na niego kojąco, lecz w głębi ducha nie mógł się doczekać powrotu do Barley Hall. Jeszcze przed wyjazdem z kliniki chciał dla pewności sprawdzić NeuroTranslatora, wówczas jednak najważniejsze było to, by jak najszybciej dołączyć do rodziny. Teraz, im dłużej sprawa opóźnionej reakcji Briana pozostawała niewyjaśniona, tym bardziej się nią dręczył. Nie wystarczyło uwierzyć, że to był nic nieznaczący przypadek; musiał to udowodnić.



Z kuchni wyłoniła się mała postać.

--Milo?

Choć nosił protezy od niedawna, Jake chodził tak naturalnie, że Fleming nie wyobrażał sobie, by ktokolwiek mógł zauważyć u niego choćby ślad ułomności.

--Cześć, Jake. Chodź do mnie.

Chłopiec usiadł na ławce przy nim i oparł się o niego...

--Milo, dlaczego oni musieli odejść?

Fleming objął Jake'a ramieniem. Przez ostatnie cztery dni chłopiec wypytywał babcię o to, co stało się z mamą i tatą, a ona opowiadała mu o niebie i Bogu. Fleming w tym czasie zatroszczył się o przyszłość Jake'a: po długich dyskusjach ustalono, że na razie zajmą się nim dziadkowie, lecz Miles go adoptuje.

--Cóż, czasem dzieją się rzeczy, których nie potrafimy zrozumieć, Jake

--powiedział. -- Tak to już jest. Ale wiem, że mama i tata bardzo cię kochali i że ja cię kocham, i że babcia i dziadek też cię kochają. Nadal mamy siebie.

--No tak, ale gdzie mama i tata są teraz? Mają maila? Miles się uśmiechnął.

--Jeśli tak, nie podali mi adresu.

--A jak ty myślisz, gdzie jest tata? On musi gdzieś być, Milo.

--Cóż, na pewno żyje w naszych wspomnieniach i naszych sercach. -- Ale co teraz myśli?

Widzi mnie?

--Nie wiem. Myślę, że twój tata poszedł spać i tyle. Był chory, teraz odpoczywa.

--O czym śni?

Przypomniał sobie sen Amber i jej przypuszczenie, że zmarła siostra żyje w jej mózgu. -- Jestem pewien, że jeśli w ogóle śni, to ma same przyjemne sny, o tobie i o wszystkich, których kocha.

--Co się dzieje, kiedy się budzi?

--Może się nie budzi. Może śpi długim, spokojnym snem, który nigdy się nie kończy.

--Babcia mówi, że mama i tata są w niebie.

--Może i tak.

--Mówi, że niebo jest bardzo wysoko i że jest tam ładnie.

--No, skoro tak, to twój tata na pewno tam dotarł. Jest dobrym alpinistą.

Jake spojrział w gwiazdy i westchnął.

--Milo -- zmarszczył w zamyśleniu czoło -- jeśli Bóg stworzył niebo,

gdzie jest dobrze, to dlaczego robi rzeczy, które są złe? Po co zabrał i mamę, i tatę? Nie potrzebuje ich obojga.

Fleming był ciekaw, co powiedziałyby na to jego matka. Jake nawet nie wspominał o tym, że ten rzekomo wszechmogący, wszechwiedzący i miłosierny Bóg zabrał też jego nogi.

--Nie wiem, Jake. Jeśli Bóg istnieje, może jest chciwy i pomyślał sobie, że twoi rodzice są tak wyjątkowi, że chce ich tylko dla siebie. <- W niebie jest dobrze, prawda? -- Poważna twarz Jake'a wyrażała niepokój. -- Jasne. -- Fleming zmierzwił włosy bratanka.

--Czyli mama z tatą są szczęśliwi, bo w niebie wszyscy są szczęśliwi? Fleming napotkał przenikliwe spojrzenie Jake'a.

--Tak, Jake, na pewno.

Jednak, rzecz jasna, wcale nie mógł być tego pewien.

Bo i kto to może wiedzieć?

## 21

Laboratorium Myśli Dziewięć godzin później

yla za dwadzieścia trzecia w nocy i Amber spała twardo w Laboratorium Myśli w Barley Hall. Poprzedniego popołudnia przyleciała z San Francisco i dowiedziała się od Virginii Knight o śmierci Roba Fleminga. Pielęgniarki pomogły jej zanieść rzeczy do boks, w którym ku swojej radości znalazła kartkę od ojca Petera Rigi i pudełko jej ulubionych belgijskich czekoladek. *Jestem pewien, że badania wykażą tylko tyle, że masz wybitny umysł. Zadzwoń, gdybyś chciała porozmawiać. Papa Pete.*

Potem przenieśli ją do Laboratorium Myśli na dalsze ćwiczenia i analizy. Przed osiemnastoma minutami zasnęła i właśnie wchodziła w fazę snu REM, której towarzyszą marzenia senne.

Kiedy nieprzytomny umysł Amber opuszczał jej ciało, drgnęła i zaczęła rzucać się po łóżku. Po chwili zeszywniała, poruszały się tylko jej gałki oczne. Uniosła powieki i spojrzała pustym wzrokiem w sufit. Odrywała się od ciała jeszcze szybciej niż poprzednio -- tak szybko, że nie mogła złapać tchu - i pędziła z obłądną prędkością w stronę światła. Wszystko wydawało się ściśnięte, ciemność ciemniejsza, światło jaśniejsze. Była pewna, że tym razem ujawni jej ono jakąś przerażającą prawdę i wchłonie ją na zawsze.

Mknąc ku niemu, mogła tylko krzyczeć bezgłośnie w próżnię...

Miles Fleming przejechał przez bramę Barley Hall i ruszył zwirowanym podjazdem w stronę budynku. Zatrzymał wóz przed głównym wejściem. Otoczony kolumnami doryckimi portyk wyglądał imponująco w blasku reflektorów, ale Fleming nawet nie podniósł głowy, tylko wszedł do środka i skierował się prosto do swojego gabinetu.

Po rozmowie z Jakiem położył się wcześniej spać i po dziesiątej zapadł w niespokojny sen. Po dwóch godzinach obudził się zlany zimnym potem; nie pamiętał, co mu się przyśniło, ale poczuł, że musi wyjść z domu rodziców i przyjechać tutaj. Chciał już teraz dowiedzieć się, dlaczego Neuro-Translator pozwolił Robowi przemówić po śmierci. Musiał znaleźć racjonalne wytłumaczenie tego, co się stało.

Przeszedł słabo oświetlonym korytarzem przez wschodnie skrzydło Barley Hall, obojętnie minął pielęgniarkę drzemiącą przy biurku, lecz zwolnił kroku, kiedy usłyszał dochodzący z Laboratorium Myśli płaczliwy krzyk dziecka. W Barley Hall nie było w tej chwili żadnych dzieci. Kiedy zrozumiał poszczególne słowa, włosy zjeżyły mu się na karku.

Uchylił drzwi Laboratorium Myśli i zobaczył Amber Grant; leżała w łóżku nieruchomo jak głaz z niebieskim czepkiem na głowie. Jej skóra błyszcziała od potu, oczy były otwarte. Wyglądała niepokojąco, ale to dziecięcy głos wydobywający się z jej ust sprawił, że Fleming wstrzymał oddech.

--Amber, Amber, gdzie jesteś?! -- krzyczała z przerażeniem i żalem.

Podszedł na palcach do NeuroTranslatora -- pulsował wszystkimi kolorami tęczy emitowanymi przez procesory optyczne dokonujące niezliczonych równoległych obliczeń. Miles wyregulował dwa pokrętła w pulpicie pod kulą i pstryknął przełącznikiem. Kiedy z głośników dobiegł szum, zaczął nasłuchiwać, choć właściwie sam nie wiedział czego. Zaczekał chwilę i już zamierzał je wyłączyć, gdy nagle przez trzaski przebił się dźwięk.

Był to przeraźliwy skowyt, jakiego jeszcze w życiu nie słyszał. Kiedy pospiesznie rzucił się do wyłącznika, jedyne, o czym potrafił myśleć, to o cytacie z Biblii, z którego śmiali się nerwowo z bratem na lekcji religii. „Lecz dzieci królestwa zostaną wyrzucone na zewnątrz, w ciemność; tam będzie płacz i zgrzytanie zębów”.

Mimo jego dojrzałego sceptycyzmu ten rozpaczliwy lament zmroził mu krew w żyłach. To był dźwięk nie z tego świata, skarga umęczonej duszy.

Wziął się w garść i odwrócił w stronę łóżka. Amber już się uspokoiła, oddychała regularnie, miała zamknięte oczy. Wyszedł z Laboratorium Myśli

i skierował się do gabinetu. Nie obawiał się już, że nie zdoła wyjaśnić tego, jak Rob przemówił po śmierci. Przerażała go myśl, że tego dokona.

Czerwona Arka, 33° 15'S, 16° 06'E Tej samej nocy

avier Accosta nie cierpiał nocy. Pozostawało tyle do zrobienia, a śpiąc, niczego nie mógł zdziałać. Kiedyś praktycznie obywatel się bez snu, te czasy jednak bezpowrotnie minęły. Poza tym noc była porą refleksji; kiedy zostawał sam na sam ze swoimi myślami, opadały go wątpliwości. Jego wiara wystawiana była na próbę.

--Powiedz szczerze, monsignore -- zapytał, kiedy asystent pomagał mu przygotować się do snu w prywatnej kajucie na pokładzie Czerwonej Arki -- czy wierzysz, że Doktor i naukowcy osiągną cel?

Paulo Diageo był jedynym człowiekiem na świecie, któremu wyjawiał dręczące go wątpliwości. Ten barczysty mężczyzna pracował dla niego od czasu, kiedy Accosta przed ponad dwudziestoma laty. dostał się do kurii rzymskiej. Po jego odejściu z Watykanu Diageo jako pierwszy przysiągł mu wierność. Wychowany w slumsach Neapolu, kiedyś powiedział kardynałowi, że przeżył dwa nawrócenia: pierwsze, ziemskie, kiedy wstąpił do zakonu dominikanów, by wyrwać się ze swojego otoczenia, i drugie, duchowe, gdy pierwszy raz usłyszał kazanie Accosty i postanowił pójść za nim. Był twardym człowiekiem obdarzonym rzutką, błyskotliwą inteligencją, nadal miał liczne kontakty w świeckim półświatku -- niektórzy twierdzili, że nawet w mafii -- i Accosta wiedział, że zrobiłby dla niego wszystko.

Diageo wziął od Accosty szkarłatne szaty, złożył je i schował do kosza na brudną bieliznę. Z zadziwiającą delikatnością sięgnął po świeże leżące przy drzwiach, rozpakował je z plastiku i powiesił w wysokiej mahoniowej szafie, by były gotowe na rano. Sięgnął na łóżko po biały szlafrok frotte i pomógł Accoście go włożyć.

--To nie naukowcy spowodują, że wypełni się przeznaczenie Waszej Świątobliwości -- odparł powoli, głębokim głosem, podczas gdy Accosta

wsunął ręce w rękawy. -- Uczyni to Bóg. Nie pozwoli, by zabrakło czasu. Wasza Świątobliwość jest zbyt ważny dla Jego planów.

Jego spokojna pewność podniosła Accostę na duchu.

Diageo wszedł do łazienki obok kajuty.

--Kąpiel gotowa, Wasza Świątobliwość -- powiedział. -- Środki przeciwbólowe i leki leżą obok łóżka. Czy czegoś jeszcze potrzeba?

--Nie. Niech Bóg cię błogosławi, monsignore.

--I Waszą Świątobliwość. Gdyby coś...

--Dziękuję, monsignore. Zadzwoń, gdybym czegoś potrzebował.

Po wyjściu Diageo Accosta pokuśtykał po dywanie w stronę łazienki. Jego osobista kwatera wyglądała skromnie. Najcenniejszym elementem wystroju była ceremonialna szabla w pochwie, zawieszona nad łóżkiem, jedyna pamiątka z lat służby w argentyńskiej marynarce wojennej, symbol toczonej przez kardynała wiekuistej wojny o zbawienie ludzkości.

Wszedł do łazienki, zrzucił szlafrok z ramion, zdjął bieliznę i stanął nago przed lustrem. Wciąż wyglądał zadziwiająco dobrze, biorąc pod uwagę jego wiek i liczne urazy, jakie odniósł przez te wszystkie lata. Najbardziej widocznymi skazami były blizny na niesprawnej lewej nodze i zdeformowane biodro, ślady po ranie, która zmieniła jego życie.

Był wówczas innym człowiekiem, młodym, zapalczym wojownikiem, który uważał za rzecz oczywistą, że Bóg jest po jego stronie. Nie liczyło się dla niego nic prócz podbojów, tak na polu bitwy, jak i w łóżku. I wtedy brytyjski harrier zatopił jego krążownik u wybrzeży Falklandów. Accosta nie przypominał sobie eksplozji ani lotu śmigłowcem, który zabrał go z tonącego okrętu. Choć jednak od tamtego czasu minęło ponad trzydzieści lat, wciąż pamiętał każdy szczegół trwającej jedenaście godzin operacji w szpitalu w Buenos Aires. Był wtedy pod narkozą, ale jednocześnie unosił się nad stołem operacyjnym i patrzył, jak chirurdzy składającego połamane biodro. Zastanawiał się, czy przeżyje.

Kiedy się ocknął, wiedział, że musi zmienić swoje życie. Został wybrany; Bóg oszczędził jego duszę, ale okaleczył ciało, dając do zrozumienia, że powinien przywiązywać mniejszą wagę do spraw cielesnych, a większą do duchowych, i wypełnić Jego wolę. Zesłał Accoście dar cierpienia, by nieustający ból przypominał mu, że jest posłańcem Boga.

Pokuśtykał do wanny i sprawdził temperaturę wody, zanim do niej wszedł. Gdy zanurzył się i poczuł, jak ciepło przenika do jego obolałych kości, pocieszył się myślą o wszystkim, czego dokonał od zerwania z Rzy-

mem. W ledwie dziesięć lat uczynił z Kościoła Prawdy Duchowej najważniejsze duszpasterstwo świata.

Mimo to kiedy wyszedł z wanny i wytarł się, uzmysłowił sobie, że nawet ten fenomenalny sukces jest bez znaczenia. Wciągnął koszulę nocną, sięgnął po szklankę wody i tabletki leżące na stoliku, po czym połknął je w takiej kolejności, w jakiej zostały ułożone przez Diageo, zmawiając przy tym krótką modlitwę. Miał nadzieję, że Diageo się nie mylił i że Bóg da Bradleyowi Soamesowi dość czasu, by projekt „Dusza” zakończył się powodzeniem.

Położył głowę na poduszce i wyłączył światło. W ciemności zobaczył szeroko otwarte oczy matki Giovanni, patrzące na niego z wyrzutem, i odwrócił się twarzą do poduszki. Projekt „Dusza” musiał zakończyć się powodzeniem, by jej śmierć -- i pozostałych -- mogła znaleźć usprawiedliwienie. Jego przeznaczenie nie mogło ograniczać się tylko do głoszenia Słowa Bożego na ziemi. Aby nadać sens swojemu życiu -- i śmierci matki Giovanni -- musiał głosić Słowo Boże na ziemi i w niebie.

## 23

leming wyszedł z Laboratorium Myśli i pobiegł ciemnymi, opustoszałymi korytarzami Barley Hall do swojego gabinetu, gdzie włączył komputer i dostał się do Data Security Providera. Wpisał hasło i otworzył zastrzeżone pliki Briana. Przejrzał bazę danych NeuroTranslatora, aż wypatrzył katalog o nazwie Rob Fleming. Odetchnął głęboko, dotknął na ekranie ikony katalogu i otworzył go -- ukazała się lista podkatalogów.

W kilka sekund podzielił ekran na dwie części; ta po lewej stronie pokazywała pulsujące wykresy fal mózgowych Roba, po prawej zaś widać było odtwarzane w Quicktime nagranie z kamer rozmieszczonych w Laboratorium Myśli pokazujące moment jego śmierci. Zegar u dołu ekranu pozwalał zsynchronizować poszczególne fragmenty nagrania z odpowiadającymi im wycinkami wykresów.

Starał się zachować dystans do tego, co widział. Odtworzył eksperyment od samego początku i patrzył, jak sygnały fal mózgowych oscylują przy

pierwszym słowie „wypowiedzianym” przez Roba. Każdemu słowu przypisana była unikalna sygnatura złożona z licznych fal mózgowych i przewijając lewą część ekranu do góry, Fleming nie zauważył niczego niezwykłego.

Aż do chwili, kiedy Rob dostał ataku.

Po prawej stronie ekranu Frankie przyciskała elektrody defibrylatora do piersi Roba. W tym samym czasie fale mózgowie Roba zaczęły gwałtownie oscylować, jak pod wpływem silnego bólu. Potem, jedna po drugiej, wszystkie linie spłaszczyły się, sygnalizując śmierć mózgu.

Przez następnych sześć minut fale mózgowie pozostawały martwe. Wszystkie oprócz jednej, której długość ledwie mieściła się w widmie częstotliwości. Ulegała nieregularnym wahaniom, kiedy Rob wypowiadał swoje ostatnie słowa. Wyglądało na to, że ona jedna odpowiedzialna jest za to, że przemówił po śmierci. Fleming pierwszy raz spotkał się z czymś takim. Dotknął palcem ekranu i pojawiło się okienko dialogowe. Spojrzał na nagłówek, ale nie było tam nazwy, tylko jedno słowo: Nieznane.

Fleming stuknął w podwójną strzałkę u dołu ekranu i przewinął nagranie do początku eksperymentu. Tym razem, kiedy przesunął obraz fal do góry, zauważył, że niezidentyfikowany

sygnał milczał do chwili śmierci Roba. Usiłował zrozumieć to, co się stało. Obejrzał eksperyment jeszcze dwa razy z głośniejszym dźwiękiem, by słyszeć wspomagany komputerowo głos Roba. Przez cały czas analizował długości fal, zwłaszcza tej nieznannej, widocznej u góry ekranu.

W końcu dokonał dwóch spostrzeżeń. Po pierwsze, ta nowo odkryta fala zdawała się sprawiać, że Rob po śmierci mówił bardziej płynnie niż wcześniej, tak jakby szybciej uczyła się obsługi NeuroTranslatora niż wszystkie pozostałe fale razem wzięte. Po drugie, choć uaktywniła się w chwili śmierci Roba, nie znaczy to, że pojawiła się dopiero wtedy. Uśpiona i nie-dostrzeżona u szczytu skali była w sieci neuronowej Briana od początku eksperymentu.

Fleming nie potrafił wyjaśnić tego pierwszego faktu, ale przyczyna drugiego była oczywista: NeuroTranslator nie odkrył tajemniczej nowej fali w chwili śmierci Roba. Jego sieć neuronowa nauczyła się jej od innego pacjenta, i to niedawno.

Fleming pochylił się do przodu, stuknął palcem w ekran i otworzył listę plików NeuroTranslatora. Patrzył, jak na monitorze ukazują się informacje o Amber Grant. Po prawej stronie ekranu pojawiło się nagranie jej pierwszej nocy w Laboratorium Myśli. Rzuciła się we śnie na łóżku, nagle uspokoiła się, ot-

worzyła oczy i zaczęła krzyczeć głosem małej dziewczynki. Co chwilę wzywała swojego imienia, jakby się zgubiła.

Fleming zerknął na lewą stronę ekranu i coś ścisnęło go w gardle. Najpierw wszystkie długości fal spiętrzyły się i wpadły w gwałtowne drgania jak u umierającego Roba. Potem obraz zniekształcił się, wszystkie wykresy uległy spłaszczeniu jak w stanie śmierci mózgowej i u szczytu widma częstotliwości pojawił się jeden jedyny pulsujący sygnał.

Fleming nie musiał tego sprawdzać, by wiedzieć, że była to ta sama długość fali, która pozwoliła Robowi przemówić po śmierci. Wbił wzrok w ekran. Powoli, jak w letargu, wyciągnął dłoń do ikon na monitorze, otworzył pliki z minionej nocy i włączył nagranie zdarzenia w Laboratorium Myśli, którego był świadkiem.

Patrzył na uśpioną Amber, zwracając uwagę na jej zachowanie w chwili wejścia w fazę REM. Szamotała się, jakby ktoś ciągnął ją gdzieś wbrew jej woli. Kiedy osiągnęła stan marzeń sennych, jej mięśnie się rozluźniły. Przy wejściu w fazę REM większość ludzi ulega paraliżowi, ponieważ most i rdzeń przedłużony wysyłają rdzeniem kręgowym sygnały, które unieruchamiają mięśnie i tym samym zapobiegają odtwarzaniu czynności ze snu. Sygnały wysyłane przez Amber były słabe. Nagle otworzyła oczy, jakby czegoś wypatrywała. Zaczęła mówić -- tym samym głosem, który słyszał przed chwilą głosem małej dziewczynki.

Kiedy patrzył na fale mózgowe gasnące po lewej stronie ekranu i Amber mówiącą przez sen po prawej, nagle zobaczył, jak on-sam podchodzi do NeuroTranslatora i włącza głośniki. Gdy usłyszał nieludzki skowyt, spojrział w lewo, na jedyną niezidentyfikowaną falę mózgową. Drgała w sposób zsynchronizowany z krzykiem, jakby odzwierciedlała wyrażony nim ból. I przez cały ten czas słyhać było, jak Amber woła swoje imię. Fleming wiedział o ludzkim mózgu tyle, co prawie nikt, i gorąco pragnął złożyć wszystko, co zobaczył, na karb anomalii chorej psychiki albo tłumionych wspomnień. Nie mógł jednak tego zrobić.

Przypomniał sobie, co Amber powiedziała mu o śnie, w którym umierała, i zaczęło go nurtować pytanie: A jeśli miała słuszość? Skoro nosiła w sobie część żywego mózgu martwej osoby, może jej świadomość rzeczywiście była w jakiś sposób połączona ze świadomością nieżyjącej siostry. Może jej sen był wspomnieniem przedśmiertnego doświadczenia, które przeżyła na stole operacyjnym, a krzyk, który Fleming słyszał -- skargą umierającego umysłu wyemitowaną na nieznaną długości fali. A głos dziecka mógł pochodzić ze świadomości Ariel, nie Amber.

Czy Amber nie mówiła czegoś o tym, że ona i siostra próbują skontaktować się ze sobą, ale nie mogą tego zrobić, jak dwa identycznie spolaryzowane magnesy? Fleming odchylił się na oparcie krzesła i potarł skronie. Czoło miał rozpalone jak w gorączce, drżały mu ręce. Pragnął położyć się do łóżka i zapomnieć o wszystkim, ale ten krzyk nie dawał mu spokoju. Jakkolwiek interpretował dane, które miał przed oczami, uparczywie przychodziło mu do głowy tylko jedno prawdopodobne -- czy raczej nieprawdopodobne -- wyjaśnienie.

Jakimś cudem, kiedy Ariel umarła, częśćka jej świadomości ocalała w dzielonej z Amber części mózgu. W odróżnieniu od innych komórek ludzkiego organizmu komórki mózgu nie odnawiają się, dlatego też między bliźniaczkami zachowała się szczątkowa więź. Ocalały fragment świadomości Ariel zdawał się próbować nawiązać kontakt z żyjącą siostrą, a jakaś część jaźni Amber co najmniej dwa razy wyprawiała się w zaświaty. To było tak, jakby siostry



bezwiednie dążyły do spotkania na ziemi niczyjej między życiem a śmiercią.

Jeśli wspólna część mózgu bliźniaczek była łączącym je hardwarem, to unikalna, nieznaną falą mózgową pełniła funkcję oprogramowania. Występowała ona jednak nie tylko u nich; także Rob dzięki niej przemówił zza grobu. Ten sygnał nerwowy, ta częstotliwość duszy mogła okazać się uniwersalnym połączeniem między abstrakcyjnym umysłem a fizycznie istniejącym mózgiem -- między życiem a śmiercią.

Kiedy Fleming odsłuchiwał nagrania Amber mówiącej przez sen i krzyku z głośników NeuroTranslatora, przypomniały mu się jego sen i pytanie Jake'a o niebo. Zimny dreszcz przeszedł mu po plecach.

Musi istnieć racjonalne wytłumaczenie tego wszystkiego.

Był tak zatopiony w myślach, że aż podskoczył na widok stojącej półtora metra od niego postaci wpatrzonej w monitor jego komputera. Kierowniczka Barley Hall trzymała w rękach dwie filiżanki espresso.

--Virginio, co ty tu robisz?

--Ja mam wymówkę, cierpię na bezsenność, Miles. A ty? Jak długo tu stoisz?

Knight jeszcze raz spojrzała na ekran. Jej twarz była biała.

--Wystarczająco długo. Co się dzieje, do licha?

Fleming poczuł ulgę, że może zrzucić ten ciężar z piersi.

--Usiądź, Virginio. Sam do końca nie wiem, o co w tym chodzi, ale jest parę spraw, o których powinnaś wiedzieć.

Czerwona Arka, 18° 10' S, 16° 01' E

Dziewięćdziesiąt dwie minuty później

Xavier Accosta mocno spał, kiedy ktoś głośno zapukał do drzwi jego kajuty. Kardynał otworzył oczy zdeorientowany.

--O co chodzi? warknął.

Drzwi uchyliły się i na wytarty kolorowy chiński dywan padł trójkąt światła. W szparze ukazała się głowa monsignore Diageo.

--Wasza Świątobliwość, proszę wybaczyć, że przeszkadzam, ale jest pilny telefon.

--To nie może poczekać?

Diageo otworzył drzwi szerzej, powiększając trójkąt światła, i wszedł do kajuty.

--Nie, Wasza Świątobliwość. -- Miał w ręku bezprzewodowy telefon cyfrowy.

--Która godzina?

--Wpół do czwartej czasu kapsztadzkiego.

Accosta jęknął i wziął telefon. Początkowo nie poznał głosu rozmówcy, ale kiedy zorientował się, kto dzwoni, irytacja zniknęła bez śladu, ustępując skupieniu.

Słuchając, czuł, jak wzbiera w nim euforia. Powściągnął pragnienie, by zarzucić rozmówcę pytaniami, choć chciał wiedzieć wszystko. Zaczekał, aż osoba na drugim końcu linii skończy mówić, po czym zadał trzy pytania. Wysłuchał uważnie odpowiedzi i wydał cztery polecenia. Wreszcie podziękował, rozłączył się i oddał telefon czekającemu Diageo.

Odrzucił pościel, zerwał się i pognął do łazienki, niemal nie kulejąc.

--Monsignore Diageo -- zawołał przez ramię -- musimy przygotować się na nowy dzień! Jest wiele do zrobienia. Pan nam dopomógł i nie możemy Go zawieść.

**Barlcy Hall Następnego ranka**

**mber obudziła się wyczerpana. Sen z ostatniej nocy przejął ją lękiem i wydawał się bardziej znaczący od poprzedniego. Miała frustrujące wrażenie, że było w nim coś, co powinna zapamiętać, coś związanego z Ariel. To było tak, jakby widziała siostrę wołającą ją zza grubej, zniekształcającej obraz szyby, ale nie słyszała jej głosu. Szykując się na nowy dzień, myślała z nadzieją o spotkaniu z Milesem Flemingiem. Może wyniki wstępnych analiz NeuroTranslatora rzucą trochę światła na jej problem. Postanowiła po południu zadzwonić do papy Pete'a.**

**Nastawiła się już optymistycznie, gdy nagle usłyszała pukanie do drzwi i do Laboratorium Myśli weszła profesor Virginia Knight. Jej włosy były oklapnięte, a kostium zmięty, jakby nie zdejmowała go przez całą noc.**

**--Przepraszam, że przeszkadzam, doktor Grant, ale mam złą wiadomość.**

**Stan pani matki uległ pogorszeniu. Hospicjum radzi, by wróciła pani najszybciej, jak to możliwe.**

**Zupełnie się tego nie spodziewała. Wstrząs był tak silny, że poczuła się jak rażona gromem. Wiedziała, że mama umiera, ale wciąż jeszcze się z tym nie pogodziła. Fantomowe migreny i sny straciły znaczenie. Musiała pojechać do domu.**

**--Ma pani samolot za dwie godziny. Jeśli wyjedzie pani w ciągu kwadransa, powinna pani zdążyć. Limuzyna już czeka, by zabrać panią na Heathrow -- Knight uśmiechnęła się ze współczuciem. -- Tak mi przykro. Jeśli mogę coś dla pani zrobić, proszę powiedzieć.**

**Amber spojrzała na zegarek.**

**--Czy mogłabym przed wyjazdem porozmawiać z doktorem Flemingiem?**

**--Nie, jeśli chce pani zdążyć na samolot. Doktor przyjdzie dziś późno, jeśli w ogóle.**

**Amber poczuła zawód, że będzie musiała czekać na wyniki z NeuroTranslatora. -- Mogłaby pani przekazać mu wyrazy współczucia z powodu śmierci brata i podziękować w moim imieniu jemu i jego zespołowi? Muszę też umówić się na dokończenie terapii.**

--Proszę na razie się tym nie przejmować. Klinika skontaktuje się z panią w sprawie kontynuacji badań. Nie będzie z tym kłopotu.

O dziewiątej piętnaście, już w limuzynie, wyjeżdżała z Barley Hall. W lusterku wstecznym widziała, jak majestatyczny gmach maleje w oddali. Kiedy wóz minął skręt na Cambridge, Amber nie zauważyła jaguara jadącego w przeciwnym kierunku.

Po kwadransie szofer w uniformie podał jej buteleczkę wody Evian. Spragniona zaczęła ją saczyć, patrząc na drogowskazy wskazujące zjazd na autostradę Mil do Londynu.

Na M1 ogarnęła ją nagła senność. Kiedy wóz zjechał na M25, była już nieprzytomna. Przy zjeździe na M4 limuzyna minęła drogowskazy do Heath-row i pojechała prosto, do Maidenhead. Tam szofer skręcił na podjazd przed dużym wiktoriańskim domem z cegły. Obok bramy wisiała biała tabliczka: Hospicjum Kościoła Prawdy Duchowej. Pod napisem widniał symbol Kościoła, stylizowany rysunek Czerwonej Arki z masztem w kształcie krzyża.

Samochód wjechał do podziemnego garażu. Nieprzytomna Amber trafiła do kostnicy hospicjum, gdzie czekała już na nią trumna wyposażona w zbiorniki z tlenem i kroplówkę.

Na przygotowanych dokumentach dla służb celnych i akcie zgonu widniało nazwisko Jane Smith i pieczęć hospicjum. U dołu czystych formularzy widniały podpisy dwóch lekarzy. Pracownicy, którzy zajmowali się Amber i wypełniali papiery, wykonywali wszystkie czynności ze spokojem i precyzją wskazującą, że robią to nie pierwszy raz. Wreszcie biała trumna została zamknięta i umieszczona w karawanie, który zawiózł ją do strefy załadunkowej terminalu numer 4.

Dwie godziny później nieprzytomna Amber Grant była już w powietrzu bezpiecznie ukryta w klimatyzowanym luku bagażowym boeinga 747. Leciła w bardziej komfortowych warunkach niż najbardziej rozpieszczani pasażerowie pierwszej klasy.

Czerwona Arka, 18° 06'S, 16° 03'W

Czerwony Papież tryskał energią i nie zważał na ból. Ubrany w długie, wykrochmalone szkarłatne szaty chodził po swoim gabinecie na dziobie Czerwonej Arki. Czuł, że jest u kresu swojej wędrówki.

--U pana wszystko gotowe, Doktorze? -- zwrócił się do schowanej w cieniu twarzy na ekranie telewizora wiszącego nad biurkiem.

--Laboratorium jest przygotowywane, Wasza Świątobliwość -- powiedział Soames z uśmiechem. -- Zdążymy na czas.

--Rada Prawdy jest w pogotowiu?

--Jak tylko Wasza Świątobliwość przyjedzie, dołączą do nas osobiście bądź przez sieć.

--Doskonale. -- Accosta odwrócił się do Diageo, który stał w milczeniu przy drzwiach. --

Monsignore, poczynił pan stosowne przygotowania? Wszystkie problemy zostały rozwiązane?

--Nasi ludzie w Londynie i...

Accosta uśmiechnął się do niego.

--Żadnych szczegółów, monsignore. -- Podejrzane kontakty Diageo bywały pożyteczne, ale Accosta nie musiał wiedzieć o nich wszystkiego.

I bez tego dźwigał dostatecznie ciężkie brzemię. -- Rób, co musisz. Po prostu powiedz, że wszystko gotowe.

Diageo beznamiętnie skinął głową.

--Wszystko gotowe.

--Doskonale. -- Accosta odwrócił się i wyjrzał przez duże okno panoramiczne na rozciągający się przed nim bezkres oceanu. Wyjął z kieszeni chusteczkę i zakaszlał w nią gwałtownie. Diageo podszedł do niego, ale Accosta odsunął go gestem ręki. -- Powiedz kapitanowi, żeby obrał kurs na północ, całą naprzód. I każ przygotować oba helikoptery. Chcę być w Fundacji nie później niż za dwadzieścia cztery godziny. Przepróż wszystkich, z którymi miałem rozmawiać na pokładzie, a zamiast dzisiejszej mszy puść moje kazania.

Spojrzał na białą chusteczkę: pokrywały ją czerwone plamy. Nie czuł strachu: wiedział na pewno, że gdy przyjdzie czas, będzie gotowy.

Barley Hall, 9.30

imo wyczerpania Miles Fleming miał głowę pełną pomysłów. Zaparkował jaguara i poszedł prosto do Amber. Po ostatniej, emocjonującej nocy -- a raczej poranku -- Knight wysłała go do domu, by zdrzem-

nął się choć przez kilka godzin. Zasnął tak mocno, że przespał zamówione na szóstą budzenie.

Nie mógł opędzić się od myśli o nowo odkrytej fali. Musiało istnieć racjonalne wytłumaczenie jej istnienia; był tego pewien. Potrzebował tylko czasu, by ją dokładnie zbadać. Jako naukowiec był zdecydowany poznać więcej szczegółów; zdawał sobie sprawę, że to może przyćmić dokonane przed kilkudziesięciu laty odkrycie mikrofal. Z drugiej strony jednak oddalby wiele, by tej fali nie było, jej istnienie bowiem zagrażało wszystkiemu, w co wierzył. A jeśli nasza egzystencja nie ogranicza się do życia doczesnego? A jeśli istnieje życie po śmierci? Jakie miałyby to konsekwencje dla jego filozofii życia chwilą obecną? I co to znaczyłoby dla duszy Roba? Czy, jak dociekał Jake, w niebie jest dobrze? Czy on naprawdę chce poznać odpowiedzi na te pytania?

--Miles, musimy porozmawiać! -- zawołała Knight, kiedy przechodził obok jej gabinetu. Z posępną miną zaprosiła go do środka i kazała mu usiąść. Po śmierci Roba była pełna współczucia, ale przy tym chłodna, dociekliwa, chciała wiedzieć dokładnie, co się stało. Ostatniej nocy, kiedy opowiedział jej o Amber Grant, zareagowała powściągliwie. -- Miles, rozmawiałam właśnie z innymi członkami zarządu i wyrażone zostały pewne obawy, o których muszę cię powiadomić.

Fleming zmarszczył brwi.

--Jakie obawy?

--Chciałam z tym poczekać, ale skoro już jesteś, możemy to załatwić od razu. Teraz, po śmierci Roba podczas eksperymentu, musimy dopilnować, by reputacja Barley Hall pozostała nieskalana.

--Virginio, on był moim bratem. Czuję się podle, ale to nie eksperyment spowodował jego śmierć.

--Miles, tu chodzi o to, jak ta sprawa jest postrzegana. Wiem, że nie było w tym twojej winy i niezależne dochodzenie wykaże...

--Dochodzenie? O czym ty, do cholery, mówisz?

--To tylko formalność. W tych czasach trzeba być ostrożnym. Musimy myśleć o sponsorach, wazą się losy wysokich dotacji. Krążą plotki, że nie zrobiłeś wszystkiego, co mogłeś, by uratować pacjenta, i chcemy je zdusić w zarodku, zanim prasa rozdmucha je ponad wszelką miarę. Musisz wziąć kilka tygodni urlopu, a potem, jak tylko dochodzenie wykaże twoją niewinność, w co nikt nie wątpi, będziesz mógł wrócić. Urlop, rzecz jasna, będzie płatny i...

--Fleming osłupiał.

--Zawieszasz mnie? Virginio, daj spokój, chyba żartujesz. Mówilem ci już, że po czterech, tak, czterech nieudanych próbach reanimacji brata nie pozwoliłem pielęgniarce podać mu adrenaliny. Czuję się paskudnie z tego powodu, ale teraz postąpiłbym tak samo. On był już właściwie martwy i nie chciałem przedłużać jego cierpienia. Nie zrobiłem nic złego. Niczego nie próbuję zatuszować. Całe zdarzenie jest nagrane na wideo, na litość boską. Pozwól mi porozmawiać z zarządem. Wszystko im wyjaśnię.

Knighr pokręciła głową.

--Przykro mi, Miles, ale w tej sprawie zgadzam się z członkami zarządu. Dziś musimy przede wszystkim dbać o reputację Barley Hall, a przy okazji twoją, z myślą o przyszłości. W ten sposób oczyścimy atmosferę i unikniemy podejrzeń o próbę tuszowania faktów. Prasa...

--Co prasa ma z tym wspólnego? Nie trzeba jej w to mieszać. Cemu miałyby podejrzewać, że mamy coś do ukrycia? Rob był przecież moim bratem.

Przykro mi, Miles, ale nie ma o czym dyskutować.

Fleming z trudem trzymał nerwy na wodzy.

--To absurd, Virginio. Co z Amber Grant i nową długością fali? Jesteśmy o krok od niesamowitego odkrycia, a ty chcesz sprawdzać, czy jestem winien śmierci brata.

--O tym też muszę z tobą porozmawiać. Nie wspomnisz nikomu ani słowem o tym, co zaszło podczas eksperymentu. Samo to, że Rob umarł, jest dla nas wystarczająco kłopotliwe, nie chcemy dolewać oliwy do ognia, opowiadając o głosach z zaświatów. Rozmawiałam z innymi świadkami eksperymentu i wyjaśniłam, że to, co się stało, było skutkiem opóźnienia w przesyłaniu sygnałów. Oficjalna wersja, dla nich i reszty świata, jest taka, że impulsy nerwowe Roba były aktywne przed jego śmiercią, zostały jednak odtworzone z poślizgiem z powodu drobnej usterki NeuroTranslatora.

Fleming uderzył pięścią w biurko.

--Co z Amber Grant?

--Z dniem dzisiejszym przestajesz się nią zajmować. Musiała wrócić do Kalifornii. Jej matka umiera.

--Wyjechała dziś rano? Powiedziałas jej o...

--W tej chwili ma dość swoich zmartwień, Miles. Uważam, że na razie powinniśmy zostawić ją w spokoju. Kiedy sytuacja jej matki się wyjaśni, a ty wrócisz z urlopu...

--Zawieszenia.

Posłuchaj, Miles. Jest mi naprawdę przykro z powodu Roba i wiem równie dobrze jak ty, jak doniosłym odkryciem może okazać się ta nowa

fala. Musimy jednak zachować dużą ostrożność. W tej chwili bez sensu jest działać po omacku, trzeba unikać ryzyka. Wyjedź na parę tygodni... podkreślam, nie zostajesz zawieszony... i przemyśl wszystko. Kiedy sprawa przycichnie, wrócisz, całkowicie zrehabilitowany, i będziesz mógł kontynuować swoje prace, także nad tą nową falą.

Zaopiekujemy się wszystkimi twoimi pacjentami, włącznie z Jakiem, gdyby przed twoim powrotem potrzebował jakichś dodatkowych zabiegów. Wszystkie eksperymenty zostaną przeprowadzone zgodnie z twoimi instrukcjami. Jedź do domu, odpocznij. Zrób sobie wakacje, spędź trochę czasu z Jakiem, pozbieraj się. Fleming zaczął chodzić po gabinecie.

--Jak mam odpocząć, Virginio? Tak nie można. To kompletna bzdura. A jeśli się nie

zgodzę?

--Miles, musisz mi zaufać. Nie pogarszaj swojej sytuacji. Nie zmuszaj mnie, żebym wezwała ochronę i kazała wyprowadzić cię z budynku.

--Co takiego? Chcesz, żebym wyszedł już, teraz?

--Tak będzie najlepiej. Zabierz rzeczy i wracaj do domu. Nie musisz nikomu nic mówić ani niczego wyjaśniać, ja się tym zajmę.

Fleming wziął głęboki oddech i przycisnął ręce do boków, bo obawiał się, że nie wytrzyma nerwowo.

--Nie wiem, co tu się dzieje, Virginio, ale, powtarzam, to jest stek bzdur. Ja tak tego nie zostawię. To jeszcze nie koniec.

Knight wstała.

--Miles, bądź rozsądny. Potrzeba ci odpoczynku. Śmierć Roba była dla ciebie większym wstrząsem, niż ci się wydaje. Jeśli postąpisz wbrew życzeniom członków zarządu, nie ochronię cię przed sprawą o odszkodowanie.

--Ty miałabyś mnie chronić? -- Fleming obszedł biurko, stanął twarzą w twarz z szefową i patrzył jej w oczy dotąd, aż się odwróciła. -- Zawsze wiedziałem, że jesteś biurokratką, Virginio, ale nigdy nie podejrzewałem cię o taką małostkowość. Zrobię to, co konieczne. Ni mniej, ni więcej. Jeśli to ci się nie podoba, rób, co musisz. Wierz mi, jest wiele innych instytucji, które przyjmą mnie z otwartymi ramionami.

Dziesięć minut później pędził już wąskimi polnymi drogami w stronę domu. Dach jaguara był opuszczony, złociste liście mijanych drzew falowały na wietrze. Wsłuchany w ich szelest Fleming przypomniał sobie krzyk, który dobieł się z głośników NeuroTranslatora i opadły go myśli o bracie. I w tej właśnie chwili, kiedy skręcał na Cambridge, kipiący w nim gniew ostygł, zmieniał się w kamienny spokój. Miles wiedział, że nie może czekać

z założonymi rękami na wyniki dochodzenia. Czuł, że ma obowiązek wobec Amber, Roba i Jake'a -- a także siebie -- zbadać tę sprawę dokładniej i znaleźć odpowiedzi.

Odpowiedzi na pytania dotyczące życia i śmierci, których nie poznał przed nim żaden śmiertelnik.



**Fundacja VenTec, Alaska Osiemnaście godzin później**

**hinook leciał nisko nad Górami Brooksa w północnej Alasce, za kołem podbiegunowym. Accosta przetarł szybę i spojrział w dół, wypatrując Fundacji. Wiedział, że zaadaptowana platforma wiertnicza musi być już niedaleko, ale nie widać jej było ani na rozciągającym się w dole białym skalistym pustkowiu, ani wśród otaczających je majestatycznych gór. Podniósł wzrok wyżej, ponad mlójące powietrze łopatk w wirnika, i wtedy zobaczył słaby błysk światła słonecznego na najwyższym szczycie.**

**Przez brudną szybę z trudem dostrzegł budowlę na płaskim wierzchołku. Oparta na ośmiu przechylonych wspornikach czarna szklana kopuła przypominała olbrzymiego pająka, który przysiadł na szczycie góry. Obok niej stały antena satelitarna i słup wysokiego napięcia, a ze szklanej powłoki wyrastał komin. Pod kopułą rysował się potężny, wbity głęboko w ziemię filar, w którym mieściły się stare maszyny i otwór wiertniczy. Wystająca z boku kopuły stalowa płyta tworzyła półokrągłą platformę. Kiedy śmigłowiec opadł ku niej, żołądek podjechał kardynałowi do gardła.**

**Było wczesne październikowe popołudnie i zapadał już zmrok. O tej porze roku dni trwały tutaj ledwie parę godzin, a za kilka tygodni słońce na niemal pięć miesięcy przestanie tu docierać w ogóle. Accosta nie przepadał za tą posępną okolicą, ale potrafił zrozumieć, dlaczego Soames wybrał ją na swoją bazę, a poza tym sam też cenił życie w odosobnieniu. Nade wszystko jednak potrzebni mu byli fachowcy i zasoby skrywające się w tej budowli wzniesionej i zarządzanej przez Soamesa.**

## 106

**Kiedy śmigłowiec osiadł na platformie, członkowie świty kardynała wyprowadzili go na przenikliwe zimno i w ich eskorcie wszedł potężnymi, rozsuwanymi drzwiami z przyciemnianego szkła do ciepłej recepcji. Na drzwiach widniało wygrawerowane w szkłe duże V i napis: VenTec -- Jutro Dziś.**

**Ktoś wziął od Accosty płaszcz i drzwi do ogólnodostępnego białego sektora rozsunęły się z sykiem. Na dyskretnie oświetlonym korytarzu bez okien czekał Doktor, Bradley Soames, ubrany w biały kombinezon.**

**Accosta odczuł ulgę, kiedy zobaczył, że nie zabrał ze sobą wilków; miały w sobie coś diabolicznego, co mu się nie podobało -- i napawało go lękiem. Naukowiec powitał Czerwonego Papieża z czcią należną honorowemu gościowi: ukląkł i ucałował krucyfiks na jego szyi.**

**-- Witam Waszą Świątobliwość.**

**-- Dziękuję, Doktorze.**

**-- Pozostali członkowie Rady Prawdy są... Accosta uniósł dłoń i się uśmiechnął.**

**-- Możemy porozmawiać o tym później? Nie mogę się doczekać, kiedy ją zobaczę. Jest tutaj?**

**-- Proszę za mną, Wasza Świątobliwość. Trzymamy ją w czarnym sektorze.**

**Accosta ruszył za Soamesem w głąb korytarza przecinającego biały sektor. Z góry VenTec przypominał okrągły placek podzielony na cztery kawałki, oznakowane różnymi kolorami, ułożone wokół środkowego filara, na którym wspierała się kopuła. Biały sektor, położony od frontu, otwarty był dla wszystkich; znajdowały się w nim ogólnie dostępne pomieszczenia i laboratoria. Do sektorów niebieskiego, zielonego i czarnego wstęp miały tylko osoby**

**posiadające niezbędne przepustki. Pod kopułą, głęboko wewnątrz góry, skrywał się piąty sektor, do którego zjeżdżało się windą ukrytą w środkowym filarze. Był to sektor czerwony, także dostępny wyłącznie dla wybrańców.**

**Kiedy szli przez biały sektor, ich obcasy stuknęły w lakierowaną posadzkę z drewna bukowego. Klimatyzowane powietrze było bezwonne, ale lekko naelektryzowane. Po lewej stronie Accosta widział wiele otwartych laboratoriów. Niektóre były puste, nie licząc nieznanego mu urządzeń; w innych krzatali się technicy i naukowcy w białych kombinezonach, takich jak ten, który miał na sobie Doktor. W jednym z pomieszczeń stały w wielu rzędach komputery, ich monitory jarzyły się intensywnym białym światłem.**

W części mieszkalnej Accosta ledwie zerknął na białe strzałki na gładkich ścianach wskazujące drogę do różnych pomieszczeń: pokoiów gościnnych, restauracji, kina, ambulatorium, basenu, sali gimnastycznej i kaplicy. Nieliczne okna wychodzące na zewnątrz były zabarwione na niebiesko, co nadawało widocznemu za nimi arktycznemu pejzażowi jeszcze bardziej surowy wygląd.

Ukryta w środkowym filarze winda zjeżdżająca do czerwonego sektora oznakowana była czerwonymi strzałkami i ostrzeżeniami: Nieupoważnionym WSTĘP WZBRONIONY. OKULARY OCHRONNE OBOWIĄZKOWE. Soames

i Accosta poszli w lewo i minęli kolejne zamknięte drzwi; te prowadziły do zielonego sektora.

Wreszcie korytarz skręcił po łuku ku najbardziej wysuniętej na północ części VenTecu, czarnemu sektorowi, w którym prowadzono prace nad projektem „Dusza”.

Aby otworzyć szklane drzwi, Soames położył dłoń na czytniku przy zamku, po czym poprowadził Accostę przez cały kompleks, obok sali konferencyjnej i pokoju łączności. Przed drzwiami głównego laboratorium przedstawił kardynałowi uderzająco piękną blondynkę i wysokiego ciemnoskórego mężczyznę w okularach. Oboje nosili na białych kombinezonach emaliowany krzyż Kościoła Prawdy Duchowej. Kobieta pachniała piżmowymi perfumami, od ich zapachu Accoście zakręciło się w głowie.

--Doktor Felicia Bukowski i doktor Walter Tripp pomagają mi przy projekcie „Dusza”. To im zawdzięczamy większość naszych dotychczasowych dokonań.

Accosta uściśnął ich dłonie.

--Bierzecie udział w świętym, chwalebnym przedsięwzięciu i dziękuję wam za wasz wysiłek i waszą inwencję.

--To dla nas zaszczyt -- powiedział Tripp.

--Poczytujemy to sobie za honor, Wasza Świątobliwość -- dodała blondynka.

Accosta się im przyjrzał. Oboje odnosili się do niego z szacunkiem, ale w ich zachowaniu i uśmiechach wyczuwał brak szczerości. Szczycił się tym, że potrafi wnikać w serce każdego człowieka, i choć tym razem nie potrafił stwierdzić, co właściwie mu się nie podoba, miał wrażenie, że naukowcy traktują go protekcjonalnie -- jak dwoje rozwiniętych nad wiek dzieci, które nie chcą urazić nudnego wujaszka. Odpędził te myśli i pozwolił, by Soames wprowadził go do części mieszkalnej czarnego sektora.

Soames zatrzymał się przy pierwszych drzwiach i dał Accoście znak, by zajrzał do środka przez okrągłe okienko w ścianie.

--Śpi. Środki wkrótce przestaną działać,

Accosta przysunął się do szyby i zobaczył kobietę leżącą w łóżku. Była podłączona do kroplówki i monitora czynności życiowych, który pikał z krzepiącą regularnością.

--Jak się czuje?

--Dobrze. Po przebudzeniu będzie miała lekkie zawroty głowy, ale w właściwym czasie sił jej nie zabraknie.

--Doskonale -- powiedział Accosta.

Ciemne włosy kobiety były rozrzucone na poduszce, oliwkowa skóra lśniła na tle białej pościeli, długie rzęsy drgały na policzkach. Accosta patrzył na uśpioną Amber Grant i cieszył oczy jej subtelną urodą. Była jednak kimś więcej niż tylko piękną kobietą; była darem od Boga.

Środki usypiające zatarły mglistą i bez nich granicę między jawą a snem. Amber otworzyła oczy i stwierdziła, że leży w nieznanym pokoju przypięta za nadgarstki do obcego łóżka. Serce zabiło jej mocniej na widok kroplówki i monitora. Czy to rzeczywistość, czy kolejny koszmar?

Dostrzegła kątem oka jakiś ruch i odwróciła głowę w lewo, w stronę małego okrągłego okna. Za szybą zobaczyła wpatrzone w nią ciemne oczy. Pragnienie bijące z tego przenikliwego spojrzenia nadwątlilo jej odwagę znacznie bardziej niż widok więzów czy kroplówki. -- Mężczyzna wyglądał dziwnie znajomo, ale półprzytomna Amber nie zwróciła uwagi na jego charakterystyczny orli nos i rzeźbione rysy. Nagle cofnął się i w okienku ukazała się cała jego głowa włącznie ze szkarłatną piuska. Zdjęta nagłym, zapierającym dech w piersiach strachem Amber uprzytomniła sobie, kim jest ten człowiek.

To musi być sen, powiedziała sobie. Kos/mar.

To diabeł przyszedł po jej duszę.

Sala konferencyjna w czarnym sektorze, VenTec

światlenie było stonowane, Accosta siedział u szczytu długiego, prostokątnego stołu.

Miejsca przy nim zajmowali monsignore Diageo i Bradley Soames. Za plecami Soamesa czuwały wilki, nieruchome i milczące jak szare posągi.

Bukowski z Trippem siedzieli w pewnym oddaleniu od pozostałych, z rękami na stole.

Na jednym z trzech holograficznych monitorów plazmowych na wprost Accosty widać było Franka Carvellego, który w zamyśleniu bawił się swoim nienaturalnie czarnym kucykiem. Szef KREE8 Industries, a zarazem członek Rady Prawdy odpowiadający za kontakty z mediami i public relations, był jak zwykle ubrany na czarno w kaszmirową marynarkę i golf.

Jednak, mimo rozległych kontaktów Carvellego w świecie mediów, za dzisiejszy przełom odpowiadał nie on, lecz trzeci członek Rady Prawdy, który, ku irytacji Accosty, jeszcze się nie pojawił.

--Mówił pan, że będą wszyscy? -- powiedział do Soamesa. Doktor wzruszył ramionami.

--Bo mieli być, Wasza Świątobliwość.

Accosta zmarszczył brwi i spojrzał nad ramieniem Soamesa na lustro weneckie pełniące funkcję jednej ze ścian. Za nim widać było lśniące bielą główne laboratorium. Szklana kula leżała z uniesioną osłoną na oczu w przeszklonej szafce obok stołu laboratoryjnego, przy którym piętrzył się stos monitorów i urządzeń pomocniczych.

--Zacznijmy -- rzucił Accosta. -- Proszę powiedzieć mi jeszcze raz, dlaczego Amber Grant jest tak ważna.

Carvelli wychylił się do przodu i Soames ukazał w uśmiechu zdrowe białe zęby.

--Znałem Amber Grant przez wiele lat jako współpracowniczkę w interesach i zawsze byłem pełen uznania dla jej wiedzy -- wyjaśnił -- lecz nie miałem pojęcia o jej rzeczywistych zdolnościach, dopóki dziewięć miesięcy temu nie przeprowadziliśmy pierwszych eksperymentów z wychwytem duszy. Oczywiście nic o nich nie wiedziała, ale mniej więcej wtedy zaczęły jej

doskwierać niezwykle migreny. Z biegiem czasu stało się oczywiste, że ataki następowały równocześnie z eksperymentami. -- Opowiedział o nie-

zwykłej przeszłości Amber. -- Czy Wasza Świątobliwość słyszał o splątaniu kwantowym?

--Nie.

--To widmowa, wręcz telepatyczna więź łącząca cząstki kwantowe, które w przeszłości choć raz zetknęły się ze sobą. Powstaje ona błyskawicznie, nawet w sytuacji, kiedy cząstki znajdują się na przeciwnych krańcach wszechświata. Z uwagi na jej niezwykłą przeszłość myślę, że tego rodzaju więź łączy Amber z jej martwą bliźniaczą siostrą. Tłumaczyłem już Waszej Świątobliwości, jak w doświadczeniu z dwiema szczelinami cząstki zmieniają swój stan na oczach obserwatora, jakby знаły założenia eksperymentu. Jestem przekonany, że prowadząc eksperymenty z wychwytem duszy,

zaburzamy korpuskularno-falowy dualizm duszy, co wywołuje zakłócenia rozchodzące się po całym uniwersalnym układzie bozonów łączącym wszystkie dusze.

Carvelli skinął głową.

--A przez wzgląd na więź łączącą ją z Ariel Amber odczuwa te zakłócenia w postaci fantomowej migreny.

--O właśnie -- odparł Soames i opowiedział Accoście o Flemingu i NeuroTranslatorze. -- Miles Fleming niechcący odkrył, że Amber jest idealnym szczurem doświadczalnym dla projektu „Dusza”.

--Dlaczego? -- spytał Accosta wciąż niepewny znaczenia złożonych pojęć z teorii kwantów.

--Jak już Waszej Świątobliwości mówiłem, potrzeba nam czegoś niemożliwego, osoby, która mogłaby umrzeć więcej niż raz. Amber Grant nosi w sobie część żywego mózgu martwego człowieka i przy odpowiednim pobudzeniu jej sygnałów nerwowych w momencie przejścia w fazę snu REM jej podświadomość usiłuje nawiązać kontakt z nieżyjącą siostrą i opuszcza przy tym ciało. Wprowadzając Amber w stan marzeń sennych, możemy śledzić wędrówkę jej umysłu, czy duszy, za każdym razem, kiedy opuszcza ciało i do niego powraca. A ponieważ proces ten może być powtarzany bez końca, możemy ponawiać próby namierzenia częstotliwości aż do skutku.

--Skąd ta pewność? -- spytał Carvelli z monitora.

W tej chwili rozbłysł drugi monitor i pojawił się na nim trzeci członek Rady Prawdy. Była to kobieta w granatowym żakiecie z wpiętą w klapę szkarłatną broszką w kształcie krzyża. Ta wykwalifikowana lekarka miała w tej chwili pod opieką tylko jednego pacjenta: Accostę. Oprócz tego, że kierowała renomowaną kliniką brytyjską, zajmowała też wiele innych

stanowisk i sprawowała strategiczny nadzór nad wszystkimi hospicjami Prawdy Duchowej na świecie. To ona przekazywała Soamesowi śmiertelnie chorych pacjentów niezbędnych do prowadzonych przez niego doświadczeń, których celem było pochwycenie duszy.

--Przepraszam za spóźnienie, Wasza Świątobliwość, ale musiałam zająć twię pewne sprawy w związku z dzisiejszym spotkaniem.

Zanim Accosta zdążył odpowiedzieć, Soames wskazał na nią gestem.

--Właśnie zastanawialiśmy się, skąd wiadomo, że Amber Grant ma uniikalne zdolności, Virginio. Może ty nam to wyjaśnisz.

Virginia Knight spojrzała na Accostę.

--Słyszałam, jak jej dusza krzyczy, Wasza Świątobliwość. I widziałam dane zebrane przez Fleminga. Dowody są przekonujące.

Accosta starał się nie okazywać radości -- projekt przyniósł mu już wiele rozczarowań.

--Dziękuję, doktor Knight. -- Odwrócił się do Soamesa. -- Ale jak może my zatrzymać tu doktor Grant, nie wywołując podejrzeń?

Soames znów się uśmiechnął.

--Żaden kłopot. Została oficjalnie wypisana z Barley Hall, a Optrix spodziewa się jej powrotu za miesiąc. Jedynym zagrożeniem może być jej matka.

--Już się tym zajęłam -- powiedziała Virginia Knight rzeczowym tonem. -- Gillian Grant jest w jednym z naszych hospicjów, więc problem był względnie łatwy do rozwiązania.

--W takim razie mamy około miesiąca, zanim zniknięcie Amber zacznie nastęrczać nam trudności -- stwierdził Soames.

Knight odkaszlnęła.

--Co z Milesem Flemingiem?

--Jak to co? -- spytał Accosta. -- Wydawało mi się, że jest odcięty od informacji, że Barley Hall go zawiesiło.

--To prawda, Wasza Świątobliwość, ale doktor Fleming jest zdeterminowany. Nie lubi spraw, których nie potrafi wyjaśnić, chce wszystko zrozumieć... zwłaszcza że to śmierć jego brata zwróciła naszą uwagę na zdolności doktor Grant. Dlatego właśnie jest tak dobry w tym, co robi, i musimy mieć go na oku.

--Oczywiście, że będziemy go obserwować -- wtrącił Soames. -- Jest nam potrzebny. Pozwólcie, że przypomnę wszystkie dotychczasowe etapy projektu. -- Zaczął wyliczać je na palcach. -- Odkryliśmy istnienie ludzkiej duszy, uczyniliśmy ją widoczną dla ludzkiego oka i za pomocą detekto-

ra fotonów zidentyfikowaliśmy jej sygnaturę. Teraz, kiedy Amber Grant jest w naszych rękach, namierzemy częstotliwość umożliwiającą śledzenie duszy. Jednak żeby projekt „Dusza” zakończył się pełnym sukcesem -- Soames spojrział na Accostę -- i żeby wypełniło się przeznaczenie Waszej Świątobliwości, musimy doprowadzić do końca ostatni etap. -- Odwrócił się do Carvellego. -- Frank, choć twoje umiejętności bez wątpienia są bardzo ważne, Miles Fleming będzie miał w nim do odegrania decydującą rolę, tym bardziej że nasze dotychczasowe próby skopiowania opracowanej przez niego technologii nie były w pełni udane, a jej udoskonalenie zajęłoby zbyt dużo czasu.

--Czyli mamy go obserwować i czekać? -- spytała Knight.

Soames wyszczerzył radośnie zęby, jakby uczestniczył w grze, która sprawiała mu ogromną frajdę.

--Wykorzystamy jego determinację w poszukiwaniu odpowiedzi, by skłonić go do udzielenia nam pomocy.

--To będzie niebezpieczne -- stwierdził Carvelli.

Soames uśmiechnął się jeszcze szerzej i Accosta musiał stłumić w sobie odragę do tego człowieka.

--Oczywiście. Zwłaszcza dla niego.

## II

### PRAWDA DUCHOWA

#### 28

Cztery dni później

Wiecznym Mieście było niezwykle ciepło i wilgotno jak na październik i koszula kleiła się Flemingowi do pleców, kiedy przebijał się przez tłum turystów na placu Świętego Piotra. W mglistym świetle słońca spojrział przymrużonymi oczami na zegarek -- zostało mu jeszcze dwadzieścia minut do spotkania.

Przez ostatnich kilka dni na próżno usiłował skontaktować się z Amber Grant. Nie miał numeru jej komórki, a pod numerem telefonu domowego w Pacific Heights w San Francisco zgłaszała się automatyczna sekretarka. W Opatriksie poinformowano go, że Amber jest na miesięcznym urlopie. Kiedy wyjaśnił, że jest jej lekarzem, w odpowiedzi usłyszał, że nie mogą udostępnić mu jej numeru kontaktowego jako osobie, według zarządu Bar-ley Hall, podejrzanej o błąd w sztuce lekarskiej.

Recepcjonistka hospicjum w okręgu Marin, do którego zadzwonił, by spytać o Gillian Grant i zostawić wiadomość dla jej córki, była równie małomówna.

Zrozumiał wówczas, że Virginia Knight dyskretnie podkopuje jego reputację. W prasie pojawiały się już niepotwierdzone relacje, w których przedstawiany był jako człowiek „genialny, ale chorobliwie ambitny”, skłonny „poświęcić życie brata w pogoni za sławą”. A kiedy poprzedniego dnia zadzwonił do swojego biura, nawet Frankie Pinner była wyraźnie



podenerwowana i szybko się rozłączyła: nie wolno jej z nim rozmawiać, powiedziała przepaszającym tonem, dopóki „sytuacja się nie wyklaruje”.

Kiedy wyczerpał wszystkie inne możliwości, przyjechał do Rzymu.

Mimo upału, spalin i hałasu wypełniającego duszne powietrze majestatyczna kopuła Bazyliki Świętego Piotra lśniła na tle nieba. Otwarte ramiona otaczających ją z dwu stron kolumnad Berniniego zdawały się przygarniać Fleminga na łono Kościoła. Kiedy katolicyzm zaczął chylić się ku upadkowi, ta forteca wiary stała się niczym więcej jak tylko zachwycającym tematycznym parkiem rozrywki, muzeum upamiętniającym wielkie niegdyś imperium. W kłębiącym się tłumie było niewiele pielgrzymów; to przeważnie turyści zwiedzali kulturalny odpowiednik Disneylandu. A najbardziej upokarzające było to, że wielu z nich nosiło czerwony krucyfiks Kościoła Prawdy Duchowej.

Fleming wszedł do cichego, chłodnego wnętrza wielkiej katedry i spojrzał w górę na ogromną kopułę zaprojektowaną przez Michała Anioła. Nie poczuł złośliwej satysfakcji. Ponadczasowe piękno Bazyliki Świętego Piotra budziło pokorę; miejsce to było tak przesiąknięte historią, że wystarczyło przyłożyć ucho do filarów, by usłyszeć jego sekrety. Rzym istniał jako miasto więcej niż dwadzieścia pięć wieków, z czego przez piętnaście pozostawał głównym ośrodkiem wiary chrześcijańskiej.

Fleming zapalił bratu świecę i patrzył, jak płomyk posyła w górę kłęby zwiewnego dymu. Cokolwiek myślał o religii, uczeni przez stulecia prowadzili tu badania nad ludzką duszą. On sam był tylko ateistą, który wyruszał w nieznane, mając za busołą kilka naukowych prawd. Nie dlatego jednak skontaktował się z ojcem Peterem Rigą. Zadzwoił do niego, bo Amber wpisała go jako najbliższego krewnego w formularzu, który wypełniła po przyjęciu do Barley Hall. Był ostatnim ogniwem łączącym Fleminga z nią. Choć Riga przez telefon zachowywał wielką rezerwę, zgodził się na spotkanie.

Fleming wyszedł z bazyliki i skierował się dusznymi ulicami do najbliższego postoju taksówek. Po kilku minutach był już na drugim brzegu Tybru, pod siedzibą główną Towarzystwa Jezusowego: usmolonym, okazałym barokowym gmachem Collegio di Propaganda Fide projektu Borrominiego.

Wszedł do środka i znalazł się w innym świecie, z dala od zamętu, blasku i zgiełku rzymskich ulic. Wśród marmurów panowała cisza. Przedstawił się w recepcji i młody człowiek w czarnej sutannie zaprowadził go wielkimi schodami na górę.

Gabinet ojca Petera Rigi znajdował się na ostatnim piętrze, na końcu długiego ciemnego korytarza. Po szacunku, z jakim młody jezuita zapukał do drzwi, widać było, że Riga zajmuje wysoką pozycję w Towarzystwie.

--Proszę -- zagrział amerykański głos.

Pokój był skromny, ale wygodny: biurko z mosiężną lampką i laptopem, zastawione książkami regały, dwa wysokie okna, wytarty dywan na marmurowej podłodze i dwa proste krzesła przy małym stole. Każdy element wystroju był piękny sam w sobie -- w regałach wyrzeźbiono arabeski, oprawy i tłoczenia książek wykonano ze skóry -- ale podziw budziło zwłaszcza zabytkowe biurko z orzecha, prawdziwe arcydzieło-

Za nim, okolony złocistym światłem z jednego z wysokich okien, siedział barczysty mężczyzna o krótko ostrzyżonych kręconych siwych włosach, hardej, ogorzałej twarzy i przenikliwych niebieskich oczach. Wstał na powitanie Fleminga; był niski, miał nie więcej niż metr sześćdziesiąt pięć wzrostu i szeroką pierś zapaśnika. Wyglądał na jakieś siedemdziesiąt lat, ale sprawiał wrażenie, że jest w dobrej formie- Na biurku stała prosta srebrna ramka z dwoma zdjęciami. Na jednym młodszy Riga stał obok uśmiechniętej pary z dwiema dziewczynkami, które wyglądały, jakby się obejmowały. Drugie, nowsze, przedstawiało Rigę Z Amber Grant i jej matką. Na obu ubrany był od stóp do głów w czerń, tak jak w tej chwili.

--Witam, doktorze Fleming -- wychrypiał.

Riga nie był typowym, dobrotliwym księdzem, zresztą jak większość jezuitów, tych komandosów Kościoła katolickiego, Mówił z podobnym akcentem, jak znajomy Fleminga ze studiów, stypendysta z Nowego Jorku. Wymienili mocny uścisk dłoni.

Inteligentne oczy Rigi badawczo przyjrzały się Flemingowi.

--Jak się miewa moja chrześniaczka? -- spytał z nutą troski w głosie.

--Miałem nadzieję, że ojciec mi to powie.

Riga powoli skinął głową, ale zachował kamienną twarz.

--Widziałem się z nią kilka dni temu w San Francisco. Mówiła, że przechodzi u pana badania w związku z fantomowymi rignami i że miała sen, w którym umierała, sen, który jej zdaniem snem nie był. Uważała, że dusza Ariel jest w jakiś sposób powiązana z jej własną. Na koniec powiedziała mi, że zamierza zobaczyć, co pan i pańska technologia na to. Odkrył pan coś?

Fleming wpatrywał się w twarz Rigi, lecz nie sposób było z niej wyczytać, jak dużo ten mnich wie. Wiadomość o jego zawieszeniu musiała już tu dotrzeć, uznał więc, że najlepiej zrobi, jak zacznie od początku. Wyjaśnił, jak działa NeuroTranslator i na czym polegał eksperyment, w którym uczestniczył jego brat. Opowiedział Ridze o tej nocy, kiedy usłyszał krzyk Amber w Laboratorium Myśli, i wyjaśnił, że został zawieszony do czasu zakończenia dochodzenia w sprawie śmierci brata-

Pokerowa twarz Rigi zdradzała niewiele, jednak kiedy Fleming zaczął mówić o częstotliwości duszy, miał wrażenie, że po kamiennej twarzy je zuity przebiegł cień jakiegoś uczucia... jakby strachu...

--I wyjechała, zanim zdążył jej pan to wszystko wyjaśnić?

--Tak, musiała wracać do matki. <sup>s</sup> Riga skinął głową.

--Uhm, Gillian jest poważnie chora. Czyli od wyjazdu z kliniki nie rozmawiał pan z Amber?

--Ani razu.

Riga zmrużył oczy.

--No dobrze, czemu więc ta częstotliwość duszy Amber tak pana poruszyła?

--Czy to nie oczywiste?

--Ale co to znaczy dla pana osobiście, doktorze Fleming? Amber mówiła, że nie jest pan religijny.

--Nie jestem. Jestem człowiekiem nauki. Nie wierzę w Boga ani życie pozagrobowe i nie chcę wierzyć. Z drugiej strony lubię wszystko rozumieć, a tej sprawy nie mogę rozgryźć. Muszę upewnić się, że mam rację. Dla własnego spokoju muszę udowodnić, że ta fala to aberracja, ostatnie tchnienie umysłu czy słaby sygnał wysłany z umierającego mózgu. A nie mogę tego zrobić bez Amber.

--A jeśli pan się myli? A jeśli stwierdzi pan, że życie pozagrobowe istnieje? A jeśli dowiodą tego pańskie naukowe dociekania? Co wtedy, panie ateisto?

--Będę się tym martwił, kiedy tak się stanie. Na razie chodzi o to, że z pomocą Amber mogę postarać się znaleźć odpowiedź na najważniejsze pytanie nurtujące ludzkość, a to coś, od czego nie wolno mi uciec. Myślałem, że ojciec to zrozumie. Wy, jezuici, słyniecie z dyscypliny intelektualnej i ciekawości, z żądzy wiedzy.

--Raczej zrozumienia -- uściślił Riga. -- Nie chcemy wiedzy dla niej samej. -- Uśmiechnął się kwaśno. -- Dlatego człowiek został wygnany z raju. Motto Towarzystwa brzmi: *ad majorem Dei gloriam*: na większą chwałę Bożą. Celem wszystkiego, co robimy, jest ukazanie Jego chwały, nie naszej.

--Co ojciec przez to rozumie? Że Bóg nie chce, byśmy o niektórych rzeczach wiedzieli?

--Rozumiem przez to, doktorze Fleming, że wiedza bywa niebezpieczna i nadużywana. Zwłaszcza w tych czasach. -- Po raz pierwszy kamienny spokój opuścił jezuitę, jego słowa skrywały powściągnany gniew. -- Mój

Kościół jest u progu katastrofy. A zagrożeniem nie są ateści, żydzi czy muzułmanie, lecz bracia chrześcijanie, w tym także katolicy. Obecny papież jest słaby, a prawicowe frakcje w Stolicy Apostolskiej kurczowo trzymają się władzy i kiesy, zaniedbują konieczne reformy i popadają w coraz większy autokratyzm i dogmatyzm, podczas gdy Kościół umiera na ich oczach. Jednocześnie Kościół Czerwonego Papieża wzrasta w siłę. Znałem Xaviera Accostę, kiedy był kardynałem w Watykanie, i było w nim co podziwiać. Inteligentny, pełen zapału, nadawałby się na jezuitę. Pod wieloma względami przypominał naszego założyciela, świętego Ignacego Loyolę; obaj mówili po hiszpańsku, mieli prawdziwą charyzmę i byli wojownikami, którzy pod wpływem ran odniesionych na polu bitwy postanowili poświęcić życie Bogu. Gdy jednak Loyola wzmocnił Kościół katolicki od wewnątrz, Accosta bez skrupułów opuścił go i wykorzystał jego słabość. Ustanowił swój konkurencyjny Kościół, kiedy Watykan rozdzierały wewnętrzne spory. Schorowany papież Jan Paweł II stał się marionetką wpływowej reakcyjnej prawicy. W Europie i Stanach Zjednoczonych młodzież katolicka masowo odwracała się od Kościoła. W Ameryce Łacińskiej ogromna liczba katolików przeszła na protestantyzm. Straszne czasy. Accosta powinien zostać i zreformować Kościół od wewnątrz, ale na pierwszym miejscu postawił siebie. Jego obsesja na punkcie technologii i swoście rozumianej prawdy jest nie mniej dogmatyczna niż zaślepienie i arogancja tych idiotów z kurii.

Riga przerwał, by złapać oddech i jego głos zlagodniał, lecz wciąż był pełen pasji. -- My w Towarzystwie mamy jeden jasny cel. Przetrawanie. Musimy ocalić Kościół przed nim samym i tymi, którzy jak Czerwony Papież chcieliby nas zniszczyć. Doktorze Fleming, przypadkiem znalazł się pan na pierwszej linii frontu i musi pan uważać na to, co robi pan z odkrytą przez siebie technologią i wiedzą, do której zdobycia pan dąży. W Watykanie i otoczeniu Czerwonego Papieża są osoby, które zrobiłyby wszystko, by ją osiąść i wykorzystać.

--Przecież o to właśnie chodzi -- powiedział Fleming. -- Kiedy dowiemy się, co czeka nas po śmierci, przestaniemy być niewolnikami religii.

Riga parsknął ironicznym, gorzkim śmiechem.

--I myśli pan, że Watykan czy Czerwony Papież ucieszą się z tego? Proszę tylko pomyśleć o duchowych i naukowych konsekwencjach pańskich dążeń. Wchodzi pan w drogę potężnym siłom i obojgu wam z Amber grozi wielkie niebezpieczeństwo.

--Czy Amber nie powinna sama podjąć decyzji, czy się w to angażować? Zwróciła się do mnie o pomoc, a dzięki tej nowo odkrytej fali może uda się wyleczyć jej migreny.

--Może. Nie rozmawiałem z nią, odkąd tydzień temu spotkaliśmy się w San Francisco.

Fleming zmarszczył brwi.

--Nie dzwoniła od tamtej pory?

--Uznałem, że ma wiele spraw na głowie w związku z matką. Ale liczę na to, że niedługo się odezwie.

--Gdyby zadzwoniła, mógłby ojciec ją poprosić, żeby skontaktowała się ze mną?

--Oczywiście.

Fleming wstał zawiedziony, że przyjechał tu na marne.

--Dziękuję, że znalazł ojciec dla mnie czas. -- Wyciągnął rękę.

Riga uścisnęła jego dłoń.

--I vice versa, doktorze Fleming. Nadal zamierza pan jej szukać?

**--Nie mam wyboru. Nic innego mi nie pozostaje.**

**--A zatem powodzenia i proszę uważać na siebie.**

**Zaraz po wyjściu Fleminga ojciec Peter Riga zamknął drzwi, wrócił za biurko i wykręcił numer Amber po raz ósmy od czasu, kiedy naukowiec się z nim skontaktował. Kiedy włączyła się poczta głosowa, nie zostawił wiadomości, tylko wybrał trzycyfrowy numer wewnętrzny w obrębie tego samego budynku.**

**Po trzecim sygnale usłyszał głos w słuchawce.**

**--Tu ojciec Peter. Daj ojca generała.**

**Nie musiał długo czekać, zanim w słuchawce rozległ się głęboki głos przełożonego Towarzystwa Jezusowego.**

**--Ojcze generale -- powiedział Riga. -- Musimy porozmawiać. To pilne.**

Lotnisko imienia Leonarda da Vinci, Rzym Trzy godziny później

leming przebił się przez tłum do stanowiska British Airways. Opuściła go pewność siebie, którą zawsze traktował jako coś oczywistego. Praca, jego źródło utrzymania, wymykała mu się z rąk, jego życie prywatne było w stanie zaniku i nie miał się do kogo zwrócić. Dawniej, kiedy dręczyły go kłopoty osobiste, dzwonił do brata, a sprawy zawodowe omawiał z kierowniczką Barley Hall. Teraz to z powodu tych dwojga znalazł się w opałach.

Tylko jedna osoba mogła pomóc mu to wszystko zrozumieć, a akurat z nią nie miał kontaktu. Pozostawało mu tylko wrócić do domu i czekać na telefon od niej -- od Amber Grant.

Rozejrzał się i na wspomnienie przestrogi Rigi przeszył go dreszcz lęku. Jego uwagę zwrócił niepozorny, popielatowłosy mężczyzna w lekkiej marynarce, który nagle odwrócił wzrok. Przemknęło mu przez myśl, że jest śledzony. Wyjął z kieszeni marynarki bilet powrotny na Heathrow, spojrział na tablicę odlotów i nagle poczuł, że musi porozmawiać z kimś, komu na nim zależy. Wsunął rękę do teczki, wyjął komórkę i wybrał numer rodziców. Odebrała matka.

Kiedy zapewnili się nawzajem, że wszystko w porządku, poprosił, by zawołała Jake'a.

Sześciolatek był zdyszany i podekscytowany.

--Cześć, Milo, grałem dziś w nogę. Flemingowi od razu poprawił się nastrój.

--To fantastycznie, Jake. Brawo.

--Jak wrócisz, będziemy się ścigać.

--No nie wiem. Masz bioniczne nogi.

--Nie bój się, dam ci fory.

--Zobaczmy. Dbasz o nogi tak, jak o tym rozmawialiśmy?

--Tak.

--A poza tym jak leci?

--Dobrze. -- Głos Jake'a zmienił się, zabrzmiała w nim nuta melancholii.

-Milo?

--Tak?

--Gdzie jesteś?

--W Rzymie. -- Usłyszał informację o odlocie samolotu do Londynu i zerknął na tablicę odlotów. W oczy rzuciła mu się informacja o innym rejsie. Sprawdził numer wyjścia i czas odlotu i zerknął na zegarek. To było tak oczywiste, że wyrzucał sobie, iż wcześniej na to nie wpadł. Przez kilka ostatnich dni łamał sobie głowę nad tym, jak skontaktować się z Amber, gdy od razu powinien wybrać najprostsze rozwiązanie. Nawet jeśli okaże się to stratą czasu, i tak nie ma nic lepszego do roboty.

--Wracasz już, Milo?

--Jeszcze nie, Jake -- odparł znów zdeterminowany. Skierował się do stanowiska Alitalii. -- Niedługo będę, ale muszę jeszcze coś załatwić. Pozdrów babcię i opiekuj się nią, dobrze?

--Dobrze, Milo.

--Trzymaj się, Jake. Tęsknię za tobą.

--Na razie, Milo. Ja za tobą też.

Siedem minut później Miles Fleming odszedł od stanowiska Alitalii i pośpiesznie skierował się do wyjścia. Nie zwrócił uwagi na niepozornego, popielatowłosego mężczyznę, który wpisał do telefonu WAP krótką wiadomość:

Fleming nie leci BA 671 na Heathrow.

Leci Alitalia AL 102. Spodziewany czas przybycia: 09.15

czasu lokalnego.

Cel: San Francisco.

30

VenTec, Alaska

Amber zorientowała się najpierw, że już nie śpi, a potem poczuła, że swędzi ją skóra głowy. Chciała otworzyć oczy. Bez skutku. Wytężyła całą siłę woli, usiłując zmusić powieki, by się podniosły, one jednak uparcie pozostawały zamknięte. Próbowwała podrapać się po głowie, ale ręce leżały bezwładnie u jej boków. Rozpaczliwie starała się poruszyć jakąkolwiek częścią ciała. Daremnie.

**Co się dzieje? Czyżby była sparaliżowana?**

**To wszystko nie miało sensu. Nawet czas stracił znaczenie, kiedy usiłowała zmusić otępiały umysł do wysiłku. Przez kilka ostatnich dni -- czy godzin? -- jak przez mgłę czuła przy sobie obecność jakichś ludzi, ale nic poza tym. Czy miało to coś wspólnego z tym, co zdarzyło się w Barley Hall? Z czymś, co Fleming wykrył u niej za pomocą NeuroTranslatora? Jeśli tak, co to było? Myśl, do cholery, myśl, ponaglała samą siebie.**

**Coś musiało się zdarzyć w limuzynie wiozącej ją Barley Hall. Było tylko jedno logiczne wytłumaczenie, które jednak wydawało się niedorzeczne. Została uszponowana i uprowadzona. Ale po co?**

**Nagle usłyszała głosy, męski i kobiecy. Głos kobiety i piżmowy zapach w powietrzu wydały jej się znajome. Pamiętała je z przeszłości.**

**Łóżko poruszyło się i nawet przez zamknięte powieki zauważyła, że zrobiło się jaśniej, jakby została wywieziona z pokoju na korytarz.**

**Po lewej stronie rozległ się syk rozsuwanych drzwi i znalazła się w jeszcze jaśniejszym pomieszczeniu. Poczula dotyk rąk, które przeniosły ją na inne łóżko. Wokół słyszała buczenie.**

**Nagle ktoś podniósł jej powieki i Amber usiłowała zmrużyć oczy porażone jasnym światłem lamp. W jej polu widzenia pojawiła się twarz w wylupiastych okularach ochronnych. Poczula w oczach palący płyn, pod powiekami miała rozwieracze. Ból był nie do wytrzymania, ale nie mogła się skulić ani odwrócić twarzy. Przyciemniane soczewki przesłoniły jej oczy.**

**Ktoś uniósł jej głowę i zauważyła, że wkłada na nią szklaną kulę przypominającą kask astronauty. W zakrzywionym szkle zobaczyła swoje odbicie zniekształcone jak na dnie łyżki. Największym szokiem dla niej było to, że została ostrzyżona na zero.**

**Omal nie spanikowała.**

**Po prawej stronie dostrzegła kątem oka zniekształconą w szkle postać w białym kombinezonie i okularach ochronnych ze strzykawką w dłoni.**

**--Ma szczęście, umrze tylko we śnie -- powiedział kobiecy głos.**

**Kiedy niewyraźna postać dotknęła igłą jej odsłoniętego prawego ramienia, Amber znów poczuła ten irytująco znajomy zapach. Zanim zdążyła wyciągnąć z tego wnioski, usłyszała syk i do kasku napłynął bezwonny, świecący gaz, który skąpał wszystko wokół w zielonej, aktywniej poświacie.**

**A wtedy świat rozplynął się przed jej oczami i wchłonęła ją ciemność.**

**Ledwie wpadła w przytulne objęcia nicości, a już pędziła w stronę światła, gdzie czekało ukojenie. Mknęła ku niemu, dusząc w sobie strach, miała jednak wrażenie, że przytrzymuje ją jakaś siła, która lada chwila rozerwie ją na pół. Napięcie rosło i rosło, aż znalazła się wewnątrz światła, blisko jego źródła. Kiedy jednak czuła, że Ariel już jest tuż-tuż, na wyciągnięcie ręki, siła porwała ją z powrotem w ciemność. Z powrotem do jej ciała.**

**Tym razem jednak nie miała chwili wytchnienia od śmierci, nie wróciła do świata żywych. Zamiast obudzić się bądź zapaść w normalny sen, natychmiast została ponownie wyrzucona w próżnię, ku tunelowi światła. Doświadczyła na nowo strachu przed śmiercią i znów połączyła się ze światłem; tym razem dotarła głębiej, prawie do samego źródła. Ariel była bliżej, czuła to, ale wciąż nie mogła jej dosięgnąć...**

**Wówczas została oderwana od światła, by zaraz znów pomknąć ku niemu. I tak bez końca.**



**Podczas każdego kolejnego wejścia w światło była bliżej źródła, bliżej śmierci i spotkania z siostrą.**

**Zawsze jednak coś jej w tym przeszkadzało. Im bardziej zbliżała się do siostry, tym większa siła ciągnęła ją w tył.**

**Była jak wahadło kołyszące się między życiem a śmiercią, nieobecna na żadnym ze światów, skazana na to, by na zawsze pozostać w dzielącej je otchłani swoistym piekle.**

Sala konferencyjna w czarnym sektorze, YenTec

radley, wszystko z nią w porządku? -- Accosta w napięciu obserwował bladą, spoconą twarz Amber Grant w szklanej kuli. Siedział w sali konferencyjnej z Carvellim, Diageo, Knight i Soamesem i widział wewnątrz laboratorium przez lustro weneckie. Teraz, kiedy projekt „Dusza” wchodził w najważniejszą fazę, wszyscy członkowie Rady Prawdy oderwali się od innych obowiązków i przybyli do VenTec. Chcieli zobaczyć eksperyment na własne oczy.

Bradley Soames spokojnie przyglądał się wskazaniom monitora nad ich głowami.

--Czynności życiowe w normie, Wasza Świątobliwość. Serce bije trochę za mocno, ale w dopuszczalnych granicach. -- Jeśli miał jakiegokolwiek wyrzuty sumienia spowodowane tym, że zrobił ze swojej bylej współpracownicy szczura laboratoryjnego, nie dawał tego po sobie poznać.

Accosta raz jeszcze powiedział sobie w duchu, że powinien być wdzięczny Soamesowi za oddanie dla jego sprawy. -- A ten zastrzyk? Nie będzie miał wpływu na jej sny?

--Wręcz przeciwnie, Wasza Świątobliwość -- odparł Soames wpatrzony w monitor. -- Revelax to cudowny lek neurologiczny zalecany przez obecną tu Virginie Knight.

Knight skinęła głową; jej twarz była ściągnięta, na wysokim czole perlil się pot.

--Dzięki niemu doktor Grant łatwiej będzie zasnąć -- wyjaśniła, nie odrywając oczu od Amber -- a jej mózg wejdzie w fazę REM szybciej i na dłużej. To pomoże nam lepiej wykorzystać jej sny, bo częstotliwość ich występowania i długość trwania zwiększy się dziesięciokrotnie. -- Innymi słowy -- dodał Soames -- będzie umierała częściej i na dłużej, dzięki czemu ilekroć jej kondensat Bosego i Einsteina opuści jej ciało podczas snu, będziemy mogli monitorować jego wędrówkę. Przy użyciu zmodyfikowanej technologii stosowanej w komputerach optycznych powinniśmy być wówczas w stanie namierzyć częstotliwość jej duszy.

W nogach łóżka Amber stały komputer optyczny, kilka monitorów i czarna skrzynka wielkości dużego telewizora, na której widniały cztery pionowe kolumny światel. Każda składała się z czterech mrugających światel w różnych kolorach, przebiegających z góry na dół, i odpowiadała jednej z kolumn widocznych w szklanej kuli na głowie Amber. Światła we wszystkich czterech kolumnach miały się zsynchronizować -- tworząc cztery rzędy kolorów -- kiedy właściwa częstotliwość zostanie namierzona. Teraz, kiedy zbliżała się chwila prawdy, Accosta był wyczerpany. Żar, który trzymał go na nogach przez ostatnich kilka dni, pochłonął resztki jego sił. Pojawiły się pogłoski podsycane przez watykańskie biuro prasowe, że jest bliski śmierci, czego dowodzić miały jego pogarszający się wygląd i długa nieobecność na pokładzie Czerwonej Arki. Szeptano, że bez wyznaczenia następcy Kościół rozpadnie się, a wyznawcy pozostaną bez sternika na wzburzonym morzu. Rzym zasugerował, że gotów jest wybaczyć wszystkim zbłąkanym owieczkom i przygarnąć je z powrotem.

Najgorsze w tych plotkach było to, że nie miały się z prawdą. Zdiagnozowany niemal sześć lat wcześniej rak prostaty zaatakował kości i wątrobę, a płuca były wyniszczone od przerzutów. Choroba zbliżała się do stadium końcowego. Zostało mu kilka miesięcy, jeśli nie tygodni, życia. Tak więc sam był kandydatem na miejsce w jednym z hospicjów jego własnego Kościoła.

Amber Grant była jego jedyną nadzieją.

--Znów wchodzi w fazę REM -- usłyszał zdyszany głos Carvellego.

Tylko Soames wydawał się spokojny, patrzył na monitory wręcz obojętnie.

--Doskonale -- powiedział. -- To był najdłuższy jak dotąd okres utrzymywania kondensatu w postaci zintegrowanego układu bozonów.

--Co w tym doskonałego? -- spytał Accosta wpatrzony w chaotycznie mrugające światła. -- Nie namierzylesz częstotliwości duszy.

--Jeszcze nie, Wasza Świątobliwość, ale dzięki temu, że mogliśmy śledzić pierwsze przypadki śmierci Amber, wędrówki jej świadomości poza ciałem, jesteśmy bliżsi sukcesu niż po wszystkich dotychczasowych eksperymentach razem wziętych.

--Więc ile dni minie, zanim osiągniemy cel?

--Soames parsknął śmiechem i blizny okalające jego usta się wykrzywiły.

--Dni, Wasza Świątobliwość? Nie dni, ale godzin, jeśli nie minut. Dzięki temu leкови można bez końca wprowadzać Amber w stan marzeń sennych. Innymi słowy, będzie umierać raz po raz, dopóki nie namierzemy dokładnej częstotliwości... to tak, jakby namierzać numer telefonu, zmuszając rozmówcę, by dzwonił na okrągło. Szczerze mówiąc, umrze tyle razy, że pożałuje, że żyje. -- Roześmiał się znowu. -- Proszę się nie obawiać, Wasza Świątobliwość, teraz już namierzemy duszę bez trudu. Pozostaje pytanie, jak nawiązać z nią kontakt.

Soames odwrócił się do Carvellego. -- Frank, pomóż Jego Świątobliwości przygotować się do ostatniego aktu. No i trzeba zastanowić się, co z Milesem Flemingiem.

--On nam nie pomoże -- powiedziała Knight.

--Tobie nie, ale do mnie nic nie ma -- burknął Soames. -- Poza tym nie zamierzam go prosić, by nam pomógł. To ja zaproponuję mu pomoc.

Wtedy rozległo się przeciągłe piknięcie i zamiast chaotycznie błyskających kolumn światła ukazały się cztery rzędy kolorów. Soames po raz pierwszy stracił zimną krew.

**- Bierzcie odczyty! -- krzyknął do asystentów w laboratorium. Odwrócił się do Accosty z szerokim uśmiechem zadowolenia. --**

**Dokonało się.**

**Accosta jednak nie zwracał już uwagi na Soamesa ani na światła. Patrzył na Amber Grant ciekaw, dlaczego zdawała się uśmiechać.**

## **32**

**Hospicjum Kościoła Prawdy Duchowej, okręg Marin**

**Następnego dnia**

**zkarłatny habit siostry zaszeleścił, kiedy spojrzała na monitor w recepcji. Zerknęła z uśmiechem na wysokiego mężczyznę i powiedziała:**

**--Panie Kent, przez telefon mówił pan, że pański ojciec jest chory i być może trzeba go będzie umieścić w hospicjum.**

**--Zgadza się. Chciałbym jednak najpierw je obejrzeć.**

**Oczywiście. Poproszę kogoś, by oprowadził pana po naszym ośrodku, i przyniosę pakiet dla gości zawierający niezbędne informacje i formularze, które będzie pan musiał wypełnić w imieniu ojca. Jestem pewna, że zdaje pan sobie sprawę, iż dysponujemy ograniczoną liczbą miejsc, więc przyjmujemy tylko najbardziej potrzebujących.**

**--Tak, rozumiem, ale w razie czego coś się znajdzie?.**

**Siostra zerknęła na monitor i uśmiechnęła się pogodnie.**

**--To hospicjum, panie Kent, miejsca się zwalniają. Taka jest kolej rzeczy. Jeśli będzie pan łaskaw zaczekać, przyniosę pakiet dla gości i poproszę jedną z sióstr, by pana oprowadziła,**

**--Dziękuję.**

**--Proszę bardzo.**

**Ledwie siostra odwróciła się i wyszła z recepcji, mężczyzna wyciągnął rękę do monitora i odwrócił go do siebie. Znalazł interesujące go nazwisko i numer pokoju. Przy nazwisku widniała gwiazdka, ale nie miał czasu sprawdzić, co oznacza. Wyszedł do poczekalni. Na ścianie wisiały zdjęcie Xaviera Accosty, Czerwonego Papieża, i fotografia Czerwonej Arki.**

**Mężczyzna usiadł i po paru minutach zjawiała się druga zakonnica w szkarłatnym habicie; przedstawiła się jako siostra Angela i zabrała go na zwiedzanie hospicjum. Słuchał uważnie, kiedy opowiadała o opiece, na**

jaką mogą liczyć pacjenci, i zapewnianych im udogodnieniach, ale prawie się nie odzywał, dopóki nie weszli szerokimi schodami na piętro, gdzie mieścił się pokój 21. Pokój Gillian Grant.

--Przepraszam, mógłbym skorzystać z ubikacji? -- spytał uprzejmie u szczytu schodów i poczuł ulgę, kiedy siostra wskazała mu drugi koniec korytarza.

--Zaczekam tu -- powiedziała.

Minął szereg pozamykanych pokoi i przystanął pod numerem 21. Upewnił się, że siostra Angela go nie widzi, a korytarz jest pusty, i przysunął się do drzwi.

Kiedy usłyszał głosy, cofnął się o krok. Drzwi pokoju 21 się otworzyły. Mężczyzna i kobieta, oboje w białych kombinezonach, wywieźli na wózku masywną białą trumnę z symbolem Kościoła Prawdy Duchowej. Przeszli obok intruza i skierowali się ku drugiemu końcowi korytarza. Drzwi pokoju 21 pozostały uchylone. Mężczyzna zauważył, że na łóżku nie ma pościeli, a pokój jest pusty.

Wrócił do siostry Angeli.

--Dziękuję, że znalazła siostra dla mnie czas. Myślę, że widziałem już dosyć.

Fleming wyszedł na słońce, skierował się do wynajętego taurusa, wsiadł i ruszył w stronę mostu Golden Gate. Nadal nie był pewien, po co właściwie tu przyjechał; jakkolwiek miał w tym cel, na pewno go nie osiągnął.

Spontanicznie postanowił wyskoczyć za Atlantyk, do San Francisco. Pojechał do luksusowego domu Amber w Pacific Heights i nie zastał tam nikogo. Zadzwoił wówczas do ojca Petera Rigi, by sprawdzić, czy są jakieś nowiny. Nie zdołał porozmawiać z nim osobiście, ale sekretarz jezuita przekazał mu zagadkową wiadomość:

--Ojciec Peter Riga chce, by wiedział pan, że podziela pańskie troski i że poczynił kroki, by panu pomóc.

--Jakie kroki? O czym pan mówi?

Sekretarz jednak nie mógł albo nie chciał powiedzieć nic więcej, dlatego Fleming, zamiast poczuć się pewniej, miał jeszcze większy mętlik w głowie. Hospicjum było jedną z jego ostatnich nadziei.

Ponieważ nie wątpił już, że Virginia Knight chce zszargać jego reputację, uciekł się do podstępu stosowanego przez najgorsze hieny dziennikarskie; tyle że próba skontaktowania się z Amber pod fałszywym nazwiskiem, za pośrednictwem jej przebywającej w hospicjum matki, się nie powiodła. Gillian Grant umarła.

Kiedy jechał przez most Golden Gate, nie zauważył brązowego sedana dwa wozy za nim. Jego wzrok skupiony był na centrum San Francisco i moście Bay. Myślał tylko o swojej ostatniej nadziei na nawiązanie kontaktu z Amber Grant.

## 33

**Optrft Industries**

yćwiczony uśmiech recepcjonistki był serdeczny w odróżnieniu od jej słów. -- Niestety, doktor Soames dopiero wrócił z Alaski i nikogo nie przyjmuje.

Fleming rozejrzał się po przestronnym, wyłożonym marmurem holu Op-triksu; zauważył kamery przemysłowe i dyskretnie rozlokowanych ochroniarzy. Starał się trzymać nerwy na wodzy.

--Proszę tylko, żeby powiedziała mu pani, że tu jestem i że chcę porozmawiać z nim o jego wspólniczce, doktor Amber Grant. Jestem jej lekarzem i mam pewne informacje, które muszę jej pilnie przekazać.

Uśmiech nie zniknął z twarzy drobnej blondynki.

--Przykro mi, ale jeśli nie jest pan umówiony, nie mogę...

--A gdyby tak połączyła się pani z jego biurem przez tę swoją słuchawkę z mikrofonem? Proszę choć dać znać jego sekretarce, że tu jestem. -- Jedna z kamer zafurkotała i skierowała się na niego, po czym jeden ze strażników powoli ruszył ku niemu z palcem na słuchawce, jakby wysłuchiwał czyichś poleceń. Uśmiechnął się do Fleminga zawodowym uśmiechem, takim jak na twarzy recepcjonistki.

--Pozwoli pan ze mną? -- spytał uprzejmie. Był potężnie zbudowany. Wzrostu Fleminga, ale cięższy.

Fleming odruchowo się sprężył.

--Nie chcę żadnych kłopotów, proszę tylko o rozmowę z Bradleyem Soamesem.

--Rozumiem, proszę pana -- powiedział strażnik i przechylił głowę na bok, słuchając głosu w słuchawce. Wyciągnął rękę w stronę szeregu wind

i wskazał tę z kabiną z przyciemnianego szkła. -- Proszę wjechać windą dla kierownictwa na ostatnie piętro. Kiedy pan wysiądzie, skróci pan w prawo, pierwsze drzwi na lewo to gabinet doktora Soamesa.

Fleming nie mógł ukryć zaskoczenia. Spojrzał w kamerę i odwrócił się do niezmiennie uśmiechniętej recepcjonistki. Zanim drzwi windy zamknęły się za nim, zdążył jeszcze usłyszeć jej szczebiot:

--Miłego dnia, doktorze Fleming.

Wcisnął pierwszy guzik od góry. Po kilku sekundach winda zatrzymała się na trzydziestym dziewiątym piętrze i Fleming wyszedł na miękki dywan. Okrągły korytarz był pusty, pracownicy zaszyli się w hermetycznie zamkniętych biurach. Wszystkie znajdowały się po zewnętrznej stronie wieżowca.

Oprócz jednego.

Na drzwiach z jasnego dębu wisiała tabliczka z dwoma słowami. Bez tytułu naukowego, stanowiska czy kwalifikacji, samo imię i nazwisko. Bradley Soames.

Fleming otworzył drzwi i zobaczył wysoką, uśmiechniętą kobietę o bujnych włosach. Wskazała drzwi z przyciemnianego szkła na prawo od jej biurka.

--Doktorze Fleming, doktor Soames już czeka. Proszę tędy.

--Uprzedził mnie pan -- powiedział Soames i wstał zza półkolistego biurka w pozbawionym okien gabinecie. -- Gdyby pan mnie nie znalazł, ja znalazłbym pana. Mogę ci mówić Miles? Mów mi Bradley.

Fleming ukrył zaskoczenie i chwycił wyciągniętą rękę Soamesa. Ostrożnie odwzajemnił jego słaby uścisk -- zauważył blizny i nie chciał zadać mu bólu.

--Właściwie to myślałem, że mnie wyrzucisz za drzwi -- powiedział.

Soames się zaśmiał.

--Och, nigdy nikogo nie wyrzucam. -- Niedbałym gestem wskazał coś za plecami. -- One to robią. -- W przyćmionym świetle Fleming dostrzegł dwa ciemne kształty rysujące się na podłodze po drugiej stronie okrągłego gabinetu. Między nimi leżało coś, co wyglądało jak duża kość. Dopiero teraz poczuł wilgotny, zwierzęcy odór unoszący się w chłodnym, lekko pachnącym lekami powietrzu. -- Ale nie przejmuj się nimi. Jak już mówiłem, cieszę się, że tu jesteś. Siadaj, napij się.

Fleming usiadł na kanapie z puszką coli i spojrzał na dziwnie zachowującego się gospodarza. Soames wyglądał gorzej niż na zdjęciach. Był chudy jak szczapa, a jego skóra w odsłoniętych miejscach nosiła ślady przebytych

operacji. Złote włosy i jasnoniebieskie oczy podkreślały osobliwy wygląd oszpeconej bliznami twarzy. Mimo to Fleming czuł, że ma do czynienia z piekielnie inteligentnym człowiekiem.

--Przykra sprawa z twoim bratem -- powiedział nagle Soames. -- Współczuję. Virginia Knight zawsze była politycznym tchórzem.

--To znaczy?

--Spójrzmy prawdzie w oczy, jest świetną administratorką, umie utrzymać porządek i podobno swego czasu była znakomitą lekarką... ale w odróżnieniu od ciebie i mnie nie jest pionierem. Nie podejmuje ryzyka. Jest politykiem, a ty padłeś ofiarą jej strachu przed wszystkim, co mogłoby postawić ją w złym świetle. -- Soames wyjął spod biurka egzemplarz londyńskiego „Timesa” otwarty na stronie czwartej. Jeden z artykułów był zakreślony na czerwono. Nagłówek głosił: RENOMOWANY NEUROLOG ZAWIESZONY DO CZASU WYJAŚNIENIA OKOLICZNOŚCI ŚMIERCI PACJENTA. Niżej zamieszczono zdjęcie Fleminga. -- Jak sądzę, słyszałeś o fundacji VenTec?

Każdy, kto choć trochę interesował się nauką, słyszał o VenTecu. Faktów dotyczących tego tajemniczego instytutu było niewiele, natomiast narosło wokół niego wiele mitów; mówiło się na przykład, że uchodzące za cud techniki komputery optyczne skonstruowane z pomocą Fundacji były niczym w porównaniu z tajnym superkomputerem o bajecznej mocy skrywanym przez Soamesa w jego górskiej kryjówce. Specjalizujący się w rewolucyjnych innowacjach w dziedzinie najnowocześniejszych technologii komputerowych VenTec znany był jako wylęgarnia nowych pomysłów, wcielanych w życie w oficjalnych laboratoriach Optriaksu i innych współpracujących firm.

--Tak, słyszałem -- odparł Fleming wciąż zszokowany niespodziewanie poufałym przyjęciem. Przyszedł tu, by wyciągnąć z Soamesa, gdzie jest Amber Grant, a tymczasem inicjatywa wymknęła mu się z rąk.

--Przejdę do rzeczy, Miles. Jak wiesz, jestem zagorzałym fanem twoich prac nad NeuroTranslatorem. To chyba najlepsze zastosowanie procesora optycznego Lucyfer, jakie znam. Dlatego właśnie przekonałem moją współpracowniczkę Amber Grant, by zgłosiła się do ciebie na leczenie. I przeznaczyłem pokaźną kwotę na dalsze badania nad twoim wynalazkiem. Ponieważ jednak nie pracujesz już w Barley Hall, ta oferta przestała być aktualna. Domyślam się, że Virginia Knight nie jest z tego zadowolona. -- Soames uśmiechnął się szeroko. -- W każdym razie, mam nadzieję, że strata Barley Hall może okazać się zyskiem YenTecu. Chcę, żebyś wykorzystał moją

dotację i całkiem przyzwoity sprzęt, jaki mamy w VenTecu, do dalszych prac nad NeuroTranslatorem.

Fleming nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Pochlebiali mu, że człowiek tak genialny jak Soames miał o nim tak wysokie mniemanie, mimo oszczerstw, którymi obrzuciła go Knight. Poza tym wyposażenie VenTecu uchodziło za najlepsze na świecie. Byłoby to wymarzone miejsce na kontynuację badań nad częstotliwością duszy. Gdyby niejedna drobnostka.

--To ciekawa propozycja, Bradley, i w innych okolicznościach skorzystałbym z niej skwapliwie, tym bardziej w sytuacji, w jakiej się znalazłem, ale...

--Ale co?



**--Nie przyszedłem do ciebie w poszukiwaniu pracy. Chcę nawiązać kontakt z Amber Grant...**

**--Po co? Przecież nie jesteś już za nią odpowiedzialny.**

**--Sprawa jest bardziej skomplikowana.**

**--Dużo bardziej?**

**--Muszę z nią porozmawiać i pomyślałem sobie, że może ty mi powiesz, gdzie ją znaleźć. Jest coś, co muszę jej koniecznie przekazać, coś, co ma związek z jej migrenami.**

**--Co takiego?**

**Fleming opowiedział mu wszystko od początku. Kiedy skończył, Soames gwizdnął cicho, wstał i zaczął chodzić po gabinecie. Kaptur ochronny opuszczony na sweter osłaniający przed promieniowaniem ultrafioletowym podkreślał chude, zgarbione ramiona.**

**--To niesamowite. Musisz, po prostu musisz zgodzić się, żebym pomógł ci kontynuować badania. Jeśli dobrze rozumiem, chcesz potwierdzić, że ta fala to tylko chwilowa aberracja, smuga kondensacyjna pozostawiona przez znikający w nicości umysł. Bo oznaczałoby to, że twój brat nie cierpi i postąpiłeś słusznie, że nie starałeś się utrzymać go przy życiu. Czy to się mniej więcej zgadza?**

**Fleming był pod wrażeniem jego przenikliwości.**

**--No, mniej więcej.**

**Oczy Soamesa rozbłysły z ożywieniem.**

**--Fascynujące. Z powodu odkrycia tej fali zwątpiłeś we wszystko, w co wierzysz, a teraz chcesz ją dokładnie poznać?**

**--Można tak powiedzieć. -- Fleming, zwykle zamknięty w sobie, tym razem był dziwnie skłonny odpowiadać na dociekliwe pytania tego obcego człowieka dotyczące jego najgłębiej skrywanych obaw.**

--Ale z czysto naukowego punktu widzenia, czy próba wykazania, że fala o tej długości to nie dowód życia pozagrobowego, nie jest obarczona ryzykiem poważnego błędu? -- spytał Soames. -- Nie zapominaj, że praktycznie nie da się udowodnić, że coś nie istnieje. Dużo łatwiej wykazać, że coś istnieje.

--Co chcesz przez to powiedzieć? Że zabieram się do tego nie tak, jak trzeba?

--Otóż to. Miles, nie masz wyboru, jeśli zależy ci na spokoju sumienia. Zamiast usiłować udowodnić za pomocą częstotliwości duszy, że życie pozagrobowe nie istnieje, spróbuj posłużyć się nią do poszukiwania dowodów na jego istnienie. Jeśli ich nie znajdziesz, przynajmniej będziesz mógł sobie powiedzieć, że skoro włożyłeś w to tyle wysiłku i nic, to widać żadnych zaświatów nie ma. Ja bym tak zrobił. -- Soames przerwał. -- Taki sposób postępowania niesie jednak ze sobą pewne ryzyko.

--Tak, wiem -- powiedział Fleming, do którego dopiero teraz dotarło, dlaczego w swoim zapamiętaniu przeoczył to podejście. -- Mogę znaleźć to, czego obawiam się najbardziej.

Soames się uśmiechnął.

--To jednak zbyt wielka sprawa, żeby ją ot tak zarzucić. To oczywiste, że nie masz innego wyjścia, jak tylko kontynuować badania nad NeuroTrans-latorem jako naukowiec, ale i jako brat.

--Tak, lecz muszę mieć dostęp do Amber Grant. Jej też należałoby o tym wszystkim powiedzieć. Na razie niczego się nie domyśla. Dlatego właśnie próbuję się z nią skontaktować.

--Oczywiście. Tyle że niedawno umarła jej matka i Amber wyjechała, żeby mieć trochę czasu dla siebie. Nie wiem, gdzie jest, i szczerze mówiąc, to nie moja sprawa, tym bardziej że wzięła miesięczny urlop na czas kuracji u ciebie. Dzwoni do mnie od czasu do czasu. -- Soames zatrzymał się i nachylił nad wilkami. Zamyślony przemówił do nich w niezrozumiałym gardłowym języku, zdrapał z dłoni strup, wsunął go do pyska większego ze swoich pupili i zmierzwił jego sierść.

Fleming się skrzywił. Choć wilki nie zwracały na niego uwagi, sama ich obecność przejmowała go niepokojem.

--Wiesz co? -- odezwał się Soames. -- Mimo zastrzeżeń przyjmij moją propozycję. Dostaniesz wszystko, co niezbędne do opracowania ulepszonej wersji NeuroTranslatora. Nie żebym się chwalił, ale mamy w VenTecu najlepszych speców od komputerów. Z ich pomocą skonstruujesz znacznie czulszy i potężniejszy model NeuroTranslatora niż ten z Barley Hall. -- Wyprostował się. -- Będę z tobą szczery, Miles. Jeden z naszych klientów,

KREE8 Industries, jest szczególnie zainteresowany twoją technologią, a zwłaszcza zastosowaniem w nauce i rozrywce generowanych komputerowo obrazów i sterowanych myślą protez. Poprosili już VenTec o zaprojektowanie urządzenia, które traktujemy jako ulepszoną wersję twojego prototypowego NeuroTranslatora. Bez twojej wiedzy o długościach fal nerwowych może nam to zająć całe lata. Z twoją pomocą uwiniemy się w kilka dni. W zamian mógłbyś kontynuować badania nad częstotliwością duszy, korzystając ze wszystkich zasobów VenTecu. Pomyśl, co mógłbyś osiągnąć, dysponując komputerami o autentycznie dużej mocy.

--Musiałbym mieć dostęp do mojej dokumentacji z Barley Hall.

Soames machnął prawą ręką w niedbałym geście ludzi prawdziwie bo

gatyh i wpływowych.

--Z Virginią nie będzie kłopotu. Znam jej sposób myślenia, wiem, czego chce. Jeśli tylko dostanie pieniądze i będzie mogła przypisać sobie część zasługi za twoje odkrycie... i umyć od wszystkiego ręce, jeśli nie wypali... nie będzie się interesować tym, co robisz. Zaufaj mi, Miles. Załatwię ci wszystko, czego potrzebujesz z Barley Hall.

--A co z Amber?

--Zacznij pracę od zaraz, a kiedy Amber się ze mną skontaktuje, umówię was ze sobą i będziesz mógł z nią porozmawiać. Nie widzę powodu, by odmówiła współpracy. Musi zrobić coś z tymi swoimi bólami głowy i problemami z Ariel. Mogłoby to nawet pomóc jej dojść do siebie po śmierci matki. -- Soames wyraźnie się ożywił. -- Co ty na to, Miles? Dokonałeś niesamowitego odkrycia. Musisz dalej nad nim pracować i pozwolić sobie pomóc. Po to właśnie powołano VenTec, by promował tego rodzaju przełomowe badania. -- Sięgnął po telefon na biurku. -- Lauro, każ przygotować samolot do podróży do Fairbanks i niech na miejscu czeka śmigłowiec, który zabierze nas do Fundacji. Nie, nie uprzedzaj VenTecu, sam do nich zadzwonię. I tak muszę polecić przygotować kilka rzeczy. Tak, już go pytam. -- Soames podniósł głowę. Jego uśmiech był tak chłopcęcy, a oczy tak błyszczące, że w słabym świetle wydawał się wręcz przystojny. -- Miles, ile czasu potrzebujesz, żeby się spakować?

Zarażony jego entuzjazmem Fleming nie wahał się ani chwili. W najśmielszych marzeniach nie liczył, że spotka go coś takiego.

--Cały mój bagaż jest w wynajętym samochodzie na parkingu po drugiej stronie ulicy.

Soames klepnął go w plecy.

--No to chodź, na co czekamy?

**Część mieszkalna w czarnym sektorze, VenTec**

**iedy Amber Grant odzyskała przytomność, ogarnął ją taki spokój, że była pewna, że umarła.**

**Ktoś ścisnął jej dłoń. I czuła przy sobie czyjąś obecność, znajomą, kojącą. Nawet wspomnienie tego, jak raz po raz umierała, nie było już takie straszne. Coś zmieniło się w głębi jej duszy. Cokolwiek zrobili jej porywacze, w jakiś sposób odblokowało to jej psychikę. Niewoląc ciało, oswobodzili umysł. Nie czuła się już samotna. Miała przy sobie siostrę, uwolnioną z potrzasku, bez trudu nawiązującą z nią kontakt. Nawet obawa o matkę wydawała się łatwiejsza do zniesienia, tak jakby ją z kimś dzieliła.**

**Przytomna i oswobodzona z więzów Amber wyciągnęła rękę w bok, by dotknąć Ariel, ale była tam tylko świeża, gładka pościel. Choć czuła uścisk dłoni siostry, tak silny, jak dawniej, gdy były dziećmi, i jej obecność, pocieszającą, dodającą sił, leżała w łóżku sama.**

**Otworzyła oczy i stwierdziła, że jest w skromnym pokoju bez ozdób czy okien. W nogach łóżka był kącik dzienny, z kanapą, telewizorem, krzesłem i biurkiem.**

**Dalej znajdowały się drzwi, a za nimi łazienka. Spartańskie otoczenie, białe ściany i proste meble wyglądały dziwnie znajomo.**

**Usiadła prosto i zauważyła, że ma na sobie biały kombinezon. Była wyczerpana fizycznie, jak po chorobie, ale ulżyło jej, że znów panuje nad swoim ciałem.**

**Dziwne. Powinna czuć się zrozpaczona, przerażona i samotna. A tak się nie czuła.**

**--Gdzie jesteś? -- spytał głos. Głos jej i nie jej jednocześnie.**

**--Nie wiem -- usłyszała swoją odpowiedź.**

**Wstała. Miała wrażenie, że powinna rozpoznać ten pokój. Przypominał jej miejsce, które odwiedziła przed laty. Podeszła do drzwi i nacisnęła klamkę, lecz były zamknięte.**

**Wtedy zobaczyła biały szlafrok na drzwiach łazienki. Na jego górnej kieszeni widniała litera V, a pod nią hasło: Jutro Dziś.**

**I wtedy doznała olśnienia. Wszystko zaczęło się układać w logiczną całość. Ten znajomy piżmowy zapach i głos, który rozpoznała, kiedy była**

**sparaliżowana... to musiała być Felicia Bukowski, naukowiec, zaufana Bradleya, którą Amber poznała w czasie wizyty w jego Fundacji.**

**Była w VenTecu. Co mogło oznaczać tylko jedno.**

**Bradley Soames był w to zamieszany.**

**Jej współnik stał za tym wszystkim.**

## 35

### Alaska

**iles Fleming nigdy jeszcze nie był na tak dalekiej północy. Przed trzema laty pojechali z Robem na Alaskę, by zdobyć Denali, najwyższy szczyt Ameryki Północnej. W czasie lotu z San Francisco do oddalonego o cztery tysiące kilometrów Fairbanks samolot Soamesa przeleciał nad Alaska Rangę. W Fairbanks przesiedli się do śmigłowca, który skierował się w stronę Gór Brooksa i pól naftowych Prudhoe Bay i Point McIntyre.**

**--Niedługo będzie widać Fundację -- powiedział siedzący obok Soames i wskazał przez przyciemniane szyby zaśnieżone szczyty przebijające widoczne w dole chmury. -- Kilka kilometrów na wschód od nas leży Polarny Rezerwat Przyrody, lecz mój dziadek wykupił większość gór, które widać po twojej lewej stronie. Miliardy lat temu były zatopione w morzu. Utworzone z podmorskich skał, skrywają ogromne pokłady ropy. Dziadek założył Alascon Oil, to jednak dzięki mojemu ojcu firma rozkręciła się po odkryciu wielkich złóż w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. To on udoskonalił proces przewiercania wnętrza góry. Zarobił na tym krocie, a jego fortuna, rzecz jasna, stała się fundamentem mojej. Po jego śmierci sprzedałem Alascon BP, by zdobyć fundusze na rozkręcenie Optriaksu, ale zatrzymałem mniej więcej pięćset hektarów. Podoba mi się tutaj, klimat jest w sam raz dla mnie. Od listopada do początku lutego słońce w ogóle tu nie wschodzi, co bardzo mi odpowiada. A latem, cóż, rzadko wychodzę na zewnątrz. Z zachowaniem prywatności nie ma tu kłopotu.**

**Fleming spojrział w dół, na morze zaśnieżonych szczytów, i przeszedł go dreszcz podniecenia. To, że był w górach, uznał za dobry znak, potwier-**

dzający słuszość podjętej pod wpływem impulsu decyzji, by towarzyszyć Soamesowi. Gdzie miał upewnić się, że dusza Roba jest bezpieczna, jak nie w jego ukochanych górach?

Przez prześwit w obłokach dostrzegł dolinę usianą domkami.

--To tam? -- spytał.

Soames zaśmiał się głośno i Fleming zobaczył w szybie, jak dwa wilki podnoszą łby.

--Nie -- odparł Soames po chwili. -- To posterunek straży rezerwatu przyrody. -- Wskazał siedzące za nim wilki. -- Właśnie stamtąd je wzięłem, kiedy były porzuconymi szczeniakami. Moja Fundacja jest kawalek dalej.

Przed nimi wyrósł wyjątkowo strzelisty szczyt i śmigłowiec wszedł na wyższy pułap. Patrząc na rosnącą w oczach górę, Fleming przyłapał się na tym, że wypatruje najdogodniejszej drogi wspinaczki, szacuje kąty nachylenia i szuka najlepszych sposobów przebycia poszczególnych odcinków. Zdobycie tego szczytu byłoby całkiem sporym wyzwaniem dla alpinisty.

W jego myśli wdarł się głos.

--To VenTec. -- Soames wskazał czarną kopułę na ośmiu przechylonych wspornikach, wznoszącą się na płaskim wierzchołku góry. Masywną konstrukcję pokrywały wielkie tafle czarnego szkła i kiedy śmigłowiec zawisł nad nią, Fleming zauważył duże świecące H w kole na stalowej platformie wystającej z północnej ściany.

--Pierwotnie była to platforma wiertnicza, miała łączyć się z rafinerią ulokowaną we wnętrzu sąsiedniej góry. Fleming zauważył na niższym szczycie skupisko niewykończonych budynków, opuszczony zakład przetwórczy i metalowe szkielety. -- Plan był taki, by poprowadzić przez góry system rur łączących platformę z rafinerią i głównym rurociągiem docierającym do wybrzeża. Sprzedałem Alascon, zanim ten zamysł wcielono w życie, i przerobiłem platformę na instytut naukowy. Zdaniem geologów, wciąż siedzimy na niezliczonych baryłkach ropy, ale czarne złoto to już przeżytek. Ropa to produkt przeszłości, który powstawał przez miliony lat. Ja koncentruję się na przyszłości. Śmigłowiec opadł ku lądowisku i żołądek podjechał Flemingowi do gardła.

Koła osiadły na twardym gruncie, strumień zaśmigłowy wzbil śnieg ze stalowej platformy. Fleming wyszedł na lądowisko i poczuł się tak, jakby przeszło go tysiące zimnych noży: lodowaty wiatr nie był silny, ale przenikał do szpiku kości.

--Chodź do środka. Temperatura odczuwalna wynosi co najmniej minus dwadzieścia stopni -- powiedział Soames i spuścił ze smyczy wilki, które

pomknęły ku ośnieżonym zboczom, zadowolone, że wydostały się z ciasnego śmigłowca. Fleming stracił je z oczu, ale słyszał ich skowyt.

--Dokąd pobiegły? -- spytał, kiedy dwaj pracownicy obsługi wzięli bagaże i wprowadzili ich głównym wejściem do siedziby Fundacji.

--Nie wiem. Chodzą swoimi drogami, jak to wilki. Tu jest ich dom.

Po prawej stronie holu głównego Fleming zauważył żaroodporne szklane drzwi, oznakowane symbolami wskazującymi, że są tam leki i ubrania. I rzeczywiście, w środku zobaczył kurtki polarne najnowszej generacji, buty, ekwipunek do wspinaczki i szafki -- był to schowek, w którym trzymano ubrania, zapasy leków i racje żywnościowe niezbędne w razie ewakuacji. Na ścianie obok drzwi wisiał kolorowy plan Fundacji VenTec, podzielony na pięć

**oznakowanych różnymi barwami części: centralny czerwony rdzeń i cztery rozchodzące się promieniście sektory.**

**--Chodź, Miles -- powiedział Soames. -- Zaprowadzę cię do twojego pokoju, a potem wszystko ci pokażę.**

VenTec

Czterdzieści minut później

Fleming co chwila pocierał uszy, niepewny, czy buczenie dobywa się z głębi Fundacji, czy to tylko złudzenie zrodzone w jego zmęczonym wielogodzinnym lotem mózgu.

--Pokój ci odpowiada? -- spytał Soames, który prowadził go przez białe sektory za strzałkami wskazującymi drogę do sektora niebieskiego.

--Tak. -- Znajdujący się w białym sektorze pokój Fleminga był raczej funkcjonalny niż luksusowy, ale znalazł w nim wszystko, co trzeba. -- Zauważyłem, że telefon nie obsługuje linii zewnętrznej.

--To głównie ze względów bezpieczeństwa. Prowadzimy tu tajne badania i uznaliśmy, że kontakty ze światem zewnętrznym muszą być ograniczone do minimum. Poza tym, dzięki temu nic nas nie rozprasza. Ale nie jesteś zupełnie odcięty od świata. W każdym z sektorów jest pokój łącz-

## 140

ności wyposażony w telefon satelitarny, z którego można w razie potrzeby skorzystać. No i, rzecz jasna, mamy modemy do ściągania danych. To ci wystarczy, mam nadzieję?

--Tak sądzę.

--To dobrze. Jesteśmy w białym sektorze i właściwie nie ma tu czego objaśniać. To część ogólnodostępna, otwarta dla wszystkich pracowników Fundacji, podobnie jak wszystkie białe korytarze. Jest tu kilka laboratoriów, lecz wszelkie tajne prace prowadzone są w sektorach oznakowanych kolorami, każdy z nich jest oddzielony murem chińskim od pozostałych. Bezpieczeństwo wewnętrzne to priorytet.

Podeszli do drzwi z dymnego szkła prowadzących do niebieskiego sektora i Soames wskazał na małą płytkę obok czytnika dysków.

--Tylko ja mam dostęp do wszystkich sektorów. Ta płytka to skaner DNA, który zdejmuje z opuszki palca mikroskopijną warstwę naskórka i jeśli uzyskuje potwierdzenie, że zawiera ona moje i tylko moje DNA, zamek się otwiera. Podniósł dłoń i rozłożył palce jak wachlarz. -- Oto moje klucze uniwersalne. Przywilej właściciela.

Wskazał na drugą stronę szklanych drzwi.

--Niebieski sektor specjalizuje się głównie w badaniach nad wirtualną rzeczywistością. Wielu naszych klientów przyjeżdża tu, by z pomocą naszych naukowców i komputerów szukać nowych dróg rozwoju. Słyszałeś o KREE8?

Fleming skinął głową..

--Jasne.

KREE8 słynęło z opracowania technologii komunikacji holograficznej i stworzenia pierwszych wirtualnych aktorów, co pozwoliło wskrzesić wiele nieżyjących już gwiazd. Ledwie przed rokiem wygenerowana komputerowo Marilyn Monroe wystąpiła u boku George'a Clooneya w filmie, który okazał się hitem dekady.

--Cóż -- powiedział Soames -- chyba nie zdradzę wielkiej tajemnicy, jeśli powiem, że VenTec praktycznie pełni funkcję działu badań i rozwoju KREE8. Lekko licząc, osiemdziesiąt procent ich nowych produktów powstało za tymi szklanymi drzwiami, w niebieskim sektorze.



**Soames zatrzymał się i wskazał nadchodzącą korytarzem drobną postać. Z wyjątkiem małego czerwonego krucyfiks na piersi mężczyzna ze sztuczną opalenizną i kruczoczarnym kucykiem był cały w czerni: od golfa przez spodnie po buty z lakierowanej skóry. Fleming poznał go ze zdjęć w gazetach.**

--Ach, o wilku mowa! -- zawołał Soames. -- Miles, pozwól, że przedstawię ci Franka Carvellego, szefa KREE8.

Carvelli uśmiechnął się, ale gładka oliwkowa skóra wokół jego brązowych oczu ledwie się zmarszczyła. Fleming domyślił się, że to skutek operacji plastycznej, choć jeśli tak było rzeczywiście, to jej ślady były praktycznie niewidoczne.

--Doktorze Fleming, jestem wielkim fanem pańskiego NeuroTranslatora -- powiedział Carvelli.

--Dzięki.

--Miles zgodził się pomóc nam udoskonalić model opracowany przez KREE8 -- wyjaśnił Soames.

Carvelli i Soames wymienili spojrzenia i szef KREE8 uniósł brew z miną wyrażającą-jak się Flemingowi zdawało uznanie i zaskoczenie.

--Poważnie? To wspaniale. -- Popatrzył na zegarek. -- Przepraszam, ale muszę lecieć, mam zebranie.

--Bez obaw, Frank, powiem Milesowi, co i jak.

--Cieszę się na naszą współpracę. Mam nadzieję, że niedługo porozmawiamy -- powiedział Carvelli uprzejmym tonem.

Kiedy szef KREE8 zniknął w niebieskim sektorze, Soames odwrócił się do Fleminga z krzywym uśmiechem.

--To, że cię tu ściągnąłem, jest dla mnie swego rodzaju sukcesem. Mówiłem Frankowi, że potrzebny nam będzie człowiek o twojej wiedzy, a on nie wierzył, że zgodzisz się nam pomóc.

--Będę pracować w niebieskim sektorze?

--Nie, bo prowadzone tam są też inne projekty, na których punkcie Frank ma obsesję. Co ważniejsze, chcę, żebyś miał własny kąt, gdzie mógłbyś w spokoju pracować nad częstotliwością duszy. Chodź, pokażę ci resztę VenTecu, a potem zaprowadzę cię do twojej pracowni.

Soames wrócił tą samą drogą, którą przyszli, i poprowadził Fleminga przez biały sektor do sektora zielonego.

--Tam wykonujemy zlecenia rządowe. I nie tylko dla naszego rządu.

Okrążyli całą część środkową i skierowali się ku wejściom do czerwonego i czarnego sektora. Po drodze minęli dwóch naukowców w białych kombinezonach, które najwyraźniej były obowiązującym tu strojem. Obaj tylko uśmiechnęli się przelotnie i bez słowa poszli dalej. Obowiązki nie pozwalały na blahe pogawędki. Mimo całej nowoczesnej scenerii Fleming czuł się tu trochę jak w rzymskiej siedzibie jezuitów, gdzie panowała taka sama cisza dowód, że praca wre.

Soames zatrzymał się na kwadratowym korytarzu. Po jego lewej stronie czarne strzałki kierowały do czarnego sektora, a duża czerwona strzałka po prawej wskazywała windę osłoniętą szklanymi drzwiami z wytrawionym napisem: Nieupoważnionym wstęp wzbroniony. Okulary ochronne obowiązkowe. Przytłumione buczenie, które Fleming usłyszał zaraz po wejściu do VenTecu, było tu głośniejsze.

--Czerwony sektor -- oznajmił Soames. Włożył rękę do kieszeni marynarki i wyjął przezroczystą plastikową kopertę. W środku był srebrny dysk z czerwoną strzałką. Podał go Flemingowi. -- To twój smart-dysk. Dzięki niemu będziesz mógł dostać się do wszystkich białych pomieszczeń, włącznie z twoim pokojem, i czerwonego sektora, gdzie będziesz pracował. Dysk jest przypisany do ciebie i nagra się na nim wszystko, co zrobisz... które drzwi otworzysz, co zamówisz do jedzenia, z jakiego sprzętu skorzystasz, co weźmiesz z magazynu. Postaraj się go nie zgubić. -- Odsunął się od drzwi i dał mu znak, by wprowadził dysk do zamka.

--Co jest w czarnym sektorze? -- spytał Fleming od niechcienia, zaskoczony, że Soames, który tak otwarcie opowiadał o swoim królestwie, nie wspomniął o nim ani słowem.

Soames spojrział na niego dziwnie, jakby miał tajemnicę, którą gorąco pragnął wyjawić, ale nie mógł tego zrobić.

--Może o tym później -- odparł. -- Chodź, pokażę ci, gdzie będziesz pracował. Czerwony sektor to świątynia ku czci czystej mocy komputerowej. Tam mieści się moja duma i radość.

Fleming jeszcze raz zerknął na strzałki do czarnego sektora, ale nic nie powiedział. Wsunął dysk do zamka drzwi czerwonego sektora i kiedy winda otworzyła się, wszedł do kabiny.

Podłogę z mocno przyciemnianego szkła podświetlało od spodu jasne, niemal oślepiające światło. Z dołu dobiegało już dużo głośniejsze buczenie. Winda ruszyła.

Soames odwinął rękawy swetra, zakończone rękawiczkami. Na oczach Fleminga szczelnie naciągnął je na dłonie, okrył twarz i głowę i nałożył przyciemniane okulary.

--Nie wymyśliłem jeszcze, jak zneutralizować występujące tam promieniowanie ultrafioletowe -- wyjaśnił, sięgnął po lustrzane okulary ochronne leżące na półce przy drzwiach windy i podał je Flemingowi. -- Światło nie zaszkodzi twojej skórze, ale oczy lepiej osłonić.

Drzwi windy rozsunęły się i Fleming zmrużył schowane za okularami oczy, gdy uderzyła w nie fala jasnego światła. Mrugając, wyszedł za

Soamesem. Początkowo nic nie widział, tak oślepił go ten blask, i przypomniało mu się, jak Amber Grant opisywała śmierć, zlewanie się ze światłem, połączenie z tworzącymi je fotonami. Wkrótce jednak, dużo silniej, włączyły się inne zmysły. Buczenie nie było już tylko tłem, lecz wyraźnym, definiowalnym dźwiękiem, a powietrze stało się gorące i naelektryzowane jak przed burzą.

Jego źrenice, małe jak punkciki, zaczęły oswajać się z zalewem światła i rozróżniać elementy otoczenia. Kiedy jego mózg zinterpretował to, co widzi, Fleming usłyszał głośne westchnienie. Dopiero po chwili zorientował się, że to on sam westchnął.

## Czerwony sektor

leming zauważył, że stoi na szerokim, okrągłym rusztowaniu wzniesionym wzdłuż krawędzi cylindrycznej komory. Jej ogrom był przytłaczający. Jednak to, co zobaczył w dole, zaparło mu dech w piersiach.

Podszedł ostrożnie do barierki, wychylił się i spojrzął w głąb cylindrycznej otchłani. Jakieś trzy metry niżej w powietrzu unosiła się świetlista kula, jasna jak małe słońce. Miała co najmniej sześć metrów średnicy, pulsowała i buczała. Otaczały ją ściany z przyciemnianego szkła, za którym znajdowały się laboratoria i sterownie.

--Gdzie jesteśmy? -- spytał Fleming.

--We wnętrzu góry. Kiedyś był to główny odwiert, w którym mój ojciec szukał ropy. Pod nami, na głębokości kilku kilometrów, znajduje się niewy-eksploatowane, zamknięte złożo. Powiększyłem średnicę otworu w górnej części, by zmieściły się w nim widoczne pod nami laboratoria. Do moich celów to miejsce nadaje się idealnie: mam tu chłód, spokój i bezpieczeństwo, czego więcej mógłbym sobie życzyć? -- Soames wychylił się za barierkę i wskazał na świetlną kulę. -- To moje dziecko, matka wszystkich komputerów optycznych. Ostatni komputer, szczytowe osiągnięcie technologii. Może w mgnieniu oka przyswajać i przetwarzać zawrotną liczbę danych. Przeczesuje sieć w poszukiwaniu nowych informacji i przechowuje

## 144

je w swojej niemal nieograniczonej świetlnej pamięci. Miles, gdyby jutro nastąpił koniec świata, praktycznie cała wiedza ludzkości zachowałaby się w tym rozległym kwantowym systemie fotonów kodujących dane. Mózg, który tu widzisz, może uzyskać dostęp do wszystkich informacji i każdej z osobna z prędkością światła. To Matka Lucyfer, niosąca światło... czy raczej należałoby powiedzieć, oświecająca ludzkość.

Fleming patrzył w niemym zachwycie na jasną, pulsującą kulę. Soames się zaśmiał.

--Niektórzy moi współpracownicy dokuczają mi z powodu mojego dzieła. Mówią, że przypomina im ono starą anegdotę, wiesz, tę o szalonym geniuszu, który pragnąc poznać odpowiedź na pewne nurtujące go pytanie, postanawia skonstruować komputer na tyle potężny, by wiedział wszystko o wszechświecie. Wreszcie po długiej, żmudnej pracy superkomputer jest gotowy i naukowiec od razu, pierwszego dnia, pyta: „Czy Bóg istnieje?”

Soames spojrzął w dół na swoje płomieniste dzieło. Nie mogąc oderwać oczu od kuli, Fleming spytał:

--I co komputer na to?

--W pierwszej chwili nic, więc naukowiec ponawia pytanie: „Czy Bóg istnieje?” Wreszcie superkomputer odpowiada: „Teraz już tak”.

Fleming uśmiechnął się przez grzeczność.

--Wyobraź sobie, co by było, gdybyś mógł wykorzystać tę moc w nowym NeuroTranslatorze -- szepnął Soames. -- Wyobraź sobie, jakby to było, gdybyś dzięki niej mógł dokonać odkryć nie tylko na tym, ale i na tamtym świecie, nawiązać kontakt z umysłami tych, którzy odeszli. I nie tylko przez kilka ulotnych minut, jak to było z twoim bratem, lecz bez żadnych ograniczeń czasowych, na każde życzenie. Mógłbyś spytać zmarłych, o co tylko

chcesz.

Na przykład, co jest po tamtej stronie. Czy istnieje niebo i piekło. Czy ci, których kochałeś, są wolni od cierpienia. Może poznałbyś nawet myśli Boga.

Fleming poczuł mrowienie w karku. Przyjechał tu, żeby wyjaśnić, czym jest częstotliwość duszy, wykazać, że to nic więcej, jak tylko ostatnie tchnienie umierającego mózgu, i utwierdzić się w przekonaniu, że życie pozagrobowe nie istnieje -- co znaczyłoby, że ból nie ma do Roba przystępu. Teraz jednak trudno mu było nie zważyć we wszystko, co przyjmował za pewnik. Wizja uzyskania nieograniczonych możliwości kusila, przyprawiała o zawrót głowy. W tej chwili czuł, że nic nie jest nieosiągalne na tym świecie i poza nim.

Zauważył, że do Soamesa dołączyło dwoje ludzi: wysoki ciemnoskóry mężczyzna o przerzedzonych włosach, w okularach ze stalowymi

oprawkami, schowanych pod goglami ochronnymi -jego czoło przecinały bruzdy, ale skóra wokół oczu była gładka, jakby przez całe życie nic, tylko marszczył brwi i nigdy się nie uśmiechał -- i kobieta. Biały obcisły kombinezon dobrze leżał na jej zgrabnej sylwetce, a długie blond włosy nosiła związane w kok. Była piękna, miała wystające kości policzkowe i niesamowite bladoniebieskie oczy. Fleming mimo woli porównał jej lodowaty wdzięk z egzotyczną, ciepłą urodą Amber Grant.

--Poznaj swoich asystentów. -- Soames przedstawił mu doktora Waltera Trippa i doktor Felicję Bukowski; on był specjalistą od sprzętu, ona od oprogramowania. -- Zapewniam cię -- ciągnął -- że większość tak zwanych ekspertów w tych dziedzinach nie umywa się do tej pary wybitnych naukowców.

Kiedy Fleming ścisnął ich dłonie, zauważył, że Bukowski nawet na chwilę nie oderwał wzroku od jego twarzy. Soames uśmiechnął się lekko.

--Jak już wspominałem, wraz z naszym klientem, KREE8, od pewnego czasu dążymy do udoskonalenia twojego wynalazku. Nasz najnowszy prototyp został przeniesiony z niebieskiego sektora do laboratorium pod nami. Większa część sprzętu jest gotowa. Konwerter analogo-cyfrowy powinien być lepszy od tego, do którego przywykłeś, podobnie jak wzmacniacz sygnałów nerwowych.

--Zdecydowanie -- przytaknął Tripp. -- Mówiąc najprościej, próbujemy wprowadzić do pańskiego NeuroTranslatora pewne ulepszenia i nie naruszyć przy tym praw patentowych.

--To mi pochwala -- powiedział Fleming.

--Oczywiście potrzebna nam będzie pańska wiedza i dokumentacja ludzkich sygnałów nerwowych, którą zgromadził pan przez te wszystkie lata -- dodała pośpiesznie Bukowski. Miała zaskakująco miły i łagodny głos. Mówiła z takim akcentem jak bostończycy, z którymi zetknął się na Harvardzie. -- Z pańską pomocą będziemy mogli skalibrować nasze urządzenie, by poprawnie interpretowało każdą instrukcję z układu nerwowego, tak w przypadku pojedynczych fal mózgowych, jak i ich kombinacji.

--Jeśli mogę korzystać tu z moich plików z Barley Hall, jak twierdzi Bradley, sprawa powinna być prosta.

--Och, wszystkie pańskie pliki są dostępne -- oświadczyła i zaprowadziła wszystkich do windy. Wcisnęła guzik i kabina ruszyła w dół. -- Może pan je obejrzeć, kiedy tylko zechce. --

**Drzwi otworzyły się i weszli do imponującego laboratorium. Świetlista kula pulsowała za szybą po lewej stronie.**

Od razu rozpoznał dwa NeuroTranslatory, choć wyglądały inaczej niż jego prototyp z Barley Hall. Były zgrabniej zaprojektowane; kula skrywała się w półprzezroczystym niebieskim sześcianie o zaokrąglonych rogach, na którym spoczywał zintegrowany monitor plazmowy z przełącznikami dotykowymi. Urządzenia te były prawie dwadzieścia procent większe od prototypu Fleminga i miały wbudowane głośniki. Dysponowały też większą mocą.

--Po co aż dwa? -- spytał.

--Polityka VenTecu. Każdy prototyp przygotowujemy w dwu egzemplarzach, żeby w razie czego mieć zapasowy -- wyjaśnił Soames.

--Jest piękny -- stwierdził Fleming, oglądając urządzenie. Z tyłu były dwa bezprzewodowe złącza podczerwieni, które widział pierwszy raz. Lewe było podpisane odbiór, a prawe transmisja. -- Nie poznaję tych portów. Co to, nowy typ czujnika łączności?

Tripp niedbale wzruszył ramionami.

--Coś w tym stylu. Zamontowaliśmy je tylko po to, by NeuroTranslator był kompatybilny z naszą najnowszą technologią sieciowej łączności optycznej.

--Spójrz, Miles -- wtrącił Soames. -- Skonstruowaliśmy nawet własne ciało zastępcze.

Fleming odwrócił się i zobaczył przy drzwiach naturalnej wielkości manekina. Był zadziwiająco podobny do Briana.

--To robi wrażenie, Bradley, ale i trochę mnie przeraża. Jak długo już zrzynacie z moich prac?

--Jakiś rok -- odparł Soames bez cienia wstydu. -- Nie wiem, czy pamiętasz, lecz próbowaliśmy cię zwerbować, a kiedy nic z tego nie wyszło, musieliśmy opracować własny system sterowania myślą. -- Uśmiechnął się.

--A poza tym, twój wynalazek opierał się na Lucyferze, który bądź co bądź jest naszym dziełem. Ciesz się, że zaszliśmy tak daleko w pracach. Dzięki temu będzie ci łatwiej.

Gdzieś w tyle głowy Fleminga odezwał się cichy głos sprzeciwu, zaraz go jednak uciszył. Soames spojrzał na niego.

--No i?

Fleming uznał, że równie dobrze może zrobić krok do przodu, zamiast się cofać.

--To kiedy możemy zacząć?

--Wydawało mi się, że już zaczęliśmy -- oświadczył Soames.

Niebieski sektor Godzinę później

ilkaset metrów dalej Xavier Accosta stał w pokoju rzeczywistości wirtualnej ubrany w ciasno opinający ciało kombinezon z elektrodami, które podkreślały i oznaczały każdy kontur i grupę mięśni jego głowy i reszty ciała. Po jego prawej stronie, na dużym ekranie, animowana postać z kropek odpowiadających poszczególnym elektrodom powtarzała wszystkie jego ruchy. W pomieszczeniu znajdował się matowy czarny sprzęt do nagrywania dźwięku i obrazu, a także liczne białe pulpity komputerów optycznych.

Carvelli siedział przy terminalu komputerowym i dzielił uwagę między duży ekran na ścianie i swój monitor.

--Mógłby Wasza Świątobliwość trochę pochodzić po ruchomej bieżni?

--Czy trzeba zmuszać go do aż takiego wysiłku? -- spytała Virginia

Knight. Stała obok monsignore Diageo i sprawdzała przygotowany przez siebie aparat tlenowy. -- Jego układ oddechowy jest osłabiony. Nie można go przemęczać. Carvelli podniósł głowę i uśmiechnął się przepaszająco.

--Rozumiem, ale jeśli efekt ma być realistyczny, muszę wprowadzić wszystkie ruchy do komputera.

Accosta skrzywił się z bólu, który wzmógł się po jego przyjeździe na Alaskę. Sięgnął po maskę tlenową i wziął głęboki oddech, wciągając do chorych płuc słodkie, czyste powietrze.

--Spokojnie, Virginio. Frank robi tylko to, co konieczne. Knight westchnęła.

--Niech Wasza Świątobliwość się nie przemęcza. Proszę.

--I tak już kończymy -- powiedział Carvelli i dokonał poprawek przy użyciu leżącej obok niego kulistej myszy. -- Nagraliśmy wyraz twarzy. Mógłby Wasza Świątobliwość jeszcze raz, już ostatni, poruszać rękami?

Accosta posłusznie powtórzył cały zakres ruchów; zgiął ręce w łokciach, wyciągnął je do przodu, naprężył wszystkie mięśnie, a na koniec przeszedł do ćwiczeń palców.

--Doskonale. Chce Wasza Świątobliwość zobaczyć, jak to będzie wyglądać?



Accosta wciąż nie był pewien, na ile realistyczny będzie efekt końcowy, choć wiele słyszał o cudach dokonanych za sprawą tej technologii w Hollywood. Carvelli wyjaśnił mu, że trzy z największych hitów ostatniego lata powstały z udziałem „aktorów wirtualnych” i widzowie nie potrafili odróżnić ich od tych prawdziwych. Ze względu na coraz bardziej wyśrubowane gąże gwiazd filmowych i możliwość tworzenia doskonałych efektów specjalnych w komputerach optycznych, „aktorzy wirtualni” byli coraz chętniej „angażowani”.

Carvelli wcisnął trzy guziki w monitorze i animowana postać na ekranie zaczęła przyoblekać się w ciało, poczynając od stóp, i zmieniła się w mężczyznę w bokserkach. Accosta poznał własne ciało, ale dopiero kiedy zobaczył, jak wiernie odtworzona została jego twarz, wybałuszyl oczy. Na ekranie widział samego siebie, miał wrażenie, że patrzy w lustro.

--Wasza Świątobliwość ma przed sobą kompozytową postać utworzoną na podstawie profilu genetycznego, z poprawką na wiek... po to były na grania ruchów Waszej Świątobliwości i cyfrowe zdjęcia, które zrobiliśmy wcześniej. To dzięki fotografii cyfrowej podobieństwo jest tak uderzające. Twarz na ekranie jest wygenerowanym komputerowo połączeniem struktury genetycznej Waszej Świątobliwości i zdjęcia cyfrowego o rozdzielczości wielu miliardów pikseli. Ćwiczenia, które Wasza Świątobliwość wykonał, sprawiają, że każdy ruch postaci będzie wyglądał naturalnie. Proszę zobaczyć.

Z oczami utkwionymi w ekranie Accosta patrzył, jak jego wcielenie się ubiera. Pojawiły się skarpety, potem buty, a następnie kolejne warstwy ubrania, aż po szkarłatne szaty, piuskę i łańcuchy -- symbol sprawowanej przez niego funkcji. Były nawet pierścienie na palcach.

--Nadzwyczajne -- powiedział.

Carvelli się rozpromienił.

--Z całym szacunkiem, ale myślę, że to zrobi na Waszej Świątobliwości o wiele większe wrażenie. -- Pstryknął przełącznikiem, zapalając małą czerwoną diodę na ułożonym poziomo czarnym emaliowanym dysku metrowej średnicy w głębi pomieszczenia. Rozległ się szum. -- Musi się rozgrzać -- wyjaśnił.

Światelko stało się zielone.

Na okrągłej płycie wyrosła postać -- ukazywała się stopniowo od dołu do góry w wiązках lasera, jak pod pędzlem niewidzialnego malarza. Tym razem, kiedy Accosta rozpoznał w niej siebie, jego wizerunek został już przyobleczony we wsspaniałe szkarłatne szaty, jak obraz na ekranie

ściennym. Nie było to jednak zwyczajne dwuwymiarowe zdjęcie: to był prawdziwy człowiek. Wydawało się, że Accosta został zamrożony i ustawiony na czarnym dysku. Sam miał wątpliwości, czy potrafilby odróżnić kopię od oryginału, gdyby zobaczył siebie samego, stojącego obok tej postaci, w takim samym stroju.

Carvelli dotknął monitora.

I na oczach Accosty jego sobowtór obudził się do życia.

Najpierw kardynał zauważył ledwo dostrzegalne szczegóły: oddech, lekkie falowanie piersi, rozchylające się wargi. A potem ciężkie powieki zamrugały i na usta wypłynął uśmiech.

Ku własnemu zdumieniu Accosta przyłapał się na tym, że naśladuje swojego sobowtóra, jakby zamienił się z nim rolami. Czuł się, jakby patrzył na swoje lustrzane odbicie, ale nie kontrolował jego ruchów. Kiedy sobowtór ruszył ku niemu, Accosta cofnął się odruchowo.

--Obraz nie może wyjść poza holopad -- zapewnił go Carvelli. -- Zrobi, co operator komputera mu każe, lecz istnieć może tylko na holopadzie. I co Wasza Świątobliwość na to? Zadowolony ze swojej podobizny? W końcu wieczność to mnóstwo czasu.

Accosta zrobił krok do przodu, wyciągnął rękę i niemal dotknął tej zjawy, zafascynowany podobieństwem. Właściwie -- to był on. Tyle że tego nowego wcielenia, w którym odrodziło się jego słabnące ciało, nigdy nie zmagą choroby ani śmierć.

--Tak -- odparł z westchnieniem. -- Jestem zadowolony.

Nagle hologram poruszył się i ukląkł przed Accosta z uśmiechem.

--Chce, żeby Wasza Świątobliwość udzielił mu błogosławieństwa -- wyjaśnił Carvelli.

--Dobrze. -- Accosta odruchowo wyciągnął rękę i położył ją na widmowej głowie. Przeżył szok, kiedy poczuł pod dłonią pustkę. -- Ale on musi umieć mówić. Co z jego głosem?

--To znaczy, głosem Waszej Świątobliwości? -- uściśliła Knight zza jego pleców.

Accosta skinął głową.

Carvelli wskazał na sprzęt audio i dwa mikrofony za holopadem.

--Tym właśnie zajmiemy się w następnej kolejności.

Stołówka w białym sektorze Trzy dni później, 23.18

ak myślałem, że cię tu znajdę, Miles. Miałeś okazję wyspać się przez te kilka dni? Miles podniósł głowę znad salatkki i uśmiechnął się do Soamesa ze znużeniem.

--Nie, nie bardzo. Ale po kolacji padnę na co najmniej osiem godzin.

Był późny wieczór: Tripp i Bukowski poszli spać przed kilkoma godzinami. On sam ledwo miał siłę jeść.

Soames przysiadł się do niego. Na tacy miał półmisek owoców, puszkę coli i bułkę.

Wyraźnie palił się do rozmowy o pracy Fleminga. -- Jak wam idzie?

--Dobrze.

---Walter i Felicia słuchają cię?

--Jasne. Bukowski czasem aż do przesady.

--Walter mówił, że skończyliście modyfikacje.

--Przygotowałem na jutro miniprezentację dla ciebie i Franka. Oczy Soamesa rozbliły.

Super. Dobra robota.

Fleming pozwolił sobie na uśmiech. Był zadowolony z tego, jak duży postęp zrobili w ciągu raptem trzech dni.

Zajęło to przeszło sześćdziesiąt godzin, z przerwami na posiłki i krótkie drzemki. Zgodnie z jego przypuszczeniami, sprzęt w nieskazitelnie czystym, chromowo-białym laboratorium był doskonały, a NeuroTranslator pod każdym względem przewyższał prototyp jego konstrukcji. Soames dotrzymał słowa i umożliwił Flemingowi ściągnięcie jego plików z bazy danych Barley Hall. On sam przez wiele godzin siedział z Czapką Mądrości na głowie przed ciałem zastępczym i kalibrował NeuroTranslatora tak, by właściwie odczytywał złożone kombinacje sygnałów nerwowych sterujące nawet najprostszymi czynnościami. Samo wyregulowanie interpretacji ruchów gałek ocznych trwało sześć godzin.

Kiedy uporał się z wstępnymi korektami, z innymi ruchami ciała poszło mu już szybciej, bo sieć neuronowa urządzenia uczyła się ich samodzielnie. Po skalibrowaniu NeuroTranslator działał tak szybko, że nie było

opóźnienia między myślą a czynem. Ledwie Fleming pomyślał o uniesieniu brwi, manekin już to robił. W teorii wszystko wyglądało bez zarzutu.

Sterowanie ruchami okazało się jednak względnie łatwe w porównaniu z trudniejszym zadaniem: werbalizacją myśli. Fleming znów zaczął od początku -- wprowadził podstawowe słownictwo i pozostawił usuwanie usterek Trippowi i Bukowski, którzy sumiennie wykonywali wszystkie jego polecenia. Stopniowo wzbogacał zasób słów, aż sieć neuronowa komputera przejęła kontrolę.

Tego wieczoru, kiedy Tripp i Bukowski poszli do swoich pokojów, Fleming nałożył Czapkę Mądrości i włączył Neuro Translatora, by jeszcze raz sprawdzić, czy wszystko w porządku. Po monitorze przewijały się wykresy standardowych fal mózgowych: alfa, mu, theta, beta, i pozostałych. Wszystko zdawało się rzeczywiście w porządku. Nie brakowało żadnej ze znanych fal.

Oprócz jednej.

Korzystając z tego, że nowy NeuroTranslator był już włączony, ściągnął z Barley Hall skan Amber Grant, na którym występowała fala o unikalnej długości. Kiedy to zrobił i odwrócił się z powrotem do NeuroTranslatora, u góry ekranu pojawił się nowy wykres -- biegł wysoko ponad najwyższym pasmem częstotliwości innych fal. Po kilkugodzinnych badaniach stwierdził, że wniosek może być tylko jeden.

--Jak tam? -- spytał Soames..;

--Jestem wykończony.

--Chodziło mi o NeuroTranslatora.

--Zobaczysz jutro.

Siedzieli w milczeniu. Fleming jadł sałatkę, Soames pił colę i dłużał w owocach.

--A co z tą twoją częstotliwością duszy? -- spytał wreszcie. -- Wspomniałem o niej pozostałym, są zaintrygowani. Miałeś okazję się nią zająć?

Fleming spochmurniał. Rozmawiał o częstotliwości duszy tylko z So-amesem i zastanawiał się, czy to dobrze, że usłyszeli o niej inni. Soames czytał z jego twarzy.

--Oni chcą pomóc, Miles. Jesteś wśród przyjaciół. Carvelli ma głowę na karku, a Walter i Felicia też nie są głupi. Konsultuj się z nami, a nuż będziemy mogli coś ci podpowiedzieć. Po to tu jesteście.

Fleming odczuł ulgę: byłoby dobrze, gdyby mógł podzielić się z nimi swoimi obawami i skorzystać z ich intelektu i doświadczenia.

--Dzięki.

--No to jak, miałeś okazję się nią zająć?

--Tylko przelotnie. To dopiero początek badań, lecz widzę już dwa duże problemy, które trzeba będzie rozwiązać.

--Chcesz o nich porozmawiać?

Fleming był zbyt zmęczony.

--Chętnie wysłuchałbym twojego zdania na ten temat. Naprawdę. Ale nie teraz. -- Wstał od stolika. -- Wybacz, ale padam z nóg. Ledwo widzę na oczy, muszę się położyć. Porozmawiajmy o tym jutro, po prezentacji.

--Jasne. -- Soames też wstał i położył mu dłoń na ramieniu. -- Prześpij się, Miles. Jutro zapowiada się wielki dzień.

Później tej samej nocy

Sen nadszedł, kiedy tylko Fleming rozebrał się do naga, wskoczył do łóżka i położył głowę na poduszce.

Jednak po kilku godzinach w jego sny o Robie i Jake'u wdarła się Amber Grant. Szeptala mu na ucho, gładziła go po udzie tak czule i zmysłowo, że dostał gęsiej skórki i poczuł, jak włosy na nogach stają mu dęba. Jej chłodne palce powędrowały do jego krocza i pieściły go delikatnie, aż dostał erekcji.

Poczuł chłodny podmuch nocnego powietrza. Ktoś odgarnął pościel i położył się przy nim. Miękkie ciało przywarło do niego, gorący, słodki oddech ogrzał jego policzek, natarczywe palce poruszały się coraz szybciej.

Jęknął przez sen, czując, jak gorące tchnienie zsuwa się w dół, omiata szyję, pierś, brzuch. Przez krótką, rozkoszną chwilę język lizał go po brzuchu, a palce okalające jego wyprężony członek rozluźniły uścisk, zwolniły ruchy. Poddął się doznaniom, zapragnął ulgi i kiedy poczuł, że język zsuwa się niżej, bezwiednie zacisnął pośladki i wyrzucił biodra w górę.

--Amber -jęknął, kiedy gorące usta przywarły do jego ust i wyrwały go ze snu. Wtedy uświadomił sobie, że to nie był sen.

I że to nie była Amber.

--Co u licha?

Poświata z podświetlanego budzika padała na blond włosy Felicii Bukowski, okalając świetlistą aureolą jej głowę, powoli poruszającą się w górę i w dół. Kiedy podniosła wzrok, jej oczy zalśniły jak metaliczne krążki. Żądza podpowiadała mu, by pozwolił jej dokończyć, mimo to coś sprawiło, że podniósł ręce i odepchnął ją.

--Nie, nie. Przestań. Przepraszam cię, ale tak nie można.

Nie był pewien, czemu ją powstrzymał, wiedział tylko, że musi to zrobić. Może dlatego, że w jej błyszczących oczach zobaczył nieskrywane poczucie triumfu, które wzbudziło w nim strach, że jeśli jej ulegnie, straci więcej, niż przypuszczał.

Podejrzewał jednak, że bardziej chodziło tu o poczucie zdrady. Było to irracjonalne, zwłaszcza w przypadku człowieka, który do tej pory unikał związków, ale Fleming nagle stwierdził, że czuje dziwną lojalność wobec Amber Grant. Tak silną, że dopóki wspólnie nie ustalą, co z tym fantem zrobić, wszelkie intymne relacje z innymi kobietami będą równoznaczne ze zdradą.

Oczy Felicii patrzyły teraz zimno, ale nie było w nich bólu, tylko zawód i gniew. Bez słowa trzymała go jeszcze przez chwilę, mocno, tak jakby wystawiała na próbę jego siłę woli, po czym wstała, włożyła szlafrok i wyszła.

Kiedy zniknęła za drzwiami, Fleming leżał w ciemnościach, wsłuchany w łomotanie własnego serca, świadom, że mimo wyczerpania tej nocy już nie zaśnie.

Fleming nie wiedział, że kilkaset metrów od niego, w czarnym sektorze, Amber Grant też nie może zasnąć.

Przez ostatnich kilka dni zbierała siły i obserwowała strażników, sprawdzała, o której do niej zagląдают, o której przynoszą jedzenie i o której zabierają tace po posiłku. Szukała prawidłowości w ich zachowaniu, patrzyła i czekała.

Obmyślała plan ucieczki.

## 40

Czerwony sektor Następnego dnia

arówny Walter Tripp, jak i Felicia Bukowski uczestniczyli następnego popołudnia w prezentacji w laboratorium w czerwonym sektorze. Fleming zastanawiał się, czy napomknąć Soamesowi o najściu Bukowski -- jak udało jej się dostać do jego pokoju? -- ale uznał, że niczemu by to

nie służyło, i nic nie powiedział. Teraz, w świetle dnia, niemal mógł sobie wmówić, że to się w ogóle nie zdarzyło. Jeśli nie będzie do tego wracał, ona też na pewno o tym nie wspomni. Miał nadzieję, że nie zaszkodzi to ich współpracy. Na szczęście jak dotąd, nie licząc wyczuwalnego chłodu, zachowywała się tak, jakby nic się nie stało.

--Fantastyczna sprawa -- zachwycił się Soames, kiedy manekin wyciągnął prawą rękę.

Fleming, nieruchomy i milczący, koncentrował się na ciele zastępczym. Zaczął od oczu i metodycznie schodził coraz niżej. Zmusił manekina, by wyprostował barki, wyciągnął ręce, schylił się, zgiął kolana, a na koniec poruszył palcami u nóg.

Siedzący obok Soamesa Frank Carvelli uśmiechnął się szeroko.

--Robisz to wszystko myślami?

--Z pewną pomocą- powiedział Fleming i wskazał Trippa i Bukowski, stojących przy NeuroTranslatorze. Tripp się uśmiechnął. Bukowski spuściła oczy.

--Czy można tym kontrolować nie tylko manekina, ale i obrazy na monitorze? -- spytał Carvelli.

--Oczywiście. Można kontrolować dowolne medium. Najtrudniej jest z ciałem zastępczym. Obrazy wyświetlane na ekranie czy wygenerowane komputerowo sprawiają o wiele mniej kłopotów.

--A da się go zmusić, by mówił? - spytał Soames.

--Pokażę wam. -- Zrobić wrażenie na takim jak Soames entuzjaście i geniuszu, to dopiero wyzwanie. -- Jego mowa nie wypada przekonująco, bo ruchy warg są niedopracowane, ale owszem, mogę włożyć mu w usta słowa. Nie będzie to wyglądało rewelacyjnie, usłyszycie je jednak wyraźnie z głośnika w jego głowie. Co chcecie, żeby powiedział?

Soames podał Flemingowi kartkę z wypisanym na maszynie tekstem, który musiał przygotować specjalnie na taką okazję. Był to cytat z Biblii.

--Wydało mi się to najbardziej stosowne -- powiedział. -- Akt stworzenia i tak dalej.

Fleming postukał w monitor nad NeuroTranslatorem, by upewnić się, że tryb komunikacji jest włączony. Wziął tekst Soamesa i przebiegł oczami pierwszą linijkę. Od razu zauważył na monitorze słowa, które komputer czytał w jego myślach. A potem manekin przemówił. Czy raczej słowa dobieły się z głośnika tkwiącego w jego gładkiej, lateksowej głowie.

--Wtedy Bóg rzekł: „Niechaj stanie się światłość: i stała się światłość.

Bóg widząc, że światłość jest dobra, oddzielił ją od ciemności. I nazwał

Bóg światłość dniem, a ciemność nazwał nocą. I tak upłynął wieczór i poranek -- dzień pierwszy".

--Niesamowite -- sapnął Carvelli. W jego głosie brzmiał nieklamany podziw.

Po dwóch kolejnych udanych próbach Soames pokiwał głową zadowolony.

--A co z częstotliwością duszy? -- spytał. -- Chcesz o niej teraz porozmawiać?

Fleming spojrział na ich twarze zastygłe w wyrazie wyczekiwania.

--Czemu nie. Muszę przeprowadzić jeszcze kilka badań, ale na podstawie pomiarów przeprowadzonych w chwili śmierci mojego brata i podczas pobytu Amber Grant w Barley Hall mogę wskazać kilka oczywistych problemów.

--Jakich na przykład?

--Tak, jak rozmawialiśmy z Bradleyem przy naszym pierwszym spotkaniu w San Francisco, aby wykazać, że częstotliwość duszy nie ma nic wspólnego z życiem pozagrobowym i nie jest kanałem łączności z zaświatami, próbuję udowodnić coś dokładnie przeciwnego. Jeśli fala, którą odkryłem, nie jest tylko gasnącym sygnałem wychwytywanym w chwili zgonu, powinna umożliwiać nawiązanie kontaktu z duszą po śmierci. Stąd bierze się pierwszy problem: jak namierzyć duszę po śmierci, by dowieść jej istnienia. Nawiasem mówiąc, bez udziału Amber wymagałoby to prowadzenia doświadczeń na ogromnej liczbie osób dokładnie w momencie ich śmierci, aż do uzyskania namiaru, co, rzecz jasna, byłoby absurdalne i nieetyczne.

--A problem drugi? -- przerwał mu Soames.

--Nawet gdyby udało mi się namierzyć duszę umierającego człowieka i udowodnić istnienie życia pozagrobowego, wciąż nie mógłbym nawiązać kontaktu z duszą osoby już nieżyjącej, na przykład mojego brata. Aby tego dokonać, potrzebne byłoby mi coś w rodzaju identyfikatora, określonego adresu, pod którym mógłbym odszukać daną duszę, nie znajduję lepszego porównania.

--No dobrze. -- Soames podrapał się po brodzie. -- Czyli uważasz, że gdybyś mógł namierzyć i odszukać poszczególne dusze, i nawiązać z nimi kontakt przez NeuroTranslatora na częstotliwości duszy, udowodniłbyś ich istnienie?

Cytat za *Biblią Tysiąclecia* (przyp. tłum.).



Fleming był pod wrażeniem tego, jak Soames chwyta w lot koncepcje, które on sam dopiero usiłował objąć myślą.

--Albo i nie, w zależności od tego, co odkryję. Do tego właśnie potrzebna mi jest Amber. Analizując jej dziwne sny o śmierci, w czasie których, z neurologicznego punktu widzenia, rzeczywiście umiera, mógłbym namierzyć częstotliwość pozwalającą na kontakt z zaświatami albo, na co liczę, znaleźć bardziej racjonalne wytłumaczenie...

Carvelli zmarszczył brwi.

--A co z drugim problemem? Z identyfikacją i odszukiwaniem dusz nie żyjących osób?

Fleming się uśmiechnął.

--Wszystko po kolei. Ponieważ mam nadzieję, że nie znajdę żadnych dowodów na istnienie życia po życiu, problem kontaktu z poszczególnymi duszami powinien być czysto teoretyczny.

--I twierdzisz, że bez Amber nie możesz posunąć się dalej w badaniach? -- spytał Soames.

--Uhm -- odparł Fleming. -- Mogę jeszcze trochę w tym podlubać, ale bez Amber niczego nie udowodnię, ani w jedną, ani w drugą stronę.

--Dobrze więc. -- Soames zmarszczył czoło, zamyślony. -- To brzmi logicznie. Wobec tego proponuję, żebyś trochę odpoczął, a ja postaram się skontaktować z Amber.

## 41

Sala konferencyjna w czarnym sektorze Godzinę później

róba odbędzie się dziś -- powiedział Soames z triumfalnym uśmiechem. Knight odwróciła się do niego ze swojego miejsca przy stole konferencyjnym.

--Fleming zrobił to, czego od niego oczekiwaliśmy? -- spytała. -- Już?

--Widziałem na własne oczy -- przytaknął siedzący obok niej Carvelli. Soames skinął głową.

--NeiroTranslator został skalibrowany i zmodyfikowany w sposób umożliwiający połączenie ze sprzętem do wychwytu duszy. Jesteśmy gotowi.

--Dziś? -- powtórzył Accosta; wciąż nie mógł w to uwierzyć. Prace nad projektem zdawały się nabierać rozpędu u kresu jego życia, jakby sam Bóg wyprawiał go w drogę. Razem z monsignore Diageo zaglądał przez lustro weneckie do laboratorium. Dwaj naukowcy przygotowywali stół laboratoryjny i szklaną kulę.

--Dziś -- przytaknął Soames. Zwrócił się do Knight: -- Mamy kandydata do próby? Knight się zawahała.

--Po sukcesie z Amber ograniczyliśmy nabór śmiertelnie chorych pacjentów -- powiedziała. -- Jak wiesz, trzymamy jedną osobę w zielonym sektorze, w trumnie wyposażonej w aparaturę podtrzymującą życie, ale ściągnięto ją tu z innego powodu.

--No dobrze, ale chyba nic nie stoi na przeszkodzie, by została kandydatką? -- spytał Soames. -- To znaczy, spełnia większość niezbędnych kryteriów, jeśli nie wszystkie, zgadza się?

Knight pokiwała głową z ociąganiem. -- Tak, ale...

--Żadnych ale, Virginio, szkoda czasu. Bierzemy ją.

--Kiedy zaczniemy? -- spytał Accosta. Soames spojrział na zegarek.

--Tripp i Bukowski powinni być gotowi za sześć godzin.

Sześć godzin. Accosta sięgnął po przenośny aparat tlenowy i poczuł przyływ niepokoju. Jego przeznaczenie było nieodłącznie związane z tym eksperymentem. Jeśli zakończy się powodzeniem, przyszłość będzie pewna. Wszystko, do czego dążył, wszelkie poświęcenia i bezlitosne decyzje znajdą usprawiedliwienie. Był tak bliski spełnienia swoich marzeń, że wręcz nie mógł tego znieść. Wszystkie rozczarowania, których doznał w przeszłości, bladły w porównaniu z lękiem ogarniającym go w tej chwili. Rozpacz wymaga właściwie tylko stoickiego pogodzenia się z losem. Nadzieja, niosąca ze sobą złudne obietnice, jest o wiele okrutniejsza.

Uspokoił się i spojrział na Soamesa. Naukowiec znów dotrzymał słowa. Pozyskał Fleminga dla sprawy, tak że ten nawet tego nie zauważył. Choć miał tyle zastrzeżeń, Accosta musiał przyznać, że Soames zrobił wszystko, co obiecał.

--Dobrze się sprawiłeś, Bradley. Dziękuję.

--Niech Wasza Świątobliwość jeszcze mi nie dziękuje. Przyjdzie na to czas po eksperymencie. Jestem przekonany, że się uda.

Accosta odwrócił się do Carvellego.

--Aco wtedy?

Carvelli zakasał rękawy i nachylił się nad stołem.

--Cóż, Wasza Świątobliwość, cała aparatura multimedialna jest już na pokładzie Czerwonej Arki. Wasza Świątobliwość widział plany i projekt katedry. Na ekranach będzie wyglądała imponująco. Rozmieszczenie miejsc pozwoli osobom fizycznie uczestniczącym w uroczystości być dość blisko, by mogły potwierdzić autentyczność zdarzenia, którego będą świadkami.

--Co z resztą sprzętu? -- spytał Accosta i wyjął z kieszeni białą chusteczkę.

--Żaden kłopot. Większość urządzeń do wychwytywania duszy jest już na pokładzie Czerwonej Arki. Jeśli tylko dzisiejszy eksperyment się powiedzie, po jego zakończeniu specjalny samolot transportowy zabierze aparaturę pomocniczą.

Accosta odetchnął chrapliwie i zakaszał w chusteczkę. Zmiał ją w dłoni, nie oglądając krwawych plam. Monsignore Diageo bez słowa nachylił się ku niemu, zabrał chusteczkę i podał mu czystą. Accosta uśmiechnął się z wdzięcznością i ponownie zwrócił do Carvellego.

--Zakładając, że eksperyment się powiedzie, kiedy będzie można zorganizować uroczystość?

--Za trzydzieści sześć godzin.

--Tak szybko? Co z nadaniem jej odpowiedniego rozgłosu? Dzień Prawdy Duchowej musi zobaczyć jak najwięcej ludzi.

Carvelli uśmiechnął się i przesunął wypielęgnowaną dłoń po nienaturalnie czarnych włosach.

--Proszę mi zaufać, Wasza Świątobliwość, z rozgłosem nie będzie problemu. Spekulacje co do stanu zdrowia Waszej Świątobliwości sprawiły, że zainteresowanie już jest ogromne, nie tylko wśród naszych współwyznawców. W chwili, kiedy to mówię, zaprzyjaźnieni dziennikarze czekają na komunikat prasowy. Gdy tylko będziemy pewni, że eksperyment zakończył się sukcesem, ogłoszę termin uroczystości. -- Przerwał. -- Wasza Świątobliwość może być pewien, że wszystko będzie tak, jak trzeba. Czekają nas największa sensacja w dziejach mediów. Kiedy ludzie dowiedzą się, czym jest Dzień Prawdy Duchowej, nie sądzę, by ktokolwiek, bez względu na wyznanie, chciał go przeoczyć.

## Biały sektor

en nie przychodził. Fleming leżał na łóżku, oczy piekły go ze zmęczenia, bolała go głowa, ale nie mógł odpędzić się od myśli. Po kąpieli i wczesnej kolacji zapadł w drzemkę, z której obudził się jeszcze bardziej niespokojny. Teraz była już dziesiąta wieczorem, a on nie mógł zasnąć, choć od wyjazdu z San Francisco ani razu porządnie się nie wyspał.

Bez Amber nie mógł posunąć się dalej w badaniach, lecz jego myśli wciąż krążyły wokół danych z NeuroTranslatora. Może coś mu umknęło. Może przeoczył jakiś szczegół, który pozwoliłby uznać częstotliwość duszy za nic innego, jak tylko chwilową anomalię -- za taką ją uważał i taką chciał w niej widzieć.

Im więcej o tym myślał, tym bardziej był przekonany o słuszności tego, czego zamierzał dowieść. Śmierć umysłu była w porządku natury czymś ulotnym -- jak rosa, która parując w porannym słońcu, zmienia się w wilgotną mgiełkę, by następnie zniknąć w ciepłym powietrzu. Pełne strachu słowa Roba wypowiedziane z za grobu były taką właśnie mgiełką, niczym więcej, nie wyrażały niczego prócz stresu towarzyszącego przejściu z życia w nicość. Gdyby tylko zdołał się co do tego upewnić, mógłby wyzbyć się obaw o brata i z czystym sumieniem wrócić do Jake'a.

Jeszcze raz nakazał sobie spokój. Nie mógł zrobić nic więcej, dopóki So-ames nie skontaktuje się z Amber. Przewracał się z boku na bok, powtarzał sobie, że musi zasnąć, ale to nie pomagało. Natarczywe myśli nie dawały mu spokoju. I nie tylko te dotyczące Roba.

Nasłuchując dźwięków za drzwiami, myślał o Bukowski, a potem o Amber-jako pacjentce, którą musiał wyleczyć -- dzięki niej Rob mógł spocząć w spokoju -- a przy tym atrakcyjnej kobiecie. I o Robie, NeuroTranslatorze i częstotliwości duszy.

Oddychał głęboko, próbował odpędzić wszystkie myśli; jak tylko się porządnie wyśpi, wszystko samo mu się pouklada w głowie.

--Cholerny świat. -- Usiadł prosto. Nie było sensu leżeć i przewracać się z boku na bok. Nauczony gorzkim doświadczeniem, wiedział, że na bezsenność jest tylko jedno lekarstwo: musi pracować dotąd, aż rozwiąże problem albo przekona sam siebie, że nie da się tego zrobić.

Wciągnął dzinsy i T-shirta z napisem VenTec, wsunął nogi do butów i wyszedł z pokoju. Korytarze były opustoszałe, lampy świeciły jeszcze słabiej niż zwykle. Chyłkiem opuścił część mieszkalną, minął restaurację i kino, skręcił w lewo, w stronę zielonego sektora, i znalazł się w kwadratowym korytarzu przed windą zjeżdżającą do czerwonego sektora. Nie miał pojęcia, co właściwie chce osiągnąć, ponownie analizując dane z NeuroTranslatora, ale lepsze to niż siedzieć i nic nie robić. Kiedy sięgnął do kieszeni po dysk umożliwiający wstęp do windy, usłyszał jakiś dźwięk i głosy. Drzwi windy się rozsunęły. Odruchowo przywarł plecami do ściany.

--Ostrożnie -- usłyszał syknięcie Trippa do dwóch laborantów. Bez trudu rozpoznał urządzenie na pchanym przez nich wózku. Czemu przynosili NeuroTranslatora w środku nocy?

Już miał spytać o to Trippa, lecz powstrzymał się, kiedy zobaczył, że ten idzie z laborantami w głąb korytarza prowadzącego do czarnego sektora. Przy całej jego wrodzonej ciekawości Fleming był tak pochłonięty pracami nad nowym NeuroTranslatorem, że zupełnie zapomniał o tej tajemniczej części VenTecu. Teraz jednak, chcąc poznać odpowiedź, znów był nią zaintrygowany.

Zaczekał, aż znikną za rogiem; wtedy wyszedł z cienia i ruszył za nimi.

Kiedy skradal się słabo oświetlonym korytarzem, był aż nadto świadom, że nie dość, że jest sam w tym odciętym od świata kompleksie w sercu gór, to jeszcze nikt nie wie, że tu przyjechał. Ani jego rodzina, ani Barley Hall, po prostu nikt. Serce zabiło mu mocniej.

--Chodźcie -- usłyszał głos Trippa. -- Doktor Soames czeka.

Trzymając się blisko ściany, Fleming wychylił się ostrożnie i zobaczył, jak Tripp wsuwa dysk do czytnika w drzwiach czarnego sektora. Otworzyły się z sykiem i trzech mężczyźni weszli z wózkiem do środka. Kiedy zniknęli, Fleming rzucił się biegiem do otwartych drzwi. Zamknęły mu się przed nosem. Zdeterminowany wsunął do czytnika swój dysk, ale światelko przy klamce pozostało czerwone.

--Cholera -- mruknął i wycofał się w cień. Zastanawiał się, co robić.

Kilka chwil wcześniej zamknięta w pokoju w czarnym sektorze Amber też nie mogła zasnąć. Jej strażnik zdawał się postępować według ustalonego schematu. Co wieczór o szóstej przynosił kolację. Potem, parę minut przed jedenastą, pukał delikatnie do drzwi. Jeśli odpowiadała, wchodził i zabierał tacę, a jeśli milczała, czekał z tym do rana.

Przez cały dzień szukała jakiejś broni, ale wszystko w tym nijakim pokoju było przyśrubowane albo niegroźne. Wreszcie podeszła do wieszaka na ręczniki, z wysiłkiem podważyła okucia przytrzymujące chromowany drążek i wyrwała go.

Kiedy strażnik przyniósł posiłek, opanowała nerwy, zjadła tyle, ile mogła, i położyła tacę przy łóżku, które pościeliła tak, by wyglądało, jakby w nim leżała. Zaczęła się w łazience, ściskając drążek jak kij baseballowy.

Czekała w mroku, jej ogolone na zero odbicie patrzyło na nią z lustra. Ile razy zerknęła na zegarek, okazywało się, że minęło dopiero kilka minut. I kiedy już zaczynała myśleć, że on nie przyjdzie, usłyszała pukanie.

--Proszę -- powiedziała.

Trzasnął zamek i drzwi się otworzyły. Do pokoju wpadło przyćmione światło z korytarza i wszedł strażnik. Na chwilę straciła panowanie nad sobą, zwątpiła, czy będzie w stanie uderzyć go z zimną krwią. Zaraz jednak pomyślała o swoim uprowadzeniu i o tym, co przeszła potem, i ścisnęła drążek mocniej.

--Ryba smakowała? -- spytał mężczyzna i podszedł do łóżka, odwrócony plecami do łazienki.

Amber stanęła za nim i z całej siły rąbnęła go w głowę. Drążek odkształcił się przy pierwszym ciosie, więc uderzyła raz jeszcze.

--Średnio -- powiedziała, kiedy strażnik z jękiem zwałił się na podłogę.

Dwie minuty później leżał już na łóżku, zakneblowany jedną z poszewek na poduszki; drugą Amber związała mu ręce za plecami. Przykryła go kocem, upewniła się, że wzięła jego czarny dysk, i wyszła z nadzieją, że minie kilka godzin, zanim ktoś tu zajrzy.

Nie miała pomysłu, jak wydostać się z Fundacji. Nie było możliwości zejść z tej góry, musiałaby chyba uprowadzić śmigłowiec -- była odcięta od świata. Ogolona na zero, zmieniła się nie do poznania, a nawet gdyby udało jej się przekonać kogoś z białego sektora, że została uprowadzona, raczej nie miałaby co liczyć na pomoc w ucieczce. To było królestwo Soamesa. Pracownicy byli od niego całkowicie zależni. Jedyne nadzieje w tym, że uda jej się uzyskać dostęp do telefonu satelitarne w jednym z pokojów łączności i zadzwonić do kogoś z zewnątrz. Do kogoś, komu ufa, na przykład do ojca Petera Rigi.

Szła korytarzem za strzałkami wskazującymi wyjście z czarnego sektora, kiedy nagle usłyszała głosy. Zatrzymała się i zobaczyła nadchodzących z przeciwka trzech mężczyzn -- pchali wózek z jakimś urządzeniem. Odetchnęła z ulgą, kiedy skręcili w prawo, w kierunku głównego laboratorium.

Trzymała się blisko ściany i nasłuchiwała. Dotarła do wyjścia. Włożyła dysk do czytnika i drzwi się rozsunęły. Wyszła na korytarz i zaczęła się zastanawiać, czy pójść za białymi strzałkami w lewo czy w prawo.

Wtedy z cienia wyłonił się mężczyzna i wyszeptał jej imię.

Fleming nie poznał tej ogolonej na zero kobiety, dopóki nie zobaczył jej oczu.

Rozpoznałby je wszędzie. Wyglądała na równie zaskoczoną, jak on. Patrzyli na siebie niepewnie.

--Co ty tu robisz, do cholery? -- syknęła.

--Próbuję tam wejść, żeby sprawdzić, po co Bradleyowi Soamesowi mój NeuroTranslator.

A co ty tu robisz?

--Próbuję stamtąd wyjść.

Zanim zdążył spytać dlaczego, z lewej strony rozległy się kroki. Złapał ją, przyciągnął do siebie i razem wsunęli się do ciemnej wnęki. Słyszał jej oddech, czuł bicie serca. Zobaczył troje ludzi, szli od strony zielonego sektora. Wśród nich była Bukowski. Amber też musiała ją poznać, sądząc po tym, jak zeszywniała na jej widok. Dwaj towarzyszący Bukowski mężczyźni pchali przed sobą wózek, na którym leżała biała trumna.

Jeden z mężczyzn pośliznął się i uderzył trumną w ścianę.

--Uwaga -- szepnęła Bukowski z rozbawieniem. -- Stare pudło jeszcze żyje. Nie chcemy, żeby wyciągnęła kopyta przed czasem.

Otworzyła drzwi czarnego sektora i Flemingowi zaschło w ustach.

Rozpoznał symbol wybity na trumnie, stylizowany rysunek czerwonej arki z masztem w kształcie krzyża. Nawet w słabym świetle wypatrzył napis: Hospicjum Kościoła Prawdy Duchowki.

W tej chwili, na widok wwożonej do czarnego sektora trumny z charakterystycznym symbolem, Amber przestała myśleć o ucieczce. Teraz liczyło się dla niej tylko to, by stłumić straszliwy lęk, który ścisnął jej żołądek.

To było niemożliwe. Po prostu niemożliwe.

Z dyskiem w ręku wyszła na korytarz i skierowała się z powrotem w stronę czarnego sektora. Miles Fleming bez słowa ruszył za nią.

### Sala konferencyjna w czarnym sektorze

ilki zachowywały się tak, jakby Bradley Soames trzymał je na niewidzialnej smyczy. Siedziały po bokach jego krzesła u szczytu stołu i z wywieszonymi ozorami patrzyły przed siebie, niepokojące, nieprzeniknione, nietykalne. Soames co pewien czas wsuwał rękę pod stół i jeden bądź drugi wilk coś z niej brał.

Wszyscy pozostali, włącznie z Accostą, siedzieli w pewnym oddaleniu. Większość bała się wilków, ale Accosta ich nienawdził. Miały w sobie coś pogańskiego -- wręcz bezbożnego. Wstał z krzesła i podszedł do lustra weneckiego, wsparty na silnym ramieniu Diageo. Biała trumna leżała na wózku przy stole laboratoryjnym. Spod uniesionego wieka wyłoniło się ciało z kroplówką, maską tlenową i aparaturą podtrzymującą życie. Accosta posmutniał na ten widok. Cóż, to ostatnie konieczne zabójstwo. Ostatnia ofiara -- nim on złoży ofiarę z siebie.

--Widzi Wasza Świątobliwość NeuroTranslatora? -- Soames wskazał na półprzezroczysty niebieski sześcian z pulsującą świetlną kulą, na którym stał monitor. -- Dzięki zmodyfikowanym portom podczerwieni może zostać połączony z detektorem fotonów w szklanej kuli, rejestrującym kod kreskowy duszy. -- Wskazał na czarną skrzynkę w nogach łóżka, na której widniały cztery kolumny mrugających świateł. -- A kiedy ustawimy sygnał naprowadzający, który zdobyliśmy dzięki Amber, powinniśmy móc utrzymywać łączność tak długo, jak zechcemy. Podczas eksperymentu zamierzamy pozwolić duszy uciec. Kilka sekund później za pomocą jej kodu kreskowego i sygnału naprowadzającego przywołamy ją z powrotem, że tak powiem. Nawiążemy z nią kontakt za pośrednictwem NeuroTranslatora na częstotliwości duszy.

Accosta patrzył, jak laboranci przenoszą wychudzoną kobietę na stół laboratoryjny i podnoszą jej powieki. Zazdrościł jej tego, że wkrótce zazna ukojenia, wręcz żałował, że to nie on tam leży. Niedługo przyjdzie czas i na niego.

--Dziś będziemy mogli położyć kres wszystkim cierpieniom -- powiedział, kiedy szklana kula znalazła się na głowie kobiety. -- A po Dniu Prawdy Duchowej już nigdy nie trzeba będzie robić takich rzeczy, bo kiedy wszyscy ujrzą prawdę, dla zła nie będzie miejsca na tym świecie.

--Tak, Wasza Świątobliwość -- powiedział Soames. -- To prawda.



--Spójrz -- syknęła Amber do Fleminga.

Siedział w kucki na korytarzu. Zajrzał przez okrągłe okna do głównego laboratorium w czarnym sektorze. Przez przyciemniane szyby zobaczył białą trumnę. Choć Bukowski i Tripp zasłaniali mu widok, zauważył ciało z maską tlenową na twarzy i kroplówką podłączoną do lewego ramienia.

--Ktokolwiek był w tej trumnie, jeszcze żyje -- szepnęła Amber.

--Widzę -- odparł. Miał powiedzieć coś jeszcze, ale w oczy rzucił mu się półprzezroczysty sześcian na stoliku przy leżance. -- To ulepszony Neuro-Translator. Pomogłem ludziom Bradleya go skonstruować.

Amber zmarszczyła brwi.

Po co?

--Sam zaczynam się zastanawiać.

Rozejrzał się po laboratorium. W nogach łóżka stała bucząca aparatura. Jedno urządzenie wyposażone było w monitor, inne pokazywało cztery kolumny losowo mrugających świateł. Jeden z naukowców usunął się na bok i Fleming dostrzegł przez ciemną szybę kobietę na stole laboratoryjnym; właśnie golono jej głowę. Laboranci włożyli jej coś do oczu.

--To samo robili ze mną -- powiedziała Amber, kiedy na głowę kobiety nasunięto szklaną kulę.

--To znaczy?

--Prowadzili na mnie eksperymenty.

--Co takiego? -- Odwrócił się do niej z niedowierzaniem. -- Kto prowadził na tobie eksperymenty? Soames?

--A któż by inny? Wygląda na to, że wykorzystał i ciebie, i mnie. Nie wiem tylko dlaczego. Jedno jest pewne: miało to coś wspólnego z Ariel i moimi snami.

Niczego nie rozumiał i dalej patrzył przez przyciemnioną szybę, co się dzieje. Dwa duże monitory nad łóżkiem pokazywały zbliżenia twarzy kobiety, ale odbłyśki światła powodowały, że nie widać jej było wyraźnie. Jeden z naukowców, Tripp, odwrócił się do lustra zajmującego ścianę po lewej stronie i uniósł kciuk, jakby dawał sygnał sobie -- albo komuś po drugiej stronie.

Wciąż niezdolny pojąć, czego jest świadkiem, Fleming obejrzał się na Amber. Patrzyła w skupieniu na scenę rozgrywającą się na ich oczach i drżała z ledwie hamowanej wściekłości.

--Jak mógł to zrobić? Jak mógł? -- szeptała.

Buczenie przybrało na sile, naukowcy cofnęli się od łóżka i założyli okulary ochronne. Fleming zobaczył przez przyciemnioną szybę oślepiający

błysk, który rozświetlił kulę na głowie kobiety. Wydawało się, że wystrzelił z jej oczu, by następnie rozejść się po zewnętrznej warstwie kuli pulsującą aureolą.

Rozbrzmiał przenikliwy pisk i mrugające bezładnie światła ułożyły się w cztery rzędy kolorów. Na monitorze pojawił się prążkowany wzór z białych fotonowych punktów, w którym Fleming rozpoznał klasyczny obraz *interferencyjny*.

W szklanej kuli zgasło światło.

Po kilku sekundach, zanim Fleming zdążył uporządkować sobie to, co zobaczył, aureola pojawiła się ponownie, jakby ktoś przywołał ją z powrotem. Na krótką, mrozącą krew w żyłach chwilę zrobiło się tak jasno, że odblaski zniknęły z monitorów nad łóżkiem i twarz kobiety stała się doskonale widoczna.

Amber zerwała się jak oparzona, wyrwała się z rąk Fleminga, pchnęła drzwi i wpadła z krzykiem do laboratorium.

Fleming nie miał innego wyjścia, jak tylko pobiec za nią.

Bukowski odwróciła się pierwsza i zastąpiła jej drogę, ale Amber wpadła na nią z takim impetem, że odtrąciła ją na bok jak papierową figurkę. Z jej ust wyrwał się rozpaczliwy krzyk.

--Dranie! Pieprzone dranie!

Fleming zobaczył w górze monitory ze zbliżeniem wychudłej twarzy. Zza dziwnych soczewek kontaktowych patrzyły martwe oczy.

--Mamo! -- wrzasnęła Amber i przypadła do stołu laboratoryjnego.

Naukowiec rzucił się ku niej, lecz Fleming odepchnął go i uderzył w podbródek nasadą dłoni. Ze łzami płynącymi po twarzy Amber ściągnęła szklaną kulę z głowy matki i wyjęła z jej oczu soczewki. Gillian Grant już nie żyła.

--Dranie! -- krzyknęła Amber raz jeszcze i czule ułożyła głowę matki na łóżku. Podniosła szklaną kulę i zwróciła się twarzą do lustrzanej ściany.

Wtedy Fleming zobaczył, że na monitorze NeuroTranslatora pojawiła się częstotliwość duszy i włosy zjeżyły mu się na karku. Z głośników dobył się krzyk, tak przenikliwy, jak krzyk Amber.

--Amber!

W tej chwili Fleming zrozumiał, jak Soames go wykorzystał, i stwierdził z pewnością, jakiej nie mogła dać nauka, że umysł żyje po śmierci. Cały jego racjonalizm i sceptycyzm nie wytrzymał konfrontacji z furją skrzywdzonej duszy, której ciało leżało martwe na leżance.

--Mordercy! - rozległo się w głośnikach NeuroTranslatora.

Amber cisnęła szklaną kulą w lustrzaną ścianę. Przez chwilę nie działo się nic, po czym powierzchnia lustra pokryła się siatką pęknięć sięgających każdego rogu i krawędzi.

Odlamki szkła spadły na podłogę z donośnym brzękiem.

Po drugiej stronie stali Xavier Accosta, Bradley Soames i Virginia Knight.

Cisza, która zapadła, była głośniejsza od łoskotu odłamków odbijających się odpodłogi.

44

Wtedy dwaj uzbrojeni strażnicy wprowadzili Fleminga i Amber po potłuczonym szkłe do sali konferencyjnej, Accosta pierwszy próbował ratować sytuację.

--Usiądźcie, proszę -- powiedział z kurtuazją. -- Zasługujecie na wyjaśnienie.

Amber dopiero teraz zobaczyła wilki; stały ze zjeżoną sierścią za swoim panem.

--No właśnie -- przytaknął Soames. -- Przykro mi, że wcześniej nie mogliśmy wam ujawnić więcej szczegółów. -- Przedstawił monsignora Diageo i Franka Carvellego, jakby wszyscy byli tu na spotkaniu towarzyskim.

--Co jest grane, do cholery?! -- warknął Fleming.

Amber rzuciła się na Soamesa, ale strażnik chwycił ją i posadził na krześle.

--Coś ty zrobił, Bradley? Coś ty zrobił, do kurwy nędzy?! -- wrzasnęła na niego. -- Jak mogłeś? Byliśmy współnikami, na litość boską.

Soames wydawał się autentycznie zszokowany, jakby nie rozumiał jej oburzenia.

--Ściągnęliśmy ją tu tylko przez wzgląd na ciebie, Amber, a poza tym i tak umierała. Dzięki jej śmierci nikomu więcej nie stanie się krzywda.

Ani tobie, ani Milesowi, nikomu.

Amber patrzyła na niego osłupiała, ze ściśniętym wściekłością gardłem. Tak jakby szok wywołany śmiercią matki na jej oczach i późniejszy

wybuch furii zupełnie pozbawiły ją sił. Fleming położył dłoń na jej ramieniu.

Gorąco pragnął podnieść Amber na duchu, ale to było zadanie ponad jego siły. Sam nie mógł się uspokoić.

Widok Virginii Knight u boku Soamesa i Accosty, z czerwonym krzyżem Kościoła Prawdy Duchowej na piersi, pomógł mu wyjść z szoku. A kiedy zobaczył triumfalnie uśmiechniętą wynędzniałą twarz Czerwonego Papieża, przypomniały mu się przestrogi ojca Petera Rigi.

Dali się z Amber wciągnąć w pułapkę. Tak bardzo zależało mu na tym, by poznać prawdę o bracie, że był głuchy na kłamstwa Soamesa. Amber została wykorzystana wbrew jej woli, lecz on tym draniom pomógł. Czuł się tak głęboko upokorzony, że miał ochotę się na kims wyładować. Postanowił jednak, że nie da się ponieść emocjom. Przynajmniej na razie.

Soames spojrzal na niego.

--Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie? Chciałeś wykazać, że częstotliwość duszy nie jest dowodem na istnienie życia pozagrobowego, a ja ci zasugerowałem, żebyś spróbował udowodnić coś wręcz przeciwnego. Pamiętasz? I jak teraz się czujesz, wiedząc, że takie rzeczy są możliwe? Fleming zachował kamienną twarz.

--A są?

--Słyszałeś duszę Gillian Grant.

--Słyszałem, jak nazwała was mordercami. To musiała być opóźniona reakcja.

Soames pokręcił głową zniecierpliwiony.

--Nie, słyszałeś jej duszę. Nie w chwili śmierci, jak w przypadku twojego brata, ale po tym, jak ją przywołaliśmy. Pozwoliliśmy jej odejść, a potem wezwaliśmy ją z powrotem. Miałeś rację, kiedy mówiłeś, że aby udowodnić istnienie życia pozagrobowego, trzeba namierzyć duszę i nawiązać z nią kontakt już po jej odejściu. Wtedy ma się pewność, że kontakt ten to nie jakieś ostatnie tchnienie, jak to określiłeś. No i nam się udało. Dzięki Amber znaleźliśmy właściwą częstotliwość, dokładnie tak, jak zamierzałeś zrobić to ty. Tyle że my zdobyliśmy współrzędne pierwsi. Nawiasem mówiąc, wcześniej próbowaliśmy tego dokonać z pomocą licznych śmiertelnie chorych pacjentów; ten pomysł napawał cię takim obrzydzeniem. -- Soames był wyraźnie zadowolony, że może podzielić się z nim swoją wiedzą. -- Chcesz wiedzieć, jak wzywamy duszę, jak ją identyfikujemy?

--Pewnie i tak mi to powiesz, czy będę tego chciał czy nie.

--Słyszałeś o eksperymencie z dwiema szczelinami?

Fleming skinął głową.

--Otóż zmodyfikowałem go tak, by zamiast fotonów energii świetlnej wykrywać fotony energii życiowej opuszczającej umierające ciało. Prze prowadziliśmy ponad sto prób i stwierdziliśmy, że każda dusza pozostawia za sobą inny obraz interferencyjny, coś jakby kod kreskowy. Wygląda na to, że każdy z nas ma nie tylko unikalny genetyczny plan fizycznego ciała, ale i fotonowy plan metafizycznej duszy. -- Soames się uśmiechnął. -- Dualizm kwantowy jest wszędzie.

Fleming i Amber spojrzeli na niego z niedowierzaniem.

--Sto? -- powiedzieli jednym głosem.

--Po to zabiłeś stu ludzi? -- wydyszał Fleming. Odwrócił się do Virginii. -- A ty mu pomagałaś. Chryste, ale nas wykorzystaliście. Amber dała wam sygnał naprowadzający, a ja częstotliwość duszy.

Knight miała na tyle przyzwoitości, że zrobiła zakłopotaną minę.

--Wszystko w słusznej sprawie -- powiedziała. -- Zobaczysz. Uwierz mi.

--Mam ci wierzyć? Niby jak, do licha? Byłaś moją przelożoną, na litość boską, kimś, do kogo powinienem mieć zaufanie, a przez cały czas uczestniczyłaś w tym bzdurnym, szatańskim spisku?

--Szatan nie ma z tym nic wspólnego, doktorze Fleming -- wtrącił Accosta spokojnym tonem. -- Wręcz przeciwnie. Doktor Grant powinna być tego dowodem. Kiedy najbardziej potrzebowaliśmy pomocy, Bóg nam ją zesłał. Amber jest wyjątkowa, jest darem Bożym. Na razie pan mi nie wierzy, ale z czasem przekona się pan, że mam rację.

--Tyle że wy nie tylko znęcaliście się nad Amber, ale i zabiliście jej matkę. A co z innymi nieszczęśnikami, których zamordowaliście? Czym można to usprawiedliwić?

--Oni wszyscy byli umierający, jak ja. My tylko ulżyliśmy im na ostatniej drodze. A ten ostatni eksperyment zakończył się powodzeniem. Matka Amber spełniła zadanie, które Bóg wyznaczył jej, jak każdemu z nas.

Fleming zdał sobie sprawę, że nie ma sensu ciągnąć tego sporu. Ktoś kiedyś powiedział, że wiara jest czymś, za co ludzie umierają, a dogmaty czymś, za co zabijają. Riga się nie mylił: Accosta był tak arogancki i dogmatyczny, jak głupcy z Watykanu, i bardziej od nich niebezpieczny.

--Ale co właściwie chcecie osiągnąć, niepokojąc ludzkie dusze? -- spytał.

--Zbawienie -- odparł Accosta krótko. -- Zbawienie miliardów dusz. Po winniście być dumni z tego, co zrobiliście dla dobra sprawy. Oddaliście

wielką przysługę ludzkości. Żyjemy w erze technologii, przytłoczeni nadmiarem możliwości. Ludzie jak nigdy potrzebują kogoś, kto wskazałby im właściwy kierunek. Nie są już skłonni pokładać zaufania w ślepej wierze czy natłoku bezużytecznych informacji. Chcą, ba, domagają się prawdy. Dzięki tej technologii rozwieję wszelkie wątpliwości związane z najpoważniejszym pytaniem nurtującym ludzkość. Co dzieje się z nami po śmierci? I w odróżnieniu od innych przywódców religijnych nie będę wymagał od ludzi, by uwierzyli, lecz przedstawię im prawdę o ludzkiej duszy. Stanę się tej prawdy ucieleśnieniem, i nikt, czy to ateista, czy to żyd, rzymski katolik, muzułmanin, buddysta czy humanista, nie będzie miał powodu, by wątpić w prawdziwość mojej wizji. Wszyscy wstąpią do Kościoła Prawdy Duchowej, bo nie znajdą racjonalnej przyczyny, by tego nie zrobić.

--O ile pańska wizja jest słuszna -- powiedział Fleming.

Accosta uśmiechnął się do niego z wyższością człowieka tak pewnego swoich racji, że im więcej słyszy racjonalnych i spójnych argumentów przeciw nim, tym bardziej utwierdza się w przekonaniu, że rozmówca jest zaślepiiony, a on jeden posiadał prawdę absolutną.

--Doktor Soames wspominał, że martwi się pan o brata, że dręczy się pan myślą, iż jego dusza cierpi. Moim zdaniem, jest to uzasadniona obawa, doktorze Fleming. Jednak cokolwiek powiem panu o jego losie bądź o losie, który czeka pana, jest nieistotne, bo należę do Kościoła, którego pan nie uznaje. Za to po Dniu Prawdy Duchowej nawrócę pana, jak wszystkich ludzi na świecie, bez względu na ich obecne wyznanie. Dowiodę, że ja jeden znam prawdę o tym, co dzieje się z duszą po śmierci.

--Niby jak?

--Tak, że kiedy ją przedstawię, nie będzie mnie już na tym świecie -- odparł Accosta ze spokojem.

Zanim Fleming zdołał w pełni pojąć znaczenie jego słów, Soames podszedł do niego i klepnął go w plecy.

--Nie rozumiem, czemu tak się złościysz, Miles -- powiedział. -- Masz, czego chciałeś. Przyjechałeś tu, by poznać prawdę o bracie, i we właściwym czasie ją poznasz. Szczerze mówiąc, miała to być dla ciebie niespodzianka. Po co te nerwy?

Fleming spojrział na niego: ten człowiek był niespełna rozumu. W którymś momencie jego pokręconego życia amputowano mu zdolność do empatii.

--Bradley -- odparł powoli, wyraźnie wymawiając każdą sylabę -- uprowadziłeś Amber i poddałeś ją eksperymentom, zamordowałeś jej matkę

i setkę innych ludzi w imię jakiegoś niewydarzonego pomysłu, a po drodze jeszcze mnie oszukales. I mimo to nie potrafisz zrozumieć, czemu się wściekamy.

--No właśnie.

Fleming wzruszył ramionami, jakby dawał za wygraną, i uśmiechnął się do Soamesa przepaszająco.

--Masz rację, jestem przewrażliwiony. -- Nie przestając się uśmiechać, zacisnął prawą dłoń w pięść, naprężył ramię i z całej siły uderzył Soamesa w twarz.

Strażnicy zareagowali z opóźnieniem, lecz wilki w mgnieniu oka skoczyły na Fleminga i jego nozdrza wypełnił duszący, wilgotny odór. Pazury wbiły się w ramię, którym usiłował osłonić gardło.

--Powstrzymaj je! -- krzyknął Czerwony Papież. -- Dość już przemocy.

Soames z ociąganiem wydał niezrozumiałą komendę i wilki się cofnęły.

Amber złapała Fleminga za ramię -- było tylko podrapane.

Dopiero teraz strażnicy postanowili wyprowadzić ich z sali. Fleming poczuł satysfakcję na widok złości w oczach Soamesa, ostrożnie macającego podbródek. Kiedy przechodzili obok niego, Amber odwróciła się i plunęła w jego czerwoną, wykrzywioną twarz.

--Nie rozumiem, czemu tak się złościysz, Bradley -- powiedział Fleming.

--Masz, czego chciales.

Co z nimi zrobisz? -- spytał Soamesa Accosta, kiedy Amber i Fleming wyszli. Soames pocierał obolałą szczękę.

--Dopilnuję, by nie wchodzili nam w drogę, dopóki nie nadejdzie wielki dzień, Wasza Świątobliwość. Nie możemy dopuścić, by przeszkadzili w przygotowaniach.

Accosta na próżno usiłował przeniknąć jego myśli. Chciał wierzyć, że jedynym powodem, dla którego Soames włożył tak wiele pieniędzy, czasu i wysiłku umysłowego w to nadzwyczajne przedsięwzięcie, były jego wiara w Boga i przekonanie, że on, Czerwony Papież jest Jego posłańcem. Mimo to, nawet w tej chwili nie był pewien prawdziwych motywów Soamesa.

--Nie chcę, by cokolwiek im się stało, Bradley -- powiedział ostrożnie. -- Ani przed Dniem Prawdy Duchowej, ani potem. Jasne?

Soames zmarszczył brwi jak zakłopotany nastolatek, który nie może zrozumieć, dlaczego musi wysłuchiwać kazań dotyczących spraw niemają-cych z nim nic wspólnego.

--Lada chwila osiągniemy nasz święty cel i zawdzięczam to tobie -- ciągnął Accosta. -- Aby zająć tak daleko, musieliśmy robić rzeczy godne pożałowania. Jednak po Dniu Prawdy Duchowej przemoc i niezgoda powinny stracić rację bytu. Jasne?

--Oczywiście, Wasza Świątobliwość.

Accosta odwrócił się do pozostałych. Ich rozumiał lepiej. Carvelli był próżny i płytki, ślepo jednak oddany Kościołowi. Knight, głęboko wierząca, nie obnosiła się ze swoją religijnością, ale dzieliła jego udręki, kiedy musiał podejmować trudne decyzje, konieczne dla wypełnienia woli Bożej. Monsignore Diageo zaś zawsze był jego prawą ręką, jego opoką. Wkrótce ich lojalna służba zostanie wynagrodzona. Już niedługo spłynie na nich kojąca pewność, że przyczynili się do sukcesu sprawiedliwego, cudownego dzieła.

--Doktor Soames wyraził pragnienie, by pozostać w Dniu Prawdy Duchowej tutaj, z dala od blasku reflektorów -- powiedział.

--1 światła słonecznego -- dodał Soames.

Accosta uśmiechnął się wyrozumiale. '

--My zaś wrócimy na pokład Czerwonej Arki i rozpoczniemy przygotowania.

Wszyscy zrobili smutne miny.

--Nie bądźcie przygnębieni. To nie koniec, lecz początek. Radujcie się razem ze mną. Jesteśmy u progu złotej ery oświecenia.

Pogodny uśmiech rozjaśnił zatroskaną twarz Virginii Knight.

--Tak, Wasza Świątobliwość, to będzie cudowny dzień.

--Cudowny -- powtórzył Diageo. Carvelli był mniej powściągliwy.

--Dzień Prawdy Duchowej będzie objawieniem. Soames pokiwał głową na znak zgody.

--Rzeczywiście, Wasza Świątobliwość, będzie to dzień objawienia, czy, jak powiedzieliby Grecy, Apokalipsy.



**Niebieski sektor Dwa dni później**

**a razie wygląda to dość niepozornie -- powiedział Soames i wprowadził Fleminga i Amber do pokoju rzeczywistości wirtualnej w niebieskim sektorze -- ale tylko zaczekajcie. Jesteś tu pierwszy raz, Amber, prawda? VenTec opracował to we współpracy z KREE8 Industries.**

**--Amber unikała wzroku Soamesa. Wciąż jeszcze trudno jej było pogodzić się z jego zdradą i zrozumieć, jak to możliwe, że człowiek, który uprowadził ją i kazał zabić jej matkę, był tym samym człowiekiem, którego przez długie lata szanowała i podziwiała.**

**--Dla ciebie to też będzie coś zupełnie nowego, Miles -- dodał Soames. Wciąż miał opuchniętą twarz i widoczny świeży strup na pokrytym bliznami podbródku. Nie znać było jednak po nim złości. Wydawało się, że zupełnie zapomniał o wydarzeniach ostatnich trzydziestu sześciu godzin.**

**Za to Fleming, podobnie jak Amber, nadal nie ochłonął z gniewu. Nie (zważając na dwóch ochroniarzy tuż za sobą, ostentacyjnie ignorował Soamesa. Oboje z Amber mieli na sobie obcisłe, ciemnoniebieskie kombinezony, rękawice i pantofle z czujnikami. Niebieski inteligentny materiał składał się z tysięcy mikroskopijnych paciorków, przypominających piksele na monitorze komputera. Soames i dwaj strażnicy ubrani byli podobnie.**

**Sam pokój był duży, ale skromny. Podłoga, ściany i sufit miały ten sam odcień błękitu, co kombinezony. Podłoga była twarda i Amber domyśliła się, że wraz ze ścianami i sufitem pełni funkcję ekranu o wysokiej rozdzielczości. Na środku pomieszczenia stały trzy rzędy krzeseł, po dwa w każdym.**

**--Ponieważ będzie to w gruncie rzeczy swoiste przedstawienie, uznałem, że trzeba wygodnie sobie usiąść. -- Soames wskazał im dwa krzesła z przodu. Strażnicy zajęli miejsca za nimi, Soames usiadł z tyłu. W lewej dłoni trzymał palmtopa, prawą dotknął jego ekranu. -- Jak się ubierzemy? --spytał. -- W coś eleganckiego, jak sądzę.**

**Niebieskie kombinezony zostały natychmiast zastąpione innymi strojami. Fleming był teraz ubrany w smoking z muszką, Amber zaś miała na sobie czarną suknię bez ramiączek. Niesamowite było to, że jej odsłonięte**

ramiona wyglądały najzupełniej naturalnie, a z dłoni zniknęły niebieskie rękawice. Co więcej, w ogóle nie czuła ich na rękach. Kiedy wytężyła wzrok i szybko poruszała ręką na niebieskim tle, udawało jej się dostrzec łączenia, ale ledwie Soames zmienił wygląd pokoju, znalazła się w zupełnie innym miejscu. Złudzenie było pełne.

Siedzieli z Flemingiem w pierwszym rzędzie ogromnej auli, przypominającej zarazem teatr i katedrę. Po bokach wznosiły się kolumny, jak w nawie głównej, a z przodu znajdowała się scena. W górze widać było nie tyle sklepiony sufit, ile obraz pogodnego nieba usianego białymi puszystymi obłokami. Amber wręcz spodziewała się, że lada chwila ukażą się na nim cherubiny i serafiny. Powietrze tchnęło balsamiczną świeżością, a otoczenie było tak piękne, że nie mogła powstrzymać dreszczu podniecenia. Zorientowała się, że jest to ta sama katedra, którą widziała, kiedy weszła do wirtualnej rzeczywistości podczas wizyty w hospicjum.

Przez ostatnie dwa dni oplakiwała matkę i usiłowała pogodzić się z jej śmiercią, a kiedy chciała zająć czymś myśli, oglądała telewizję w swoim zamkniętym pokoju. W BBC i CNN na okrągło nadawano relacje, w których wyjaśniano znaczenie Dnia Prawdy Duchowej, i dopiero z nich dowiedziała się, jak zuchwale są plany Soamesa i Accosty. Choć jednak bardzo się starała, nie potrafiła pojąć ich dziwnego sojuszu. Znała Soamesa od lat i nigdy nie nazwałaby go człowiekiem religijnym. Absurdem było myśleć, że miałby służyć Accoście czy być jego zwolennikiem. Soames współpracował tylko z ludźmi, którzy mogli służyć jemu, nie vice versa.

Po widowni przeszedł szmer, niczym wiatr niosący się przez pole jęczmienia, i wysoka postać w czerwieni wyszła z lewej strony na środek sceny. Widząc zadowolony uśmiech Accosty, Amber powiedziała sobie w duchu, że obaj z Soamesem zapłacą za to, co zrobili. Nie wiedziała jak, nie wiedziała kiedy, ale zapłacą.

Odwróciła głowę, pochwyciła spojrzenie Fleminga i poczuła przyływ odwagi, kiedy zobaczyła w jego oczach odbicie swojej determinacji.

**Czerwona Arka, 18° 55' N, 16° 99' W**

**avier Accosta nigdy jeszcze nie czuł się tak pełen życia jak teraz, gdy minuty dzieliły go od śmierci. Stał na podium w katedrze na pokładzie Czerwonej Arki i patrzył na widownię -- nieco ponad sto osób. Zaproszenia do udziału w mszach na pokładzie arki były wysyłane pocztą elektroniczną do losowo wybranej garstki spośród milionów zarejestrowanych zwolenników, w zależności od ich aktualnego miejsca pobytu. Ten zwyczaj został zachowany także w Dniu Prawdy Duchowej, choć specjalne zaproszenia dostali także najważniejsi przywódcy innych religii. Co ciekawe, żadne nie zostało odrzucone. Wszyscy przysłali wysokich rangą przedstawicieli, których zadaniem bez wątplenia było obejrzeć, a następnie dokładnie przeanalizować to, co zobaczą.**

**Accosta słyszał, że wielu obecnych tu dziś szczęściarzy otrzymało idące w tysiące, a nawet miliony oferty od przedstawicieli mediów i milionerów pragnących uczestniczyć w tym wydarzeniu osobiście. Ku jego zadowoleniu, tylko nieliczni -jeśli w ogóle ktokolwiek -- odstąpili najlepsze miejsca do podziwiania tego historycznego wydarzenia. Jednak widownia obecna fizycznie stanowiła tylko drobną część ogółu widzów. Według Carvellego, liczba osób śledzących przebieg uroczystości w rzeczywistości wirtualnej, przez Internet i w telewizji przekraczała cztery miliardy -- dziewięćdziesiąt procent użytkowników komputerów. Carvelli miał rację. To było największe wydarzenie medialne w dziejach.**

**Przed główną częścią uroczystości Accosta odprawił krótką mszę, podczas której złożył hołd najwierniejszym wyznawcom i udzielił błogosławieństwa wszystkim widzom, bez względu na wyznanie. Potem, po krótkiej przerwie dla nabrania tchu, Czerwony Papież wznosił ręce, zebrał wszystkie siły, jakie zachowały się w jego schorowanym ciele, i przemówił do świata:**

**--Wyruszam dziś w drogę. Wielu przede mną odbyło tę wędrówkę, u której kresu czeka śmierć, i we właściwym czasie każdy z was podąży moim śladem. Jaka szkoda, że po śmierci nie ma powrotu! Doświadczysz jej, o ileż więcej wiedzielibyśmy o życiu. Cóż, kiedy ta ostatnia droga pozostaje tajemnicą dla nas wszystkich. Niepewność co do losu, jaki spotyka nasze dusze po śmierci, legła u podstaw religii. A ile wyznań, tyle różnych**

wizji życia pozagrobowego. Wyznawcy wszystkich religii, z Kościołem Prawdy Duchowej włącznie, chcąc nie chcąc zmuszeni są przyjmować te wizje na wiarę.

Przed dwoma tysiącami lat pewien człowiek umarł na krzyżu za nasze grzechy. Człowiek ten, którego my, chrześcijanie, uważamy za Syna Bożego, przyszedł na świat, by żyć między nami i pomóc nam wznieść się ponad wiarę i zobaczyć prawdę. Nawet w owym czasie jednak wielu nie chciało go słuchać. Jego przypowieści i nauki interpretowane były w sposób niejednoznaczny i tylko nielicznym dane było ujrzeć jego samego bądź dokonywane przezeń cuda na własne oczy. Nawet jego śmierć i zmartwychwstanie przekonały tylko prawdziwie wierzących.

Dziś nie zamierzam wygłaszać kazań. Nie chcę, żebyście uwierzyli we mnie czy w Boga. Pokażę wam wszystkim prawdę. Zobaczycie moje zmartwychwstanie na własne oczy i usłyszycie ode mnie prawdę. Zostałem wybrany, by być drugim Mesjaszem, umrzeć i zmartwychwstać, a następnie stanąć między dwoma światami, jedną nogą u boku Boga, a drugą przy was, bracia moi. Dziś ja, kardynał Xavier Accosta, stępię rogi szatana, wykorzeniając na zawsze z waszych serc wątpliwości, które diabeł wykorzystuje, by siać ziarno niezgody i czynić zło. Od dziś nie będzie usprawiedliwienia dla ulegania pokusom szatana, wkrótce przekonacie się bowiem, że Bóg, Bóg prawdziwy, istnieje.

--Kiedy dojdę do kresu mojej dzisiejszej wędrówki, powrócę, by przekazać wam tajemnice życia i śmierci. Ujawnię wam Prawdę Duchową i składając siebie samego w ofierze, zapewnię zbawienie duszom was wszystkich. Kiedy skończył, nie było braw, tylko grobowa cisza.

Diageo i Knight podeszli do niego i zaprowadzili go na lewą stronę sceny, gdzie Bukowski i Tripp czekali przy otoczonym aparaturą stole laboratoryjnym.

Diageo ze łzami w oczach pomógł Accoście położyć się na stole, który miał się stać jego łóżem śmierci.

--Nie smuć się, przyjacielu -- szepnął Accosta. -- Nie opuszczam cię. Od dziś będę z tobą na wieki wieków.

Diageo próbował się uśmiechnąć, a Knight drżącymi dłońmi przyczepiła elektrodę do skroni Accosty.

Bukowski podeszła, delikatnie podniosła mu powieki, wprowadziła do oczu barwnik i włożyła soczewki. Oczy go piekły, ale powiedział sobie, że ból wkrótce minie. Już niedługo spłynie na niego spokój, radość i Boża miłość.

Tripp pomógł unieść głowę Accosty i nałożył mu szklaną kulę.

Z lewej strony wyszedł na scenę Carvelli i stanął przy aparaturze nagłośnieniowej i hołopadzie KREE8. Z pomocą Trippa sprawdził bezprzewodowe połączenie między NeuroTranslatorem i resztą urządzeń. Potem obejrzał kamery i sprzęt audiowizualny. Widownia obserwowała ich metodyczne ruchy z nabożną czcią.

Bukowski podeszła do NeuroTranslatora i upewniła się, że częstotliwość duszy jest na monitorze.

Knight zaczęła, aż wszyscy po kolei skiną głowami na znak gotowości, przeżegnała się i zwróciła twarzą do Accosta.

--Wszystko gotowe, Wasza Świątobliwość.

Accosta westchnął z błogim uczuciem ulgi. Był tak blisko. Chwile dzieliły go od apoteozy.

--Zaczynamy, Wasza Świątobliwość -- oznajmił Carvelli. -- Jeśli z jakie goś powodu...

Accosta nie dał mu dokończyć.

--Jestem gotów. -- Był tego pewien jak niczego innego na świecie. Rysy Carvellego stężały.

--Niech Bóg będzie z tobą.

--Bóg już na mnie czeka -- powiedział Accosta cicho.

Po wciśnięciu włączników buczenie przybrało na sile. Do kuli wpłynął gaz, spowijając zniekształcone w szkle kształty zieloną poświatą. Kardynał zobaczył po lewej stronie modlącą się Virginie Knight. Uśmiechnął się. Nie miała po co się modlić.

Przez buczenie przebił się inny dźwięk, głęboki, niemy krzyk -- to wszyscy widzowie naraz wstrzymali oddech. Accosta zaczął żałować, że Carvelli nie przygotował jakiejś muzyki, i przez chwilę zastanawiał się, jaką on sam wybrałby oprawę muzyczną tej chwili.

Wtedy zaczęło się odliczanie.

10... 9... 8... 7...

Po prawej stronie widział drżącą dłoń Virginie Knight; trzymała miniaturowy panel połączony z elektrodą przyczepioną do jego czoła -- elektrodą, która wywoła śmiertelny wstrząs elektryczny i zabije go w mgnieniu oka. Wtedy dotarło do niego, że to ostatni obraz, jaki zobaczy jako śmiertelnik.

6... 5... 4...

Niczym duchowy kosmonauta Accosta wziął ostatni głęboki wdech i czekał na start.

3... 2... 1...:

Najpierw jest tylko ciemna próżnia. Potem dostrzega w oddali światło, ku któremu pędzi. Szybkość jest oszalamiająca, wprawia go w euforię. Nie czuje strachu. Im większa szybkość, tym prędzej dotrze do kresu podróży.

W mgnieniu oka wchodzi w światło i mknie tak szybko, że jasność zdaje się nieruchomieć wokół niego w lśniącej śnieżycy srebrnych cząstek. Łączy się z blaskiem w jedno, zlewa z otaczającymi fotonami. Czuje, że jest zarazem odrębną istotą- sobą- i częścią większej całości, większej jaźni.

Kiedy zbliża się do źródła blasku, ogarnia go błogość. W zachwycie oddaje się świetlistym zastępom, przygotowuje się na objawienie -- na chwilę, kiedy połączy się z Bogiem i posiadzie całą wiedzę.

Ledwie dociera do źródła, wszystko przyćmiewa oślepiająca, niebiesko-biała supernowa.

Wchłania go wir kolorów i światła, potężna energia rozrywa go na kawałki i odtwarza z powrotem, raz po razie.

Nagle oślepiająca burza świetlna znika i wraca mu wzrok -- ale nie taki, jak dawniej. Widzi nowe kolory, kształty i wymiary. Ukazują mu się niezliczone obrazy, jakich sobie dotąd nawet nie wyobrażał. To tak, jakby widział dosłownie wszystko.

I wtedy zaczyna rozumieć, co widzi.

Dusza Xaviera Accosty pragnie przemówić.

Ale nie ma głosu i może tylko krzyczeć w niemej rozpacz.

## 47

Pokój rzeczywistości wirtualnej, niebieski sektor

leming obserwował szklaną kulę na głowie Accosty, kiedy iskra życia strzeliła z umierających oczu Czerwonego Papieża, trafiła w detektor fotonów i utworzyła charakterystyczną świetlistą aureolę w zewnętrznej warstwie kuli z włókna optycznego. Teraz już znał całą procedurę: przenikliwy sygnał i cztery kolumny światel układające się w regularny wzór wskazywały, że dusza Accosty została namierzona. Obraz interferencyjny na ustawionym obok monitorze był jej niepowtarzalną sygnaturą. Dzięki tym dwóm danym -- sygnałowi naprowadzającemu i sygnaturze -- można

było teraz przystąpić do nawiązania kontaktu. A za pomocą NeuroTransla-tora Fleminga i częstotliwości duszy uzyskanej od Amber, Tripp i Bukowski powinni połączyć się z duszą Czerwonego Papieża.

W tej chwili Fleming na chwilę pohamował gniew. Nie zastanawiał się nad moralną oceną środków, które posłużyły do osiągnięcia tego celu: oszustwo Soamesa, zabójstwa, chora, zuchwała ambicja Czerwonego Papieża, o wszystkim tym właściwie już nie myślał, bo patrząc, jak granica między życiem a śmiercią wytyczana jest na nowo, myślał tylko o bracie i Jake'u.

Kiedy wraz z Amber zasiadł w pokoju rzeczywistości wirtualnej, postanowił, że aby nie dawać Soamesowi powodów do satysfakcji, nie zareaguje ani słowem na dowody jego technicznej wirtuozerii czy cyrkowe popisy Czerwonego Papieża. Nie mógł jednak nie ulec magii tego widowiska, nie patrzeć z podziwem na to niezwyklej wagi wydarzenie, jakie rozgrywało się na jego oczach. Jego mimowolna fascynacja wykraczała poza czysto naukową ciekawość czy nawet obawę o duszę Roba. Było to coś bardziej pierwotnego. Do tej pory nie wierzył w życie pozagrobowe, a już na pewno nie w Boga, który ingerowałby w ludzkie sprawy. Nie zmieniły tego nawet ostatnie, irytująco niejednoznaczne wydarzenia, które przyniosły więcej pytań niż odpowiedzi. Wkrótce jednak już nie będzie mógł wybrać, w co wierzyć: pozna prawdę i ta myśl go przerażała. Mimo to nie odwracał wzroku.

Światło zgasło w szklanej kuli. Knight i niezależny lekarz sprawdzili czynności życiowe Czerwonego Papieża i stwierdzili jego zgon. Carvelli w tym czasie skupił się tylko na czarnym sprzęcie ustawionym na prawo od skanera, a szczególnie na okrągłym dysku na podłodze. Sprawdził jego połączenie w podczerwieni z NeuroTranslatorem.

--Patrz na holopad KREE8 -- szepnęła Amber i Fleming zrozumiał, co zaraz się stanie.

Ludzie Soamesa nie tylko posłużą się NeuroTranslatorem, by pozwolić duszy Accosty przemówić do świata, ale i będą sterować jego hologramem tak, jak Fleming sterował Brianem. To, co nastąpi, będzie ni mniej, ni więcej, tylko wirtualnym zmartwychwstaniem Czerwonego Papieża. Przeniósł wzrok na czarny dysk i dreszcz przeszedł mu po plecach.

Holopad KREE8 włączył się z szumem. W szklanej kuli na głowie martwego Czerwonego Papieża ponownie rozbłysła aureola i Fleming domyślił się, że wykres częstotliwości duszy na podzielonym na pół monitorze NeuroTranslatora zaczął iść w górę.

I wtedy to się zaczęło.

Pozioma linia po poziomej linii, jego oczom ukazała się zjawa. Accosta zmaterializował się dosłownie z powietrza. Czerwony Papież stał niecałe trzy metra od własnych zwłok. Każdy szczegół, nawet wyraz twarzy, został wiernie odtworzony.

Hologram odwrócił głowę, jakby chciał rozejrzeć się po widowni, powoli, niczym noworodek pierwszy raz zaciskający dłoń. Jego twarz była poważna, a hipnotyzujące ciemne oczy zdawały się patrzeć na każdego z osobna. Fleming nie musiał zgadywać, jakie wrażenie zrobiło to na miliardach widzów, wiedział to po sobie. Miał spocone dłonie, a serce waliło mu w piersi.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym usta Accosty poruszyły się, wypowiadając słowa, które miały dać początek nowej epoce w dziejach ludzkości.

--Jestem sługą Pana. Widziałem Jego moc i znam Jego wolę. Nakazał mi powrócić do was, by wyjawić Prawdę Duchową.

Znów zapadła cisza. Fleming wychylił się do przodu. Niesamowite było to, że głęboki głos Accosty brzmiał tak samo jak za jego życia.

--Zawsze wierzyłem w Boga -- powiedział uroczystym tonem -- mojego Boga, który stworzył człowieka na swoje podobieństwo, by ten składał Mu cześć. Wszechmogącego, wszechwiedzącego, miłosiernego Boga. W latach młodości dręczył mnie nazwany tak przez filozofów Problem Zła. Skoro na świecie jest tyle zła, jak to możliwe, by istniał wszechmogący, wszechwiedzący, miłosierny Bóg? Albo Bóg wie o istnieniu zła, chce położyć mu kres, ale nie jest w stanie tego zrobić, co oznaczałoby, że nie jest wszechmogący, albo chce i może położyć kres złu, ale nic o nim nie wie, z czego wynikałoby, że nie jest wszechwiedzący, albo zna zło, może położyć mu kres, ale nie chce tego zrobić, co wskazywałoby, że nie jest miłosierny.

Fleming poczuł gęsią skórę na przedramionach. Miał wrażenie, że Czerwony Papież mówi wprost do niego, że przytacza jego własne argumenty przeciw Bogu i religii.

--Aby uporać się z tą sprzecznością- ciągnął Czerwony Papież -- przekonywałem sam siebie, że mój wszechmogący, wszechwiedzący, miłosierny Bóg dopuszcza istnienie zła, by obdarzyć nas, Jego najwspanialsze dzieło, wolną wolą. By powierzyć nam zdolność i możliwość dokonania wyboru między złem a dobrem, nawet w chwilach najcięższej próby. Ja wiem już, czym jest dobro i zło. I kiedy poznałem tę prawdę, wszystko stało się dla



mnie oczywiste. W końcu po co Bóg miałby stwarzać człowieka po to tylko, by ten Go czcił? Jakaż Najwyższa Istota mogłaby być tak próżna, tak małostkowa? -- Wyrzucił z siebie to ostatnie słowo tak, jakby wypełniało jego usta goryczą. Problem Zła nie istnieje, Pan bowiem nie stworzył nas po to, abyśmy oddawali Mu cześć. Zawsze byłem przekonany, że Bóg stworzył doskonały, uporządkowany świat, raj, do którego wprowadził węża zła, by poddać nas próbie. Myliłem się. Nasz Pan stworzył zły świat, do którego wprowadził dobro. Naturalnym stanem rzeczy tak na tym świecie, jak i w zaświatach, jest chaos, entropia. Zło jest normą, dobro zrodziło się z kaprysu Stwórcy, który stworzył nas wyłącznie dla własnej uciechy. Jest to naszą jedyną racją bytu. Podobnie jak dziecko, które buduje wieżę z klocków po to tylko, by ją zburzyć, Pan nasz pozwala nam piąć się wyżej i wyżej, wierzyć w cnotę, dobro i honor, po to tylko, by złośliwie zrzucić nas na samo dno. Nie ma nieba, jest tylko arbitralne cierpienie. Życie po śmierci jest równie okrutne i pozbawione reguł, jak życie doczesne, tyle że trwa wiecznie. Nie ma ucieczki. Nie ma karmy. Nie ma sprawiedliwości. Nie ma Pól Elizejskich, na których dobrzy ludzie mogą zaznać spokoju po ciężkim życiu. Nie ma Bożego ładu, jest tylko chaos. Prawda Duchowa, którą mogę wam teraz ujawnić, jest taka, że Bóg, ten Bóg, któremu poświęciłem całe moje życie na Ziemi... nie istnieje.

Twarz Accosty jakby się zapadła, hologram z bezlitosną wiernością oddał przerażenie i rozpacz, wzierające z jego rysów.

Jestem udręczoną duszą. Pan, któremu z własnej woli służyłem przez całe życie i któremu skazany jestem służyć przez całą wieczność, nie jest Bogiem. Jest jeden Bóg, Bóg chaosu i ciemności. To diabeł. Szatan we własnej osobie.

Z ust widzów wyrwały się stłumione okrzyki. W innych okolicznościach słowa Accosty uznane zostałyby za rojenia szaleńca, teraz jednak brzmiały zatrzważająco prawdziwie. Fleming poczuł, że Amber szuka jego dłoni.

Czerwony Papież wznosił ręce.

--Aby udowodnić, że Bóg nie istnieje, Pan nasz, szatan, za pośrednictwem swojego przedstawiciela na Ziemi ukaże cztery znaki -- wychrypiął tonem starotestamentowego proroka. -- Czterej jeźdźcy Apokalipsy zstąpią na ten przeklęty świat, by szerzyć strach i pozostawiać za sobą rozpacz. Pierwszy wyruszy jeszcze tej nocy. Drugi ukaże się za dwa dni. A dnia trzeciego pojawią się dwaj ostatni jeźdźcy, ramię w ramię.

Accosta przerwał, jego twarz była bardziej martwa niż leżące obok ciało. Cała jego dusza wydawała się przesycona rozpaczą.

--Wybaczcie mi. Wyruszyłem w tę drogę pełen nadziei, ale wróciłem nadziei tej pozbawiony. Nie ma nadziei. Nie ma Boga. Nie mogę nawet się z wami pomodlić.

Zapadła głucha cisza.

Nagle wizerunek Accosty zniknął i świat pogrążył się w ciemnościach.

Zaskoczony i przerażony, Fleming zamrugał oczami, wypatrując światła w mroku.

Po kilku sekundach niesamowitą ciszę przerwał dźwięk, który jednak nie przyniósł mu pociechy.

Był to skowyt wilków, dochodził z zewnątrz, z ciemności.

### III LUCYFER

#### 48

Jak cień zaćmienia wędrujący po Ziemi, elektryczność pierzchała z kolejnych miast z nastaniem nocy, by powrócić dopiero o świcie. Poczynając od zachodniego wybrzeża Ameryki, ciemność podążała w ślad za zachodzącym słońcem na zachód, przez Pacyfik, by dotrzeć do Honolulu na Hawajach o 18.53 czasu lokalnego. W ciągu następnych dwudziestu czterech godzin, w trakcie jednego obrotu Ziemi wokół Słońca, praktycznie wszystkie największe miasta na świecie zostały pozbawione prądu od zmierzchu do świtu.

Nastanie ciemności wywołało najprzeróżniejsze reakcje, od przerażenia przez negację po gniew. Znikoma mniejszość radośnie świętowała wydarzenie, które wszyscy uznali za pierwszy znak, nadejście pierwszego jeźdźca Apokalipsy Czerwonego Papieża. Wydawało się, że ludzkość cofnęła się do pogańskich czasów, kiedy czciła Słońce w przekonaniu, że ono jedno przepędza mrok i jest źródłem wszelkiego dobra.

Wielu pochowało się po domach, gdzie przeczekali pochód anioła ciemności. Inni wylegli na ulice w nadziei, że w tłumie poczują się pewniej. O północy Sydney w Australii zaroilo się od ludzi ze świecami, pragnących dać odpór ciemności. To samo powtarzało się wraz z zachodem słońca w kolejnych krajach Azji i Europy. Światowe media śledziły wędrówkę mroku, informowały na bieżąco o utracie kontaktu z pozbawionymi prądu biurami regionalnymi.

Niektórzy próbowali zapobiec panice, tłumacząc, że to tylko nieistotny zbieg okoliczności; że objawienie Czerwonego Papieża było zainscenizowane, a przerwa w dostawach prądu to dzieło przypadku. Kiedy jednak okazało

się, jak szeroki jest zasięg tego zjawiska, strach przeszedł w przerażenie, a potem w złość. Coraz więcej ludzi czuło potrzebę, by obarczyć kogoś odpowiedzialnością za własną rozpacz i utratę złudzeń.

W tę ciemną noc splądrowano wiele sklepów. Londyński East End, Paryż i Lower East Side w Nowym Jorku zostały poważnie zdewastowane przez motloch. Najbardziej jednak ucierpiały najważniejsze ośrodki kultu religijnego. Gniew tłumu skrupił się na kapłanach, którzy mówili nieprawdę o niebie i o Bogu. Kościoły były doradcami w sprawach ducha, żądały, by pokładać w nich pełną ufność, podawały się za jedynych przedstawicieli Boga. Teraz objawienie Czerwonego Papieża pozbawiło wiarę jakiejkolwiek wartości.

**I ktoś musiał za to zapłacić.**

Im większy kościół, tym większa nienawiść: od Hagia Sophia w Stambule, przez katedrę w Canterbury i Bazylikę Świętego Piotra w Rzymie, po synagogę w Jerozolimie. Bez względu na wyznanie. Kapłani szukali schronienia w zbędnych już świątyniach, a tłumy z pochodniami gromadziły się wokół prastarych miejsc kultu o wieżach wskazujących znacząco na niebo, które, jak to udowodnił Czerwony Papież, jest uludą.

W wielu państwach ogłoszono stan wyjątkowy. Władze usiłowały podać racjonalne przyczyny nastania ciemności. Następnego dnia, kiedy ze wschodem słońca przywrócone zostały dostawy prądu, prezydent Stanów Zjednoczonych wystąpił z apelem o spokój i rozsądek w wygłoszonym przed kamerami mocnym przemówieniu do rodaków i ludzi na całym świecie.

--Jak dotąd, nie ma dowodu, że to, co się stało, miało związek z wystąpieniem Czerwonego Papieża, czy że wystąpienie to było autentyczne -- stwierdził. -- FBI i straż przybrzeżna podjęły bezprecedensową decyzję, by wejść na pokład Czerwonej Arki na wodach międzynarodowych; prowadzone jest szeroko zakrojone śledztwo. Co ważniejsze, to, co kardynał Accosta powiedział bądź przemilczał, nie jest istotne z punktu widzenia porządku prawnego w naszym kraju. Nie mam wpływu na to, co dzieje się w niebie czy piekle, ale tu, na tym świecie, ostatnie słowo należy do mnie. W cokolwiek wierzą inni, ja wierzę, że prawo nadal obowiązuje i musi być przestrzegane. Nie wiem, kogo spotka kara na tamtym świecie, a kogo nie, ale jedno mogę wam obiecać: tego, kto złamie prawo, kara spotka tu i teraz. Jeśli nie wierzycie już w nic innego, uwierzcie w to.

Soames siedział sam w sali konferencyjnej w czarnym sektorze i głaskał wilki. Oglądał serwisy informacyjne. Kiedy spikerzy CNN i BBC podali, że przywrócony został niepewny spokój, uśmiechnął się. Wiedział, że to tylko cisza przed burzą.

**VcnTec** Następnego dnia

bierało się na burzę. Ciemne chmury śniegowe okrywały szczyty gór, podmuchy wiatru miały śmigłowcem wiozącym Radę Prawdy z powrotem do Fundacji.

--Dajcie spokój, to wcale nie katastrofa -- powiedział Soames uspokajającym tonem, kiedy w holu głównym powitał Carvellego i Knight. Oboje byli w potężnym szoku. Carvelli robił wrażenie oszłomionego: jego oliwkowa cera przybrała błądy odcień, a zwykle starannie uczesane włosy były w nieładzie. Virginia Knight wyglądała jeszcze gorzej: na twarzy wypisaną miała zgrozę wywołaną tym, co zobaczyła na pokładzie Czerwonej Arki. Wydawało się, że jest na skraju załamania nerwowego.

--Po naszym wyjeździe na Arce zaroilo się od agentów FBI -- oznajmił Carvelli. -- Musieli obserwować ją, odkąd zapowiedzieliśmy Dzień Prawdy Duchowej, a po tym, jak pierwszy znak wywołał panikę na całym świecie, weszli na pokład. Gdybyśmy wstrzymali się ze startem trochę dłużej, musielibyśmy teraz odpowiadać na trudne pytania.

--Tu jesteście bezpieczni. -- Soames położył dłoń na przedramieniu Knight, by dodać jej otuchy. -- Musimy tylko się zastanowić, co dalej.

Spojrzał na Trippa i Bukowski, wchodzących za dwójką członków Rady Prawdy do Fundacji. Z kamiennymi twarzami strzepnęli śnieg z ramion kurtek polarnych i odwrócili się do Soamesa. Napotykając jego spojrzenie, skinęli głowami ze zrozumieniem i ruszyli szybkim krokiem do windy zjeżdżającej do czerwonego sektora.

--Gdzie monsignore Diageo? -- spytał Soames. -- Myślałem, że przyje dzie tu z wami na... -- szukał właściwego określenia -...odprawę.

Virginia Knight pokręciła głową. Zaniemówiła. Jej jasne włosy wydawały się bardziej przyprószone siwizną, niż kiedy była tu ostatni raz, kilka dni wcześniej.

--Nie żyje -- powoli odparł Carvelli. -- Rzucił się z najwyższego pokładu Czerwonej Arki.

--Choć wiedział, że śmierć nie przyniesie mu ukojenia -- powiedziała Knight.

--Wpadł w panikę -- stwierdził Soames. -- Nam nie wolno sobie na to pozwolić.

Zaprowadził ich do czarnego sektora. Korytarze Fundacji świeciły pustkami. VenTec był samowystarczalny, wyposażony we własny generator prądu i niezbędne instalacje, a sterylne środowisko nie wymagało szczególnych zabiegów. Dzień przed objawieniem Czerwonego Papieża Soames kazał wywieźć wszystkich pracowników prócz niezbędnego personelu.

Potłuczone szkło zostało zabrane z sali konferencyjnej, ale nie wstawiono jeszcze nowej lustrzanej ściany. Zmieniło to akustykę sali, powiększonej teraz o przestronne, niebiesko-białe laboratorium, i sprawiło, że zrobiło się w niej jakby zimniej. Wilki siedziały nieruchomo, kiedy Knight i Carvelli zajmowali miejsca przy stole.

Soames nalał im kawy z termosu, a sam napił się coli z puszki.

Knight ukryła twarz w dłoniach.

--Cała nasza praca poszła na marne... wszystkie zabójstwa, czas, jaki poświęciliśmy. Nie ma usprawiedliwienia dla naszych zbrodni.

Soames się uśmiechnął.

--Teraz to już chyba i tak bez znaczenia.

Knight spojrzała na niego oburzona.

--Szatan posłużył się nami, wmówił nam, że uczestniczymy w dziele Bożym. Czyniliśmy zło w przekonaniu, że czynimy dobro. Oczywiście, że to ma znaczenie.

Soamesa uśmiechnął się szerzej.

--Dlaczego? No dobrze, Bóg okazał się szatanem... ale co z tego? Prawdę mówiąc, to dobra wiadomość. Skoro Boga nie ma, nie spotka cię kara za grzechy.

--Jak możesz tak mówić, Bradley? Ty też wierzyłeś. Jak możesz przyjmować to z takim spokojem?

--Powiedzmy, że nie jestem przesadnie zaskoczony. -- Wskazał na swoją oszpeconą bliznami twarz. -- Jak rodzisz się z czymś takim, nie widzisz w Bogu samych plusów. Zawsze podejrzewałem, że drań jest sadystą, więc

to, że okazał się diabłem, w pewnym sensie przyniosło mi ulgę. To wyjaśnia parę spraw i obala wszystkie te walkowane bez końca kościelne teorie mające wyjaśnić, dlaczego wszechmogący i wszechwiedzący Bóg pozwala, by na świecie było tyle cierpienia. Uśmiechnął się do Knight, która siedziała z otwartymi ustami.

--Jak się nad tym zastanowić, prawda ujawniona przez duszę Czerwonego Papieża daje nam nowe życie, wyzwala nas. Dlatego właśnie to, co się stało, nie ma znaczenia. Przecież tak naprawdę nic się nie zmieniło.

--Jak to? Wszystko się zmieniło -- oburzyła się Knight.

Soames się roześmiał.

--Gdzie tam. Zmieniło się tylko to, w co wierzysz. Przestań dramatyzować, Virginio. W końcu to nie jest tak, że Bóg nagle wziął i się zmył. On w ogóle nie istniał, a ty po prostu nie zdawałaś sobie z tego sprawy i tyle. Teraz przynajmniej wiesz, że życie jest w gruncie rzeczy grą w pokera znaczonymi kartami, więc przestań jęczeć i się pozbieraj.

Virginia siedziała nieruchomo i patrzyła na Soamesa oczami zmrużonymi z nienawiści i obrzydzenia.

--Nigdy nie wierzyłeś w Boga, co?

Soames milczał. Przez chwilę miał ochotę powiedzieć jej wszystko. Korciło go, by podzielić się z nią tajemną wiedzą, którą nosił w sercu. Musiał jednak zachować cierpliwość. Jego długie oczekiwanie dobiegało końca.

--Hejże -- wtrącił Carvelli. Jego szeroki uśmiech był sztuczny, lecz wracała mu pewność siebie. -- Nie skaczmy sobie do gardeł. Owszem, sprawy się skomplikowały, przeżyliśmy duży zawód, ale musimy myśleć praktycznie. Virginio, Bradley ma rację. Może rzeczywiście trzeba pogodzić się z nową sytuacją i spróbować się dostosować.

Knight westchnęła ciężko. Soames nachylił się ku niej.

--Virginio, musimy ratować, co się da. Poza tym, jak słusznie zauważyłaś, mamy na koncie pewne grzechy, może nie w oczach naszego nowego Pana i Władcy, ale z punktu widzenia przepisów prawa, jak najbardziej. Carvelli się zaniepokoił.

--Czy FBI znajdzie na pokładzie Czerwonej Arki dowody naszego współudziału w zabójstwach i...?

--Nie przejmuj się Czerwoną Arką. Władze mają pełne ręce roboty, usiłują wyjaśnić pierwszy znak i przygotować się na następne. Należałoby jednak chyba zająć się świadkami naszych pochopnych i, patrząc z perspektywy czasu, niepotrzebnych zabójstw i uprowadzeń.

Twarz Knight wyrażała coraz większe przerażenie.

--Co przez to rozumiesz?

--Amber Grant i Miles Fleming są dla nas dużym ciężarem. -- Przecież Czerwony Papież mówił, żebyśmy nie robili im krzywdy

--wyrzuciła z siebie Knight. -- Powiedział, że przemoc... Soames zarechotał.

--Ale się mylił, zgadza się? Widzę, że jeszcze to do ciebie nie dotarło, co, Yirginio? Czerwony Papież był zakłamanym, aroganckim głupcem, który nie wiedział nic. -- Spojrzał w oczy Carvellemu, a potem Knight. -- Sprawa jest prosta. Musimy uciszyć Fleminga i Grant na zawsze, by mieć tę przykrą historię za sobą i żyć dalej. Yirginio, nie rób takiej przerażonej miny. Sumienie jest ci niepotrzebne, skoro nie ma Boga, który mógłby cię wynagrodzić za czynienie dobra.

--Chrzanić Boga! -- krzyknęła Virginia. -- Co z naszym człowieczeństwem? Co z ludzką wiarą w dobro i zło?

Głos Soamesa przeszedł w pogardliwy szept.

--No właśnie, co, Yirginio? Co z tym drogocennym człowieczeństwem, które nagle w sobie odkryłaś? Czy aby nie to samo człowieczeństwo pozwoliło ci przyczynić się do śmierci setki śmiertelnie chorych tylko dlatego, że myślałaś, że służysz Bogu?

## 50

Część mieszkalna w czarnym sektorze Dwie godziny później

Amber spała w zamkniętym pokoju, dwoje drzwi od pokoju Fleminga. Po śmierci matki była w zbyt wielkim szoku, by odpoczywać, ale teraz, kiedy minął Dzień Prawdy Duchowej Czerwonego Papieża i na świecie zapanował chaos, spłynął na nią dziwny spokój. Zapadła w sen, głęboki jak nigdy. Odprężenie przeniknęło ją do szpiku kości, rozluźniło mięśnie, złagodziło stres i obawy.

Kiedy wchodziła w stan marzeń sennych, nic nie mąciło jej spokoju; nie szamotała się, nie widać było po niej lęku. Leżała nieruchomo i choć po

osiągnięciu fazy REM jej galki oczne zaczęły poruszać się jak zwykle, nie uniosła powiek i oddychała regularnie.

A potem, jak to się często zdarzało, jej umysł wyruszył na wędrówkę ku śmierci.

Otulona aksamitnym kokonem ciemności, czuje odrętwiający spokój. Tu nie może jej się stać nic złego. Jest spokojna nawet wtedy, gdy widzi znajomy świetlny punkt i pędzi ku niemu przez czarny wir. Tym razem nie jest sama. Czuje przy sobie obecność kogoś, kto ją prowadzi. Kiedy razem zbliżają się ku świetlnemu stożkowi, ma wrażenie, że nigdy nie były rozdzielone. Znowu stają się jednością i Amber wie wszystko, co wie Ariel.

Mknie przez ciemność i uświadamia sobie, że Ariel przez te wszystkie lata czekała na nią na ziemi niczyjej między życiem a śmiercią. Cierpliwość jej siostry wyczerpała się dopiero wtedy, gdy Bradley Soames po raz pierwszy odkrył istnienie duszy, w trakcie wczesnych doświadczeń prowadzonych na śmiertelnie chorych pacjentach. Tamtego dnia korpuskularno-falowy dualizm duszy i ciała uległ zaburzeniu, co tak odkształciło uniwersalną membranę łączącą życie ze śmiercią, że odczuła to Ariel, wywołując u Amber, połączonej z nią siostry, fantomowy ból.

Sny o śmierci brały się z tego, że Ariel próbowała ostrzec ją przed działaniami Soamesa. Z uwagi na charakter łączącej je więzi, ilekroć Ariel usiłowała wnikać do pogrążonej we śnie świadomości siostry, odpychała ją od siebie. Im bardziej zdecydowanie przeciskała się przez obrotowe drzwi do życia, tym szybciej Amber kręciła się w przeciwnym kierunku, ku śmierci. Jak na ironię, eksperymenty Soamesa na Amber uwolniły Ariel z potrzasku i pozwoliły jej nawiązać kontakt z siostrą przed długo odwlekanym wyruszeniem w dalszą drogę ku śmierci. Teraz, prowadzona przez nią ku światłu, Amber wie, że Ariel chce się z nią pożegnać. I coś jej pokazać.

Wnikają w światło, pędzą tak szybko, że jasność zdaje się nieruchomieć wokół nich w zastylej śnieżycy srebrnych cząstek. Amber zlewa się z blaskiem w jedno, łączy się z otaczającymi ją fotonami. Teraz, kiedy jest z nią Ariel, nie czuje strachu. Przez kilka następnych pozaczasowych chwil znowu są zrośnięte ze sobą, stają się tańczącymi siostrami, poruszają się w idealnie zgodnym rytmie. Gdy zbliżają się do wierzchołka świetlnego stożka, błogość przenika Amber do głębi i siostry zlewają się ze źródłem blasku. Wówczas Amber czuje, że jest jednocześnie odrębną istotą- sobą -- i częścią Ariel, a także elementem większej całości, większej jaźni.



Wtedy wszystko ginie w oślepiającym blasku niebieskobiałej supernowej i Amber zostaje wciągnięta w potężny wir światła, który rozrywa ją na strzępy i odtwarza z powrotem, raz po raz.

Nagle świetlna burza znika i Amber zostaje sama. Czeką, aż wróci do świata żywych. Nie czuje jednak smutku ani żalu. Po raz pierwszy ma wrażenie, że jest w pełni sobą. Unosi się u wierzchołka świetlnego stożka. Odzyskuje wzrok; jasność, która wcześniej oślepiła, teraz oświeca. Jak alpinista patrzący ze szczytu góry na zalany słońcem płaskowyż, Amber widzi wyraźnie miejsce, w którym jest jej siostra. I przybrana matka. I wszyscy, których kochała.

Przez tę krótką, upajającą chwilę, zanim wir wciągnie ją z powrotem, widzi wszystko, co jest poza źródłem światła, na tamym świecie.

--Amber, obudź się! Obudź się!

Nieprzytomna i zdezorientowana Amber nie miała pojęcia, czy słyszy ten głos we śnie czy na jawie. Uniosła powieki i zobaczyła Soamesa -- stał z wilkami w przyćmionym świetle wpadającym przez otwarte drzwi.

--Chciałem tylko sprawdzić, czy wszystko u ciebie w porządku -- szepnął. Po tym, przez co Amber przeszła w ciągu ostatniego tygodnia, jego troska była spóźniona i niestosowna.

Wyśliznęła się z łóżka i podeszła do niego.

--Nie mogłam zrozumieć, dlaczego współpracowałeś z Accostą... ale ty nigdy w niego nie wierzyłeś, mam rację? Jakimś cudem wiedziałeś, co odkryje. Wiedziałeś, że to będzie straszne.

--Amber, ja tylko byłem ciekaw, co dzieje się z człowiekiem po śmierci. Dążyłem do tego samego co Miles... i do czego na moim miejscu dążyłby każdy naukowiec z prawdziwego zdarzenia, który miałby dostęp do odpowiedniej technologii. A ja tę technologię miałem, dzięki twojej pomocy. Chciałem poznać prawdę, to wszystko. Co w tym złego?

--Zabijałeś i wprowadzałeś ludzi, żeby osiągnąć swój cel.

--To było konieczne, Amber.

--Dlaczego?

--Bez tego nie poznałbym prawdy.

--Ale to właśnie jest dziwne, Bradley. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy to rzeczywiście prawda. Jest w tym coś więcej, coś, co...

--Tak sądzisz? -- przerwał jej Soames. W słabym świetle widziała, że przygląda jej się ze zmarszczonym czołem, jakby próbował przeniknąć jej myśli. -- Nie -- uciał. -- Nie ma nic więcej. Prawda jest jedna. Kiedy ukażą się znaki, też to zrozumiesz.

Podeszła bliżej.

--A jeśli Accosta nie powiedział całej prawdy, Bradley? Nie jesteś ciekaw, czy nie mógł się pomylić? Kurczę, chciałabym, żeby się pomylił. To naturalne. Nawet ty musisz tego chcieć, co, Bradley?

Odwrócił się do drzwi i snop światła z korytarza wydobył z mroku jego oczy. Odkąd Amber знаła Soamesa, wiedziała, że jest dziwny, ale zawsze przypisywała to jego ogromnej inteligencji i niezwykłemu z powodu choroby wychowaniu. Teraz jednak, kiedy spojrzała mu w oczy, uświadomiła sobie, że kryje się za tym coś więcej. Nie był tylko ekscentrykiem pozbawionym zdolności empatii, był człowiekiem bez uczuć. Nie zobaczyła w jego oczach zła, lecz coś o wiele bardziej przerażającego.

Zobaczyła pustkę.

## 51

**Część mieszkalna w czarnym sektorze**

wadzieścia siedem godzin po wystąpieniu Czerwonego Papieża media ujawniły tajne ustalenia obecnych na pokładzie Czerwonej Arki agentów FBI współpracujących z zaproszonymi naukowcami i delegacją z watykańskiego Instytutu Cudów. Przesłuchano wszystkich naocznych świadków włącznie z zaproszonymi przedstawicielami najważniejszych religii.

Wszyscy zainteresowani pragnęli dowieść, że objawienie Czerwonego Papieża było mistyfikacją, ale po oględzinach zwłok i analizie nowoczesnego sprzętu musieli przyznać, że hologram kontrolowany był wyłącznie przez NeuroTranslatora, a on odbierał tylko sygnały ze szklanej kuli na głowie martwego Accosty. Wniosek ten, w połączeniu z zeznaniami świadków, którzy byli na pokładzie Czerwonej Arki, sprawił, że komisja nie miała innego wyboru, jak tylko uznać, że „nie można racjonalnie wytłumaczyć tego, co się stało”. Przytoczono też słowa anonimowego informatora, według którego jeśli była to sztuczka, to „taka mistyfikacja byłaby nie mniejszym cudem niż ogłoszona z za grobu mowa Accosty...”

Morgan Jones, wysoki, ciemnoskóry zastępca dyrektora FBI nadzorujący dochodzenie, zwołał dwie konferencje prasowe; trzymał się na nich oficjalnej wersji, uparcie i elokwentnie unikając konkretów. Jednak jego powściągliwość i brak reakcji Watykanu na prośby o zaprzeczenie rewelacjom Czerwonego Papieża uznane zostały za potwierdzenie słuszności tajnych ustaleń FBI i ostatnich słów Accosty.

Zamknięty w swoim pokoju Fleming śledził rozwój wypadków w telewizji i zirytowany własną bezsilnością krążył po pomieszczeniu. Nie mógł wysiedzieć na miejscu, jego umysł także nie miał chwili wytchnienia, zajęty analizą wszystkich zebranych informacji i wyciąganiem wniosków. Odkąd usłyszał słowa Czerwonego Papieża, nie mógł spać i nabierał coraz większej pewności, że musiało w nich być ziarno prawdy. To, co ujawnił Accosta, zbyt dobrze współgrało z jedną jedyną teorią uzasadniającą ateistyczne poglądy Fleminga: religia jest źródłem wszelkiego zła na tym świecie.

Zatrzymał się na dźwięk za drzwiami, które otworzyły się i stanął w nich Bradley Soames. Wilki były przy nim i dyszały cicho.

--Jak się czujesz, Miles? -- spytał z radosnym uśmiechem.

Fleming nie odpowiedział.

--Powiedz -- poprosił Soames, wprowadził wilki do środka i zamknął drzwi --jak to jest, kiedy sprawdzają się twoje najgorsze obawy? -- W jego głosie brzmiało chłodne zainteresowanie. -- Jakie to uczucie wiedzieć, że twój brat zapewne teraz cierpi, a ty nie próbowałeś go ocalić? Jak ktoś taki jak ty, człowiek, który przez całe życie próbuje ulżyć cierpiącym na tym świecie, a tamten świat postrzega jako błogą, dającą ulgę nicość, znosi świadomość, że śmierć oznacza tylko dalsze arbitralne cierpienie, na wieki wieków?

Fleming milczał i nie patrzył na niego.

--Co czułiby twoi rodzice, gdyby wiedzieli, że ich ukochany starszy syn cierpi, bo młodszy nie chciał go uratować? Co czułby twój bratanek? Na imię ma Jake, zgadza się? Jak zniosłby tę świadomość? Myślę, że byłby załamany. A ty?

Fleming nadal milczał.

--Nie rób sobie wyrzutów, Miles -- ciągnął Soames. -- Pod wieloma względami miałeś rację. Nie ma Boga jako takiego. Nie ma najwyższe go sędziego, który pilnuje, by każdy po śmierci dostał to, na co zasłużył. Jest tylko zły Władca Chaosu. Jedyna różnica między tym, w co wierzyłeś dawniej, a tym co wiesz teraz, jest taka, że kiedy umierasz, chaos i cierpienie nie trwa całą wieczność.

Fleming padł na kolana, po jego policzkach płynęły łzy.

Soames podszedł bliżej.

--Żal mi ciebie. Domyślam się, jak ciężko jest ci żyć, kiedy wiesz, na jaki los skazałeś brata.

Nagle Fleming wziął prawą dłoń Soamesa w obie ręce. Wilki sprężyły się do skoku, ale Soames uspokoił je gestem.

--Błaganie nic nie da, Miles. Nie mogę ci pomóc. Teraz już nie. -- Parsk nął śmiechem. -- A może się modlisz? Nie, to byłoby głupie. -- Wyrwał dłoń z jego uścisku. -- Po co się modlić, kiedy i tak nikt cię nie słyszy? -- Wypro wadził milczące wilki z pokoju.

Fleming leżał na podłodze ze złożonymi rękami, dopóki nie usłyszał trzasku zamykanych drzwi. Wtedy powoli usiadł i otworzył dłonie.

## 52

Pokój łączności w białym sektorze

poszarzałą, pozbawioną wyrazu twarzą, odrętwiała w próżni po utraconej wierze Virginia Knight odłożyła telefon satelitarny. Nie miała wyboru.

Wyszła z pokoju i jak zombie powlokła się przez opustoszały biały sektor do wyjścia. Za oszklonymi drzwiami, w blasku reflektorów widać było nadciągającą śnieżycę. Otworzyła dyskiem schowek w korytarzu prowadzącym do recepcji. Nie wiedząc, co wybrać, przejrzała zapasy i wrzuciła do plecaka paczkowaną żywność. Westchnęła ciężko i wróciła do serca Fundacji, do czarnego sektora.

Czarny sektor

Amber krążyła gorączkowo po pokoju, w jej głowie kotłowały się sprzeczne myśli. To, co zobaczyła w oczach Soamesa, podsyciło w niej niepokój wywołany objawieniem Accosty. Zobaczyła już pierwszy z zapowiedzianych przez niego znaków, co dowodziło, że mówił prawdę. Jej sen jednak wskazywał, że jest też inna, całkowicie odmienna prawda.

Usiadła na łóżku z twarzą w dłoniach. Wciąż nie była pewna, co właściwie Ariel próbowała jej pokazać, wiedziała jednak, że siostra trafiła do miejsca zupełnie innego niż to, które opisał Accosta.

Aby się uspokoić, wróciła myślą do chwili, kiedy ostatni raz widziała mamę śpiącą w hospicjum, w popołudniowym słońcu prześwitującym przez zasłony w oknie wychodzącym na okryty zielenią taras. To pogodne wspomnienie uspokoiło ją tak, jakby poczuła na czole chłodną dłoń matki.

--Może Ariel próbowała mi coś powiedzieć -- głośno myślała. -- Coś, co powinnam przekazać światu...

Rozejrzała się po swojej celi w odległych, niedostępnych górach za koleś podbiegunowym. Nawet gdyby wiedziała, co chce powiedzieć światu, jak miałyby się z kimś skontaktować? Czula się tak, jakby była wręcz poza światem.

Trzask.

Obróciła się na pięcie i wbiła wzrok w drzwi.

Do tej pory nie bała się Soamesa, teraz jednak z rosnącym lękiem przygotowywała się na następną konfrontację. Stała sztywno jak słup, twarzą do drzwi.

Otworzyły się powoli.

To nie była sylwetka Bradleya Soamesa. Soames był niższy.

--Amber -- usłyszała nagłą szept i postać wsunęła się do pokoju. -

Chodźmy stąd.

Amber osłupiała, ale serce jej urosło.;;

--Miles, jak się tu dostałeś, do licha? I jak ci się udało wyjść?

--Powiedzmy, że pożyczylem klucz od Bradleya. Później wyjaśnię. Najpierw musimy się stąd wynieść.

Czarny lektor

a ciemnych, opustoszałych korytarzach panowała zdradliwacisza.

--Masz jakiś plan?-spytała Amber.

--Wszystko po kolei -- odparł Fleming. -- Najpierw wydostaniemy się z czarnego sektora. Pójdziemy do pokoju łączności w białym sektorze i zadzwonimy z telefonu satelitarnego.

--Do kogo?

--Na przykład do FBI... wszystko jedno, bylebyśmy zostali wysłuchani. -- Nie robiło mu różnicy, z kim się skontaktują; najważniejsze, by przekazać wiadomość o ich sytuacji i roli Soamesa w ostatnich wydarzeniach. Bardziej martwiło go to, co zrobią potem. Pomoc nadejdzie nieprędko, a oni w tym czasie zdani będą na łaskę i niełaskę Soamesa. Gdyby był sam, mógłby spróbować zejść do posterunku straży rezerwatu, który widział w drodze do Fundacji. Musiał jednak myśleć o Amber.

Już tylko metry dzieliły ich od zamkniętych drzwi czarnego sektora i Fleming skierował się ku nim, gdy nagle zobaczył za szybą strażnika. Wepchnął Amber w cień i syknął:

--Kiedy pójdzie, spróbuję otworzyć drzwi.

--Po kilku sekundach strażnik zniknął.

--Chodźmy. -- Fleming poprowadził Amber do drzwi.

--Jak je otworzysz? -- szepnęła.

--Tym. -- Rozłożył prawą dłoń. -- Zabrałem to Bradleyowi.

Amber przyjrzała się leżącej na jego dłoni czarnej brylce połyskującej z jednej strony w półświatle. Skrzywiła się. -- Fuj.

--Dzięki temu doszliśmy aż tu, więc nie narzekaj. -- Wziął strup na czubek prawego palca wskazującego i przycisnął go do czytnika obok zamka.

Poczuł dotyk gorąca, kiedy skaner DNA odcinał mikroskopijną warstwę tkanki, i wbił wzrok w czerwone światelko, modląc się, by strażnik nie wrócił. Światelko pozostawało czerwone i Fleming już wyobrażał sobie wycie alarmu ostrzegające Soamesa.

--No, dawaj, skubańcu -- mruknął, trzymając strup na czubku palca.

Amber przysunęła się do niego i poczuł bijący od niej niepokój.

Wtedy zapaliło się zielone światelko i oboje odetchnęli z ulgą.

Wymknęli się z czarnego sektora i skręcili w lewo, w przeciwnym kierunku niż strażnik. Kiedy Fleming wchodził do białego sektora, miał dziwne wrażenie, że ktoś ich śledzi; dwa razy obejrzał się za siebie, ale szybko stwierdził, że nie ma tu żywej duszy. Po lewej stronie zobaczył przyciemniane okno z widokiem na polarny pejzaż zabarwiony w szybie na niebiesko. Tumany śniegu kłębiły się na tle nocnego nieba, Amber wskazała drzwi w głębi korytarza po lewej stronie.

--Tam -- powiedziała.

Drzwi pokoju łączności były otwarte, na głównej stacji roboczej leżały w równym rzędzie trzy matowoszare telefony satelitarne. Fleming poczuł, jak opuszcza go napięcie. Sięgnął po pierwszy telefon z brzegu i przyłożył go do ucha.

--Do kogo zadzwonimy? -- spytała Amber.

Fleming usiłował przypomnieć sobie nazwisko zasłyszane w wiadomościach.

--Do agenta FBI, który nadzoruje śledztwo.

Zza ich pleców dobiegł jakiś dźwięk. Zanim Fleming zdążył się odwrócić, usłyszał głos:

--Nigdzie nie zadzwonicie. Telefony nie działają. Łączność ze światem została zerwana.

Fleming poczuł zimny ucisk w żołądku i się odwrócił. W drzwiach stała Virginia Knight. Miała przekrwione oczy i trupio bladą twarz. Włożyła rękę do kieszeni.

--To dla ciebie, Miles -- powiedziała. -- Tak mi przykro, że musiało do tego dojść...

## 54

szystko stało się tak szybko, że Amber nie zdążyła odetchnąć. W jednej chwili Fleming stał przy niej z telefonem satelitarnym w ręku, a zaraz potem skoczył ku Virginii Knight i przewrócił ją na podłogę.

Knight nie stawiała oporu, kiedy Fleming włożył rękę do jej kieszeni i wyjął dysk.

--Dlaczego telefony nie działają? -- spytał głosem napiętym z gniewu.

Patrzyła na niego tępo.

--Bradley zerwał kontakty ze światem zewnętrznym -- powiedziała.

Nawet ja nie mogę się z nikim połączyć. Tylko on ma dostęp do środków łączności.

--Dlaczego?

--Nie wiem. Odbiło mu. Wiem tylko, że zamierza was zabić. Musicie się stąd wydostać i sprowadzić pomoc.

--Niby jak? -- wyrwało się Amber. -- Musielibyśmy zejść z tej góry.

--To jedyne wyjście -- stwierdził Fleming ponuro. Knight spojrzała na niego.

Pomogę wam. Mam mapy okolicy i plany budynku.

--Gdzie?

--W plecaku w schowku.

--Fleming przyjrzał jej się uważnie i pomógł wstać.

--Chodźmy.

Przeszli przez opustoszały biały sektor i po paru minutach byli już w recepcji. Za barwionymi na niebiesko oszklonymi drzwiami wyjściowymi z wytrawionym V kłębił się gęsty śnieg. Na lewo był schowek z ekwipunkiem do wspinaczki, racjami żywnościowymi i odzieżą chroniącą przed mrozem. Za pomocą smart-dysku Knight Fleming otworzył drzwi i puścił kobiety przodem.

Jedną ze ścian zajmowały kombinezony ochronne wszystkie jasno-czerwone opatrzone marką North Face. W odróżnieniu od zwykłych ubrań nie wisiały na wieszakach, lecz stały prosto jak zbroje. Od mankietu lewej nogawki każdego z kombinezonów odchodził kabel podłączony do gniazdka elektrycznego w ścianie, przed nimi zaś stały rzędem buty kinetyczne. Na półce leżały izolowane kaski z przeciwśnieżnymi osłonami na oczy i lampami. Wzdłuż przeciwległej ściany ciągnęły się regały z racjami żywnościowymi i sprzętem do wspinaczki: siekierami, linami, piłami do śniegu, czekanami. Fleming był pod wrażeniem tego wszystkiego, a zwłaszcza kombinezonów ochronnych -- nowoczesnej odzieży, podobnej do sprzętu, jakiego używał półtora roku wcześniej podczas wyjazdu do Chamonix.

Po lewej stronie na ławce w kącie leżały dwa schludnie złożone komplety ubrań, jeden większy, drugi mniejszy. Na podłodze stał wypchany plecak.

--Po jednym komplecie dla każdego, w plecaku jest ekwipunek i racje żywnościowe. Pewnie znasz się na tym lepiej ode mnie, Miles, więc sprawdź, czy o czymś nie zapomniałam, i pomóż Amber się wyekwipować. -- Knight wyjęła z plecaka palmtopa i podała go Flemingowi. -- Masz na tym szczegółową mapę okolicy i plany starej platformy Alascon Oil. Na wschód od nas jest posterunek straży rezerwatu.

Fleming skinął głową.

--Kiedy tu leciałem, widziałem go ze śmigłowca.

--Kombinezony wyposażone są w mikrofony i nadajniki pozwalające porozumieć się i wysłać SOS na odległość kilkuset metrów, ale żeby



nawiązać łączność zamiejscową, musicie dostać się na posterunek straży. O tej porze roku nie ma chyba w nim nikogo, ale jest tam w pełni wyposażone stanowisko łączności. Stamtąd możecie wysłać wiadomość. Zbierajcie się. Zostało mało czasu.

Fleming zaczął przeglądać zawartość plecaka, Amber w tym czasie włożyła kombinezon.

--Czemu to robisz, Virginio? -- spytał.

--Chciałabym zrobić więcej, ale nie mam dostępu do śmigłowca.

--Dlaczego już teraz chce nas zabić? -- powiedziała Amber. -- Wiem, że jesteśmy ciężarem, ale i tak tu ugrzęźliśmy, więc...

--Sama tego nie rozumiem. Zanim poszłam po was, próbowałam zadzwonić na policję. Chciałam przyznać się do winy i wezwać pomoc, ale, jak sami widzieliście, to niemożliwe. Zresztą, nawet gdybym się z nimi połączyła, mają tam taki chaos, że wieki miną, zanim wszystko wróci do jako takiej normy. -- Skuliła się. Wyglądała na zagubioną, załamana. -- Jeśli to w ogóle możliwe.

--Czemu nam pomagasz, Virginio? -- powtórzył Fleming. -- Dlaczego akurat teraz?

--Postąpiłam źle i próbuję to naprawić. Żałuję tego, do czego dopuściłam... i co stało się przeze mnie.

--Ale czemu to robisz? -- nalegał Fleming, upewniając się, że kable wychodzące z nogawek kombinezonu Amber podłączone są do butów kinetycznych. - Jeśli Bóg nie istnieje, nie masz powodu, by nadstawiać za nas karku. Nie boisz się zemsty Bradleya?

--Owszem, ale teraz to już bez znaczenia. We wszystkich moich uczynkach, dobrych i złych, kierowałam się myślą, że uczestnicząc w wielkiej misji Czerwonego Papieża, służę Bogu. Teraz, po tym, co przeszłam, już nic nie jest mi straszne. Nie mam nic do stracenia, nie mam w co wierzyć, mogę tylko wierzyć w siebie. A żeby być sobie wierna, muszę wam pomóc. Jeśli nie pozostanie mi nawet poczucie, że moje życie było coś warte, to znaczy, że wszystko poszło na marne.

Fleming widział, że jest zrozpaczona i zagubiona, i przez chwilę zobaczył w niej kobietę, którą znał w Barley Hall. Chodź z nami -- zaproponował.

--Nie mogę. Muszę mieć oko na Soamesa. Nie jest tym, za kogo go uważałam. Mam wrażenie, że wiedział, co Czerwony Papież powie. Coś się za tym kryje.

--Myślisz, że objawienie Czerwonego Papieża to nie cała prawda? -- spytała Amber.

Fleming spojrział na nią pytająco, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Knight odparła:

--Widzieliście pierwszy znak... ciemność i jej skutki. To był pierwszy jeździec Apokalipsy.

W księdze Apokalipsy mowa jest o tym, że pierwszy jeździec zasieje zamęt na świecie. Za nim podążą następni i boję się, że udowodnią ponad wszelką wątpliwość, że Czerwony Papież się nie mylił.

--To nie takie proste -- powiedziała Amber. -- Jest w tym coś więcej, czuję to.

Wtedy Fleming usłyszał dźwięk, który obudził w nim jakiś pierwotny

instynkt. Serce zabiło mu mocniej, mięśnie sprężyły się do ucieczki. Pospiesznie sprawdził, czy Amber zapięła wszystkie zamki w kombinezonie, czy działa mikrofon w kołnierzu i głośniki w kasku i czy buty kinetyczne przy ruchu nóg zasilają resztę kombinezonu.

--Czujesz ciepło w kombinezonie? -- spytał.

Skinęła głową.

--To dobrze. Zapnij zamki i trzymaj się mnie. -- Odwrócił się do Knight,

która patrzyła przez szklane drzwi na recepcję i wyjście z budynku. -- Na pewno nie chcesz iść z nami?

Bez słowa otworzyła drzwi i skierowała się do wyjścia z budynku.

Fleming narzucił plecak na ramię i poszedł za nią. Wtedy znów usłyszał ten dźwięk.

Wycie wilków.

Kątem oka zobaczył jakiś ruch i się odwrócił. Soames stał kilkanaście metrów za nim, tuż za schowkiem. Wilki były przy nim, szeroko otwierały żółte ślepia i jeżyły sierść.

Fleming zatrzymał się obok Knight w drzwiach, ciekaw, czy kombinezony ochronią ich przed atakiem wilków. Były co prawda wzmocnione aluminiowym stelażem, on jednak służył do tego, by było na czym zaczepić liny. A warstwy tworzące nowoczesny materiał były lekkie i miały oprzeć się zimnu, nie kłom i pazurom.

--Już wychodzicie? Tak wcześniej? -- spytał Soames cicho. Jego oszpecona twarz była zarumieniona, oczy szeroko otwarte. Wyglądał, jakby z trudem trzymał nerwy na wodzy.

--Puść ich, Bradley. -- Głos Virginii Knight drżał ze strachu. -- To koniec. Projekt „Dusza” nie ma już znaczenia. Zresztą i tak w niego nie wierzyłeś. Nigdy nie byłeś jednym z nas.

--Ależ wprost przeciwnie. Zawsze wierzyłem, Virginio, i nadal wierzę. Tyle tylko, że ani ty, ani Accosta nie pomyśleliście, by spytać mnie w kogo. Yirginię Knight przeszedł dreszcz.

--W takim razie masz to, czego chciałeś. Wygrałeś. To powinno ci wystarczyć. Nie musisz już nikogo krzywdzić ani zabijać.

--O to ci chodziło, Bradley? -- spytała nagle Amber. -- Żeby pokazać światu, że diabeł jest panem?

Na ustach Soames powoli pojawił się uśmiech.

--Teraz to już nie ma większego znaczenia, co, Amber?,

--Ma, jak najbardziej -- zaprzeczyła -- bo Prawda Duchowa Czerwonego Papieża może nie być jedyną prawdą.

Soames zmrużył oczy i Fleming zauważył, że on i Amber patrzą na siebie ze zrozumieniem.

--Myślę, że wiesz, dlaczego nie mogę pozwolić tobie i Milesowi się ura tować -- stwierdził Soames.

Za jego plecami pojawił się Carvelli.

--Bradley? Virginia? Co się dzieje?

W tym momencie zareagowała Knight. Najpierw mocno pchnęła Fleminga w pierś tak, że stracił równowagę, zatoczył się do tyłu i wypadł przez próg w mroźną noc, ciągnąc ją i Amber za sobą, a potem wyjęła dysk z zamka, zamykając drzwi wyjściowe i zostawiając ich na zewnątrz, bez możliwości powrotu.

Spojrzała przez szybę na Soamesa. Ubrana w cienki granatowy kostium drżała na całym ciele, ale w jej twarzy nie było strachu. Kiedy Soames sięgnął do zamka, krzyknęła:

--Bradley, wiem, dlaczego słowa Czerwonego Papieża nie były dla ciebie zaskoczeniem!

Fleming i Amber pociągnęli ją za sobą, ale nie drgnęła. Zerknęła tylko na Fleminga i rzuciła:

--Idźcie.

--Tylko z tobą -- powiedział.

--Idźcie -- warknęła i odwróciła się znów do Soamesa, który szeptał coś do wilków wyjących i drapiących w drzwi. Kiedy położył palec na czytniku DNA i zamek się otworzył, zwierzęta dosłownie oszalały.

Fleming złapał Amber za ramię.

--Chodźmy już. -- Obejrzał się na Knight, ale wyczytał z jej oczu, że nie zamierza pójść z nimi.

--Odejdź, Miles! -- krzyknęła. -- Mogę go na jakiś czas zatrzymać. -- Odwróciła się do Soamesa.

Kiedy pierwszy wilk przecisnął się przez drzwi i skoczył na nią, Fleming usłyszał jej spokojny głos:

--Ty nie tylko czcisz szatana. Ty...

Może to podmuch wiatru, a może wbijające się w gardło kły pierwszego wilka sprawiły, że jej słowa nagle ucichły. Kiedy drugi wilk zaczął szarpać jej ścięgna pod kolanami, Fleming najwyższym wysiłkiem woli skoncentrował się na tym, by ocalić Amber. Nie widział, jak śnieg czerwienieje wokół wijącej się z bólu Virginii ani zdezorientowanego Carvellego, który wychylił się zza szklanych drzwi blady z przerażenia. Ani Bukowski i Trippa nadbiegających z głębi Fundacji.

Skupił się tylko na tym, by ciągnąć Amber przez przejmujący wiatr w śnieżną noc.

## 55

Amber ucieszyła się, że jest przenikliwie zimno i że Fleming wykrzykuje polecenia; dzięki temu nie miała czasu myśleć o tym, co widziała przed chwilą i co czyhało za jej plecami w mroku.

--Trzymaj się blisko mnie i rób, co każę -- usłyszała w głośnikach krzyk Fleminga.

Pobiegł po stalowej platformie w stronę lądowiska dla helikopterów i wyjął z plecaka linę. Jeden koniec przyczepił do metalowej obręczy w pasie jej kombinezonu, a drugi do takiej samej obręczy przy swoim kombinezonie. -- Tam, gdzie będzie się można zaczepić, zjedziemy na linie, gdzie nie będzie można, schodzimy. W porządku?

--Tak -- odparła, choć nie miała pojęcia, o czym on mówi. Ciężko jej się biegło, bo raki wbijały się w lód. -- Dokąd idziemy?

Fleming wskazał coś w skrzącej się śniegiem ciemności. Poza zasięgiem reflektorów VenTecu nie widać było nic.

--Włącz lampę na kasku.

Wcisnęła guzik w pasku pod brodą, tak, jak jej to pokazał w schowku, usłyszała trzask i w mrok wystrzelił snop światła. Poczuli się pewniej, choć lampa wydawała się żałośnie słaba w tym mrocznym, niegościnnym miejscu.

Fleming zatrzymał się kilka metrów przed nią, schylił się i zniknął. Biegając pod wiatr, zaczęła gorączkowo rozglądać się na boki, wypatrywała go w ciemności i kłębach śniegu.

Wtedy usłyszała jego głos.

--Stój. Spójrz w dół.

Półtora metra przed sobą zobaczyła barierkę wyznaczającą koniec stalowej platformy i lądowiska. Dalej nie było nic. Wychyliła się i zauważyła, że Fleming przypina się do jednej z pajęczych nóg, na których wspierała się cała konstrukcja. Zaskoczyło ją, że tak szybko przeszedł przez barierkę i dotarł pod budowlę. Wisiał nad przepaścią, ale wydawał się pewny siebie, każdy jego ruch był płynny i zdecydowany. Uniósł prawą dłoń i dał jej znak, żeby do niego dołączyła.

Zawahała się.

--Chodź -- usłyszała w głośnikach jego spokojny, lecz nagły głos.

--Przejdź przez barierkę i kieruj się ku mnie. Jestem przyczepiony do słupka, a ty jesteś przywiązana do mnie, więc jeśli spadniesz, wciągnę cię z powrotem.

Zawsze miała lęk wysokości.

--Chodź -- namawiał spokojnie. -- Bezpieczniej tu zejść niż tam zostać.

Wciąż nie mogła się zdecydować, brakowało jej odwagi.

Nagle usłyszała wilki, wyczuła, że biegną ku niej, i strach przed nimi wziął górę nad lękiem wysokości. Wdrapała się na barierkę i powoli wysunęła za krawędź. Z bijącym sercem spojrzała w dół i przekrzywiła głowę tak, by snop światła z lampy padł na Fleminga. Wyciągał do niej prawą rękę, ale dzieliły ich dwa metry.

--Jak się tam, do cholery, dostałeś? -- spytała.

--Spadłem.

--Co takiego?

--Specjalnie. Zeskoczyłem na niższą belkę i wszedłem tutaj.

--Z góry dobiegły drapanie łap i warkot.

--Skacz! -- rozkazał Fleming.

Odetchnęła głęboko, wyprostowała stopy i zsunęła się z platformy. Zaskoczyło ją, że buty i raki zaczepiły się o dźwigar, który okazał się szerszy, niż to wyglądało z góry. Powoli podeszła do Fleminga i poczuła głęboką ulgę, kiedy objął ją w talii.

--Dobra robota -- pochwalił. -- Teraz musimy wejść na tamten lodowy nawis. Stamtąd możemy zjechać na linie. Będę cię podtrzymywał. Bez obaw, to kaszka z mlekiem.

--Serio?

Przez szybkę widać było, że się skrzywił.

--Nie bardzo -- odparł. -- W tych warunkach będzie ciężko jak diabli.

--No dobrze -- powiedziała powoli, żałując, że w ogóle o to spytała, i ruszyła za nim po dźwigarze w dół, ku lodowemu nawisowi, starając się naśladować wszystkie jego ruchy. Wyglądało na to, że instynktownie wybierał najlepszą trasę.

Nawis był spowity mgłą i dobrze osłonięty. Amber chciała odpocząć, Fleming jednak już wygrzebywał z plecaka śruby lodowe, linę i kliny. Wskazał w dół, na następny występ.

--Musimy tam zjechać, a potem, przy odrobinie szczęścia, zejść zyg zakiem po tej ścianie aż do bocznej grani. Wtedy odbijemy na wschód.

Zejście do posterunku straży jest trudne, ale jeśli będziesz słuchać moich poleceń, damy radę. -- Przerwał. -- Kurde. A ten skąd się tu wziął?

Zimny dreszcz przeszedł Amber po plecach, kiedy zobaczyła we mgle zbliżające się żółte ślepie.

Fleming zaklął i wskazał na prawo. Drugi wilk nadchodził z przeciwnej strony.

Zanim Amber zdążyła zebrać myśli, Fleming wcisnął jej dwa czekany do rąk, a sam zsunął się z półki. Wbił czubki butów w lód, by mieć oparcie dla nóg, i za pomocą czekanów przytrzymał się niemal pionowej ściany. Każdemu, kto popatrzyłby na niego, musiałoby wydawać się to łatwe.

--Nie ma czasu na zjazd na linie -- powiedział. -- Idź po moich śladach i wbijaj czekany w lód, żeby utrzymać swój ciężar. Nie bój się, będę został blisko siebie.

Tym razem bez wahania zsunęła się w dół, odnalazła wgłębienia pozostawione przez Fleminga i zaczęła schodzić.

Następna półka była może dziesięć metrów niżej, ale żeby do niej dotrzeć, musieli schodzić po skosie, więc odległość wydawała się większa. Już po kilku metrach Amber miała skurcze łydek, z ramionami było jeszcze gorzej, a do tego poczuła pieczenie mięśni pleców. Kiedy jednak słabła, skowyt wilków mobilizował ją do wzmożonego wysiłku.

Prawy czekan. Lewy czekan.

Stop.

Prawą nogą odszukać następny punkt oparcia. Lewą nogą odszukać następny punkt oparcia.

Stop.

To był horror, rytmicznie powtarzane czynności wzmagaly ból.

Czekan, czekan, stop. Prawa, lewa, stop.

Ani chwili wytchnienia; już samo utrzymanie się na pionowej ścianie było męczarnią, a co dopiero mówić o schodzeniu. Przed oczami miała

tylko oblodzoną skałę, zielonoblękitną w świetle lampy. Płuca domagały się powietrza, jakby była pod wodą, tonęła w pięknym, ale śmiertelnie zamarzniętym morzu.

I kiedy już myślała, że zaraz zemdleje, silne ramiona opuściły ją na skalną półkę. Nogi ugięły się pod nią i runęła na śnieg.

Fleming zaczął masować jej łydki, podczas gdy z góry dochodziło wycie wilków.

--Dobra robota -- pochwalil. -- Było ciężko. Dalej nie powinno już być tak stromo. Stąd możemy zjechać na linie, a na bocznej grani odpoczniemy trochę na płaskim terenie.

Chciało jej się płakać z frustracji i bólu.

--Nie dam rady.

--Dasz -- zapewnił. Nawet nie był zdyszany.

--Idź dalej beze mnie. Ktoś musi powstrzymać Bradleya. W tym, co powiedział Czerwony Papież, coś jest nie tak... i to chyba Bradley za tym stoi. Jedno z nas musi przeżyć, żeby go powstrzymać.

--Ciii. Oszczędzaj siły na zejście.

--Będę ci ciężarem. Dalej musisz iść sam.

--Nie. Tkwimy w tym razem. -- Fleming poderwał ją na nogi. -- Cholera jasna, jak one doszły tu tak szybko?

Zobaczyła przez ramię dwa szare kształty; pędziły ku nim po półce skalnej. Fleming pociągnął ją za sobą, w stronę serca góry. Wiedziała, że nie uciekną przed wilkami: to był ich teren.

Nagle Fleming się zatrzymał. Śledząc oczami jego spojrzenie, zobaczyła, że dwadzieścia metrów dalej półka kończy się pionową ścianą odcinającą drogę ucieczki. Jakies trzy metry wyżej ze skały wystawała szeroka, okrągła rura.

Fleming odpiął linę łączącą go z Amber i popchnął ją do przodu.

--Idź na sam koniec i czekaj na mnie.

Amber nerwowo zerknęła przez ramię na wilki. Były już blisko.

--Co chcesz zrobić?

--Liczę na lut szczęścia. -- Wzniósł czekany wysoko nad głową i zaczął skakać po półce. -- Uciekaj, do cholery, uciekaj! -- krzyknął, widząc, że Amber stoi i patrzy. Jego słowa ją zmobilizowały i rzuciła się w stronę ściany.

Przypadła do niej, odwróciła się i zobaczyła, że Fleming nadal podskakuje, a wilki są coraz bliżej. Kiedy już myślała, że pierwszy z nich rzuci się na niego, występ załamał się i Fleming zniknął w chmurze śniegu i lodu.

Wilki z trudem wyhamowały, ślizgając się po lodzie. Trzymetrowej szerokości wyrwa dzieliła je od Amber. Ale gdzie był Fleming?

--Miles, wszystko w porządku?! -- zawołała do mikrofonu, usiłując opanować panikę. -- Miles, powiedz coś. Miles.

Sala monitoringu, VenTec

Tezu, Bradley, coś ty zrobił?

I Niezdrowo pozieleniały na twarzy Frank Carvelli szedł za Soamesem w głąb korytarza odchodzącego od recepcji. Za szklanymi drzwiami widać było czerwony płat śniegu, na którym jeszcze przed chwilą leżały zmasakrowane zwłoki Virginii Knight. Elegancki kaszmirowy golf Carvellego był pokryty wymiocinami, a właściwa mu pewność siebie zniknęła bez śladu.

--Czemu nie powstrzymałeś wilków? Nie uzgodniliśmy jeszcze, czy zlikwidujemy Fleminga i Amber, więc dlaczego zabiłeś Virginie, bo ich wypuściła? To się wymyka spod kontroli, Bradley. To zbyt...

Soames zniecierpliwiony uniósł dłoń i wbił wzrok w monitory. Oprócz padającego śniegu i dwóch strażników patrzących tępo w mrok na lądowisku i stalowej platformie nic nie było widać.

--Dokąd poszli? -- spytał, raczej zaskoczony niż zły.

W drzwiach stanęli Tripp i Bukowski. Oboje mieli na sobie kombinezony ochronne i trzymali broń w rękach. Ich rękawice i kombinezony były zakrwawione. Carvelli osunął się na ścianę, bał się, że nogi odmówią mu posłuszeństwa.

--Posprzątałeś? -- spytał Soames.

Bukowski skinęła głową.

--Dobra robota. Teraz poszukajcie wilków. Przynieście to, co zostawiły z Fleminga i Amber.

Bukowski i Tripp się odwrócili,

--Jeszcze jedno -- dodał Soames, zanim wyszli. -- Nie przeszkadzajcie im w jedzeniu. Dajcie im skończyć, zanim zabierzecie resztki.



--Bradley, co cię opętało? -- jęknął Carvelli. -- Czemu to robisz? To szaleństwo. Dlaczego tak ci zależy na śmierci Amber Grant i Milesa Fleminga?

Niepokojące oczy Soamesa zdawały się wnikać w głąb duszy Carvelle-go, taksowały go, osądzały.

--Naprawdę chcesz wiedzieć? -- spytał w końcu.

Zabrzmiało to tak, jakby rzucił mu wyzwanie, niepewny, czy zniesie prawdę. Carvellemu zaschło w ustach.

--Tak -- wychrypiał.

Soames przez chwilę milczał. Wreszcie uśmiechnął się lekko i wyprowadził Carvellego z sali. Przeszedł przez biały sektor i wcisnął guzik przywołujący windę.

Fleming miał zmienne szczęście: osłabiony fragment skały załamał się pod nim i odciął wilkom drogę do Amber -- on sam jednak przez jedną przerażającą sekundę spadał w otchłań. Musiał wyteńczyć siły, by wbić czekany w oblodzoną ścianę pod występem, po stronie Amber. Za pierwszym razem się nie udało, ale za drugim -- choć omal nie wyrwał sobie przy tym ramienia ze stawu -- przywarł do skały.

Wdrapał się z powrotem na półkę.

Amber przypadła do niego, by pomóc mu wejść.

--Czemu nie odpowiadałeś?

--Byłem trochę zajęty.

--Wystraszyłeś mnie -- powiedziała i go przytuliła.

--Sam siebie wystraszyłem. -- Wilki krążyły po drugiej stronie wyrwy, zbierały odwagę do skoku. -- Chodź. Nie możemy tu zostać.

--Tędy nie zejdem -- wskazała pionową ścianę, która ginęła w ciemności. Nigdzie nie było choćby jednego występu czy szczeliny.

Fleming przyczepił linę Amber z powrotem do swojego kombinezonu, wyjął z plecaka palmtopa od Virginii, położył go sobie na dłoni i spojrzał na ekran.

--Nie pójdziemy w dół, tylko do góry. -- Machnął ręką w stronę wylotu rury trzy metry nad ich głowami. -- Jeśli dobrze czytam mapę, to rura przelewu z dawnej platformy Alascon Oil. Rurociąg pewnie biegnie przez wnętrze góry do rafinerii na wschodnim szczycie, a stamtąd już niedaleko do posterunku straży rezerwatu. Będzie względnie łatwo iść, będziemy osłonięci od śniegu i wiatru, a te skubańce zgubią nasz trop.

W chwili, kiedy wskazał na wilki, większy z nich cofnął się i sprężył do skoku. Fleming podszedł do oblodzonej ściany.

--Odejdź od krawędzi i trzymaj rękę na karabińczykach... przepraszam, tych zatraskach na linie łączącej cię ze mną. Jeśli spadnę, odepnij je, że bym nie pociągnął cię za sobą.

Spojrzała na niego przerażona.

--A potem co, mam czekać, aż wilki mnie dopadną? Nie ruszę żadnego zatrasku. Masz nie spaść i tyle. Podobno jesteś w tym dobry.

Fleming wbił lewy czekan w pionową ścianę, prawym butem wydrążył w skale pierwszy stopień i się podciągnął. Zaczepił drugi czekan wyżej i znalazł oparcie dla lewej nogi. Wspiął się płynnie i bez większego wysiłku dotarł do wylotu rury. Wewnątrz przypominała sztuczną jaskinię, wilgotną i ciemną, ale niewątpliwie bardziej przytulną niż mrok na zewnątrz i czające się w nim wilki. Poczul płynący z wnętrza góry ciepły podmuch.

Spojrzał w dół i zobaczył, jak pierwszy wilk przeskakuje wyrwę. Zaparł się nogami i pociągnął linę, z nadzieją, że Amber się nie ześlizgnie; na widok wilka nabrała jednak takiego rozpędu, że bez trudu wciągnął ją do wnętrza rury.

Przez chwilę stali i patrzyli na bezradnie warczące wilki. Odwrócili się i weszli do wnętrza góry.

Rura biegła w górę, ale nierówne podłoże zastępowało schody. Przez jakiś kwadrans szli w milczeniu, gdy nagle Fleming wyczuł zmianę w powietrzu. Lekki podmuch przeszedł w ciepłą, pachnącą czymś bryzę.

--Dziwne. Bradley mówił mi, że jego ojciec nigdy nie wydobywał ropy.

--To prawda -- powiedziała Amber. -- Odkrył złoża, ale umarł, zanim

platforma zaczęła działać. Bradley zamknął wszystko i rozpoczął odwiert, kiedy sprzedał Alascon Oil i urządził tu VenTec. -- Zatrzymała się w pół kroku. -- Patrz!

Przed sobą, w mroku, Fleming zobaczył przedziwny widok: pokaz stroboskopowych świateł, któremu towarzyszył jednostajny furkot. Zauważył, że podmuch przybrał na sile, czuł napór ciepłego powietrza. Musiał odwrócić się od źródła światła, tak było jasne, ale kiedy rozglądał się, mrużąc oczy, ze spuszczoną głową, mógł się zorientować w otoczeniu. Doszli do miejsca, w którym rura przecinała centralny odwiert. W dole ział wielki okrągły otwór, o średnicy co najmniej dziesięciu metrów, zamknięty sześć metrów niżej żelaznym czopem, z którego wystawała rura -- Fleming

domyślił się, że to górna część świdra. W powietrzu wisiał silny zapach, świadczący o tym, że gdzieś w mrocznej otchłani pod żelaznym czopem jest ropa naftowa. W poprzek odwiertu biegł zniszczony pomost -- droga na drugą stronę.

Fleming zerknął w górę. Pokaz światel powstawał za sprawą ogromnego wentylatora, który wciągał chłodniejsze i wypychał gorące powietrze. Znad niego dochodziło znajome buczenie. I to ono, w połączeniu z jasnym światłem, powiedziało mu, co tam jest.

Zrobił krok do przodu i wypróbował pomost; choć zardzewiały, na oko trzymał się mocno.

--Chodź -- powiedział. -- Musimy się pospieszyć.

Podmuch z wentylatora w każdej chwili mógł zdmuchnąć go z pomostu, a oślepiający blask w górze zmuszał do patrzenia w dół, w budzącą grozę otchlań.

--Boże, ona chyba sięga samego piekła -- usłyszał głos Amber. Położyła dłoń na jego ramieniu i kiedy przeszli na drugą stronę, głośno odetchnęli z ulgą.

Fleming ucieszył się, bo rura zaczęła opadać. Im niżej położony będzie wylot po drugiej stronie góry, tym krótsze zejście czeka Amber. Przez pół godziny szli w milczeniu, aż dotarli do rozgałęzienia rurociągu.

--Którędy? -- spytała Amber.

--Nie mam pojęcia, ale instynkt mówi mi, żeby iść na wschód, w lewo. Mniej więcej tam jest nasz cel. A poza tym czuję, że leci stamtąd powietrze.

--Dobrze -- powiedziała i pierwsza weszła do tunelu po lewej stronie.

Kiedy patrzył na jej drobną sylwetkę, przypomniały mu się dziwne spojrzenia, jakie wymieniła z Soamesem po tym, jak podała w wątpliwość słowa Czerwonego Papieża, i enigmatyczna odpowiedź Soamesa: „Myślę, że wiesz, dlaczego nie mogę pozwolić tobie i Milesowi ujść z życiem”.

Co on przez to, do cholery, rozumiał?

--Amber?

--Tak?

--Co Bradley... Potknęła się i zniknęła.

--Spadam, Miles!

Fleming zaparł się nogami i ścisnął linę, która wciąż ich łączyła. Amber jednak spadała zbyt szybko. Lina naprężyła się, przewrócił się na brzuch, a ona powlokła go w głąb rury opadającej ostro ku dołowi jak zsyp. Wi-

dział już przed sobą śnieg i ciemną, zimną noc. To była druga rura przelewowa. Amber wystrzeliła z niej w pustkę i to samo miało zaraz jego spotkać. Usiłował zaczepić o coś rakami i butami, ale gładkie żelazo nie dawało najmniejszego oparcia dla nóg.

--Przetnij linę! -- krzyknęła Amber. -- Przetnij tę zasraną linę, proszę!

W akcie rozpaczy wbił czekany w metalową rurę, by wyhamować upadek; trysnęły iskry, jak spod kół gwałtownie hamującego pociągu metra.

Kiedy już tylko kilka metrów dzieliło go od wylotu rury, nagle usłyszał trzask, jego prawe ramię przeszył piekący ból, on sam zaś obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni. Nogi zawisły mu nad przepaścią. Najważniejsze, że już nie spadał. Jakimś cudem ostrze czekana, który trzymał w prawej dłoni, zaczepiło się o wypukłość w jednej ze spoin. Pospiesznie wbił w rurę lewy czekan, by zmniejszyć obciążenie nadwerżonego prawego ramienia. Lina ciągnęła go w dół, ale drucziany stelaż kombinezonu pomógł równomiernie rozłożyć ciężar Amber. Niestety, nie miał oparcia dla nóg. Nie mógł wciągnąć jej na górę. Zaciśnął zęby i zastanawiał się, jak długo wytrzyma.

W swoich snach Amber spadała przez ciemność ku śmierci. Tym razem jednak nie widziała przed sobą światła, tylko nieprzenikniony mrok. I to nie był sen.

Zdażyła tylko poczuć, że ziemia ucieka jej spod nóg, a chwilę potem wyleciała z rury i spadała w otchłań.

Kiedy poczuła pierwsze szarpnięcie i lina się naprężyła, odetchnęła z ulgą, ale po chwili znów zaczęła spadać i zrozumiała, że ciągnie Fleminga za sobą.

Po kilku sekundach znów znieruchomiała. Zawieszona na obręczy opasującej kombinezon unosiła się w ciemności; snop światła z lampy na kasku wydobywał z mroku płatki śniegu kłębiące się w otaczającej ją próżni.

--Miles, co się dzieje?

--Nie jest dobrze.,

--To przetnij linę.

--Nie będę ciął żadnej liny. Nigdy. Zaskoczył ją agresywny ton jego głosu.

--Ale... -- Urwała. -- Przepraszam. Zapadła cisza.

--O co chciałeś spytać, zanim zaczęłam spadać? -- spytała.

--Chodziło o Bradleya i o to, co powiedział Czerwony Papież. Ale teraz to już nieważne. Wkrótce sam poznam wszystkie odpowiedzi.

**Ja też.**

**Kiedy wisiała na wietrze, wpatrzona w rozciągający się w dole mrok, pomyślała: To koniec. Umrę. Naprawdę umrę. Nareszcie.**

**Nie bała się; ogarniały ją gniew i dojmujące poczucie krzywdy. Na myśl o Flemingu i o tym, co mogłoby być, gdyby sprawy potoczyły się inaczej, zrobiło jej się dziwnie smutno.**

**Miles wiedział, że koniec jest bliski, choć po lewej stronie, w odległości dosłownie paru centymetrów, widział szereg mogących posłużyć za uchwyty wystających nitów, które biegły wzdłuż pionowej spoiny. Tuż nad stopami miał szeroką krawędź rury, która idealnie nadawałaby się na oparcie dla nóg, gdyby tylko zdołał unieść je dostatecznie wysoko. Ponieważ jednak ciężar Amber ściągał go w dół, mógł to sobie wybić z głowy. Żeby się uratować, musiałby ją puścić, ale po tym, co stało się z Robem, nie zamierzał już nigdy więcej przecinać żadnych lin i pomagać innym, by umarli.**

**--Cóż, każdy kiedyś musi umrzeć -- usłyszał głos Amber. Nie było w nim strachu, tylko smutek. I frustracja tak wielka, jak wielka była jego złość.**

**--Uhm. Pewnego dnia wszyscy umrzemy -- mruknął przez zaciśnięte zęby-ale nie dziś.**

## 57

### Czerwony sektor

**rank Carvelli nie był odważnym człowiekiem: owszem, był dystyngowany, potrafił pokazać, że ma silną osobowość, kiedy wymagają tego okoliczności, ale nie w tej sytuacji. Kiedy siedł za Bradleyem Soamesem do czerwonego sektora, czuł, że zaraz dostanie rozwolnienia. Nigdy jeszcze nie widział tej części VenTecu i nie wiedział, czy się cieszyć, że został tu zaproszony właśnie teraz.**

**Zawsze potrafił wszystko obrócić na własną korzyść. Zawdzięczał to temu, że rozumiał zmienne potrzeby i pragnienia ludzi. Na tym właśnie zbudował imperium medialne i filmowe; wiedział, czego chce pub-**

liczność, i potrafił pozyskać współników w interesach. Jego współpraca z Czerwonym Papieżem była dla KREE8 darem niebios: opracowana przez firmę technologia prezentacji umożliwiła powołanie pierwszego elektronicznego Kościoła na świecie, a sam Carvelli, specjalista od public relations i produkcji filmowej, mógł tak pokierować wykorzystaniem tej technologii, by z ulubieńca mediów, jakim był Accosta, uczynić prawdziwy fenomen.

Jednak jeśli Kościół Accosty dał KREE8 szansę zademonstrowania światu swoich osiągnięć, wiedza i środki zapewnione przez Bradleya Soamesa pozwoliły wyciągnąć z nich jak najwięcej. Bez udziału Soamesa i naukowców z VenTecu KREE8 pozostałby przeciętną firmą z branży telekomunikacyjnej.

Carvelli myślał, że owinął sobie Soamesa wokół palca. Przekonał go, by oddał mu owoce swojego geniuszu za znikomy procent wartości rynkowej, wszystko w imię pomocy w urzeczywistnieniu wielkiego planu Czerwonego Papieża, projektu „Dusza”. Teraz jednak uprzytomnił sobie, że to on dał się zwieść. Coraz bardziej oczywiste wydawało się to, że Soames manipulował wszystkimi, włącznie z Czerwonym Papieżem, dla własnych celów. Jakikolwiek by one były.

--Załóż to. -- Soames podał mu okulary ochronne.

Winda zatrzymała się i Carvelli zobaczył niebieskobiałe światło sączące się przez drzwi. Soames poprawił ubranie, zasłaniając skórę, i kiedy winda się otworzyła, wyglądał jak zakapturzony mnich.

--Wiesz, co to jest? -- spytał, kiedy Carvelli stanął na stalowym pomoście i spojrzął w głąb odwiertu, na kulę pulsującej energii świetlnej.

Carvelli długo się w nią wpatrywał, zanim odpowiedział. Patrząc w niemym zachwycie na iskry, które błyskały wewnątrz kuli. Kiedy jego oczy oswoiły się z blaskiem, zauważył wokół laboratorium. Przez zakrzywione, przyciemniane okna jednego z nich widział NeuroTranslator Fleminga i szklaną kulę Soamesa. Główna sala obserwacyjna wyposażona była w pulpity, monitory i mnóstwo urządzeń peryferyjnych.

--To komputer -- wyszeptał i pomyślał z podziwem o mocy, jaka musiała kryć się w tej kuli o kilkumetrowej średnicy. -- Wielki optyczny komputer.

--To coś więcej, Frank. O wiele więcej. -- Głos Soamesa się zmienił. Właściwą mu wyniosłą obojętność zastąpiła duma. -- Oto objawiona moc naszego Pana, instrument, który poniesie Jego mroczną wiedzę wszystkim narodom świata. W tym gorącym, świetlnym piecu powstaną cztery gwoździe, którymi zabita zostanie trumna wiary. Dzięki niemu spełnią się cztery

znaki przyobiecane przez szatana i zapowiedziane przez zagubioną duszę Czerwonego Papieża.

Carvelli coraz bardziej się niepokoił. Z najwyższym trudem powstrzymywał drżenie.

--To dlatego nie byłeś zaskoczony jego słowami -- powiedział nieswoim głosem. -- Już wcześniej wiedziałeś, kto jest naszym panem, bo zawsze mu służyłeś. -- Na myśl o tym, jak bardzo Soames ich oszukał, ogarniało go przerażenie.

Usłyszał jakiś dźwięk. Odwrócił się i zobaczył, że drzwi windy się rozsuwają. Wyszli z niej Bukowski i Tripp, a za nimi wilki o pyskach pokrytych zakrzepłą krwią.

--Amber i Miles? -- spytał Soames, kiedy wilki potruchtaly do niego.

Z kamienną twarzą Bukowski pokręciła głową.

--Zniknęli bez śladu. Wilki ich nie znalazły. Pewnie spadli w przepaść. A jeśli nie, to mało prawdopodobne, żeby przeżyli. Pogoda się pogarsza, a o Amber Grant można powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest alpinistką.

--Miles jest alpinistą -- zauważył Soames.

Carvelli nie słuchał ich rozmowy. Wciąż usiłował uporządkować sobie w głowie to, co usłyszał od Soamesa.

--Zawsze służyłeś szatanowi -- powiedział, jakby powtarzając te słowa, chciał złagodzić ich wymowę.

--Nie -- odparli Bukowski i Tripp jednym głosem i gwałtownie odwrócili się do Carvellego tak, jakby bluźnił.

--Nie rozumiesz? -- spytała Bukowski z mrozącym krew w żyłach lekkim uśmiechem i oboje z Trippem spojrzeli na Soamesa. -- Służymy jemu.

Carvelli odwrócił się do zakapturzonej postaci Soamesa, stojącego z wilkami na tle blasku ze świetlnej kuli, i poczuł, że puszczają mu zwieracze. Nic nie mógł na to poradzić; jeszcze nigdy w życiu tak się nie bał.

--Kim jesteś?

--A jak myślisz? -- spytał Soames.

Carvelli tylko patrzył na niego i jęczał cicho. Nagle zrozumiał, wszystko stało się przerażająco oczywiste. Soames podszedł do niego.

--A teraz pozwól, że wyjaśnię, dlaczego nie można dopuścić do tego, by Amber i Miles zagrozili naszym przygotowaniom.

Carvelli słuchał. Dygotał, czuł feter własnego strachu.

--Teraz, kiedy już wszystko rozumiesz, pozostaje tylko jedno pytanie -- podsumował Soames. -- Jesteś ze mną czy, jak Yirginia, przeciwko mnie?

Carvelli spojrział na niego i czuwające przy nim wilki. Próbował coś powiedzieć, ale usta odmawiały mu posłuszeństwa. Mógł tylko paść na kolana i spuścić głowę na znak uległości.

--Zrobisz coś dla mnie? -- spytał Soames.

--Wszystko, co zechcesz -- wychrypiał Carvelli.

--Soames, zadowolony, pokiwał głową.

--Polecisz śmigłowcem do Fairbanks. Tam przesiądziesz się do mojego samolotu. Trzeba załatwić pewną drobną sprawę. Chodzi o dodatkową polisę ubezpieczeniową.

## 58

Ipiniści nazywają to zjawisko syndromem trzeciego człowieka; często, kiedy wspinają się parami, czują przy sobie obecność niewidocznej, ale życzliwej siły. Wspominają też o tym uczestnicy ekspedycji polarnych. Fleming doświadczył czegoś podobnego kilkakrotnie, zwykle kiedy on i brat byli wyczerpani, głodni i u kresu sił. Później Rob zawsze potwierdzał, że też to czuł.

Tym razem było inaczej. Fleming ścisnął trzonki czekanów, piekły go wszystkie mięśnie i stawy, i nie czuł przy sobie niczyjej obecności. Aż do chwili, kiedy dłonie mu zdrętwiały i zabrakło mu tchu: wtedy jakby silne ręce zacisnęły się na jego nadgarstkach. Zebrał resztki energii i przygotował się do ostatniej desperackiej próby; miał nadzieję, że uda mu się podciągnąć dość wysoko, by postawić nogi na krawędzi rury i ulżyć nadmiernie obciążonym barkom.

Nie dał rady tego zrobić, kiedy nie był jeszcze zbyt zmęczony, teraz jednak nie miał nic do stracenia. Zacisnął zęby, naprężył bicepsy i spróbował się unieść. Wytężył wszystkie siły, ale podciągnął się może o centymetr. Wtedy poczuł, że niewidzialne dłonie mocniej zaciskają się na jego nadgarstkach, jakby chciały go przytrzymać.

Wykrzesał z siebie resztki sił, wspiął się i podniósł prawą nogę najwyżej, jak mógł. Zaskoczony, że jego stopa spoczęła na krawędzi rury, poczuł przypływ energii. Postawił drugą nogę obok i sięgnął do zastępujących uchwyty nitów.



Zrobił krótką przerwę, by odetchnąć; bał się, że jeśli będzie za długo odpoczywał, nowe siły go opuszczą. Zaczął pięć się po nitach, trzymając się na rakach i czekanach, i wciągał Amber coraz wyżej.

Z każdym centymetrem przybywało mu energii, aż znalazł się w poziomym odcinku rury i usłyszał, jak Amber pokonuje krawędź. Kiedy lina poluzowała się i oboje byli bezpieczni, dosłownie opadł z sił. Przewrócił się na plecy. Amber nachyliła się nad nim i patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, pełnymi troski i czegoś jeszcze: czegoś, czego nie potrafił nazwać.

--Jak to zrobiłeś? -- spytała.

Był tak zasapany, że nie mógł mówić.

--To się w głowie nie mieści.

--Dziwne rzeczy dzieją się w górach -- wydyszał.

Zaśmiała się i Fleming, choć wyczerpany, poczuł, że zatlila się w nim isierka nadziei. Podniósł się i wziął Amber pod ramię.

--Nie możemy tu siedzieć. Musimy dostać się do rafinerii i zejść na po sterunek straży rezerwatu.

Kiedy Amber ochłonęła nieco z euforii, przestało ją interesować, jak Fleming ich uratował. Wystarczyło, że to zrobił.

Wrócili do rozgałęzienia i skierowali się -- taką przynajmniej mieli nadzieję -- w stronę rafinerii. Kiedy szli naprzód w ciemnościach, Amber nagle pomyślała, że Fleming wie o niej i o jej przeszłości wszystko, a ona właściwie go nie zna. Zanim zdążyła go o to spytać, powiedział:

--Jestem prawie pewien, że to, co slyszeliśmy i widzieliśmy, nie było sztuczką. Znam technologię, którą wykorzystali, w końcu sam nad nią pracowałem, i sprawdziła się już pierwsza z zapowiedzi Czerwonego Papieża. Ale ciebie nadal to nie przekonuje, mam rację?

--Przyśnił mi się jeszcze jeden sen, ale wiem, co sądzisz o moich snach...

Fleming uśmiechnął się szeroko.

--Ot na co sobie zasłużyłem. Ale to było dawno, teraz jestem bardziej otwarty. Opowiedz mi swój sen, czy cokolwiek to było.

--Jak ty myślę, że wystąpienie Czerwonego Papieża nie było mistyfikacją, ale też uważam, że nie była to jedyna czy cała prawda.

--Dlaczego?

--Bo myślę... wiem, że widziałam, co dzieje się po śmierci. Wiem, dokąd odeszła moja siostra, bo sama mi to pokazała. Nie mogę się rozdrab-

nić, bo tego, co zobaczyłam, nie da się opisać... w każdym razie to dobre miejsce. Nie tylko to widziałam, ale i czułam. Tam nie ma cierpienia. To bezpieczna, zalana słońcem przestrzeń, do której nie dociera nawet cień bólu. Stan wiecznej szczęśliwości, tylko tak to mogę opisać.

Fleming patrzył na nią, jego twarz jaśniała nadzieją. Amber wiedziała, że myśli o bracie, i chciała go uspokoić, jak Ariel ją uspokoiła.

--Wiem tylko -- dodała łagodnym tonem -- że to, co widziałam, nie było pozbawionym nadziei, przeklętym miejscem, które opisał Czerwony Papież.

--Chcę ci wierzyć. Uśmiechnęła się.

--No to wierz. Wiara to wszystko, czego nam trzeba. Fleming wzruszył ramionami.

--Nie mogę tylko zrozumieć, dlaczego Bradley tak się cieszy z przepowiedni Czerwonego Papieża. Zupełnie jakby jej oczekiwał, liczył na nią.

Amber usiłowała uporządkować niejasne myśli kłębiące się w jej głowie.

--No właśnie -- powiedziała. -- Mnie też to niepokoi. I dlatego musimy wszystkich ostrzec. Przeraza mnie to, że Bradley najwyraźniej świetnie się bawi.

Uderzył w nich zimny podmuch i Fleming przytrzymał ją, by nie poszła dalej.

--To musi być wylot rury. -- Spojrzała za jego wyciągniętą ręką i zobaczyła księżyc i gwiazdy. -- Wygląda na to, że śnieżycy ustala. Zobacz, tam widać ruiny rafinerii.

Ulżyło jej, kiedy zobaczyła, że rura wychodzi na równy teren, choć pokrywała go gruba warstwa śniegu, a dolna część wylotu ginęła w zaspie. W świetle księżyca majaczyły szkielety nieukończonych konstrukcji, w tym dwóch wielkich cylindrycznych klatek -- w przyszłości zbiorników ropy.

--Tak tam zimno -- westchnęła. -- Może zostaniemy tu i odpoczniemy, a rano ruszymy dalej? Mamy jeszcze trochę czasu, zanim ukażą się następne znaki. -- Spojrzała na Fleminga z nadzieją.

--Dobrze. Możemy zjeść część racji żywnościowych i się przespać. Na razie jest dość ciepło, ale kiedy przestaniemy się ruszać i wyczerpie się energia kinetyczna z butów, będzie zimno. Powinniśmy to znieść, jeśli przytulimy się do siebie.

Zachowała śmiertelnie poważny ton. Przeżyłam już gorsze koszmary.

### Ocean Atlantycki

aleko na południu wstał nowy dzień. Carvelli, w pełni rozbudzony, był sam w kabinie pasażerskiej prywatnego samolotu Soamesa lecącego do Londynu. Czuł, że już nigdy nie zmruży oka. Miał tylko jeden cel: wykonać zadanie.

Wybił sobie z głowy myśli o tym, by przeciwstawić się Soamesowi czy uciec. Nie miałby się gdzie ukryć -- ani na tym, ani na tamtym świecie. Na samą myśl o Soamesie i o tym, co od niego usłyszał, oblewał się potem. Wyraźnie zaniedbał swój do niedawna nienaganny wygląd: skórę miał bladą, plamistą, włosy potargane, a czarne ubranie było wymięte.

Zadzwoił telefon w poręczy fotela; Carvelli aż podskoczył. Podniósł słuchawkę.

--Tak?

--Kazano mi zadzwonić na ten numer -- głos mówił z lekkim szkockim akcentem. --

Podobno ma pan odebrać przesyłkę, nieuszkodzoną.

Carvelli nigdy nie spotkał tego człowieka osobiście, ale miał jego zdjęcie i rozpoznał głos. Soames i Knight korzystali z jego usług w przeszłości -- w projekcie „Dusza”. Boże, wydaje się, że to było tak dawno temu, pomyślał.

--Zgadza się. I mam bezpiecznie przewieźć tę... przesyłkę do Ameryki. Najszybciej, jak to możliwe.

--Żaden kłopot -- powiedział głos. -- Będziemy czekać na Heathrow. Przeprowadziliśmy zwiad i wiemy, gdzie jest ta przesyłka. Sądząc z jej rozmiarów i z tego, jak wygląda, nie będzie z nią kłopotu. -- Parsknął śmiechem. -- Dziecinna igraszka.

Carvellemu nie było do śmiechu, kiedy odłożył słuchawkę. Zrobiło mu się niedobrze.

Wycie wilków obudziło Fleminga, zanim zaświeciło słońce. Nie zważając na ból mięśni, potrząsnął Amber i wyrwał ją ze snu.

Usiadła prosto.

--Co to było? -- Zamrugła. -- Gdzie one są?

--Nie wiem, ale musimy ruszać.

Wyjrzał z rury na dziwaczne kształty nieukończonych rafinerii. Wiszące tuż nad horyzontem słońce zalewało okolicę słabym, mdłym światłem. Za kilka tygodni zniknie na całą zimę. Gruba warstwa śniegu przykrywała wszystko, ale wiatr nie był tak silny jak w nocy, a niebo -- prawie bez chmurne,

Amber wstała i zaraz upadła, trzymając się za prawą nogę.

--Cholera.

Fleming obmacał jej udo i wyczuł pod kombinezonem napięte mięśnie. W milczeniu rozmasował je, nie zważając na protesty Amber, i puścił jej nogę dopiero, kiedy się rozluźniły.

Naburmuszona próbowała stanąć na nadwerżonej nodze.

--Przynajmniej teraz będziesz mogła iść -- oświadczył. -- A ból będzie dużo gorszy, jeśli dopadną nas wilki.

Choć zasy były duże, posuwali się naprzód w dobrym tempie i mimo że co jakiś czas dobiegało ich wycie wilków, idąc przez rafinerię, żadnych nie widzieli. Panowała niesamowita cisza, konstrukcje wznosiły się nad nimi niczym zaśniewane nagrobki.

Po trzech godzinach zrobili sobie przerwę, zjedli czekoladę i roztopili na palniku trochę śniegu na kawę. Na kilka cudownych chwil słońce wyłoniło się zza chmur i Fleming zapomniał nawet, w jak trudnej są sytuacji.

Wtedy znów usłyszeli wilki. Bliżej.

Może dlatego, że byli już prawie u dołu zbocza, a może dlatego, że tak dobrze mu było z Amber, Fleming zarzucił plecak na ramię i zrobił następny krok, nie sprawdzając gruntu. Jego noga przeszła przez zaspę i runął w wyrwę w półce skalnej, ciągnąc za sobą Amber i zwały świeżego śniegu. Turlał się na oślep po zboczu, przeklinał swoją głupotę i tylko czekał, aż uderzy w glazy. Zgubił plecak, buty Amber dwa razy wbiły mu się w plecy. Zwinął się w kłębek i stracił poczucie czasu; nie wiedział, jak długo spadali, chyba bez końca. Kiedy wreszcie się zatrzymał, tkwił w zaspie, nie wiedział, gdzie jest góra, gdzie dół. Pociągnął za linę i ulżyło mu, kiedy poczuł, że Amber szarpnęła drugi koniec.

Wyprostował się z pozycji embrionalnej i wypuł z ust strużkę śliny -- Rob nauczył go, że w ten sposób można sprawdzić, w którym kierunku

działa przyciąganie ziemskie. Teraz, kiedy wiedział już, gdzie jest góra, zaczął kopać. Wkrótce zobaczył rozmyte słońce przebijające przez przezroczysty śnieg.

Wyjrzał na zewnątrz i zobaczył sosnowy zagajnik. Amber wynurzyła się obok niego, łapiąc powietrze. Wygrzebał się ze śniegu i pociągnął ją za sobą. Otrzepał się zaniepokojony, jak poradzi sobie bez plecaka i palmtopa. Kiedy już miał ich poszukać, Amber wskazała coś w głębi doliny.

--Zobacz. -- Fleming podążył wzrokiem za jej palcem i zobaczył skupisko domków, które przycupnęły w śniegu. -- To tam? -- spytała.

Rozejrzał się po rozległej, górskiej, niezamieszkannej, zaśnieżonej przestrzeni, i nie mógł się nie uśmiechnąć.

--Uhm -- powiedział. -- Na to wygląda.

## 60

Posterunek straży rezerwatu, Narodowy Rezerwat Przyrody

godnie z tym, co mówiła Virginia Knight, posterunek był opuszczony. Duża tablica przy zasypanym śniegiem największym domku wyjaśniała, że od połowy października do końca marca strażnicy pełnią tu tylko okresowe dyżury. Posterunek tworzyły trzy domki i szereg sterowanych komputerowo betonowych pojemników, z których zimą wyrzucana była karma dla zwierząt, w porach wyznaczanych w zależności od temperatury i czasu, jaki minął od ostatniego karmienia. Kiedy wyprowadzali się stąd ludzie, ich miejsce zajmowały zwierzęta. W okolicy roilo się od dobrze wykarmionych wilków, a po niebie krążyły drapieżne ptaki.

Amber patrzyła z podziwem na góry za jej plecami. Widziała płaskowyż na szczycie, ale rafineria i sąsiadujący z nią wyższy wierzchołek ginęły w chmurach. Nie dało się stwierdzić, czy VenTec mógł być stąd widoczny.

Fleming podszedł do największego domu z anteną do łączności laserowej i anteną satelitarną. Już miał wyważyć drzwi, kiedy Amber wskazała na drewnianą skrzynkę na prawo od wejścia. Mała, starannie wykonana tabliczka informowała, że:

Wszyscy wędrowcy są tu mile widzianymi gośćmi i mogą korzystać z wszelkich udogodnień. Prosimy tylko, byście zostawili dom w takim stanie, w jakim go zastaliście, uzupełnili zapasy i nie wpuszczali zwierząt. Datki można zostawić w metalowej puszcze, prosimy też o wpisanie się do księgi gości. Wychodząc, zamknijcie drzwi i zostawcie klucz w skrzynce.

Dziękujemy za zainteresowanie florą i fauną naszego pięknego stanu.

John Mahoney. Kierownik straży.

Narodowy Rezerwat Przyrody. Region polarny, Alaska.

Amber wyjęła klucze i otworzyła drzwi. Dom okazał się zaskakująco nowoczesnie wyposażony, dobrze ocieplony i umeblowany. Były tu wszelkie urządzenia, jakich mogliby sobie zażyczyć. W kącie stały komputer optyczny z monitorem i ekran plazmowy do wideokonferencji, obok matowej czarnej centrali wyposażonej w kamerę wideo, telefon satelitarny, klawiaturę i faks. Po namyśle Amber uznała, że nie ma się czemu dziwić; takie wyposażenie było tu konieczne.

--Dobry sprzęt -- powiedziała i włączyła komputer optyczny Lucyfer. Fleming wziął telefon satelitarny.

--Działa. Pewnie mają własny generator.

Na monitorze wyskoczył portal Optinetu i Amber kiwnęła głową zadowolona. Fleming wybrał numer.

--Czy mogłaby mnie pani połączyć z FBI? Nie wiem... z kwaterą główną? Dobrze, niech będzie Waszyngton. -- Zamilkł na chwilę, po czym Amber usłyszała, jak mówi: -- Dzień dobry, muszę porozmawiać z osobą nadzorującą śledztwo w sprawie Czerwonego Papieża. Jasne. Rozumiem, że przez to wszystko, co się dzieje, macie pełne ręce roboty. Proszę jej tylko przekazać wiadomość. Zapewniam, że zechce z nami porozmawiać. Proszę powiedzieć, że Amber Grant i Miles Fleming pilnie szukają z nią kontaktu. Jestem współkonstruktorem sprzętu wykorzystanego przez Czerwonego Papieża w jego wystąpieniu. Proszę też powiedzieć, że mamy informacje. Uhm. Może pan poprosić, by ta osoba do mnie zadzwoniła... Halo? Słucham? Oczywiście, zaczekam.

Po czterech minutach połączył się z tymczasową bazą operacyjną zastępcy dyrektora FBI Morgana Jonesa na pokładzie Czerwonej Arki. Obraz był doskonałej jakości i na ekranie plazmowym Amber zobaczyła przestronną salę balową. Na dalszym planie agenci bez marynarek siedzieli przy stołach na kozłach wpatrzeni w monitory komputerów. Styropianowe kubki wały się wszędzie, duże telewizory pokazywały serwisy wiadomości

z całego świata. Zastępca dyrektora Morgan Jones, szczupły ciemnoskóry mężczyzna w ciemnoniebieskim garniturze i białej koszuli, z kaburą pod pachą, chodził wokół stołu konferencyjnego, przy którym siedziały trzy osoby.

--Moglibyście przysunąć się bliżej kamery? Muszę potwierdzić waszą tożsamość -- powiedział Jones.

Amber i Fleming zdjęli kaski, podeszli do pulpitu i spojrzeli prosto w obiektyw. Amber wstyd było pokazać się z ogoloną głową; włosy już zaczynały odrastać i wyglądały jak drobny meszek, mimo to domyślała się, że zupełnie nie przypomina siebie ze zdjęć, które Jones musiał mieć na swoim monitorze. On jednak wydawał się usatysfakcjonowany i najwyraźniej był zbyt szarmancki lub zaabsorbowany własnymi myślami, by skomentować jej wygląd.

--Wszędzie was szukaliśmy. Doktor Grant, jakiś czas temu dostaliśmy zgłoszenie o pani zaginięciu i osoba, która je przekazała, pomaga nam w tej paskudnej sprawie. -- Odwrócił się i wskazał gestem postać w czerni przeciskającą się przez szeregi agentów w stronę stołu konferencyjnego. Amber uśmiechnęła się na widok ojca chrzestnego. -- Ojciec Riga był na mszy jako jeden z zaproszonych przedstawicieli Kościoła katolickiego. Wraz z innymi przywódcami religijnymi stara się pomóc nam zrozumieć, co się stało.

--Amber, dzięki Bogu -- powiedział papa Pete, podchodząc do stołu. -- Doktorze Fleming. Gdzie jesteście? Po pańskiej wizycie kazalem pana śledzić... dla pańskiego bezpieczeństwa -- dodał pospiesznie -- ale zgubiliśmy pana w San Francisco.

Fleming zmarszczył brwi.

--Podejrzał coś ojciec już w czasie naszego spotkania w Rzymie?

Riga usiadł i skrzyżował ramiona na piersi. Nie widać było po nim skruchy.

--Tak, ale nie wiedziałem co. Jezuici od pewnego czasu obserwowali msze Czerwonego Papieża i sądziliśmy, że planuje coś spektakularnego.

Kiedy skontaktował się pan ze mną w sprawie częstotliwości duszy Amber, zacząłem kojarzyć fakty.

--I od tamtej pory dyskretnie szukaliśmy Amber Grant -- dodał Jones. -- Ale po Dniu Prawdy Duchowej mieliśmy pełne ręce roboty, usiłując opanować panikę. Powiedźcie, gdzie jesteście i co wicie o całym zdarzeniu.

Amber i Fleming popatrzyli na siebie. Wspólnie opowiedzieli o ucieczce na posterunek straży rezerwatu, a potem o wydarzeniach ostatniego tygodnia. Amber opisała swoje uprowadzenie i eksperymenty, którym zo-

stała poddana. Fleming mówił o tym, jak Soames podstępem skłonił go do skonstruowania bardziej nowoczesnego NeuroTranslatora umożliwiającego łączność z ludzką duszą. Wyjaśnił, że Soames dowiódł jej istnienia, bo uczynił ją widoczną w chwili śmierci i wychwycił jej sygnaturę w detektorze fotonów, ale potrzebował Amber, by znaleźć częstotliwość pozwalającą śledzić duszę już po śmierci, i NeuroTranslatora, by nawiązać z nią kontakt.

--Krótko mówiąc, dzięki mnie i Amber zdobył brakujące elementy układanki, dzięki którym mógł objawić się Dzień Prawdy Duchowej.

--Czyli to było autentyczne? -- spytał jeden z agentów FBI, siedzący przy komputerze optycznym. -- Nie znaleźliśmy żadnych dowodów mistyfikacji, ale miałem cichą nadzieję, że wyjaśni nam pan, jak oni to wszystko zainscenizowali.

--To mogło być autentyczne -- wtrącił ojciec Peter. -- Potwierdzają to nasi naukowcy z Rzymu. Jednocześnie była to swoista sztuczka.

Fleming westchnął. Amber słyszała niemal, jak myśli: „Czemu księża zawsze są tak cholernie pewni wszystkiego?”

--Chciałbym powiedzieć, że to nieprawda -- powiedział. - Wiercie mi, technologia, jaką wykorzystali, jest autentyczna. Słyszeliśmy duszę Czerwonego Papieża, jestem tego pewien.

--Czyli rzeczywiście nie ma Boga i musimy przygotować się na następne znaki? -- spytał wprost zastępca dyrektora. Jego szczupła ciemna twarz poszarzała.

--Niekoniecznie. -- Amber nagle doznała olśnienia.

Fleming odwrócił się do niej z uśmiechem i znów spojrział w kamerę.

--Miała sen.

--Nie. -- Sięgnęła do stojącego obok komputera. -- To coś więcej.

## 61

iało to jakiś związek z tym, jak Soames zareagował na słowa Czerwonego Papieża... przyjął je nie tylko ze spokojem, ale i wręcz z zadowoleniem -jakby się ich spodziewał. Co takiego powiedział do Vir-ginii Knight, kiedy uciekali?



„Ależ wprost przeciwnie. Zawsze wierzyłem, Virginio, i nadal wierzę. Tyle tylko, że ani ty, ani Accosta nie pomyśleliście, by spytać mnie w ko-go”.

Właśnie to połączenie satysfakcji, z jaką przyjął wystąpienie Czerwonego Papieża, z zupełnie odmienną wizją, jaką Ariel pokazała jej we śnie, sprawiło, że Amber sięgnęła do komputera.

Za pomocą konsoli dotykowej w prawym górnym rogu klawiatury kliknęła na ikonę Optinetu i zalogowała się do optycznego Internetu. Szybko przywołała portal Optriaksu i wprowadziła osobisty kod dostępu, który pozwolił jej wejść do Data Security Providera Optriaksu. Z nastaniem epoki optycznego Internetu szybkość i natężenie ruchu w sieci przestały być problemem; gorzej było z bezpieczeństwem. Dane były przesyłane tak błyskawicznie, że złodzieje informacji mogli włamywać się do plików osób prywatnych czy firm i uciekać z łupem, zanim ofiara zdążyła mrugnąć okiem.

Od czasu podpisania w 2004 roku konwencji o bezpieczeństwie danych praktycznie nikt nie przechowywał ich u siebie. Niemal wszyscy byli podłączeni do Optineiu i korzystali z usług niezależnych Data Security Pro-viderów, w skrócie DSP. Te wykorzystujące kody kwantowe bazy danych uchodziły za niedostępne dla hakerów, ich bezpieczeństwo było gwarantowane. Każdy abonent dostawał losowo generowany kod, nieznanym nikomu innemu, z DSP włącznie.

Po wpisaniu swojego Amber weszła do DSP Optriaksu. Przejrzała archiwum firm będących klientami Optriaksu, zwracając szczególną uwagę na zakłady użyteczności publicznej na całym świecie. Po niecałych trzech minutach jej podejrzenia się potwierdziły.

--Jaki miałaś sen, Amber? -- spytał zastępca dyrektora.

Amber przetarła oczy, opisała go pokrótce i dodała na koniec:

--Mówię tylko, że dzięki niemu nabrałam pewności, że prawda Czerwonego Papieża nie jest jedyna.

--To oczywiste -- przytaknął Riga. -- Accosta widział prawdę człowieka przeklętego obłożonego ekskomuniką przez Kościół katolicki. Twoja siostra widziała prawdę dobrego katolika...

Fleming ze złością pokręcił głową.

--Niczego się ojciec nie nauczył? Skąd ojcu wiadomo, że to, czy jest się katolikiem, czy nawet chrześcijaninem, ma cokolwiek do rzeczy? Jeśli Accosta zobaczył wizję piekła, to dlatego, że w swojej arogancji myślał, że zna odpowiedzi na wszystkie pytania, i zabijał ludzi, by to udowodnić.

Tymczasem siostra Amber żyła uczciwie i tyle. Religia nie ma z tym nic wspólnego.

--Najważniejsze jest to -- powiedział Riga, nieporuszony -- że prowadzimy wojnę o dusze całej ludzkości. Bóg pozwolił diabłu poddać nas próbie i musimy stawić czoło wyzwaniu. Do tej pory wszyscy sądzili, że największym podstępem szatana było wmówienie nam, że on nie istnieje. To nieprawda. Największym podstępem było wmówienie nam, że istnieje tylko on. Dlatego właśnie trzeba zapobiec ukazaniu się następnych znaków.

--To niejedyny powód -- wtrącił Jones. -- Ojciec jest od ratowania naszych dusz wiecznych, ale mnie bardziej interesują doczesne ciała. Z tego, co pamiętam z Biblii, czterech jeźdźcy Apokalipsy nie niosą światu zdrowia, dobrobytu i szczęścia.

--A co właściwie? Przypomnijcie zawstydzonemu ateście -- spytał Fleming.

Riga wychylił się do przodu, jego zryta bruzdami twarz była niezwykle poważna.

--Według Apokalipsy Świętego Jana czterech jeźdźcy dosiadają koni różnej maści. Pierwszy, biały jeździec, sieje zamęt; drugi, czerwony, przynosi wojnę; trzeci, czarny, zsyła głód. Ostatni jest trupio blady.

--Co niesie?

--Śmierć. Nastąpiła chwila ciszy.

--I przyjdą w tej kolejności? -- spytał Fleming. Riga wzruszył ramionami.

--Wiemy tylko, że pierwszy znak zasiał zamęt i że według Czerwonego Papieża trzeci i czwarty ukazą się jednocześnie.

--A poza tym nie wiemy nic -- powiedział agent FBI. -- Nie mamy pojęcia, w jakiej kolejności i w jakiej postaci przyjdą. -- Spojrzał na zegarek. -- Cóż, zaraz się przekonamy. Drugi znak ma się ukazać lada chwila.

--Znaki będą dziełem człowieka -- stwierdził Riga.

--To znaczy?

--Bóg wystawia nas na próbę. Nie ześle klęski żywiołowej. Sprawdza naszą wolną wolę. Zamęt, pierwszy znak, powstał w wyniku wyłączenia prądu i wystąpienia Accosty. Myślę, że inne objawią się w podobny sposób. On wykorzysta ludzi, będzie ich kusił do czynienia zła. Znaki będą dziełem rąk ludzkich. Sam Accosta przepowiedział, że uczyni je „przedstawiciel na Ziemi”.

--To właśnie próbuję wam powiedzieć -- wtrąciła Amber. -- Chyba wiem, kim ten przedstawiciel jest.

Fleming zrozumiał.

--Bradley.

--Uhm. Zajrzałam do bazy danych Optriaksu. Okazuje się, że wszystkie bez wyjątku miasta, w których wyłączono prąd, korzystają z nowoczesnych, skomputeryzowanych systemów zarządzania usługami komunalnymi. Systemy te powstały na bazie komputerów optycznych, a ich kluczowe elementy zakupiono, pośrednio lub bezpośrednio, w Optriaksie.

Zastępca dyrektora Jones zmarszczył brwi.

--To znaczy, że to Bradley Soames odpowiada za wyłączenie prądu? -- Uhm.

--Ale po co to zrobił?

--Jest pionkiem w rękach szatana -- powiedział Riga spokojnym tonem.

--Podjął się urzeczywistnienia znaków, by wmówić światu, że objawienie Czerwonego Papieża to jedyna prawda. Służy diabłu i zamierza zniszczyć wiarę w Boga.

Agent FBI miał sceptyczną minę.

--Co ty na to, Amber? Był twoim współnikiem.

Zawsze uważała, że zna Soamesa jak nikt, ale jego postępowanie w ostatnich dniach nie pasowało do człowieka, jakiego w nim widziała -- naukowca, który zmienił świat na lepsze i rozdał miliony na cele dobroczynne i badania medyczne. Czy rzeczywiście mógł mieć konszachty z ciemnymi mocami? Dreszcz przeszedł ją na wspomnienie chwili, kiedy obudził ją ze snu i spojrzała mu w oczy.

--Szczerze mówiąc, nie wiem, co nim kieruje -- odparła. -- Co ty myślisz, Miles?

Potarł brodę.

--Nie ująłbym tego tak jak ojciec Riga, ale muszę przyznać, że się z nim zgadzam.

Jakiegokolwiek są motywy Bradleya, za wszelką cenę chce udowodnić, że Accosta miał rację.

--Jak to zrobił? -- spytał jeden z agentów. -- Wszystkie te systemy chronione są kodami kubkowymi.

--No właśnie, a nawet gdyby część z nich złamał -- dodał inny -- zsynchronizowanie wyłączenia i włączenia prądu z zachodem i wschodem słońca wymagałoby użycia komputera o niezwyklej mocy...

Amber pochwyciła spojrzenie Fleminga i zorientowała się, że pomyśleli o tym samym.

--Soames jest bardzo bystry -- powiedziała. -- 1 ma komputer o niezbednej mocy.

--Widziałem go w czerwonym sektorze, w podziemiach VenTecu -- przytaknął Fleming. -- To ogromna świetlna kula umieszczona w głównym odwiercie. W samym sercu góry.

--Pomagałam w pracach nad wczesnym prototypem -- wyjaśniła Amber. -- Już wtedy był potężny, potrafił łamać kody i przejmować kontrolę nad innymi komputerami w sieci, a Bradley od tamtego czasu jeszcze go usprawnił. Zawsze marzył o tym, by nie poprzestać na zwykłych komputerach optycznych, a i stworzyć taki, który wykorzystywałby możliwości mechaniki kwantowej. Nazwał go Ostatnim Komputerm. Potrafi on wykonywać dziesięć do potęgi pięćdziesiątej pierwszej operacji na sekundę... to jeden i pięćdziesiąt jeden zer... ale jego fotoniczne bity kwantowe, czyli kubity, mogą wykorzystywać niewyobrażalną liczbę stanów superpozycji, co pozwala mu wykonywać niezliczoną ilość obliczeń równocześnie. Złamanie kodów kwantowych to pestka dla komputera o takiej mocy. -- Spojrzała na swój komputer i zaczęła stukać w klawisze. -- Spróbuję znaleźć go SS-em w sieci i dostać się do jego bazy danych, ale nie będzie to łatwe.

Dwaj agenci, specjaliści od nowoczesnej technologii komputerowej i elektronicznej, nie kryli zdumienia.

--Co to jest SS? -- spytał jeden z nich.

--Superszperacz -- odparła Amber. -- Coś, nad czym pracujemy w Op-triksie. Mówiąc prościej, to inteligentny wirus, pakiet kodu kwantowego, który mogę wysłać do optycznego Internetu, by tam szukał różnych rzeczy. Znajdzie każdą stronę, którą mu podam, a potem, nieWykryty, ustali, jak uzyskać dostęp do danych, i złoży mi raport.

Przygotowanie superszperacza i wprowadzenie parametrów przeszukania zajęło jej siedem minut.

--Zrobione -- powiedziała i wysłała go do sieci. -- Działa teraz na własną rękę, przeszukuje Optinet. Powinien zgłosić się za jakieś...

Obraz na jej monitorze znieruchomiał i zaczął śnieżyć. Z góry na dół błyskawicznie przewijał się strumień danych. Z głośników dobył się dziwny pisk przypominający odgłos pracującego faksu.

--Co to było? -- spytał agent siedzący przy monitorze do wideokonferencji, na którym nie było zakłóceń.

--Nie wiem -- odparła Amber. -- Ja tego nie zrobiłam.

Za plecami Jonesa powstało zamieszanie. Agenci wpatrywali się w monitory komputerów; Amber widziała tylko kilka z nich, ale to wystarczyło, by stwierdzić, że ze wszystkimi dzieje się to samo, co z jej monitorem.

Zadzwoił telefon obok Jonesa i zastępca dyrektora FBI odebrał.

--Dobrze, sprawdzę. -- Odłożył słuchawkę. -- Dzwonili z Waszyngtonu. W budynku imienia Hoovera i akademii w Quantico mają ten sam problem. Ich bazy danych oszalały i najwyraźniej stało się tak nie tylko w FBI. Trwa to już kilka minut i ma szeroki zasięg. Włączcie BBC.

Trwała właśnie relacja z nowojorskiej giełdy: zszokowani maklerzy stali w milczeniu na parkiecie, a na wielkich ekranach podających ceny akcji wiodących przedsiębiorstw działało się to samo, co na monitorze Amber.

--Wall Street nie może się pozbierać -- mówił komentator. -- Instytucje na całym świecie usiłują poradzić sobie ze zjawiskiem, w którego obliczu błędną pamięćne obawy przed pluskwa milenijną. Wstrząśnięty świat zadaje sobie pytanie: czy jest to drugi znak zapowiedziany przez Czerwonego Papieża?

Jak na zawołanie, pokazywany w telewizji wielki ekran na Wall Street zgasł. Monitor Amber również. Niemal od razu jednak włączył się z powrotem, jak wszystkie pozostałe.

Była tylko jedna istotna różnica.

Na żadnym z monitorów nie było już danych. Wszystkie bez wyjątku pokazywały tylko niekończące się rzędy zer.

## 62

Sala konferencyjna w czarnym sektorze

rugi znak wywołał dużo większą panikę i chaos niż pierwszy. Wyzerowały się ceny akcji i obligacji na wszystkich giełdach świata, od Wall Street po Hang Seng. Konta korporacji, firm i osób prywatnych zostały skasowane w mgnieniu oka. Karty kredytowe nie działały ani w sklepach, ani w sieci. Bankomaty odmawiały posłuszeństwa, bo nie rozpoznawały kart klientów i nie mogły znaleźć pieniędzy na żadnym z rachunków.

Na rynkach finansowych i bankach się nie skończyło. Akta przestępców zostały usunięte ze wszystkich skomputerowanych baz danych na świecie, włącznie z tymi prowadzonymi przez FBI w Waszyngtonie, Interpol

w Paryżu i Scotland Yard w Londynie. Zniknęły rządowe spisy obywateli, wyborców i podatników. Wymazane zostały dokumenty ubezpieczenia zdrowotnego i uczelniane akta, w tym wyniki egzaminów i listy studentów. Przepadły opisy badań naukowych i kartoteki medyczne. Wojsko utraciło zasoby informacji i akta osobowe. Wszystkie starannie zabezpieczone Data Security Providery padły ofiarą ataku, zawarte w nich dane zostały skasowane. Wyczyszczone zostały dostępne w sieci bazy danych, strony internetowe, biblioteki i przechowywane w pamięci informacje. Zginęło wszystko, co nie było wydrukowane, przechowywane poza siecią, zapisane bądź zapamiętane. Wyglądało to tak, jakby technologiczny mózg i pamięć całego świata uległy zniszczeniu.

Bradley Soames siedział w sali konferencyjnej w czarnym sektorze i oglądał dramatyczne relacje z całego świata. Wszędzie panowały chaos i panika -- to dobrze.

Wstał z krzesła i ruszył do windy zjeżdżającej do czerwonego sektora. Wilki poszły za nim. W windzie buczenie było głośniejsze niż zwykle. Soames spojrział w dół przez przyciemnianą szklaną podłogę kabiny. Ognisćcie piękna świetlna kula pulsowała jak nigdy dotąd. Błyskawice przelatujące po jej wnętrzu przypominały burzę słoneczną. Winda zatrzymała się tuż nad kulą. Rozświetlone drzwi się otworzyły -- ukazały się sterownia i laboratoria wokół otworu odwiertowego.

Tripp i Bukowski stali przy szeregu terminali sterujących komputerem. Bukowski odwróciła się do Soamesa z błyszczącymi oczami.

--Jak wam idzie? -- spytał. -- Jakież kłopoty z wyszukiwaniem czy pojemnością?

Bukowski parsknęła śmiechem.

--To niesamowite -- powiedziała. -- Wykorzystaliśmy ledwie znikomą część pojemności, a jakość transmisji przeszła nasze najśmielsze oczekiwania. Dane nie zostały w najmniejszym stopniu uszkodzone.

Soames nie był zaskoczony, ale odczuł ulgę. Usiłował powściągnąć coraz większą niecierpliwość, z jaką wyczekiwał chwili, kiedy doprowadzi swoje dzieło do końca. Opanował się. Przypomnił sobie, że wszystko przebiega zgodnie z planem, a jego obowiązkiem jest dopilnować, by spełniło się proroctwo Czerwonego Papieża. Ostatnie dwa znaki pojawiają się jednocześnie o przepowiedzianej porze, a wówczas jego misja na tym świecie dobiegnie końca.

Zadzwoił telefon. Tripp odebrał i oddał mu słuchawkę.

To był Carvelli. ' v,«./n-;...

--Polisa ubezpieczeniowa przygotowana, jest już w drodze -- powiedział.

Doskonale -- odparł Soames. -- Zaraz po przyjeździe przyjdź do mojej kwatery.

Usiadł i spojrział przez przyciemnianą szybę na ognistą kulę ujarzmionego światła.

Westchnął i oderwał z przedramienia płat złuszczonej skóry, i w zamyśleniu karmił nim wilka. Ogarnęło go zmęczenie zrodzone z dziesiątków lat czekania, planowania i zdobywania wiedzy.

To już prawie koniec, powiedział sobie raz jeszcze, tłumiąc neodpartą pokusę, by przyspieszyć porę ostatnich znaków i skończyć wszystko już, teraz.

Jesteś tak blisko, przestrzegł się w duchu. To tylko kwestia czasu, kiedy wypełni się twoje przeznaczenie.

63

Posterunek straży rezerwatu

leming nie uległ panice, która opanowała cały świat. Myślał o Soame-sie. Świadomość tego, że to on stoi za tym wszystkim, dziwnie mu ulżyła; dzięki niej zyskiwał szansę na odkupienie, bo wreszcie miał kogoś, komu mógł stawić czoło, kogoś, kto potrafi wyjaśnić mu słowa Czerwonego Papieża.

A kiedy tłumaczył agentom FBI zawilości technologii stosowanej przez Soamesa, obudziło się w nim pewne wspomnienie: chodziło o coś, co Soames mówił o niepowtarzalnym kodzie kreskowym duszy. Nasunęło mu to myśl, która dawała nadzieję na to, by nawiązać kontakt z duszą Roba i upewnić się, że brat nie cierpi. Na razie jednak musiał pomóc zapanować nad powszechnym chaosem i zamętem.

Nie licząc kilku drobnych usterek, systemy łączności wyszły z kryzysu w zasadzie bez szwanku, a komputery wkrótce znów zaczęły działać. Większość programów nie została uszkodzona. Problem polegał na tym, że tak w nich, jak i w pamięci komputerów nie było nic, jakby dopiero je zainstalowano. Wszystkie przechowywane w nich informacje przepadły;

wszystkie bazy danych zostały wykasowane. Widząc szok na twarzach agentów FBI, Fleming przypomniał sobie przepowiednię Czerwonego Papieża.

--To drugi znak -- powiedział wpatrzony w zapisane zerami monitory.

Zastępca dyrektora Jones przestał krążyć po pokoju i odłożył telefon, do którego wykrzykiwał polecenia.

--To katastrofa, do cholery! -- krzyknął. - Cały świat dostał alzheimera. Ludzkość jest na kolanach. Nie można prowadzić nawet najprostszych transakcji. Instytucje nie potrafią stwierdzić, kto jest kim i w ogóle czym powinny się zajmować. Ale jak to się ma do czterech jeźdźców?

--Nijak -- stwierdził Riga. Fleming potarł obolałe ramię.

--Proszę mi przypomnieć, co niesie czarny jeździec.

--Głód powiedział Riga.

Fleming odchylił się na oparcie krzesła i czekał, aż wszyscy przestaną gorączkowo się krzątać i spojrzą na niego.

--A nie z tym właśnie mamy do czynienia? -- zapytał. -- Z głodem informacji?

Amber klepnęła go w kolano.

--Moment -- powiedziała, stukając w klawisze. -- Myślę, że masz rację, Miles, ale kryje się za tym coś więcej. Właśnie wrócił mój superszperacz. Nie włamał się do komputera Bradleya, bo ten jest zbyt potężny, ale przyniósł ciekawe informacje. Odnotował kolosalną liczbę transmisji nadchodzących na jego adres. -- Wypuściła powietrze z ust. -- Chcecie dobrą czy złą wiadomość?

Milczenie.

--Cóż, dobra wiadomość jest taka, że dane nie zostały skasowane. Potencjalnie można je odzyskać.

--Gdzie są? - spytał Jones

--To właśnie jest zła wiadomość. Bradley Soames trzyma je w swoim superkomputerze.

--Co takiego?

--To nie jest niemożliwe -- stwierdziła. -- Już pod koniec ostatniego tysiąclecia naukowcy oszacowali za pomocą podanego przez Maksa Plancka wzoru „ciała doskonale czarnego”, że w pamięci fotonicznego komputera o objętości litra zmieściłoby się dziesięć do dwudziestu razy więcej danych niż na dziesięciogigabajtowym twardym dysku starego typu. A objętość komputera Bradleya Soamesa jest większa niż litr.



--Duzo większa -- uściślił Fleming. -- Kula, którą widziałem, ma conajmniej sześć metrów średnicy.

--Musimy odzyskać dane -- oświadczył Jones.

--To nie wystarczy -- stwierdził Fleming. -- Musimy nie tylko uratować dane, ale i wyłączyć jego komputer. Nie ulega wątpliwości, że to za jego pomocą Bradley Soames wcielił w życie prorocstwo Czerwonego Papieża. Zrobił tak w przypadku pierwszego i drugiego znaku. Można śmiało założyć, że posłuży się nim także do wywołania ostatnich dwóch, które, według Czerwonego Papieża, mają ukazać się jednocześnie za jakąś dobę. Wygląda na to, że zachował je na wielki finał.

--Wojna i śmierć. -- Riga posępnie kiwnął głową.

--Otóż to -- przytaknął Fleming. -- A jeśli do nich dojdzie, gra skończona. -- Odwrócił się do Amber. -- Jak na miejscu Bradleya wykorzystałabyś jego komputer do zrealizowania ostatnich dwu znaków?

Odchyliła się i potarła skronie. Choć była wyczerpana, jej kocie zielone oczy płonęły jeszcze jaśniejszym blaskiem niż zwykle, a pokrywający głowę meszek wydawał się tak puszysty, że Fleminga aż ręka świerzbila, by go pogłodzić.

--Co bym zrobiła? -- myślała na głos. -- Cóż, zważywszy na to, że praktycznie wszystkie systemy komputerowe na świecie połączone są z Optinetem, postawiłabym na nogi którąś z baz wojskowych. Na przykład jedno z laboratoriów do badań nad bronią biologiczną w USAMRIID, Iraku albo Izraelu...

Zastępca dyrektora Jones przestał krążyć po pokoju.

--Ja bym tak nie zrobił -- powiedział z mrozącym krew w żyłach spokojem. - Raczej otworzyłbym kilka silosów i odpalił parę uzbrojonych głowic nuklearnych.

Fleming skinął głową.

--To by wystarczyło. Skutkiem byłaby wojna i śmierć, śmierć na masową skalę. Wystrzelenie choćby jednej rakiety oznacza wojnę światową.

--Musimy zniszczyć ten komputer -- upierał się Jones.

Amber się skrzywiła.

--To nie takie proste. Niszcząc go, stracimy wszystkie dane. Miną lata, dziesięciolecia, zanim odtworzymy „umysł” świata. Niektóre z danych są nie do zastąpienia, a jeśli szybko nie opanujemy chaosu, światowa gospodarka i infrastruktura mogą ucierpieć na tyle, że nigdy już ich nie odbudujemy. To entropia na wielką skalę i trzeba odwrócić jej bieg. Musimy uratować dane, zanim zniszczymy komputer.

--Poza tym Bradiey na pewno zainstalował elektroniczne alarmy i pułapki, tak by w razie próby włamania komputer natychmiast wykonał zaprogramowane rozkazy. Bezpośredni atak na VenTec czy komputer mija się z celem, przyspieszy tylko czas wypełnienia się ostatnich znaków.

--Nie można by go wyłączyć zdalnie, przez sieć? -- spytał jeden z agentów.

--Jest zbyt potężny i zbyt dobrze zabezpieczony. Musimy dostać się do VenTecu i osobiście przeprogramować komputer u źródła, tak, by Bradiey nic nie zauważył. To jedyny sposób, żeby odzyskać dane i uniemożliwić komputerowi wywołanie ostatniego znaku.

--Jak, u licha, mamy się do niego dostać tak, żeby tego nie zrobił? -- spytał Jones.

Fleming spojrział na Amber; jęknęła, kiedy domyśliła się, co chodzi mu po głowie.

--Nie ma mowy, Miles.

--Znasz kogoś innego, kto potrafilby przeprogramować to cholerstwo? -- spytał.

Zwiesiła ramiona.

--Cóż -- Fleming uśmiechnął się ponuro -- wygląda na to, że wszystko w naszych rękach. -- Odwrócił się do zastępcy dyrektora FBI. -- Chyba wiem, jak wprowadzić tam Amber. Będzie nam potrzebny sprzęt.

--I wsparcie. HRT czeka w pogotowiu -- oświadczył Jones.

--HRT? -- spytał Fleming.

--Anty terroryści. Są wyszkoleni w przenikaniu do takich miejsc. Oddział czeka na lotnisku w Anchorage, parę godzin lotu stąd.

--Dobrze -- powiedział Fleming. -- Powinniśmy też uprzedzić wojsko o ostatnich znakach.

Jones zaśmiał się niewesoło.

--O rany -- sapnął i podniósł słuchawkę -- skoro sprawa jest tak poważna, nie tylko wojsko będę musiał uprzed/ić.

**Dziewięćdziesiąt dwie minuty później**

**centrum operacji FBI na pokładzie Czerwonej Arki pojawiły się cztery dodatkowe monitory do wideokonferencji ustawione tak, by widzieli je Amber i Fleming. Trzy ukazywały umundurowanych mężczyzn.**

**Jednym z nich był agent specjalny Wayne Thomas; dowodził oddziałem antyterrorystów i w tej chwili przebywał w Anchorage, w lokalnym biurze FBI. Chudy jak szczapa, o pociągłej twarzy, miał na sobie ciemnoniebieski płaszcz nieprzemakalny z napisem FBI, narzucony na czarną kamizelkę kuloodporną i mundur polowy. Na sąsiednim ekranie zobaczyli mężczyznę w wojskowym mundurze maskującym. Podpułkownik Mark Kovac, zawodowy żołnierz obciążony na przepisowego języka, dowodził plutonem Delta Force, elitarnej dywizji amerykańskich komandosów. W tej chwili był w tajnej bazie położonej trzysta kilometrów na południe od granicy z Kanadą. Kovac miał to do siebie, że wyglądał na znudzonego nawet wtedy, kiedy było oczywiste, że jest w pełni skupiony. Amber domyślała się, że ma niższe tętno od większości sportowców. Jednak przy całej jego ostentacyjnej obojętności widziała po nim, że pali się do tego, by wyrwać dowodzenie akcją z rąk FBI.**

**Nastąpiły już pierwsze subtelne przepychanki: dowódca z Deltą napomknął, że to zadanie dla zawodowców, a agent FBI w odpowiedzi podkreślił, że niezbędny jest „stosownie wyszkolony” personel.**

**--Na pewno zgodzi się pan ze mną, podpułkowniku, że ta misja wymaga chirurgicznej precyzji skalpela, a nie ślepej siły młota.**

**Amber czuła się nieswojo w tej przesyconej testosteronem atmosferze, Fleming natomiast znosił ją ze spokojem -- nawet kiedy Kovac podał w wątpliwość sens jego powrotu do VenTecu.**

**--Doktorze Fleming, jest pan cywilem. Proszę przedstawić nam rozkład pomieszczeń, my zajmiemy się resztą.**

**Amber odwróciła się do niego w popłochu. Przerażała ją myśl o ponownym wejściu na szczyt, ale u boku Fleminga przynajmniej czuła się bezpieczna. Miał w sobie tyle pewności siebie, że Kovac pod tym względem nie mógł się z nim równać.**

**Fleming uśmiechnął się do Kovaca.**

--Idę z wami.

--Kiedy wysiądziemy z black hawków, dalsza wspinaczka może być ciężka -- uprzedził Kovac. -- Możemy pomóc doktor Grant, ale dwie osoby będą dla nas zbyt dużym obciążeniem.

--Nie musicie się o mnie obawiać -- zapewnił Fleming cicho. -- Dotrzymam wam kroku.

--Wspinał się pan już kiedyś?

--Trochę.

--Jaki ma pan poziom?

--A pan, podpułkowniku? Kovac wzruszył ramionami.

--Osieemnasty. Ale przeszedłem szkolenie.

--Ile poziomów jest w ogóle? -- spytała Amber. Fleming spojrział na nią.

--Trzydziesty jest najwyższy. Rob był na dwudziestym siódmym. Na świecie tylko garstka ludzi ma wyższy niż dwudziesty szósty. -- Odwrócił się do Kovaca. -- Ale poziom osieemnasty to doskonały wynik. Trzeba być naprawdę dobrym, by przekroczyć piętnasty.

--Jak mówilem, przeszedłem szkolenie powiedział Kovac skromnie.

--Na którym ty jesteś poziomie, Miles? -- spytała Amber.

--Dziewiętnastym.

Od tej chwili Kovac traktował Fleminga z większym szacunkiem. -- ...

Amber utkwiała wzrok w trzecim ekranie, na którym mężczyzna w mundurze ponuro kręcił głową, patrząc na zastępcę dyrektora Jonesa. Ostatni uczestnik narady był starszy wiekiem, miał srebrzyste włosy i nosił pięć gwiazdek.

--Jeśli myślicie, że wyłączymy systemy sterowania rakietami, to jesteście w błędzie -- zagrmiał generał. -- Od sprawy pluskwy milenijnej poczyniliśmy stosowne kroki, by zapobiec takiej ewentualności, i nie narazimy kraju na niebezpieczeństwo. Nie wiem, czy zauważyliście, ale świat tkwi po uszy w gównie.

--O to właśnie chodzi, generale -- powiedział Jones. -- Jeśli zamkniecie wszystkie bazy rakietowe, Soames nie będzie mógł się dostać do rakiet.

W ten sposób ochronicie kraj.

--A skąd wiadomo, czy ten psychol nie spróbuje odpalić ruskich czy innych pocisków? Musimy się bronić. Zastępca dyrektora Jones pokręcił głową.

--Generale, jestem pewien, że jeśli damy przykład i dyskretnie wyjaśnimy światu, jak się sprawy mają, Soames straci dostęp do wszystkich

arsenałów i nie rozpęta wojny. Jeśli wszyscy zdejną palec z cyngla, pozbędziemy się przynajmniej jednego zagrożenia.

--Wykluczone. Nie wiemy, czy inni na to pójną -- warknął general. -- Jak się to mówi, nie ma sensu być dobrym wśród złych ludzi. A jeśli wojna jest nieunikniona, nie zamierzam dać się zaskoczyć.

--Nawet gdyby miało to oznaczać jej wywołanie? -- spytał Riga.

General zacisnął szczęki.

--Nawet.

Fleming wstał i nachylił się w stronę kamery.

--Ale prezydent na pewno...

--Doktorze Fleming, jestem panu szczerze wdzięczny za pomoc w tej sprawie, ale jako przewodniczący komitetu połączonych sztabów właśnie byłem u prezydenta, który, nawiasem mówiąc, ma w tej chwili sporo innych zmartwień... i zgodził się ze mną, że nie ma innego wyjścia, jak tylko wprowadzić połączone siły Delta Force i FBI do VenTecu.

--Podpułkownik Kovac jest świetnym żołnierzem, a jego ludzie są najlepszymi, jakich mamy. Na szczęście akurat są na manewrach w pobliżu granicy z Kanadą i za parę godzin mogą spotkać się z FBI w Fairbanks. Na miejscu zajmą się zabezpieczeniem akcji, co pozwoli panu, doktorze Fleming, doprowadzić doktor Grant i FBI do celu i unieszkodliwić komputer Soamesa. Ludzie Kovaca zapewnią wam wszelką niezbędną pomoc, ale nie możemy, powtarzam, nie możemy rozbroić naszych rakiet. Jeśli, zgodnie z naszym przekonaniem, ostatnie dwa znaki Czerwonego Papieża to wojna i śmierć, moim obowiązkiem jest strzec bezpieczeństwa kraju.

Amber widziała, że Fleming chce mu przerwać, ale general mówił dalej:

--Nie zrozumcie mnie źle. W pełni zdaję sobie sprawę z powagi sytuacji i znaczenia waszej misji. Musi zakończyć się powodzeniem, nie tylko po to, by odzyskać dane z komputerów całego świata i uchronić niezliczone istnienia ludzkie, ale i po to, żeby przywrócić wiarę w Boga i moc dobra na tym świecie.

Umilkł i jego stalowe spojrzenie przeniknęło wszystkich obecnych w sali i na monitorach: dowódcę plutonu Delta Force, agentów FBI, jezuitę i dwójkę naukowców Fleminga i Amber.

--Misja, której się podjęliście -- stwierdził -- to nic innego jak krucjata dla ocalenia umysłu, ciała i duszy człowieka. A jeśli Bóg mimo wszystko istnieje, modłę się całym sercem, by był z wami.

**Czarny sektor Sześć godzin później**

urza powróciła ze wzmożoną siłą i Carvelli był zadowolony, że śmigłowiec, który przywiózł go do VenTecu, zdążył wylądować, zanim rozszalała się na dobre. W drodze do kwatery Soamesa słyszał, jak śnieg i wiatr tłuką w grube, przyciemniane okna.

Duży przedpokój w czarnym sektorze był eklektycznym sezamem: na klonowej nielakierowanej posadzce słały się afgańskie, tureckie i perskie dywany, jedną ze ścian zdobiły pięknie oświetlone maski afrykańskie, drugą pokrywały gobeliny z Radżastanu i oprawione jedwabne tkaniny z Chin. W koszu obok kominka z lśniącego czarnego gagatu były rzeźby z wonnego drzewa sandałowego. Na szklanym blacie stołu leżały korale i egzotyczne kamienie szlachetne podświetlone od dołu lampą ze skierowanym w górę kloszem -- rzuciła na biały sufit wielobarwne odbłyски klejnotów. Z wnętrza wyglądała oświetlona od tyłu głowa Iwa, z pełną grzywą, a w ścianę przy drzwiach wejściowych wbudowane było duże akwarium -- kolorowy kalejdoskop śmigających w wodzie tropikalnych ryb.

Carvelli miał wrażenie, że Soames, skazany na to, by nigdy nie zobaczyć słońca i nie poznać bezpośrednio bardziej egzotycznych rejonów świata, spożytkował swój okazały majątek na odtworzenie ich piękna w swoim prywatnym, mrocznym królestwie.

Zadrżał. Nigdy jeszcze nie był w kwaterze Soamesa i mimo wypełniających ją skarbów wolałby być gdziekolwiek indziej, byle nie tu.

Zapukał do podwójnych drzwi i zaczął na wezwanie. Kiedy cisza się przedłużała, wsunął się do dużego salonu. Na jednej ze ścian wisiała rzeźbiona kamienna płyta ze starej pogańskiej świątyni; ukazywała ze szczytami postacie ludzkie uprawiające seks we wszystkich pozycjach, jakie można sobie wyobrazić. Carvellemu aż dłonie się spociły, kiedy przyglądał się jej, sunąc bezszelestnie po parkiecie. Nie było tu rzeczy osobistych, zdjęć rodziny czy przyjaciół, książek, płyt kompaktowych, butelek alkoholu czy cygar. Poza stojącą w kącie przeszkloną szafą chłodniczą z puszkami coli nic nie wskazywało na to, by Bradley Soames pozwalał sobie na jakiegokolwiek drobne przyjemności. Carvelli czuł się tu jak w ponurym muzeum i nawet erotyczne obrazki nie łagodziły tego uczucia.

Kiedy usłyszał głos z drugiego końca pokoju, najpierw go nie rozpoznał. Zaraz jednak zorientował się, że mówi to Soames -- i to błagalnym tonem.

--Przecież zrobiłem wszystko, czego chciałeś -- usłyszał -- sprowadziłem na świat ciemność i zamęt, teraz wywołałem głód. Czy nie mógłbym przy spieszyć ostatnich znaków o kilka godzin? Jaka to różnica po tak długim oczekiwaniu?

Carvelli zamarł, serce podeszło mu do gardła.

--Proszę, pozwól mi to zrobić -- namawiał Soames. -- Zbyt niebezpieczny jest czekać, czuję to. Grant i Fleming wiedzą o Matce Lucyfer. Im dłużej będę zwlekał, tym bardziej prawdopodobne, że znajdą sposób, by wszystko zepsuć.

Przerażony, ale zaintrygowany, Carvelli podszedł do hebanowych drzwi na końcu salonu. Były uchylone. Kiedy przysunął się bliżej, zauważył, że w pokoju za nimi jest ciemno.

Soames znów przemówił, tym razem gwałtowniej.

--Dlaczego to takie ważne, by trzymać się planu? Jesteśmy blisko, skutek będzie ten sam. Zasluguje na to, żebyś pozwolił mi zakończyć to teraz. Zrobiłem wszystko, czego chciałeś. Jestem zmęczony. Chcę, by to się skończyło. Żądam tego.

Rozległ się trzask, jak uderzenie biczem, i zduszony szloch.

Carvelli podszedł bliżej i w snopie światła wpadającym przez drzwi zobaczył, że pokój jest pusty; stało w nim tylko proste łóżko. Soames klęczał w jego nogach, odwrócony plecami do drzwi. Był nagi, skórę miał w plamach, zrytą bliznami po niezliczonych operacjach. I był sam.

--Żądam tego -- powtórzył. -- Zasluguje na to. Musisz pozwolić mi przy spieszyć ukazanie się ostatnich znaków. Mam do tego prawo po tym, jak wielką przysługę ci wyświadczyłem.

Podniósł wysoko mały pejcz w prawej dłoni i zaczął chłostać się po plecach. Płakał i błagał o wybaczenie nieposłuszeństwa.

--Odpuść mi moją zuchwałość i niecierpliwość. Pragnę tylko służyć tobie i wypełnić swoją powinność.

Odłożył okrwawiony pejcz na podłogę i nachylił się nad łóżkiem, już spokojniejszy. Nagle, ku zdumieniu Carvellego, złożył dłonie, spuścił głowę i zaczął się modlić:

--Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje...

Carvelli stał w drzwiach; znieruchomiał z szoku i zaskoczenia. Jak to możliwe, że ten sam Soames, który zdradził mu swoją mroczną tajemnicę, teraz odmawiał jedyną modlitwę przypisywaną w Biblii Jezusowi Chry-

stusowi? Zanim zdążył to przemyśleć, Soames opuścił ręce i uniósł głowę. Nie odwracając się, powiedział:

--Frank, przywiozłeś polisę ubezpieczeniową?

--T-t-tak -- wyjął Carvelli. -- Jest w białym sektorze.

--Dobra robota.

--Chcesz zobaczyć? Soames skinął głową.

--Zaraz przyjdę. -- Obejrzał się na Carvellego i snop światła z uchylonych drzwi padł na jego profil.

Carvelli odwrócił się i zasłonił dłonią oczy irracjonalnie pewny, że jeśli zobaczy twarz Soamesa, umrze.

## 66

### Góry Brookska, Alaska

urza miotła black hawkiem tak mocno, że cały kadłub drżał i trzeszczał. Za chłostaną śniegiem szybą Fleming widział rozgałęzione błyskawice, które rozdzierały ciemność i rozświetlały ośnieżone szczyty przypominające spiętrzone fale na wzburzonym morzu. Jeśli, jak miał nadzieję generał, Bóg istniał, to zdaniem Fleminga nie było Go z nimi na tej misji.

Przez ostatnich kilka godzin siedzieli z Amber w domku straży rezerwatu i obserwowali z narastającym niepokojem pogarszającą się pogodę. Fleming dwa razy bez skutku próbował zadzwonić się do Anglii, do rodziców; czas, jaki pozostał do przybycia śmigłowców, poświęcili na to, by coś zjeść i się zdrzemnąć. Kiedy maszyny nadleciały, padał tak gęsty śnieg, że piloci nie odważyli się wylądować. Oboje z Amber dostali się na pokład black hawka za pomocą wciągarki.

--Zapnijcie pasy i trzymajcie się mocno -- powiedział pilot ponuro, kiedy śmigłowiec wszedł na wyższy pułap. -- Lecimy po omacku, a warunki jeszcze się pogorszą.

Fleming rozejrzał się po kabinie. Większość współpasażerów miała równie ponure miny jak pilot; na pokładzie było czterech komandosów z Delta Force, zwanych D-boyami, wśród nich Kovac, i dwaj agenci FBI, którzy



mieli pomóc Amber. Ona sama siedziała obok Fleminga; wśród mężczyzn w pełnym rynsztunku bojowym wydawała się krucha i bezbronna.

D-boye mieli zimowe mundury bojowe, białe z naniesionym lekkim wzorem maskującym. Każdy z nich wyposażony był w plecak, wiązkę granatów i broń palną: jedni mieli czarne naoliwione karabiny samopowtarzalne CAR-15, inni karabiny maszynowe M-60. Agenci FBI nosili czarne stroje ninja preferowane przez antyterrorystów i uzbrojeni byli w skromniejsze i, zdaniem Fleminga, bardziej praktyczne karabiny.

Gdzieś w skłębionej ciemności leciał drugi śmigłowiec, wiózł czterech agentów FBI, w tym agenta specjalnego Wayne'a Thomasa, i czterech komandosów Deltę. Trzeci, zapasowy helikopter z oddziałem rezerwowym, czekał w odwodzie pod Fairbanks.

Plan był prosty: lecąc nisko, by uniknąć wykrycia, i utrzymując ciszę radiową tak długo, jak się da, dotrzeć do nieukończonej rafinerii na niższym wierzchołku, za VenTekiem. Tam śmigłowce opadną jak najbliżej ziemi, co pozwoli uczestnikom akcji zjechać na linach na szczyt góry. Kiedy zgrupują się, Fleming zaprowadzi ich do wylotu rury, skąd tą samą trasą, którą uciekał z Amber, przejdą do VenTecu. Zamierzali dotrzeć do odwiertu pod czerwonym sektorem i dostać się do komputera Soamesa od dołu. Pierwszy etap, powrót do rafinerii, miał być najprostszyszy.

I byłby, gdyby nie śnieżycy.

Ponieważ GPS działał na podstawie danych, które zostały utracone po ukazaniu się drugiego znaku Czerwonego Papieża, pilot musiał prowadzić maszynę jak za dawnych lat, polegając tylko na mapach i własnym wzroku. Problem był w tym, że w takiej zamieci nie widział nic. Lot w tych warunkach przypominał jazdę z zawiązanymi oczami przez Manhattan z prędkością trzech machów i każda inna misja zostałaby odwołana. W tym przypadku nie było takiej możliwości: musieli unieszkodliwić komputer Soamesa, zanim sprowadzi na świat ostatnie znaki.

Kovac próbował rozładować napięcie.

--Warunki są wymarzone -- powiedział. -- Jesteśmy doskonale osłonięci i możemy liczyć na element zaskoczenia.

Śmigłowcem nagle rzuciło w lewo i Fleming zobaczył w świetle błyskawicy drugi helikopter; nadlatywał z prawej strony. Cholera, pomyślał. Nie widzą nawet siebie nawzajem. Amber patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami -- też zauważyła, jak niewiele zabrakło do zderzenia.

--Jak zobaczymy miejsce do lądowania w tej śnieżycy? -- spytała Kovaca.

Odwrócił się do niej, wciąż z lekko znudzoną miną.

--Wy? Pewnie nie zobaczycie go wcale -- wycedził, jakby miejsce do lądowania było tajemnicą, której nie mógł ujawnić -- ale się nie przejmuj cie.

Fleming i Amber popatrzyli na siebie.

--Zjeżdżała pani już kiedyś na linie, doktor Grant? -- spytał jeden z ko mandosów Delta Force.

Pokręciła głową.

--Wszystko gra, ja ściągnę ją na dół -- powiedział Fleming.

--Jest pan pewien? -- zapytał Kovac. -- Ona ma kluczowe znaczenie dla misji. Nie chcemy, by cokolwiek jej się stało. Może lepiej, by zrobił to któryś z nas.

--Dziękuję za troskę, ale jestem pewna, że z Milesem nic mi się nie stanie.

Kovac przyjrzał się Flemingowi i wzruszył ramionami.

--Już blisko -- poinformował pilot spokojnym, krzepiącym tonem, ja kiego z czasem nabierają wszyscy piloci, ale kiedy kazał „szykować liny i przygotować się”, Fleming wyczuł w jego głosie napięcie. Śmigłowiec kołysał się w powietrzu i pilot musiał wyżyć wszystkie siły, by nad nim zapanować.

Trzy błyskawice rozświetliły niebo i załwały świat niebieskobiałym oślepiającym blaskiem. Z radia dobiegł niewyraźny głos.

--Trafil... piorun... elektryka poszła... spadamy... Black Hawk strącony. Black Hawk strącony...

I zapadła cisza.

Fleming wyjrzał przez szybę po prawej stronie. Drugi śmigłowiec obracał się wokół własnej osi w trzaskającym, naelektryzowanym powietrzu, usiłując wyrównać lot. Nad kabiną, pod wirnikami, które zdawały się zacinać, kadłub przecinało czarne, osmalone pęknięcie. Black Hawk rzucił się naprzód i spadł po spirali jak jesienny liść.

Flemingowi serce podeszło do gardła. Odprowadził wzrokiem śmigłowiec ginący w bieli. Po chwili jasna ognista kula rozświetliła ciemną otchłań.

W kabinie zapadła cisza. Nie patrzyli na siebie. Wszyscy musieli poradzić sobie z tym, co się stało, na swój sposób i odpędzić paralizujący strach, że oni będą następni.

--Klapy otwarte. Schodzimy -- powiedział pilot i wskazał coś w dole przez tumany śniegu; Fleming wypatrzył dwa stalowe szkielety, które

miały służyć do przechowywania wielkich zbiorników z ropą. -- Zrzućcie liny.

Drzwi śmigłowca rozsunęły się i mroźny podmuch przeleciał przezabinę. Kovac wypchnął nogą liny -- po cztery z każdej strony.

--Spróbuję trzymać maszynę nieruchomo -- oświadczył pilot -- ale w tych warunkach niczego nie gwarantuję.

Kovac krzyknął do swoich ludzi i agentów FBI, by zjechali na dół w ustalonej kolejności.

--Po dwóch. Już! Już! Już!

Każdy po kolei chwycił linę, wychodził tyłem z kabiny i zsuwał się po rozkołysanym sznurze w stronę wirujących tumanów śniegu i -- przy odrobinie szczęścia -- pewnego gruntu.

Fleming wyciągnął rękę do Amber i czekał na swoją kolej. Czując, jak drży, objął ją ramionami i chwycił linę nad jej głową.

--Bez obaw, trzymam cię -- szepnął, przypiął swój kombinezon do jej kombinezonu i zasłaniając sobą widok szalejącej śnieżycy, wysunął się tyłem z kabiny. Runęli w otchłań.

## 67

Amber nie przypominała sobie, by kiedykolwiek tak bardzo się bała. Kotłowało jej się w żołądku, serce waliło tak gwałtownie, że bała się, iż zemdleje. Ciężka lina kołysała się jak nitka na silnym wietrze, od jej ściskania piekły ją dłonie. Sznur i śmigłowiec huštały się tak mocno, że miała wrażenie, że wisi na wahadle. Ilekroć jednak lina wymykała jej się z rąk, czuła, jak Fleming przysuwa się bliżej, przyciska ją do siebie, przytrzymuje.

Zejsście zdawało się trwać wieki całe; wszystko działo się w zwolnionym tempie. Patrząc w dół, Amber nie mogła dostrzec ziemi w kłębiącym się śniegu. Nagle po lewej stronie pojawił się prześwit, w którym przez chwilę zobaczyła, co jest w dole. Jeśli do tej pory tylko się bała, to teraz wpadła w przerażenie.

Wiatr zepchnął śmigłowiec nad krawędź góry. Pod liną zwieszającą się z drugiej strony kabiny nie było nic. Amber ostrzegła krzykiem zjeżdżaj a-

cego po niej komandosa, ale wśród wichru sama ledwie słyszała swój głos. Bezradnie patrzyła, jak mężczyzna zsuwa się na koniec liny i ją puszcza. Przez chwilę zdawał się wisieć w powietrzu, jakby unosił się na wietrze, po czym w ciszy spadł w ciemność. Drugiego komandosa spotkał ten sam los. Żaden nawet nie krzyknął.

Lina zakolysała się jeszcze gwałtowniej; Amber zauważyła, że są już blisko jej końca i Fleming rozmyślnie zmienia pozycję, by rozhuścić ją i zbliżyć się do zbocza góry.

--Ugnij kolana i się przeturlaj! -- krzyknął jej do ucha.

Uderzyła nogami w ziemię i skuliła się w kłębek. Fleming poturlał się z nią w bok. Zanim zdążyła zaczerpnąć tchu, on już podniósł ją na nogi.

--Wszystko w porządku? -- usłyszała w głośniku. Skinęła głową, by zaraz zgiąć się wpół z bólu. -- Co się stało?

--Nic -- wydyszała.

Kovac przypadł do nich, odciągnął ich od skraju przepaści i poprowadził w stronę rafinerii.

--Stało ci się coś? Skrzywiła się.

--Zatkało mnie, to wszystko.

--Odetchnij. Nie mamy czasu.

Im bliżej rafinerii, tym lepiej byli osłonięci od śnieżycy.

--Ilu nas zostało? -- spytał Fleming.

--Pięciu może iść dalej -- odparł Kovac spokojnym głosem. -- Dwóch spadło w przepaść, jeden złamał nogę.

Amber zobaczyła przed sobą dwie postacie wśród sypiącego śniegu; jedna pochylała się nad leżącym na ziemi człowiekiem, którego noga wygięta była pod nienaturalnym kątem. Ulżyło jej, kiedy zauważyła, że jeden z ocalałych ma na sobie czarny mundur agenta FBI. Ona i Fleming nie pozostali więc jedynymi członkami zespołu o odpowiednich kwalifikacjach.

Fleming próbował zorientować się w otoczeniu.

--Można się schronić wewnątrz rury. Trzeba tam zanieść rannego. Co zamierzacie z nim zrobić?

Kovac nie wahał się nawet przez chwilę.

--Ułożymy go wygodnie, ciepło okryjemy i zostawimy mu radio. Jeśli nie wrócimy po niego za sześć godzin, będzie mógł przerwać ciszę radio wąż i wezwać śmigłowiec rezerwowy. Wtedy będzie już wiadomo, czy nam

się powiodło czy nie. A to i tak może być bez znaczenia. -- Podeszedł do podkomendnego.

Pogoda się pogarszała. Zespół został mocno przerzedzony. Jakkolwiek Amber na to patrzyła, nie wróżyło to nic dobrego. Wydawało się wręcz, że Bóg -- czy kto tak naprawdę tym wszystkim rządził -- nie chciał, by powstrzymali Soamesa.

Fleming spojrział na nią.

--Nie martw się, Amber, karta się musi odwrócić. Gorzej już być nie może.

Mylił się.

Po kilku minutach krzyknął:

--Nie mogę znaleźć rury! Śnieg ją zasypał. Chyba jest tam, ale trzeba się do niej dokopać.

--W porządku -- powiedział Kovac nauczony doświadczeniem, że plany się zmieniają, a los jest złośliwy.

--Jasne -- zawtórowała mu Amber, choć wcale nie czuła się pewnie. Myślała tylko o tym, że jak dotąd sprawdziły się jej wszystkie najgorsze obawy. Kiedy uciekali, zamierzała wezwać na pomoc kawalerię; nie wiedziała tylko, że to ona i Fleming są kawalerią.

Przypomniała sobie o ojcu chrzestnym, który czekał na pokładzie Czerwonej Arki. „Będę się za ciebie modlił, dopóki nie powrócisz okryta chwałą” -- obiecał, przekonany, że ich misja zakończy się powodzeniem, bo taka jest „wola Boża”.

Zacisnęła zęby i poszła po śladach Fleminga w śniegu.

--Papo Pete, mam nadzieję, że do tej pory się nie modliłeś -- mruknęła pod nosem -- bo jeśli takie są skutki twoich modlitw, to mamy przesrane.

## 68

Biały sektor

arvelli potarł zwilgotniałe dłonie. Usiłował wymazać sprzed oczu obraz biczącego się Soamesa. Soames, już kompletnie ubrany, stał w jednej z opustoszałych sal rekreacyjnych w białym sektorze; wilki cierpliwie czuwały przy nim. Nachy-

lil się i zajrzał przez drzwi z wytrawionego szkła do sąsiedniego pokoju. Wcześniej zadzwonił do Trippa i Bukowski, by sprawdzić, czy komputer jest gotowy. Wyraźnie ożywiony w ciągu ostatnich kilku minut dwa razy spytał Carvellego o godzinę. Na każdą odpowiedź reagował słowami: „Już prawie czas, już prawie czas”; powtarzał je jak mantrę. Patrząc przez szybę, uśmiechnął się szeroko.

--Dobra robota, Frank -- powiedział. -- Trudno było dostać tę polisę ubezpieczeniową?

Carvelli wahał się, co odpowiedzieć. Chciał zyskać aprobatę Soamesa, ale wołał go nie okłamywać, by nie narazić się na karę. Jeśli miał być szczery, zrobił niewiele. Zaczekał tylko, aż jego ludzie odbiorą „przesyłkę” ze szkoły, a potem w czasie lotu musiał zapewniać dzieciaka, że bierze go na niespodziewaną wycieczkę do wujka.

--Trzyma się nieźle, jeśli o to ci chodzi.

--Nawet trochę się nie boi?

--Tęskni za babcią i dziadkiem i nie jestem pewien, czy wierzy w moją historyjkę o wycieczce. Ale jest twardy.

Soames gestem przywołał Carvellego do siebie. -- Zobacz, co robi.

Carvelli podszedł do szyby, trzymając się jak najdalej od wilków. Dobrze wiedział, co chłopiec robi; bawił się z nim przez ostatnie pół godziny.

--Patrz, jak układa moje stare klocki -- powiedział Soames z rozmarzonym uśmiechem. -- Tak starannie buduje każdą wieżę, zwraca uwagę, by każdy klocek był we właściwym miejscu. -- Pchnął drzwi. -- Muszę z nim porozmawiać.

Chłopiec stał pośrodku dużego pokoju, na parkiecie zawałonym starymi, sfatygowanymi zabawkami -- klockami lego, żołnierzykami i niezliczonymi drewnianymi cegielkami, z których zbudował metrowej wysokości wieże. Na dźwięk otwieranych drzwi się odwrócił.

--Cześć, Jake. Fajne wieże -- pochwalił Soames.

--Gdzie wujek Milo? -- spytał chłopiec. Z zaciekawieniem przyjrzał się pokrytej bliznami skórze Soamesa. -- Co ci się stało w buzię? Soames podszedł bliżej, nachylił się i zbliżył twarz do twarzy Jake'a.

--Nie lubię słońca -- powiedział -- a słońce mnie. Co ci się stało w nogi?

Jake nawet nie drgnął.

--Nic.

--Nie są twoje, prawda? -- spytał Soames drwiąco.

Jake wytrzymał jego spojrzenie.

--Właśnie, że tak. Dał mi je wujek Milo.

Soames wyprostował się i podszedł do jednej z wież.

--Kiedyś lubilem stawiać wieże, najwyższe, jakie się dało, a potem jeburzyć. Może tę zburzysz najpierw?

--Nie -- odparł Jake cicho. Stał sztywno, ale choć Carvelli widział w jego twarzy strach, miał podniesioną głowę i patrzył prosto przed siebie.

--No, śmiało, możesz być niegrzeczny, rozrzucić klocki po pokoju. Nikt nie naskarzy -- nalegał Soames. Wilki podeszły bliżej i usiadły z wywieszonymi ozorami półtora metra za plecami Jake'a. -- Jak wolisz, możesz zacząć od tamtej wieży.

Jake pokręcił głową.

--A może zburzysz obie naraz.

Jake nawet nie drgnął.

--Myślę, że powinieneś to zrobić -- powiedział Soames zimniejszym już tonem. Wilki przysunęły się bliżej, ich oddechy niemal omiały kark Jake'a. Chłopcu trzęsły się kolana, warga mu drżała, ale wciąż stał nieruchomo. Carvelli wiedział, do czego zdolni są Soames i jego wilki, i wołał, by Jake ustąpił i zburzył wieże, lecz w głębi duszy zagrzewał go, by wytrwał w oporze. Zazdrościł mu odwagi.

Soames nachylił się i znów zbliżył twarz do twarzy chłopca -- nawet gdyby Jake chciał się cofnąć, nie mógł, bo za jego plecami stały warczące wilki. Soames był wściekły; spod jego wykrzywionych, pokrytych bliznami warg wylaniały się zaciśnięte, zaskakująco zdrowe zęby.

--Zburz tę zasraną wieżę.

Chłopiec drżał na całym ciele, był blady, nie ruszył się jednak z miejsca.

--Myślisz, że jest tu twój wujek -- drażnił się z nim Soames. -- Prawda, Jake?.

Chłopiec spojrział z wyrzutem na Carvellego; jego oczy lśniły od łez, lecz nie uronił ani jednej. Carvelli skurczył się w sobie.

--Nie -- powiedział chłopiec. -- Ale kiedy Milo po mnie przyjdzie...

--To co zrobi?! -- ryknął Soames. -- Kiedy Miles przyjdzie, zdechnie jak twój ojciec i ta kurwa, twoja matka, i spotka się z nimi w piekle, tak, w piekle, bo tam się wszyscy znajdziemy, z tobą włącznie!

Jake mocno zacisnął powieki i zakrył uszy dłońmi.

Soames poczerwieniał. Carvelli nigdy jeszcze nie widział go w takiej furii. Wilki dyszały, czekały na komendę do ataku. Ich ślina kapiała na kurtkę i nogawki spodni Jake'a.

--Twój wujek Milo najpewniej już nie żyje! -- krzyknął Soames. -- Wkrótce umrą też twoi dziadkowie, a wtedy... a wtedy... -- Soames ze złością

przewrócił wieże i wypadł z pokoju. Wilki pobiegły za nim. Carvelli został sam z Jakiem.

Pelen podziwu podszedł do chłopca i położył dłoń na jego ramieniu.

--Już sobie poszli.

Z palcami w uszach Jake potrząsnął ramieniem, by zrzucić dłoń Carvellego.

Carvelli poczuł głęboki wstyd. Cofnął rękę i wyszedł.

Dopiero wtedy, pewien, że został sam, Jake rzucił się na podłogę i wybuchnął płaczem.

## 69

Cztery godziny później

o tu -- powiedział Fleming, mrużąc oczy od tańczących świateł. Wirujące błyski wydobywały z mroku odwiert.

--Boże, ale gorąco -- powiedział agent FBI, wysoki Murzyn Howie.

--1 jasno -- dodał Kovac. -- Lepiej założmy maski.

Fleming zrobił to i podniósł osłonięte oczy na wielki, obracający się wentylator, który wyciągał gorące powietrze z położonego nad nim czerwonego sektora. Płynące z góry światło było tak jaskrawe, że nawet przez maskę nie widział za wirującymi łopatkami nic oprócz oślepiającej jasności.

--Czekajcie -- powiedział. -- Wentylator zwalnia.

--Jest połączony z termostatem -- wyjaśniła Amber. -- Tempo obrotów stale się zmienia. W czerwonym sektorze są inne, czulsze termostabilizatory. Wentylator odciąga rozgrzane powietrze od kuli. W zależności od temperatury otoczenia przyspiesza albo zwalnia, co jakiś czas właściwie się zatrzymuje.

--Czyli jeśli zaczekamy, aż stanie, będziemy mogli przejść na drugą stronę? -- spytał Fleming.

Amber kiwnęła głową.

--Skąd będziemy wiedzieli, kiedy znów przyspieszy? -- zapytał drugi komandos z Delty, barczysty blondyn z niebieskimi oczami.

--Tego się nie da przewidzieć. Trzeba patrzeć, czy nie rusza -- odparła Amber... U:⟨:..!



--W tej chwili przede wszystkim musimy doprowadzić Amber i Howiego do komputera, by mogli zrobić swoje, my będziemy ich osłaniać --oświadczył Fleming.

--Przejdę pierwszy -- zaproponował Kovac. -- Sprawdzę, czy nic nam nie grozi, i zobaczę, co jest po drugiej stronie. -- Dał znak drugiemu D-boyowi.

--Ty bierzesz straż tylną, Olsen.

Fleming patrzył, jak Kovac przebiega po pomoście i wchodzi na drabinę przyspawaną do ściany odwiertu. U jej szczytu zatrzymał się, tuż pod obracającymi się coraz wolniej łopatkami. Teraz, kiedy wentylator niemal znieruchomiał, Fleming zauważył, że składa się tylko z czterech łopatek, a przerwy między nimi są dość szerokie, by przecisnął się przez nie człowiek.

Kovac wyciągnął prawą rękę do jednej z zatrzymujących się łopatek. Nagle rozległ się trzask i wentylator przyspieszył. Niezbyt gwałtownie, ale to wystarczyło, by Kovac i jego towarzysze przeżyli szok.

--Łopatki chyba nie zatrzymują się do końca -- Fleming usłyszał w głos niku głos Kovaca. -- Mimo to spróbuję przejść.

Zanim Fleming zdążył mu poradzić, by zaczekał, dowódca plutonu Delta Force skoczył ku jednej z łopatek i chwycił ją mocno. Podczas gdy obracała się wysoko nad dnem otworu, Kovac wdrapał się na jej zakrzywioną powierzchnię i zniknął w blasku. Flemingowi zakręciło się w głowie.

--Przeszedłem -- powiedział Kovac jakby nigdy nic. -- Wygląda to nieźle.

Jest tu pomost dla obsługi, drabina prowadzi na górę. Kto następny?

Wszyscy popatrzyli na siebie, a potem na wentylator, który wciąż obracał się trochę za szybko; nie było to bezpieczne. Fleming zdecydował się: przebiegł po pomoście, wszedł na drabinę i u szczytu zatrzymał się, jak Kovac, tuż pod wentylatorem. Z tak bliska nawet przy tym tempie obrotów łopatki zdawały się poruszać zbyt szybko. Czekał, zbierał odwagę. Czuł się jak pieszy, który próbuje przejść na drugą stronę toru wyścigowego Formuły 1. Łopatki zwolniły, rozległ się trzask i wentylator znieruchomiał.

W jednej ze szpar ukazały się dłonie.

--Dawaj, wciągnę cię na górę.

Podniósł ręce i poczuł, jak silne dłonie Kovaca chwytają jego ramiona i dźwigają go na drugą stronę wentylatora.

W połowie drogi usłyszał trzask i spoczywające na wysokości jego pasa łopatki drgnęły. Serce zamarło mu w piersi i w pierwszym odruchu chciał zeskoczyć na dół, ale wentylator ledwie się poruszył i popchnął go tylko bliżej pomostu, na którym stał Kovac.

Fleming rozejrzał się wokół. Świetlna kula Soamesa była zawieszona wewnątrz dwóch krzyżujących się obręczy, nie więcej niż trzy metry nad jego głową. Wydawała się jaśniejsza i mniej stabilna, niż kiedy widział ją ostatnio, i choć miał osłonięte oczy, musiał zmrużyć powieki. Na prawo była drabina -- pięła się po ścianie odwiertu do drzwi, za którymi znajdowały się sterownia i laboratoria otaczające świetlną kulę. Fleming wypatrzył przyciemniane szyby i zaczął się zastanawiać, czy tymi drzwiami można dostać się do laboratorium, w którym z Bukowski i Trippem skonstruował dla Soamesa ulepszony NeuroTranslator.

--Pospieszcie się -- szepnął Kovac do mikrofonu.

Następna była Amber i ponieważ wentylator ani drgnął, jej drobna sylwetka łatwo przecisnęła się przez szparę między łopatkami. Za nią pojawił się agent specjalny Howie.

Został jeszcze tylko drugi komandos Delta Force.

Coś trzasnęło i wentylator przyspieszył obroty.

--Cholera -- szepnął Kovac. Spojrzał na zegarek i zerknął na Amber. -- Zaczekamy kilka minut, ale jeśli nie zwolni, idziemy dalej bez niego. Straciliśmy już dużo czasu, a nie wiem, jak długo zajmie ci to, co musisz zrobić.

--Ja też nie wiem -- powiedziała Amber.

I znów rozległ się trzask. Wentylator zwolnił.

--Chodź, Olsen -- szepnął Kovac.

Fleming naprężył się i kiedy łopatki stanęły, razem z Kovacem sięgnął w dół. Złapał komandosa za prawe ramię, a Kovac za lewe. Mężczyzna był ciężki, a do tego objuczony sprzętem, ale udało im się przeciągnąć go przez szczelinę. Był już prawie po drugiej stronie, kiedy znowu rozległ się trzask.

I nic.

Olsen podniósł oczy na Fleminga i uśmiechnął się z ulgą.

Po chwili przestał się uśmiechać.

Stało się to tak szybko, że Fleming mógł tylko patrzeć z przerażeniem, jak wentylator gwałtownie przyspiesza i wrywa komandosa z ich rąk. Olsen przez kilka sekund wirował jak na karuzeli. Kiedy tempo obrotów wzrosło, został przecięnięty przez wentylator jak marchewka przez mikser. Przez cały czas, gdy wirujące łopatki szatkowały jego ciało, ze zdumieniem patrzył na Fleminga.

Trwało to sekundy i Fleming nawet nie usłyszał loskotu, z jakim szczątki Olsena spadły na dno odwiertu. Pod wieloma względami to właśnie

najbardziej zadziwiała i niepokoiła: mężczyzna nawet nie krzyknął, kiedy wentylator masakrował jego ciało.

Agent FBI zgiął się wpół i wymiotował.

Kovac odwrócił się do Amber, wpatrzonej w wirujący wentylator. Drżałemu szczęki, ale poza tym nie widać było po nim żadnych uczuć.

--Teraz tym bardziej musimy zrobić to, po co tu jesteśmy.

Amber wciąż patrzyła na wentylator.

Kovac ujął jej głowę w potężną dłoń i odwrócił do siebie.

--Da pani radę, doktor Grant? Bo jeśli nie, cała ta akcja okaże się jednym wielkim niewypałem.

Amber zamrugła.

Fleming położył dłoń na jej ramieniu.

--Chodź, Amber, bierzmy się do roboty.

Skinęła głową. Wciąż była blada, ale w oczach znów miała ogień.

--Idziemy. -- Kovac odwrócił się do drabiny.

## 70

rzwi u szczytu drabiny prowadziły do pustego laboratorium. Za przykładem Kovaca Amber przykucnęła i wsunęła się do środka za nim i Flemingiem. Na lewo zobaczyła zastępcze ciało, takie jak to, które Fleming pokazywał jej w Barley Hall. Jak je nazywał? Brian.

Obok manekina na lśniącym stole warsztatowym leżały zmodyfikowany NeuroTranslator i szklany kask do wychwyty duszy.

--Myślałam, że przewieźli to na Czerwoną Arkę -- powiedziała.

--Skurwiel nie pozostawił niczego przypadkowi, zrobił duplikaty. -- Fleming wbił ponury wzrok w urządzenie, jakby nad czymś się zastanawiał. Spojrzał przez przyciemnioną szybę na pulsującą świetlną kulę. -- Amber? -- Jego oczy błyszczały z podniecenia.

--Tak.

--Ciii -- syknął Kovac i wskazał na prawo.

Amber popatrzyła przez przyciemnioną szybę na laboratorium po drugiej stronie świetlnej kuli. Pod rozsuwanymi drzwiami stał strażnik, a w środku ktoś wpatrywał się w monitor. Poznała go po wysokim wzroście i łysinie:

to był Walter Tripp. Rozejrzała się po innych laboratoriach otaczających kulę, wypatrując Bukowski, ale nigdzie jej nie było.

--Tam muszą być główne układy sterowania -- szepnęła. -- Musimy odciągnąć go od pulpitu, zanim kogoś ostrzeże. Jak to zrobić?

Kovac spojrział na nią.

--Chcesz go przesłuchać?

--Niekoniecznie. Wszystkie informacje, które są mi potrzebne, mogę znaleźć w komputerze. Poza tym i tak pewnie nie powiedziałby prawdy. Trzeba go tylko odciągnąć od konsoli. Da się to zrobić?

Dowódca plutonu Delta Force uśmiechnął się do niej -- zimno, złowrogo.

--Jasne. Zaczekajcie tu.

Amber kucnęła obok Fleminga i agenta FBI i patrzyła przez przyciemnioną szybę, jak Kovac przemyka przez pierścień połączonych laboratoriów, obok stopni prowadzących do windy. Na chwilę straciła go z oczu, zaraz jednak zobaczyła, jak strażnik po drugiej stronie odwiertu osuwa się na podłogę. Kovac zajął jego miejsce; kucnął pod rozsuwanymi drzwiami do laboratorium, w którym stał Tripp.

Kiedy drzwi się otworzyły, Tripp odwrócił głowę. Był raczej zdziwiony niż wystraszony, pewnie czuł się bezpiecznie w tej niedostępnej fortecy. Amber zauważyła, że coś powiedział, nie usłyszała jednak co. Odszedł od pulpitu i ruszył do drzwi. Chyba kogoś wołał.

Nagle zniknął pod szybą i Kovac przywołał ich gestem.

Amber podążyła tą samą drogą jak on i znalazła się w głównej sterowni. Strażnik i Tripp leżeli nieruchomo na podłodze z szeroko otwartymi oczami i nienaturalnie wygiętymi szyjami. Twarz Trippa wciąż wyrażała niepokój; Amber odwróciła się pospiesznie: w ostatnich dniach widziała tyle osób, które umierały, że starczy jej na całe życie.

Sterownia nie zmieniła się od jej ostatniej wizyty przed kilkoma laty. Amber odetchnęła z ulgą, kiedy zobaczyła, że główny monitor jest włączony. Tripp nadzorował pracę komputera, wszedł więc do systemu, co oznaczało, że nie będzie musiała się do niego włamywać.

Nareszcie zaczęło dopisywać im szczęście.

Dotknęła na monitorze ikony Datafile Manager i wcisnęła guzik szybkiego przeszukiwania. Po ekranie przebiegły listy plików tak szybko, że nie zdążyła przeczytać żadnej z nazw. U dołu widniała liczba złożona z co najmniej siedmiu cyfr.

--Co to? -- spytał Fleming, zaglądając jej przez ramię, i

--Tylko w tym momencie mam dostęp do komputera o takiej mocy. Te raz albo nigdy.

Z westchnieniem wcisnęła miękki klawisz u dołu monitora.

--Włączyłam niemy terminal w laboratorium, w którym jest twój Neuro-Translator. Idź tam i kliknij na ikonę wyszukiwania. Wpisz swoje pytania, a komputer wyszuka dane na potwierdzenie twojej hipotezy albo jej przeczące. Jeśli nie dostaniesz odpowiedzi w minutę, to ona nie istnieje. Jasne?

Fleming podszedł do niej i przez chwilę myślała, że ją pocałuje. Chciała, by to zrobił. On jednak tylko uśmiechnął się, powiedział: „Dziękuję”, i szybko wyszedł.

--Jak tam? -- spytała agenta siedzącego przy drugim terminalu.

--Wszystko już prawie gotowe. Za kilka minut powinienem skończyć. A co u ciebie? Wiesz już, czym będzie trzeci i czwarty znak?

--Jeszcze nie, ale właśnie zacznę przeglądać bazowe komendy.

Zanim jednak zdążyła wprowadzić parametry przeszukania, obraz na ekranie się zmienił. Pojawiła się na nim siatka południków i równoleżników nałożona na mapę Indii i Pakistanu.

Nad Delhi i Lahore mrugały czerwone punkciki. W lewym górnym rogu trwało powolne odliczanie. Cyfra 100 zapaliła się na żółto. Przez jakiś czas mrugała, by wreszcie przejść w 99... a następnie w 98.

--O mój Boże!

--Co się stało? -- spytał Howie.

--Nie jestem pewna. -- Amber usiłowała zachować spokój. -- Przypomnij mi coś. Indie i Pakistan to mocarstwa nuklearne, które nie przepadają za sobą. Zgadza się?

Agent FBI niepewnie pokiwał głową. -- Tak.

--Chryste. Kiedy przywróciliśmy skradzione dane, chyba jakimś cudem wywołaliśmy ostatnie dwa znaki.

--Wojnę i śmierć?

Obraz znów się zmienił. Tym razem ukazała się większa mapa, mapa Azji i Europy. Czerwone punkty mrugały nad licznymi miastami Bliskiego Wschodu i dużymi połaciami Ukrainy, Rosji, Korei Północnej i Chin. Tu też trwało odliczanie.

--Cholera -- zaklęła Amber i sięgnęła do klawiszy. To działo się automatycznie. Musiała dostać się do programu i to zatrzymać.

Bum.

Huk wystrzału.

Potem trzy następne.

--Co to było, do cholery? -- spytał przerażony agent FBI.

Amber usłyszała zgrzyt przekładni i domyśliła się, że winda ruszyła w dół.

--To pewnie Kovac -- powiedziała, zerkając to na zegar odliczający czas na monitorze, to na windę.

--Sprawdź -- odparł agent FBI i wybiegł z laboratorium.

Amber spojrziała na ekran i wpisała kod programu. Odliczanie trwało: 92... 91... 90...

Usłyszała warknięcie, a po nim krzyk. Odwróciła się gwałtownie. Jeden z wilków Soamesa zeskokczył z podwyższenia, na którym była winda, i zatopił kły w gardle Howiego. Drugi wilk rzucił się do jego krocza.

I wtedy pojawił się Soames. Zszedł po schodach i przestąpił przez rzucającego się po podłodze agenta. Bukowski podążała za nim z pistoletem w ręku. Spojrzała na skulone ciało Trippa i przeszła Amber wzrokiem zimnym jak lód.

--Amber, odejź od terminalu i chodź tutaj -- rozkazał Soames z mrozącym krew w żyłach spokojem.

Spojrziała na monitor. Pojawiały się kolejne, coraz to niższe liczby. 88... 87... Nie mogła nic na to poradzić.

--Dotknij czegokolwiek, a Felicia z rozkoszą cię zabije -- przestrzegł Soames.

Amber ani drgnęła.

--Gdzie Miles? -- spytał Soames. -- Ostatnio staliście s-ię nierozłączni.

--Tu go nie ma. -- Usiłowała nie patrzeć na ognistą kulę i laboratorium za nią.

Soames rozejrzał się z uśmiechem.

--Jaka szkoda. Jest tu ktoś, kto chce się z nim zobaczyć.

## 71

leming właśnie skończył wyciągać informacje z komputera, kiedy usłyszał strzały. Instynktownie odwrócił się i spojrział na drugą stronę otworu odwierto-wego, w miejsce, gdzie pracowała Amber. Nie wierzył własnym oczom,

kiedy zobaczył wilki atakujące agenta FBI. Schylił się i rozejrzał po laboratorium w poszukiwaniu jakiejś broni, ale żadnej nie znalazł -- zobaczył tylko NeuroTranslatora i szklaną kulę do wychwyty duszy.

Patrzył bezradnie na Soamesa i Bukowski, która mierzyła z pistoletu do Amber.

Do licha, gdzie Kovac? Cholera, cholera, cholera.

Amber odsunęła się od pulpitu i ruszyła w stronę Soamesa, który wyszedł jej naprzeciw. W tej chwili Fleming zobaczył Carvellego -- stał przed windą... z Jakiem.

Co on tu robi?

Najwyższym wysiłkiem woli powstrzymał się, by nie rzucić się do ataku z gołymi rękami.

Soames nachylił się ku Amber i wsunął dłoń pod jej kołnierz. Fleming usłyszał jego głos w głośnikach w kasku.

--Witaj, Miles. Używam mikrofonu Amber, więc wiem, że mnie słyszysz. Wszystko po kolei. Wasza misja zakończyła się fiaskiem. Wkrótce ukażą się ostatnie znaki, zatem nie masz powodu zgrywać bohatera. Poza tym, jest ze mną twój bratanek. Wjeżdżamy teraz na pomost. Daję ci dwie minuty na to, byś do nas dołączył, w przeciwnym razie wystawię młode, wrażliwe oczy Jake'a na działanie światła. A potem, jeśli nadal się nie pokażesz, nakarmię nim moich pupilów. Przepadają za młodym mięsem. Wybór należy do ciebie.

Fleming zacisnął pięści. Patrzył, jak sługusy Soamesa wprowadzają Jake'a i Amber do windy, i zrobiło mu się niedobrze z bezsilnej złości.

Wszystko stracone. Nie miał wyboru.

Skoro nie mógł ocalić świata, musiał uratować przynajmniej Jake'a i Amber.

Mijały sekundy. Sytuacja wydawała się beznadziejna. Amber musiała wrócić do głównej konsoli i znaleźć sposób, żeby wstrzymać odliczanie. Teraz jednak tylko on mógł cokolwiek zrobić. A nie umiał przeprogramować komputera.

Stała przy windzie na odsłoniętym pomoście. Zmrużyła oczy i zobaczyła Kovaca. Leżał na stalowej platformie, obok drugiego strażnika. Obaj nie żyli. Kovac miał rozszarpane gardło i rany od kul w piersi. Po lewej stronie stał Carvelli. Był chorobliwie blady, wyglądał, jakby chciał być gdziekolwiek, byle nie tu. Co innego Bukowski. Ona sprawiała wrażenie, jakby palec ją swędział, żeby nacisnąć cyngiel. Stała z Soamesem i Jakiem przy

barierce. Soames miał na sobie strój ochronny, Jake przy nim i Bukowski wydawał się żałośnie mały.

--Wszystko w porządku, Jake? -- spytała Amber.

Zerknął ukradkiem na wilki -- warowały przy windzie -- i skinął głową tak, że omal nie spadły mu za duże okulary ochronne.

--Nic mu nie jest -- powiedział Soames. -- Na razie.

--Czemu to robisz, Bradley? - spytała Amber.

--Ja niczego nie robię -- odparł. -- Ja tylko pilnuję, by stało się to, co zostało przepowiedziane. O niczym nie decyduję, wypełniam tylko proroctwo. Dlatego nie miałaś szans mnie powstrzymać. Co z tego, że usunęłaś skutki drugiego znaku i przywróciłaś utracone dane? Przez to sprawiłaś tylko, że ostatnie znaki nabiorą większej mocy.

--Wystrzelisz pociski nuklearne i zniszczysz większą część Azji?

Soames parsknął śmiechem.

--Skądże znowu. To mijaloby się z celem. Zrobią to ludzie. Pierwszy znak, wyłączenie prądu, nie wywołał zamętu... sprawiła to reakcja ludzi. Drugi znak nie miał nic wspólnego z prawdziwym głodem, ludzkość nie została pozbawiona rzeczywistych środków do życia, straciła tylko to, od czego się uzależniła. Z ostatnimi znakami będzie tak samo. Ludzkość sprowadzi na siebie wojnę i śmierć z własnego wyboru, za sprawą swoich uprzedzeń. Obywatele niektórych państw zobaczą na monitorach komputerów, że wystrzelone zostały fantomowe rakiety. Pomyślą, że to atak, ale będą mieli wybór. Będą mogli sprawdzić, czy zagrożenie jest rzeczywiste, i zaufać wrogom, kiedy uzyskają od nich zapewnienie, że żadnych pocisków nie odpalono, albo rozpętać prawdziwą i kosztowną wojnę.

Uśmiechnął się.

--Jak myślisz, co się stanie, Amber? Nie jestem hazardzistą, ale postawiłbym na wojnę i śmierć. Zwłaszcza że rządzący otrzymają tę mylącą informację zaraz po tym, jak bohatercko przywróciłaś światu wszystkie utracone dane. Będą się cieszyć, że odzyskali je w porę, by wykryć atak i na niego odpowiedzieć.

--Czemu tak bardzo chcesz wypełnić proroctwo Czerwonego Papieża, skoro wiesz, że to niejedyna prawda?

Soames znów się uśmiechnął.

--Bo się nią stanie. Wkrótce będzie to jedyna prawda.

Wskazał na windę. Zaczęła zjeżdżać. Ktoś przy wołał ją niższym po ziomie. Miles Fleming miał lada chwila wjechać na górę. To koniec. Soames wygrał.



Amber zeszytniała, wbiła wzrok w drzwi windy. Podobnie jak Jake.

I wilki.

--Uważaj, Milo! -- krzyknął Jake.

Bukowski wymierzyła mu potężny policzek i chłopiec runął na podłogę.

--Nie rób tego, Miles! -- wrzasnęła Amber.

Nic to nie dało. Próbowwała siłą woli zmusić windę, by nie ruszyła z miejsca, ta jednak zaczęła jechać w górę. Przez szybę widziała jego sylwetkę. Kiedy drzwi rozsunęły się, podniósł rękę i wyszedł.

Soames gardłowym głosem wydał komendę i wilki rzuciły się na Fleminga. Przewróciły go na podłogę, zaczęły rwać na nim ubranie. Jake krzyknął, Amber przypadła do wilków, by je odciągnąć, lecz one, nie zważając na nią, atakowały dalej -- szarpały gardło Fleminga, ściągały mu kask z głowy.

Kiedy go zerwały, Amber wstrzymała oddech. Głowa była z plastiku. To było ciało zastępcze. Odwróciła się do Soamesa i Bukowski i w tej samej chwili zza barierki wyłoniła się postać mrocznego mściciela, który ściągnął krzyczącą Bukowski do otworu odwiertowego.

--Weź Jake'a i wracaj do głównej konsoli -- polecił Amber Fleming i zrzucił Soamesowi kaptur z głowy.

Amber złapała Jake'a za rękę i ruszyła z nim do windy. Wilki zostawiły manekina. Jeden z nich skoczył na Amber -- ale nadbiegający Carvelli osłonił ją własnym ciałem.

--Idźcie! -- krzyknął i szamotał się z wilkiem, który drapał go po brzuchu i skakał do jego twarzy.

Amber nie trzeba było tego powtarzać. Rzuciła się z Jakiem do windy i nacisnęła guzik ze strzałką w dół. Wtedy dopadł ich drugi wilk; wbił kły w lewą nogę Jake'a, kiedy drzwi zaczęły się zamykać. W ataku paniki Amber raz po raz wciskała guzik, ale noga chłopca blokowała drzwi, a kły wchodziły w nią coraz głębiej. Przez cały czas zwierzę patrzyło na Amber złymi, żółtymi ślepiami. Po lewej stronie, za przyciemnioną szybą, widziała, jak drugi wilk zatapia zakrwawione szczęki w gardle bezwładnego Car-vellego.

Nagle Jake sięgnął do swojego lewego uda i coś nacisnął. Noga odpadła i wilk wraz z nią poleciał do tyłu, odblokowując drzwi.

Winda zamknęła się z sykiem, ale kiedy zaczęła zjeżdżać, Amber widziała, jak wilki biegną do barierki, przy której Soames szarpał się z Flemingiem.

Nie mogła jednak teraz o tym myśleć. Miała zbyt wiele do zrobienia.

oames był zaskakująco silny i żyłasty, a po tym, jak Fleming zerwał z niego strój ochronny i wystawił jego nadwrażliwą skórę na światło, walczył jeszcze bardziej zaciekle.

Fleming trzymał szklaną kulą z elektrodowym czepkiem. Za jej pomocą sterował poprzez NeuroTranslatora ciałem zastępczym, kiedy piał się po ścianie odwiertu. Wilki były tuż-tuż.

Mocno uderzył Soamesa pięścią w twarz i wypchnął go za barierkę, tak że ten zawisł nad otchłanią; trzymał się tylko nadgarstka Fleminga.

--Uspokój je! -- krzyknął Miles. Kula pulsowała w dole jak małe słońce i skóra Soamesa przybrała czerwony odcień.

Wilki wyły i skomlały, ale nie podchodziły bliżej, jakby czuły, że atakując, naraziłyby życie swojego pana.

--Uspokój je -- powtórzył Fleming.

Soames wydał polecenie gardłowym głosem i wilki się cofnęły.

--Miles, musisz powstrzymać Amber. Znaki muszą się ukazać. Fleming pokręcił głową z niedowierzaniem. ' ;

--Kawał skurwysyna z ciebie.

--Nieprawda -- nie ustępował Soames. Jego słowa brzmiały szczerze. -- To ważne. Kto jak kto, ale ty powinieneś to zrozumieć. Wszystko, co robię, ma swój powód, i nie wolno ci w tym przeszkodzić.

--O czym ty mówisz, do cholery?

--Objawienie Czerwonego Papieża ma swój cel, a ja muszę go zrealizować.

--Jego objawienie było kłamstwem.

--Tylko w połowie. To była jego prawda.

--Ale ty chcesz, żeby stała się jedyną.

--Nie mam wyboru. Muszę przekonać świat że nie ma Boga, że istnieje tylko diabeł. To moja misja.

Fleming złapał Soamesa za drugą rękę. Jego skórę pokrywały pęcherze, ale zdawał się nie czuć bólu.

--Dlaczego masz taką misję, Bradley? Za kogo się uważasz? Za diabła?

--Sprawa jest dużo bardziej złożona, -- r Soames spojrzał mu prosto w oczy. -- Jestem drugim synem Boga.

Fleming omal go nie puścił.

--Co takiego?

--Wysłuchaj mnie -- błagał Soames. -- Przed dwoma tysiącami lat Bóg zesłał swojego pierworodnego syna. On był dobrym człowiekiem, głosił potrzebę miłosierdzia i przebaczenia, i umarł nawet za ludzkość na krzyżu, by nauczyć ją, co to naprawdę znaczy żyć po Bożemu. Ale poniósł porażkę. Religie zaczęły walczyć między sobą z powodu różnych interpretacji jego nauk. Wiara zesłała na dalszy plan. Nie liczyła się już wolna wola, tylko władza i wina. Co wspólnego z wolną wolą mają napomnienia z ambony: „Róbcie, co wam każę, bo inaczej pójdziecie do piekła?” To nie wolna wola, tylko posłuszeństwo wymuszone strachem przed karą. Poza tym, kapłani są tylko ludźmi. Nie zależy im na tym, by zrozumieć Boga... bardziej interesuje ich doczesna władza. Bóg jednak nie chce wielkich kościołów ani czci. Nie takim jest ojcem. On chce was. Chce, by Jego najbardziej ambitne dzieło wreszcie dojrzało na tyle, by więcej Go nie potrzebować. To właśnie próbował wyjaśnić Jego pierwszy syn. Dobrze przeżyte życie samo w sobie jest nagrodą i na łożu śmierci każdy pozna własną prawdę duchową. Nikt go jednak nie słuchał. Dlatego Bóg zesłał drugiego, mrocznego syna. Mnie. Tym razem nie po to, by głosił dobro i miłosierdzie, lecz żeby udowodnił raz na zawsze, że Bóg nie istnieje. Że światem rządzi diabeł. Dopiero wtedy ludzkość wyzwoli się z okowów religii i samodzielnie zrozumie wreszcie, czym jest dobro i zło. To właśnie jest rzeczywista wolna wola. Przecież prawdziwa cnota polega na tym, że dokonuje się wyboru, nie licząc na nagrodę. I dlatego Bóg chce wymazać się z waszej świadomości. To jest Jego dar dla was. Z tego powodu wsparłem Accostę. Arogancki, dogmatyczny, był idealnym symbolem religii. Kiedy ktoś taki jak on, przywódca największej religii na świecie, wypiera się Boga z za grobu, ludzie słuchają. A po ukazaniu się zapowiedzianych przez niego znaków będą musieli uwierzyć.

Uśmiechnął się do Fleminga.

--Zwłaszcza ty powinieneś to rozumieć, Miles. Nie znosisz napuszonych doktryn religijnych. Byłeś ateistą, który czynił dobro, nie licząc na nagrodę po śmierci. Weź taką Virginie Knight. Jako zwolenniczka Czerwonego Papieża była słaba i tchórzliwa, łatwo dawała się namówić do zdrady przyjaciół, zgodziła się na niezliczone zabójstwa, wmawiając sobie, że nie zrobiła nic złego, bo ofiarami byli śmiertelnie chorzy, a ona tylko wykonywała wolę Bożą. Dopiero kiedy straciła wiarę w Boga, uwierzyła w siebie i znalazła dość odwagi, by pomóc tobie i Amber w ucieczce. Gdy przestała wierzyć w obietnicę życia wiecznego, zdobyła niezależność w życiu do-

czesnym. Miles, musisz powstrzymać Amber, bo inaczej wszystko będzie stracone.

--Zwariowałeś! Zginą miliony ludzi.

--Ale ich dusze zostaną ocalone -- przekonywał Soames. -- Musisz zrozumieć. Jestem tym, za kogo się podaję. Wiedziałem, co powie Czerwony Papież. Dlatego tak bardzo mi zależało na projekcie „Dusza”. Wiedziałem, czym będą zapowiedziane znaki. Dlatego się do nich przygotowałem. Wierz mi, Miles, jestem Lucyferem i Synem Bożym jednocześnie. Jestem narzędziem w rękach Boga. Ogniem piekielnym, który niesie cierpienie i rozpacz, ale i oczyszczającym płomieniem, który przygotowuje ziemię do wydania obfitszego plonu. Miles, przyszłość rodzaju ludzkiego spoczywa w twoich rękach. Musisz pozwolić, by znaki ukazały się w pełni, musisz wypalić chwasty religii i pozwolić, by w ich miejscu zakorzeniła się wiara w siebie i autentyczna wolna wola.

Zamilkł, jakby czekał na reakcję, Fleming nie wiedział, co powiedzieć. Rozumowanie Soamesa było w pokrętny sposób logiczne.

Soames mocniej ścisnął nadgarstek Fleminga. Jego pokryta pęcherzami skóra pękała, powstawały krwawiące rany. Fleming próbował go podnieść, by Soames mógł się osłonić, ale im silniej ciągnął, tym bardziej rozrywał mu skórę.

--Proszę, Miles, proszę -- błagał Soames, nie zważając na ból. -- Zabij mnie, ale pozwól, by znaki się wypełniły. Musisz wbić ostatnie gwoździe w trumnę religii. Jest tylko jedna szansa, Miles, i od ciebie zależy, czy zostanie wykorzystana. Musisz to zrobić! -- krzyknął. -- Musisz!

73

zut oka na ekran przekonał Amber, że się spóźniła. 09... 08... Odliczanie niemal dobiegło końca. Zaraz nastąpią pierwsze symulowane ataki.

Kazała Jake'owi obserwować windę na wypadek, gdyby zjawili się na stępni strażnicy, a sama dostała się do podstawowego oprogramowania komputera. Wkrótce stało się dla niej oczywiste, że Soames miał rację. Wszystkie skradzione dane wróciły na miejsce, ale skutkiem tego było wywołanie ostatnich znaków.

**261**

**06... 05...**

**Spojrzała na mapę Indii i Pakistanu i większą mapę Azji. Wszystkie czerwone punkty wciąż mrugały. Gdyby wprowadziła foniczny program implozji, mogłaby zniszczyć komputer, ale nie zdążyłaby powstrzymać go przed wysłaniem mylących informacji i wywołaniem Apokalipsy przepowiedzianej przez Czerwonego Papieża.**

**Musiała wpisać nowy kod.**

**04... 03...**

**Zacząła od większej mapy Azji. Otworzyła małe okienko u dołu ekranu, dostała się do oprogramowania bazowego i wyszukała instrukcję wysyłającą informację o symulowanym ataku. Natychmiast ją wyłączyła. Punkty przestały błyskać.**

**Doskonale.**

**02...**

**Przełączyła obraz na mapę Indii i Pakistanu i zrobiła, tak jak w przypadku pierwszej mapy. Otworzyła okienko, by dostać się do bazowego kodu programu. Zaczęła szukać instrukcji...**

**01... 00...**

**Cholera. Za późno.**

**Czerwony punkt nad Delhi przestał błyskać. Czerwona linia wystrzeliła po łuku z Delhi w stronę Pakistanu.**

**Amber sprawdziła oprogramowanie bazowe. Do centrum dowodzenia z Lahore poszła instrukcja z nieprawdziwą informacją, że Indie przeprowadziły atak nuklearny. Amber odetchnęła głęboko, zatarła spocone dłonie i skasowała ją.**

**Linia zniknęła z ekranu.**

**Amber zwiesiła ramiona z ulgą. Odetchnęła i przygotowała się do wprowadzenia PIP-u, który miał zniszczyć komputer. Zanim jednak zaczęła, na mapie znów pojawiła się mrugająca kropka. Tym razem, bez odliczania czy ostrzeżenia, linia wyszła po łuku z Lahore w stronę Indii.**

**Amber gorączkowo przejrzała kod bazowy, by sprawdzić, czy czegoś nie przeoczyła, i zorientowała się, że tym razem nie miała do czynienia z atakiem symulowanym -- to była zbrojna odpowiedź Pakistanu na wcześniejszy „atak” Indii.**

**Nie odrywając oczu od monitora, weszła z powrotem do oprogramowania bazowego najpotężniejszego komputera na świecie i zaczęła szukać cudu.**

--Musisz ją powstrzymać, Miles! -- krzyczał Soames, którego opuścił dotychczasowy spokój. Skóra zwisała mu w płatach z czoła, oczy były przekrwione. -- Pomóż mi, a ja pomogę ci poznać prawdę o losie brata. Komputer jest kluczem. Istnieje związek między sygnaturą duszy a kodem genetycznym. Obraz interferencyjny jest skorelowany z intronami, śmieciowym kodem w dużej mierze tworzącym nasze DNA. Na podstawie genomu twojego brata komputer może odtworzyć sygnaturę jego duszy. Z moją pomocą mógłbyś go przywołać, nawiązać z nim kontakt.

Fleming już to wiedział. To właśnie przyszło mu do głowy, kiedy zostawił Amber i poszedł szukać informacji.

--Wiem, co ten twój komputer potrafi -- powiedział.

Usta Soamesa wykrzywiły się w uśmiechu szaleńca.

--Wiesz więc, że jest ci niezbędny, jeśli chcesz zaspokoić potrzebę wiedzy, udowodnić, że z twoim bratem jest wszystko w porządku. Bez komputera nigdy się z nim nie skontaktujesz. Nigdy nie zaznasz spokoju.

Fleming podjął już decyzję.

--Rob ma się dobrze -- powiedział.

--Skąd wiesz?

--Nie wiem tego, Bradley. Muszę przyjąć to na wiarę -- powiedział i ogromny ciężar spadł mu z serca.

Soames był chyba bliski paniki.

--Ale trzeba powstrzymać Amber. Tylko ona może zapobiec ukazaniu się znaków, musisz ją powstrzymać!

--Nic nie muszę -- wycedził powoli. -- Jak mówileś, mam prawo do wolnej woli. Właśnie z niego korzystam.

--Nie! Nie! -- krzyknął Soames. -- Popelniasz tragiczny błąd! Tak nie miało być! Musisz ją powstrzymać!

--Za późno, Bradley! -- Fleming usłyszał za sobą głos Amber. Odwrócił się.

Stała przy windzie z Jakiem, wpatrzona w obserwujące go wilki. -- Jedna rakieta mi uciekła, ale dezaktywowałam ją i wrzuciłam do morza. To koniec.

Soames spojrział na Fleminga ze złością.

--Głupcze! -- wybuchnął. -- Bóg dał ludzkości drugą szansę. Posłał na ziemię drugiego syna. A wy wszystko zawaliliście. Znowu. Nie warto was zbawiać. -- Zwolnił uścisk. Fleming trzymał go tak długo, jak mógł, ale w ręku został mu tylko płatek skóry. Soames runął w głąb odwiertu na pulsującą szklaną kulę.

Fleming usłyszał za plecami skowyt wilków i odwrócił się w porę, by zobaczyć, jak sprężają się do skoku. Instynktownie osłonił twarz ramionami

i przygotował się na atak. On jednak nie nastąpił. Wilki ominęły go i wskoczyły do odwiertu za swoim panem. Fleming próbował zobaczyć, gdzie spadły, ale nie został po nich nawet ślad. Może niczym demony wróciły do otchłani, z której przybyły.

Za to ich pan wciąż był widoczny.

Fleming spojrział na człowieka, który podawał się za Lucyfera i Syna Bożego, i przeszedł go dreszcz. Soames leżał na świecącej szklanej kuli z otwartymi oczami. Jego ręce były rozrzucone na boki, jakby został ukrzyżowany na ognistej kuli.

Fleming poczuł na ramieniu dłoń Amber.

--Mam dysk Trippa. Musimy się stąd jak najszybciej wydostać -- powie działa. -- Zainstalowałam PIP-a, komputer zaraz wybuchnie.

Fleming spojrział na Jake'a, który podniósł z podłogi swoją pogryzioną nogę. Wziął go na ręce i wszedł do windy za Amber.

Ze złamanym kręgosłupem Bradley Soames oczekiwał śmierci. Skóra schodziła z niego płatami, całe ciało paliło go od żaru i blasku szklanej kuli pod nim. Wiele w życiu wycierpiał, ale takiego bólu jeszcze nie zaznał.

Był na ognistym kole w piekle.

Ale to nie ból przysparzał mu najwięcej cierpienia.

Najgorsze było poczucie klęski.

--Wybacz, Ojcze! -- krzyknął w rozpacz. -- Próbowałem im pomóc.

Ognista kula pokryła się siatką pęknięć i wybuchła supernową niebieskobielego światła.

Kilka minut wcześniej

Fleming wybiegł z VenTecu z Jakiem w ramionach. Zauważył, że niebo się przejaśniło. Na odległym horyzoncie kładła się nawet pomarańczowa smuga. Potem zobaczył śmigłowiec nadlatujący ze wschodu.

Nie minęły dwie minuty, a znaleźli się na pokładzie. Był tam już komandos Delta Force ze złamaną nogą. To on wezwał Black Hawka do siebie, a potem kazał pilotowi polecieć do VenTecu, żeby sprawdzić, czy ktoś ocalał.

--Nikt oprócz was nie przeżył? -- spytał, kiedy Fleming posadził Jake'a między sobą a Amber.

Fleming pokręcił głową.

--A wy jak się trzymacie? Amber ścisnęła dłoń Fleminga.

--W porządku -- powiedziała. -- Nic nam nie będzie.

--Na waszym miejscu odleciałbym jak najdalej od VenTecu. I to już!

-- zawołał Fleming do pilota.

--Słyszę głośno i wyraźnie. Biorę kurs na południe, do Fairbanks.

Kiedy maszyna oderwała się od ziemi, Jake się odwrócił.

--Zobacz, wujku!

Fleming się obejrzał. Biały słup światła wystrzelił z wierzchołka góry, rozerwał pajęczą konstrukcję VenTecu i rozdarł ciemniejące niebo jak reflektor.

Nastąpiła druga eksplozja i w świetlistą smugę wdarły się płomienie. Fleming domyślił się, że wybuch musiał uwolnić pokłady ropy ukryte głęboko wewnątrz góry, tworząc słup ognia, który zdawał się łączyć niebo z piekłem.

--To co, uratowaliśmy świat? -- Komandos uśmiechnął się znużony.

Fleming skinął głową, ale kiedy ścisnął dłoń Amber i przytulił Jake'a,

przed oczami miał tylko Soamesa rozpiętego na ognistej kuli i jego pogardliwe spojrzenie.

--Pewnie, że tak -- powiedział cicho i zmierzwił włosy Jake'a. -- Pewnie.

## EPILOG

Jezuicki ośrodek Mila Ronda na północ od Rzymu

Półtora roku później

rzyżycie wydano w jednym z najlepszych letnich ośrodków Towarzystwa. To była prawdziwa uroczystość; świętowano nie tylko mianowanie nowego generała jezuitów, ale i odrodzenie Kościoła katolickiego w ogóle.

Goście w lnianych garniturach i szatach duchownych sączyli drinki na chłodnych, ozdobionych łukami tarasach palladiańskiej willi i przechadzali się po zalanych słońcem ogrodach.

Amber pomogła Jake'owi zawiązać sznurowadła. Wstając, położyła dłoń na zaokrąglonym brzuchu i poczuła budzące się w niej nowe życie. Żałowała tylko, że jej matka nie dożyła narodzin pierwszego wnuka.

Wróciła pamięcią do czasów, kiedy nie potrafiła żyć pełnią życia, bo zawsze myślała o Ariel i swoim poczuciu winy, nigdy o sobie. Jakże inaczej wyglądało jej życie od czasu, kiedy z Ariel uwolniły się od siebie. Jak to kiedyś powiedziała jej matka? „Jesteśmy sumą naszych relacji z innymi”. Miała rację, uświadomiła sobie Amber. Tak było i za życia, i po śmierci. Spojrzała ku ogrodom i zobaczyła, że grupka osób otaczających ojca Petera Rigę przywołuje Fleminga.

Pomyślała o świecie kwantów, który tak ją absorbował. Pod wieloma względami Miles był „cząsteczką”: trzymał się na uboczu, unikał związków, szukał w nauce i racjonalizmie ratunku przed cierpieniem i chaosem.



Ona za to była „falą”: tak skoncentrowała się na więzi łączącej ją z siostrą, że nie umiała zbliżyć się do nikogo innego, a praca z Soamesem stała się dla niej ucieczką i pozwalała zaspokoić potrzebę zrozumienia świata. Teraz jednak, kiedy już wszystko rozumiała, nie musiała dłużej uciekać. Ona i Fleming dopełniali się nawzajem, byli zarówno odrębnymi osobami, jak i jednością, częsteczką i falą, sobą i nami. Idealny dualizm.

Uśmiechnęła się i znów pogładziła po brzuchu. Praca, która tak skutecznie ją zaprzętała, teraz była tylko jednym z elementów jej życia. Optrix radził sobie na tyle dobrze, że nie musiała wszystkiego doglądać, i sama była zaskoczona tym, jak łatwo zrezygnowała z wielu obowiązków.

Trzymając Jake'a za rękę, patrzyła, jak Fleming podchodzi do papy Pete'a. Jej ojciec chrzestny wyglądał wspaniale w czarnych szatach symbolizujących jego nową funkcję: jako przełożony Towarzystwa Jezusowego był generałem jezuitów, tak zwanym Czarnym Papieżem. Fleming nie chciał przyjść na przyjęcie i zgodził się towarzyszyć Amber tylko przez wzgląd na dług wdzięczności wobec Rigi.

Na widok dumnego papy Pete'a, co jakiś czas przerywającego rozmowę, by przyjąć wyrazy uszanowania od gości, pomyślała o ostatnich słowach Soamesa skierowanych do Fleminga. Często rozmawiali o rzekomej misji jej byłego współnika, który chciał zniszczyć religię i wiarę, by człowiek odnalazł prawdziwą wolną wolę, do tej pory jednak nie potrafiła go jednoznacznie ocenić. Soames wywarł duży i tak naprawdę pozytywny wpływ na jej życie. Zawsze był i na zawsze pozostanie zagadką. I mimo że tyle zła się stało, ilekroć myślała o nim, nie mogła wzbudzić w sobie gniewu czy nienawiści -- tylko współczucie.

Miles Fleming nie podchodził do tego wszystkiego tak filozoficznie, jak Amber, ale kiedy widział ją z Jakiem, nie mógł się nie uśmiechnąć. Razem wydawali się tacy szczęśliwi, wyglądali tak naturalnie. Jake stał się członkiem ich rodziny i Fleming nie miał już wrażenia, że opiekując się nim, spełnia obietnicę daną bratu. Wszyscy troje, on, Jake i Amber, byli jednością.

Jego życie właściwie niewiele się zmieniło. Kiedy komputer Soamesa został zniszczony i wszystko mniej więcej wróciło do normy, media usiłowały zidentyfikować „zbawców cywilizacji”. W następnych miesiącach panował jednak taki chaos, krążyło tak wiele plotek, że z pomocą FBI udało mu się zataić przed dziennikarzami swój i Amber udział w sprawie i wrócił do Barley Hall, by kontynuować swoje prace. Teraz, jako kierownik, miał

już więcej do powiedzenia i dostawał większe fundusze, poza tym jednak życie toczyło się jak dawniej.

Zmienił się jednak pod innymi względami. Pamiętał, jak kiedyś, usiłując zwalczać cierpienie, nie tylko pomagał zdruzgotanym pacjentom dojść do siebie, ale i zachowywał wobec wszystkiego dystans; teraz, kiedy patrzył na Jake'a i kobietę, która miała urodzić jego dziecko, zdał sobie sprawę, że to oni są całym jego światem. Może kiedyś przysporzą mu cierpienie, ale dzięki nim był spełniony, jego życie nabrało sensu.

Często myślał o Robie, ale nie czuł już wyrzutów sumienia, nie niepokoił się też o jego duszę. Prędzej czy później i tak dowie się, czy Rob jest bezpieczny na tej zalanej słońcem równinie, którą Amber widziała we śnie. Do tego czasu skupi się na tym, by żyć.

Wciąż dręczyły go jednak myśli o Soamesie -- dziś szczególnie.

Kiedy nie ukazały się znaki zapowiedziane przez Czerwonego Papieża, świat odetchnął z ulgą. Fakt, że Armageddon jednak nie nastąpił, sprawił, że wielu uznało całe zdarzenie za wielką mistyfikację, wybryk szalonego geniusza. Tyle że nikt nie potrafił wyjaśnić, jak to się stało, że ten szalony geniusz przewidział treść przepowiedni Czerwonego Papieża. Choć przeprowadzono liczne analizy i dochodzenia, nikt nie zdołał tego przekonująco wytłumaczyć.

Mimo to w następnych miesiącach tłumy oblegały świątynie; tak jakby wszyscy chcieli odpokutować za to, że pozwolili, by Czerwony Papież zachwiał ich wiarą. Ateiści, którzy nigdy nie myśleli o religii, teraz stawiali ją na piedestale. Upadek Kościoła Prawdy Duchowej pozostawił po sobie ogromną pustkę, a wszelkie nowe, postępowe Kościoły stały się obiektem ataków. Wystarczy, że ludzie raz dali się oszukać.

Szczególnie jeden z Kościołów mógł zaspokoić powszechne zapotrzebowanie na powrót do fundamentalnych, stabilnych wartości; ten sam Kościół, który przed wystąpieniem Czerwonego Papieża chylił się ku upadkowi. Otworzył drzwi wszystkim zbłąkanym owieczkom, dogmatycznie ogłosił się wyłącznym posiadaczem prawdy i ustanowił surowe zasady regulujące praktyki religijne. Przez tyle wieków swojego istnienia Kościół katolicki nigdy jeszcze nie był tak potężny.

Kolejni goście składali gratulacje ubranemu w uroczyste szaty Ridze i całowali jego dłoń. Podchodząc do niego, Fleming myślał o ostatnich słowach Bradleya Soamesa.

„Dlatego Bóg zesłał drugiego, mrocznego syna. Mnie. Tym razem nie po to, by głosił dobro i miłosierdzie, lecz żeby udowodnił raz na zawsze,

że Bóg nie istnieje. Że światem rządzi diabeł. Dopiero wtedy ludzkość wyzwoli się z okowów religii i samodzielnie zrozumie wreszcie, czym jest dobro i zło. To właśnie jest rzeczywista wolna wola. Przecież prawdziwa cnota polega na tym, że dokonuje się wyboru, nie licząc na nagrodę. I dlatego Bóg chce wymazać się z waszej świadomości. To jest Jego dar dla was".

To był bełkot szaleńca, ale na wspomnienie widoku Soamesa zawieszzonego nad ognistą kulą, krzyczącego: „Nie warto was zbawiać!", Fleming zadrzał, choć słońce ogrzewało mu plecy.

Złożył gratulacje Ridze. Rozmyślnie zwrócił się do niego po imieniu, zadając pytanie:

--Peter, czy Dzień Prawdy Duchowej czegoś nas nauczył?

--Oczywiście, Miles -- odparł Riga bez wahania. -- Czego?

Riga zmarszczył brwi, jakby odpowiedź była oczywista.

--Nauczyliśmy się, że ludziom potrzeba przewodnika. Że nie można liczyć na to, że sami znajdą Boga. Jak owce, muszą mieć silnego pasterza, któremu mogą zaufać i który otworzy im oczy na prawdziwą chwałę Bożą.

Fleming zadrzał.

--I tym pasterzem jesteś ty?

Riga uśmiechnął się -- jego uśmiech wyrażał tę samą błogą pewność, którą Fleming widział na twarzy Accosty.

Przez jedną surrealistyczną chwilę w jaskrawym, białym słońcu Fleming nie potrafił odróżnić ich od siebie; gdyby nie kolor szat, można by pomyśleć, że Czerwony i Czarny Papież to ta sama osoba.

## PODZIĘKOWANIA

*Jak zawsze największy dług wdzięczności mam wobec żony, Jenny. To przede wszystkim dzięki niej Kod Lucyfera ujrzał światło dzienne. Zebrane przez nią materiały i jej twórcze pomysły były nieocenioną pomocą w budowie postaci i konstruowaniu fabuły.*

*Najwięcej cennych informacji zawdzięczam następującym książkom: The Quan-tum Self (Jaźń kwantowa) Danah Sohar (Flamingo 1991), Q is for Quantum (Kjak kwant) Johna Gribbina (Weidenfeld Nicolson 1998), Eiger Dreams (Sny o Eiger) Jona Krakenera (PAN 1990) oraz Tybetańskiej Księdze Umarłych.*

*Jestem ogromnie wdzięczny wszystkim pracownikom Transworld Publishers za ich ciepłe słowa i nieustające wsparcie, a szczególnie mojemu znakomitemu redaktorowi Billowi Scottowi-Kerrowi.*

*Wielkie podziękowania należą się mojemu przyjacielowi i agentowi Patrickowi Walshowi oraz agentowi filmowemu Samowi Northowi.*

*Pragnę również podziękować za pomoc: komandorowi Jerry'emu Plantowi z Królewskiej Marynarki Wojennej, Gilesowi Palmerowi za jego pomysły związane z fizyką kwantową i Pete'owi Tylerowi za spostrzeżenia dotyczące teologii i Kościoła katolickiego. Za wszelkie błędy odpowiadam tylkoja.*

*Na koniec chciałbym podziękować rodzicom za ich niewyczerpany entuzjazm i wsparcie. Tak jak niezrównany personel działu sprzedaży Transworlda są najlepszymi specjalistami od*

*sprzedaży, jakich pisarz mógłby sobie zażyczyć.*

**This file was created with BookDesigner program**

**bookdesigner@the-ebook.org**

**2010-11-27**

*LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/*

# Table of Contents

## PROLOG

I  
12  
13  
14  
16  
18  
19  
20  
22  
23  
24  
26  
27  
28  
30  
31  
32  
6  
35  
37  
38  
39  
41  
42  
43  
44  
45  
46  
47  
50  
52  
54  
55  
56  
57  
58  
14  
15  
64  
65  
67

[16](#)  
[70](#)  
[71](#)  
[17](#)  
[18](#)  
[78](#)  
[80](#)  
[81](#)  
[82](#)  
[85](#)  
[86](#)  
[90](#)  
[22](#)  
[94](#)  
[96](#)  
[98](#)  
[100](#)  
[101](#)  
[103](#)  
[26](#)  
[107](#)  
[108](#)  
[111](#)  
[112](#)  
[117](#)  
[118](#)  
[119](#)  
[120](#)  
[122](#)  
[124](#)  
[31](#)  
[- Bierście odczyty! – krzyknął do asystentów w...](#)  
[129](#)  
[130](#)  
[132](#)  
[134](#)  
[136](#)  
[137](#)  
[138](#)  
[36](#)  
[141](#)  
[142](#)  
[37](#)  
[146](#)  
[147](#)

[148](#)  
[149](#)  
[150](#)  
[152](#)  
[153](#)  
[155](#)  
[156](#)  
[158](#)  
[159](#)  
[160](#)  
[161](#)  
[162](#)  
[163](#)  
[164](#)  
[165](#)  
[166](#)  
[168](#)  
[169](#)  
[170](#)  
[171](#)  
[173](#)  
[174](#)  
[175](#)  
[176](#)  
[177](#)  
[178](#)  
[179](#)  
[180](#)  
[181](#)  
[185](#)  
[186](#)  
[188](#)  
[189](#)  
[191](#)  
[192](#)  
[194](#)  
[53](#)  
[197](#)  
[199](#)  
[200](#)  
[201](#)  
[202](#)  
[203](#)  
[204](#)  
[205](#)

[206](#)  
[208](#)  
[209](#)  
[210](#)  
[211](#)  
[213](#)  
[214](#)  
[215](#)  
[216](#)  
[217](#)  
[219](#)  
[220](#)  
[221](#)  
[222](#)  
[224](#)  
[225](#)  
[226](#)  
[227](#)  
[229](#)  
[231](#)  
[232](#)  
[234](#)  
[235](#)  
[236](#)  
[237](#)  
[238](#)  
[240](#)  
[241](#)  
[243](#)  
[245](#)  
[246](#)  
[248](#)  
[249](#)  
[251](#)  
[254](#)  
[256](#)  
[257](#)  
[258](#)  
[260](#)  
[261](#)  
[262](#)  
[263](#)  
[264](#)  
[267](#)  
[268](#)



